

*Nie chowaj tej książki przed żoną! I tak kupi sobie nową!*

*Lynn Kurland*

*Przekłęci*

## Prolog

Zamek Seakirk, Anglia, 1260

- Niech cię diabli, człowieku! - krzyknął Kendrick z Artane. - Nie wiesz, kim jestem?

Kochanek Matyldy popatrzył na niego ironicznie.

- Wiem doskonale. To bez znaczenia. Nie ma tu twego wszechpotężnego ojca, nie uratuje cię.

- Zapłacisz za to głową. - Kendrick parsknął pogardliwie. Jego jasnozielone oczy błyszczały z wściekłości. - Nie przeżyjesz roku, gdy ojciec odkryje, co zrobiłeś. - Szarpnął łańcuchy, którymi przykuty był do wilgotnego muru.

Ryszard wzruszył ramionami.

- Może pomyśli, że dopadły cię wilki albo jacyś zbóje. Możliwości jest wiele.

- Będziesz przeklinał ten dzień, Ryszardzie. Już ja się o to postaram...

Ryszard wykrzywił się w uśmiechu i podniósł kuszę.

- Cieszę się, że tak dyskretnie przywiozłeś złoto na posag Matyldy. Dzięki tobie stałem się dość zamożny.

- Czekaj! - zawołał Kendrick. - Matylda musi przy tym być. Chcę patrzeć jej w oczy, kiedy twoja strzała przeszyje mi serce.

Ryszard roześmiał się.

- Oczywiście. Przyjdzie z przyjemnością - powiedział i skinął na giermka, który pognał schodami na górę.

Kendrick nie odrywał wzroku od Ryszarda. Nie mógł uwierzyć w wydarzenia ostatnich kilku godzin.

Czy to możliwe, że wczorajszego wieczoru z tak lekkim sercem przekroczył bramy zamku, uszczęśliwiony, że król podarował mu ten majątek i lady Seakirk za żonę? Czyżby zaledwie wczoraj spojrzął na Matyldę, oczarowany jej urodą, i wyczytał na jej twarzy najpierw wyraz nienawiści, a potem satysfakcji, gdy do wielkiego hallu wszedł ze swymi strażnikami. Ryszard z Yorku? Kendrick powalił w walce wielu wrogów, ale z tak małą garstką swoich ludzi u boku nie miał najmniejszych szans na zwycięstwo. I teraz stał przykuty łańcuchami do muru, czekając na niechybną śmierć.

Matylda schodziła ze schodów; kiedy ich oczy się spotkały, przeklął w duchu swoją głupotę. Dlaczego był tak ślepy? Powinien był od razu przejrzeć jej zdradzieckie sztuczki: nieśmiałe trzepotanie rzęsami, chytre przeinaczanie sensu słów i unikanie szczerej rozmowy. I ten uśmiech... Przeszył go dreszcz. Jej uśmiech bardziej go zmroził niż lodowaty mur za plecami.

Potrząsnął głową, przeklinając własną naiwność. Okazał się takim głupcem, że chyba zasłużył na to, co go czeka. Przeniósł wzrok na Ryszarda i wyzywająco patrzył swemu zabójcy prosto w oczy. Cekał.

Strzała ze świstem przecięła powietrze.

Jak dobrze być znowu w domu. Genevieve postawiła walizkę na chodniku, oparła teczkę z dokumentami na kolanie i z przyjemnością westchnęła na widok swego biura. Tabliczka ze znakiem firmowym wyglądała wspaniale, roślinki w oknach uginały się od kwiatów, a uchylone drzwi zapraszały klientów do środka.

Tak, to było miejsce, dokąd chętnie przychodzili właściciele domów ze zdjęciami swoich zrujnowanych posiadłości. Przychodzili w nadziei, że z pomocą jakiejś magicznej siły walące się budynki wrócą do dawnej świetności. I każdy z nich, bez wyjątku, wychodził stąd zadowolony. Genevieve była świetna w swym fachu i umiała dobrać sobie równie kompetentnych współpracowników. Klientów jej firmy nigdy nie spotykało rozczarowanie.

Wniosła bagaż do hallu i roześmiała się widząc ogromny powitalny transparent „Witaj w domu, Gen” zawieszony nad drzwiami jej gabinetu. Biurko zastawione było kwiatami, a pod sufitem wisiały pęki balonów.

- Niespodzianka!

Pracownicy obskoczyli ją ze wszystkich stron i kiedy wylądowała w swoim fotelu, w jedną rękę wcisnęli jej talerzyk z tortem, a w drugą kieliszek ponczu. Wszyscy pytali jednocześnie:

- Widziałaś jakieś gwiazdy filmowe?

- Co powiedzieli na projekt?

- Przywiozłaś nam coś?

Genevieve roześmiała się patrząc na to wszystko. Jak dobrze znów być wśród przyjaciół. Z prawej strony stała Kate, z którą najdłużej pracowała - wśród zakurzonych płócien w starych domach potrafiła wygrzebać dzieła słynnych mistrzów. Obok Peter, świetny cieśla, nieoceniony konserwator i odtwórca najdrobniejszych nawet detali. Angela, jak zwykle chora z niecierpliwości, gdy mowa była o prezentach, sterczała nad nią z lewej strony, z podniecenia ledwie panując nad sobą.

Genevieve powiedziała z uśmiechem:

- Jeśli chodzi o gwiazdy, to widziałam tylko Wielką Niedźwiedzicę. Projekt ich zachwycił, a prezent dla ciebie, Angelo, jest w walizce. - Spróbowała tortu przyglądając się całej trójce. - Czy to was satysfakcjonuje?

- Chcę znać wszystkie szczegóły - powiedział Peter. - Ale widzę, że musimy odłożyć to na później. Angelo, odbierz ten telefon. Gen, idę dziś po południu do Marphych. Nie objadaj się tortem. Czekolada ci szkodzi.

- Tak, tatusiu - odpowiedziała z miną grzecznego dziewczynki, i kpiąco skinęła mu głową na pożegnanie.

- Ja też znikam. - Kate ruszyła do drzwi. - Muszę załatwić sprawy związane z twoją podróżą do Carmel. Nie zapomniałaś chyba?

- Nie, oczywiście... Dzięki, że pamiętałaś.

- Po to tu jestem - powiedziała z uśmiechem. - Cieszę się, że już wróciłaś. Jutro zrobimy sobie długą przerwę na lunch i wszystko mi opowiesz.

Genevieve skinęła głową i z westchnieniem oparła się wygodnie w fotelu. Pomyślała, że życie jest zbyt piękne, by było prawdziwe. Po ośmiu latach ciężkiej pracy jej firma była w pełnym rozkwicie. Czego więcej mogła sobie życzyć?

Rozejrzała się po gabinecie. No, może przydałby się jakiś rycerz w lśniącej zbroi. Może on wyzwoli ją z tego otaczającego zewsząd bałaganu.

W obronnym odruchu zamknęła oczy. Firma „Dreams Restored”, choć urocza, mieściła się w niewielkim biurze, wciśniętym między inne maleńkie butikiki w pewnym artystycznym zakątku San Francisco. Małe biuro było świetne ze względu na stosunkowo niski czynsz, lecz przestała się tym cieszyć, kiedy stało się za ciasne. Na biurku piętrzyły się próbki materiałów, wzory deseni na tekturkach i fotokopie formularzy podatkowych z 1991 roku. Na podłodze wokół biurka można było znaleźć wszystko, od gipsowych odlewów gzymsów, po książki na temat średniowiecznej architektury. Teraz pełno tu było jeszcze kwiatów i balonów. Na pozostałych biurkach panował względny porządek. Może ten rycerz przytaszczyłby kilka segregatorów, jeśli już miały się na coś przydać.

- Gen, telefon do ciebie na drugiej linii. Jakiś adwokat z wybitnie brytyjskim akcentem. - Angela była pod wielkim wrażeniem. - Może to ktoś z rodziny królewskiej?

A więc rycerstwo nadciąga. Genevieve roześmiała się ze swoich bzdurnych myśli.

- Będziesz pierwszą osobą, która się o tym dowie.

- W każdym razie nie odrzucaj oferty pracy. Jestem pewna, że Buckingham Pałace dobrze płaci.

Genevieve podniosła słuchawkę.

- Słucham, Genevieve Buchanan.

Usłyszała chrząknięcie mężczyzny po drugiej stronie.

- Och, panno Buchanan, moje nazwisko Bryan McShane. Jestem przedstawicielem firmy „Maledica, Smythe i de Lipkau”, z siedzibą w Londynie. Przyleciałem na kilka dni do San Francisco i chciałbym się z panią spotkać. W sprawie służbowej.

- W sprawie służbowej?

Kto, na Boga, chciałby ją skarżyć? I za co? Za wypaczoną podłogę w kuchni czy nierówno ułożone kafelki? Mógł umknąć jej jakiś drobiazg, ale zwykle stosowała się skrupulatnie do planów zaakceptowanych przez klientów. Traktowała swoją pracę bardzo poważnie.

- Chodzi o spadek - powiedział mężczyzna zniżając głos, jakby obawiał się, że ktoś podsłuchuje. - Sprawa wymaga osobistej rozmowy, panno Buchanan. Znajdzie pani dla mnie czas dziś po południu?

- Panie McShane... - powiedziała powoli - chyba z kimś mnie pan myli. Nie mam rodzeństwa, a moi zmarli rodzice również byli jedynakami. Nie mam żadnych krewnych.

- Panno Buchanan, zapewniam, że odziedziczyła pani spadek i jest on dość pokaźny. Jest pani ostatnim żyjącym bezpośrednim potomkiem Matyldy z Seakirk. Rodney, ostatni hrabia Seakirk, zmarł niedawno, a mnie polecono zawiadomić panią o spadku.

- Kto?... Czy jest pan pewien?

- Hrabia Seakirk. I tak, jestem pewien. Drobiazgowo zbadałem tę sprawę. Kiedy mogłaby pani spotkać się ze mną, by o tym porozmawiać?

Genevieve potrząsnęła głową.

- Przecież on musi mieć tysiące potomków...

- Niestety, wszyscy pozostali albo zmarli, albo z innych powodów nie są w stanie przejąć dziedzictwa.

- Nie są w stanie?

Pan McShane milczał dłuższą chwilę.

- Obłąd jest plagą tej rodziny, panno Buchanan.

Genevieve poczuła się zaintrygowana, mimo że więzy rodzinne nie kojarzyły jej się najlepiej i w głębi duszy wołała nie mieć do czynienia ze swymi przodkami. Niestety, tego popołudnia była już zajęta. Obiecała państwu Campbellom, że obejrzy ich posiadłość w Carmel. Przytrzymała słuchawkę ramieniem, sięgając po stertę dokumentów, które musiała teraz uporządkować.

- Przykro mi, panie McShane - westchnęła - ale dziś po południu to niemożliwe. Czy mógłby pan przysłać mi pocztą dokumenty do przejrzania?

- Niestety, otrzymałem polecenie, by omówić tę sprawę z panią osobiście. Może pod koniec tygodnia?

Przyznała w duchu, że ten adwokat jest człowiekiem upartym. To stawało się naprawdę ciekawe. Myśl o odziedziczeniu jakiegoś bibelotu po szlachetnie urodzonym przodku zaczęła ją coraz bardziej intrygować. Co to może być? I jaką historię ma ten przedmiot? A jeśli to jakiś skarb sprzed wieków?

- A wieczorem? - nalegał McShane.

- Dobrze - odparła, ku własnemu zaskoczeniu. W końcu może postarać się wrócić na późną kolację. Podała panu McShanowi nazwę jednej z restauracji w centrum miasta i odłożyła słuchawkę.

Może to jakiś ciekawy klejnot. Skromna zawartość jej skrzynki depozytowej w banku wzbogaciłaby się o kosztowny drobiazg. Podpisze dokumenty potwierdzające odbiór spadku i na tym sprawa się zakończy.

Restauracja wydała jej się bardziej hałaśliwa niż zwykle. Sztucce pobrzękujące o chińską porcelanę, gulgot trunków nalewanych do kieliszków, odgłosy zucia, przełykania, dyskretnego odkastywania, czkawki. Zauważyła zaczerwienienie wodnistoniebieskich oczu Bryana McShane'a, zmarszczki wokół jego zaciśniętych ust i żaloszny brak owłosienia na czubku głowy. A przede wszystkim sposób, w jaki jego palce nerwowo przemykały po sztucach i kryształowym kieliszku do wina. Zupełnie jak trzepocące skrzydełka motyla, który boi się zaznać spoczynku, by coś, na czym usiadł, nie ożyło nagle i go nie pożarło. Ten dziwny stan wyostrożonej świadomości ogarnął ją, gdy usłyszała szokującą wiadomość.

- Zamek? - powtórzyła przez ściśnięte gardło.

- Zamek. - Pan McShane skinął głową, poprawiając rozedrganą dłońią węzeł krawata. - Seakirk szczyciło się kiedyś posiadaniem klasztoru i renomą najświetniejszego dworu na wybrzeżu zwanym dziś Northumberland. Opactwo jest obecnie w ruinach, ale zamek zachował się w prawie nienaruszonym stanie. Czeka jedynie na szlif nowej właścicielki.

Genevieve zwilżyła usta, czuła wciąż jednak taką suchość, że sięgnęła po swój kieliszek z wodą i dwoma rykami opróżniła jego zawartość. Zamek? Nie, to chyba sen. Takie rzeczy nie zdarzają się w prawdziwym życiu.

- Pan żartuje, prawda? - wydusiła.

McShane potrząsnął głową.

- Zamek należy do pani, panno Buchanan. Aby prawnie wejść w jego posiadanie, musi pani tylko tam zamieszkać.

Genevieve z wysiłkiem opanowała wymykające się spod kontroli emocje. Oparła dłonie o stół i odsunęła się odrobinę z krzesłem. Potrząsnęła gwałtownie głową.

- Nie mogę... - Znów potrząsnęła przecząco głową, na wypadek, gdyby jej słowa nie okazały się dość przekonujące.

- Proszę się nie spieszyć - powiedział McShane. - Kilka dni namysłu pomoże pani podjąć decyzję. Czy wspomniałem już, że wraz z zamkiem odziedziczyła pani okazałą fortunę?

- Słucham?

Pan McShane wyciągnął z kieszeni chusteczkę do nosa i przetarł okulary, które nagle zapotniały.

- Panno Buchanan, konto bankowe, które na panią czeka, jest tak okazałe, że wątpię, by była pani w stanie do końca życia wydać jedną dwudziestą tej sumy. Ma pani do dyspozycji większy majątek, niż może sobie pani wyobrazić, i całkowitą swobodę, jak zechce pani go spożytkować. Może na odnowienie zamku? - Włożył okulary z powrotem na nos i utkwiał w niej wzrok.

- Och, nie... - jęknęła, ściskając krawędź stołu. - To nie może być prawda.

- Wspaniała fortuna, jeśli wolno mi wyrazić swoją opinię. Okazja nie do pogardzenia.

Genevieve usilnie starała się zachować resztki zdrowego rozsądku.

- Nie mogę tak po prostu zostawić pracy - powiedziała przypominając sobie, ile wysiłku kosztowało ją zbudowanie firmy. - Czy zdaje pan sobie sprawę, ile lat zajęło, by przekonać ludzi, że jestem artystką w swoim zawodzie, a nie tylko dekoratorką wewnątrz? Mam klientów w całych Stanach.

Nareszcie zaczęły jej wracać władze umysłowe.

- Kocham swoją pracę - ciągnęła z przekonaniem. - Odkrywanie oryginalnego charakteru budowli, zdejmowanie nakładanych latami warstw starej farby pobudza moją wyobraźnię. Spodziewa się pan, że porzucę to wszystko, żeby spędzić resztę życia w zamku, który może znienawidzę od pierwszego wejrzenia?

- Ależ, panno Buchanan, co mogłoby podzielać bardziej twórczo niż restaurowanie wspaniale zachowanego trzynastowiecznego zamku? - Popatrzył na nią błagalnie. - Proszę tylko pomyśleć o tych ogromnych pieniądzach i cudownych antykach, które mogłaby pani za nie kupić. Poza tym, mogłaby pani przecież kontynuować działalność zawodową w Anglii.

Och, ta żelazna logika prawników. Genevieve poczuła, że jej niewzruszone postanowienie zaczyna chwiać się w posadach. Musi stąd uciec - szybko, zanim zrobi coś, czego później będzie żałować. Praca była dla niej całym życiem. Wielkim wysiłkiem zbudowała swoją firmę z niczego. Była to jedyna rzecz, jaką stworzyła całkowicie sama, bez niczyjej pomocy. To ważniejsze niż pieniądze i stan posiadania.

- Panie McShane, niestety muszę odmówić.

- Ale... - Jego ruchliwe palce zerwały się do rozpaczliwego lotu. - Jeśli nie przyjmie pani zamku, dostanie go jeden z dalekich krewnych zmarłego hrabiego. Z pewnością nie tego pani pragnie.

Genevieve wstała.

- Muszę już iść - powiedziała z rozpaczliwą miną, odwróciła się i wybiegła z restauracji.

Pół godziny później weszła do swojego mieszkania. Odruchowo zamknęła za sobą drzwi i w ciemności oparła się o nie plecami. Upuściła torbę na ziemię. Po chwili na podłodze znalazł się też żakiet.

Odepchnęła się od drzwi i ruszyła korytarzem licząc po omacku kolejne drzwi. Drugie na prawo. Położyła rękę na klamce, powoli ją przekręciła, weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Dopiero teraz sięgnęła do kontaktu. Blade, złotawe światło wypełniło pomieszczenie, przepędzając cienie w kąty i szpary.

Genevieve usiadła na podłodze i zapatrzyła się w to, co wypełniało pokój. Zamki. Zamki wszelkich rozmiarów, kształtów i barw. Papierowe zamki, które sama kleiła, zamki z puzzli, które pieczołowicie konstruowała, prosto ciosane drewniane twierdze, które własnoręcznie wystrugała. Były tu też kupione przez Genevieve repliki autentycznych, lecz nie istniejących już budowli, po których zostały jedynie te wyglądające jak zabawki makiety.

Uśmiechnęła się lekko. Ten pokój był czymś w rodzaju świątyni, miejscem, gdzie lubiła się zamykać, kiedy życie jej dopieкло. Bez względu na prawdę historyczną na temat średniowiecza, dla niej zamek oznaczał poczucie bezpieczeństwa, schronienie przed nawałnicami zewnętrznego świata, miejsce pełne bliskich sobie ludzi, śmiechu i miłości.

A teraz podarowano jej zamek.

Czy Bryan McShane jest przebraną wróżką? Zakręciło jej się w głowie. Jak to by było mieć na własność domostwo przesiąknięte tak bardzo historią, przez wieki znaczone życiem wielu pokoleń? Czy przywracając pierwotną formę byłaby w stanie ogołocić to miejsce z warstw czasu, śladów, które pozostawili po sobie kolejni mieszkańcy? Chyba jednak nie chciałaby tego. Przywróciłaby dawny kształt architekturze i wnętrzą, miesiącami szukając odpowiednich drobiazgów wystroju. To ucieleśnienie marzeń każdego znawcy. Ale nie tylko architektura ją interesowała.

W szkole podstawowej, kiedy inne dziewczynki bawiły się lalkami, ona marzyła o smokach i rycerzach. W szkole średniej, gdy koleżanki martwiły się o makijaż i chłopców, ona marzyła o smokach, rycerzach i ich średniowiecznych twierdzach. Na studiach, kiedy dziewczyny myślały o złapaniu męża albo ruszały w świat w poszukiwaniu szczęścia, ona szkicowała, malowała i projektowała urządzenie średniowiecznych siedzib dla swoich rycerzy - domów, gdzie znajdowałoby schronienie po ciężkim dniu walki ze smokami. Zamki zawsze ją fascynowały, a w każdym z nich musiał oczywiście mieszkać czarujący, waleczny i przystojny rycerz, nieprzytomnie w niej zakochany.

Freud miałby dużo pracy analizując jej marzenia. Nie zastanawiała się, dlaczego ciągle marzy, by ktoś ją uratował, ale podejrzewała, że ma to związek z faktem, iż większość ludzi ją wykorzystuje, a ona na to pozwala.

No, cóż, tym razem tak nie będzie. Kto wie, jaki znów bezlitosny despota czeka na nią na tej dalekiej wyspie? Nie, najlepiej będzie, jeśli zostanie tu, gdzie jest. Praca to całe jej życie. Ciężko harowała, by osiągnąć to, co ma. Praca pozwoliła jej zapomnieć o stracie rodziców, o braku kochanka i tęsknocie za dziećmi.

Koledzy z firmy zastąpili jej rodzinę. Dbali o nią, kochali i dawali poczucie przynależności, którego nigdy wcześniej nie miała, nawet we własnej rodzinie. Praca wymagała poświęcenia całej energii. Miłość, którą obdarowywałyby dzieci, wkładała w odnawiane domy. Najmniejszy drobiazg musiał idealnie pasować do swojego miejsca i przeznaczenia, stare drewno odzyskiwało w jej rękach dawny blask, jasny kamień zrzucał maskę pstrych tapet, cegły oczyszczano z grubego kożucha farb. Domy rozkwitały nabierając swojskiego, ciepłego charakteru. To dawało jej najwięcej radości.

Żadne pieniądze nie mogą tego zastąpić. Ojciec Genevieve był opętany ideą robienia pieniędzy, a matka wciąż miała pretensje, że mąż zarabia za mało. W wieku pięćdziesięciu lat dostał zawału, matka zmarła niedługo później. Po opłaceniu wszystkich rachunków adwokat wręczył Genevieve jej spadek. Ironia losu sprawiła, że całym dziedzictwem córki, po dzikiej pogoni obojga rodziców za majątkiem, był czek na pięćset dolarów. Zachowała go na pamiątkę, by nie tracić dystansu do spraw materialnych.

Nie, nie podda się pokusie. Wstała i wróciła do drzwi wejściowych. Zapaliła światło, podniosła torebkę i wyjęła z portfela wizytówkę McShane'a. Potem w kuchni odkręciła kran i włączyła młynek do odpadków w odpływie zlewu.

Nagle znieruchomiała. To byłoby chyba trochę zbyt drastyczne posunięcie. Może uda jej się obejrzeć zamek. Wyłączyła młynek w zlewie i zakręciła wodę. Mogłaby wyrwać się na miesiąc w zimie, kiedy jest mniej pracy.

Po chwili wahania wyprostowała się. Te dodatkowe atrakcje na nic nie są jej potrzebne. Najlepiej, jeśli zrezygnuje, dopóki starcza jej jeszcze siły woli. Mądre to czy głupie, wiedziała, że ma swoje powody. Położyła wizytówkę McShane'a na stercie papierów, które miała później wrzucić do niszczarki. Tylko przez moment poczuła cień żalu, ale zgasiła światło w kuchni i poszła się położyć.

## 2

- Ale...

- Nie mam pani nic więcej do powiedzenia, panno Buchanan. Żegnam.

Genevieve usłyszała trzask odkładanej słuchawki. Popatrzyła na telefon w swojej dłoni i poczuła, że za chwilę rozłoży go na czynniki pierwsze i przekona się, co za złośliwe stworzenie tam wlaźło, żeby ją prześladować. To był trzeci klient w ciągu tygodnia, który nagle zrezygnował z jej usług, jakby była zadżumiona.

Drzwi gabinetu otworzyły się i weszła Kate. Genevieve odepchnęła od siebie czarne myśli i spytała:

- Jak ci poszło?

Kate bezsilnie wzruszyła ramionami.

- Wszystko świetnie szło, dopóki nie zadzwonił telefon. Potem wyrzucili mnie z domu. Bez żadnych wyjaśnień, po prostu do widzenia i koniec!

Genevieve westchnęła. Odłożyła słuchawkę, którą wciąż ścisnęła w dłoni.

- Najwyraźniej coś wisi w powietrzu. Montgomery wycofał właśnie zadatek.

Kate upadła na fotel stojący przed biurkiem Genevieve.

- Żartujesz.

- Chciałabym, żeby to były żarty.

- Gen, to był zadatek na sumę pół miliona dolarów! Coś ty, u diabła, narozrabiła?

Genevieve zacisnęła usta.

- Nic nie zrobiłam.

- Musiałaś! Dlaczego miałiby tak ostentacyjnie z nas rezygnować, jeśli ich nie obraziłaś ani nic w tym rodzaju? Wiesz, jacy bywają drażliwi.

Genevieve wiedziała, jak drażliwi są jej klienci, gdyż kilku z nich odprawiło ją z kwitkiem w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

- Wiem, że chcesz mi pomóc, Kate, ale skutek jest w tej chwili odwrotny.

- Sądzę, że powinnaś okazywać trochę więcej klasy. Może popracować nad sposobem wysławiania się podczas rozmów z klientami. Nie stać mnie na to, by pracować dla osoby, która obraża każdego, na kogo się natknie. Właściwie sądzą, że nie możemy dłużej współpracować. - Wstała. - Odchodzę.

Genevieve patrzyła w kompletnym osłupieniu, jak Kate wychodzi z gabinetu i zatrząskuje za sobą frontowe drzwi. Zadzwonił telefon. Kiedy dzwonek uporczywie się powtarzał, Genevieve zmarszczyła brwi. Gdzie podziewa się Angela? W końcu sama odebrała.

- Firma „Dreams Restored”. Słucham, tu Genevieve.

- Gen, mówi Peter. Jestem na lotnisku. W Denver.

- Co się stało?

- Wyrzucili mnie, to się stało! Co zrobiłaś tym ludziom?

Nie wierzyła własnym uszom.

- Ja nic nie zrobiłam. - Czy przed chwilą nie powiedziała tego samego Kate? To zaczyna być jakaś mania. - Posłuchaj, Peter, zadzwonię do Johnsonów i dowiem się...

- Nie dzwoń. Nie rób już nic więcej. Nie chcą mieć z tobą do czynienia. Powiedzieli mi, że wystąpią z oskarżeniem o napastowanie, jeśli usłyszą od nas jeszcze jedno słowo. Odchodzę z firmy, Gen. Rujnujesz moją reputację.

- Ale...

- Zabiorę swoje rzeczy po powrocie. Wpadnę, gdy nie będzie cię w biurze.

W słuchawce zapadła cisza. Genevieve nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Powoli odłożyła słuchawkę. Telefon prawie natychmiast znów się rozdzwonił. Gdzie jest Angela? Wstała i wyszła do niewielkiego hallu.

Kolekcja suwenirów Angeli zniknęła, a do ekranu komputera zużytą gumą do żucia przyklejona była kartka: Ja też odchodzę, Gen. Przykro mi. Angela.

Genevieve objęła głowę rękami i cicho jęknęła. Zabrzmiało to jak skomlenie psa. Porażki w pracy to jedna sprawa, dezercja całego zespołu to zupełnie co innego. Usiadła ciężko za biurkiem Angeli wpatrzona tępo w błyskające bez przerwy na centralce lampki linii telefonicznych. Musi znaleźć jakieś tymczasowe zastępstwo do sekretariatu, zanim zatrudni kogoś na stałe.

Ale teraz, jeśli nie odbierze kilku telefonów, nie będzie miała wolnej linii, żeby gdziekolwiek zadzwonić. Przygotowana na najgorsze podniosła słuchawkę.

Osiem godzin później pomyślała, że jeszcze wczoraj nawet nie przyszedłby jej do głowy równie koszmarny scenariusz wydarzeń. Kate pojawiła się koło dziesiątej rano i zapakowała swoje rzeczy do kartonowych pudeł. W południe posłaniec od jej adwokata dostarczył na piśmie oficjalne żądanie wypłacenia Kate równowartości dwumiesięcznej pensji w związku z zerwaniem ich współpracy. Załączył ostrzeżenie, że wystąpi do sądu, jeśli dawna pracodawczyni tego nie uczyni. Genevieve była tak odrętwiała przebiegiem wypadków, że wyczyściła całe swoje konto oszczędnościowe, żeby wypłacić Kate tę sumę. W ciągu popołudnia rozmawiała z kilkunastoma prawnikami, reprezentującymi klientów, którzy zdecydowali się zerwać z nią wszelkie umowy. Gdyby uszczypnięcia tak bardzo nie bolały, byłaby pewna, że to nie kończący się, koszmarny sen.

Tak więc po ośmiu godzinach tego piekła wciąż siedziała za biurkiem Angeli. Centralka telefoniczna umilkła. Klucze od biura, których używała Angela, leżały na swoim miejscu, tuż obok kluczy Kate. Genevieve chciała uśmiechnąć się na myśl, że sekretarka jak zwykle pozostawiła biuro we wzorowym porządku. Uśmiech jednak się nie pojawił.

Położyła głowę na biurku i wybuchnęła płaczem.

Nie mogła jej znaleźć.

Chodziła w tę i z powrotem przed kominkiem, nerwowo pochłaniając kolejny haust lodów karmelowych. W pewnej chwili podniosła do ust pustą łyżkę. Zakłęła złą, że pudełko było takie małe. Położyła łyżkę na obramowaniu kominka, wrzuciła

kartonowy kubek do ognia i patrzyła, jak pożerają go płomienie. Poszedł z dymem. Tak jak jej życie.

Potarła rękami twarz starając się zebrać myśli. Zdrzemnęła się dziś po południu, więc nie mogła usprawiedliwiać się zmęczeniem. To chyba deszcz bijący wściekle o szyby nie pozwalał jej się skoncentrować. Jak na wrzesień było straszliwie zimno, jakby świat opanował jakiś ponury żywioł i znęcał się niemiłosiernie na nędznych śmiertelnikach przemykających ulicami. Ona też niedługo wyląduje na ulicy, jeśli szybko czegoś nie wymyśli. Gdyby tylko znalazła tę cholerną wizytówkę... Jeśli nie jest za późno na zmianę decyzji, wyrwie się z tego niesamowitego chaosu.

Rozejrzała się po salonie. Jaki dramat może spowodować zgubienie takiego świstka papieru! Meble Genevieve zniknęły, sprzedane na spłacenie rozwścieczonych klientów. Resztki rzeczy z biura piętrzyły się w rogu pokoju. Szyld „Dreams Restored” stał krzywo oparty o ścianę. Odwróciła się. Nawet dwa miesiące po zamknięciu firmy trudno jej było o tym myśleć.

Musi znaleźć wizytówkę Briana McShane'a. To jej ostatnia nadzieja. Jest zrujnowana - bez grosza, bez mebli, z dnia na dzień chudsza i bardziej przezroczyista. Przy odrobinie szczęścia można założyć, że pan McShane spędził całe lato na wakacjach i nie miał okazji wepchnąć komuś innemu tej kupy kamieni.

Genevieve była teraz gotowa przyjąć spadek. Nie ma rodziny, straciła firmę i wszystkie pieniądze. Wyjazd do Anglii wydawał się jedynym ratunkiem. Może polubi herbatę. Pamiętała, że rzuciła wizytówkę na stertę papierów do wyrzucenia. Ale w mieszkaniu było co najmniej dwadzieścia stert niepotrzebnych papierów. Matka Genevieve z pewnością byłaby zgorziona tym widokiem, ale chociaż dobrze, że były starannie ułożone. Zaczęła od kopca starych faktur przy drzwiach, starając się nie poddać ogarniającej ją coraz bardziej panice. Znajdzie tę wizytówkę. Musi tylko zdobyć się na trochę cierpliwości.

Po godzinie i dwóch przewalonych do góry nogami stertach zastanowiła się, ile jeszcze cierpliwości może z siebie wykrzesać. Po trzech godzinach grzebania w kolejnych czterech stertach wiedziała, że cierpliwość na nic się nie zda. Jedynie cud może ją uratować.

Koło świtu zwątpiła nawet w cud. Przekopła całe mieszkanie. Sprawdziła odkładane do wyrzucenia papiery przy telefonie i obok zlewu, prawie pewna, że nie znajdzie tam wizytówki McShane'a. Nie wyrzuciła jej przecież. Kiedy miałaby na to czas w tym łańcuchu katastrof, które ostatnio spadły jej na głowę?

W południe mieszkanie wyglądało jak po bombardowaniu, a Genevieve jak cień ludzkiego wraka. Mimo wysiłku nie mogła przypomnieć sobie nazwy firmy pana McShane'a. Zadzwoiła do londyńskiej informacji w poszukiwaniu jego domowego numeru, lecz bez rezultatu.

Niech to diabli!...

Stwierdziła, że musi coś zjeść, żeby mózg zaczął pracować. Wygrzebała spod zalegających kuchnię papierowych śmieci słoiczek na drobne i zaczęła liczyć monety. Gdyby tylko udało jej się uzbierać na małe pudełko lodów z wiórkami

czekoladowymi, wszystko nabrałoby innych kolorów. Miałaby przynajmniej dość energii na kolejną rundę poszukiwań. Obliczyła, że ma dolara i sześć centów. To starczy za ledwie na niewielki batonik. Może tylko pomarzyć o lodach. Kiedy łyzy zaczęły ściekać jej po policzkach, zadzwonił telefon.

Genevieve nie ruszyła się z miejsca. Pewnie następny adwokat chce sprawdzić, czy można z niej coś jeszcze wydusić. Rozczarowałby się niestety. Jeśli ktoś liczy punkty w tej grze, to wynik rozgrywki Smoki - Buchanan brzmi: milion do zera. Och, gdzie podziewa się jej piękny książę na białym rumaku?

Telefon wciąż dzwonił. Niepotrzebnie sprzedała automatyczną sekretarkę. Dowiedziałyby się, kto dzwoni, nie podchodząc do aparatu.

W końcu skapitulowała. Może przecież w każdej chwili odłożyć słuchawkę.

- Halo? - zaskrzeczała ochryple.

- Panna Buchanan?

Genevieve podskoczyła na równe nogi.

- Pan McShane? - prawie zapiszczała.

- Tak. Jestem w mieście i pomyślałem, że może miałaby pani ochotę ponownie się spotkać.

Roześmiała się głośno.

- Kiedy?

- Hm... Czy jest pani wolna w porze kolacji?

To pytanie nie wymagało wiele namysłu. Biorąc pod uwagę zawartość lodówki - nadgniłą główkę sałaty i butelkę keczupu - z pewnością będzie wolna w porze kolacji. Bryan McShane nie jest chyba jednak jej wysnionym księciem z bajki - tamten nie traciłby ani minuty.

- A może umówimy się na późny lunch? - Było jej obojętne, czy wyda mu się natrętna. Przynajmniej w końcu zje coś porządnego. - Na przykład za dziesięć minut?

- Jeśli nie jest pani zajęta...

- Zapewniam pana, że nie. Zna pan tę knajpkę „China Bowl”?

Znał. Genevieve z uśmiechem na ustach odłożyła słuchawkę. Cuda się jednak zdarzają.

Dwadzieścia minut później znów siedziała naprzeciw adwokata, tym razem nad masą chińskiego jedzenia.

- Tak? Słucham pana... - odezwała się z pełnymi ustami.

Gdyby była w stanie szybciej machać widelcem, pewnie zupełnie by się zatkała. Co za miła odmiana po najtańszym makaronie z serem, którym żywiła się od dłuższego czasu.

- Chodzi o Seakirk. Chciałem spytać, czy nie zmieniła pani w tej sprawie zdania.

To właśnie pragnęła usłyszeć.

- Zmieniłam - odpowiedziała. - Pojadę tam.

Pan McShane szeroko otworzył oczy ze zdziwienia.

- Pojedzie pani?

- Tak. To dla mnie prawdziwy dar niebios.

Rozejrzał się niespokojnie po sali, zanim pochylił się nad stołem i powiedział:

- Wie pani, panno Buchanan, nie musi pani przyjmować spadku, jeśli nie ma pani ochoty...

- Dlaczego nie? - Uśmiechnęła się, zaskoczona nagłą zmianą w jego postawie. - Twierdził pan, że zamek jest w dobrym stanie. Teraz mi pan odradza?

- Szczerze mówiąc... - Zniżył głos do szeptu. - W tym zamku dzieją się jakieś dziwne rzeczy.

Genevieve uśmiechnęła się ironicznie.

- Chce pan powiedzieć, że nawiedzają go duchy?

- Nie jestem upoważniony do udzielania takich informacji.

Roześmiała się.

- Proszę się nie niepokoić, panie McShane. Nie pozwę pana do sądu, jeśli obudzą mnie w nocy jakieś podejrzaną hałasy.

Miała wrażenie, że pan McShane marzy o jak najszybszym zakończeniu tej sprawy. Zrobiło jej się go żal i poprosiła kelnera o zapakowanie w pudełko ogromnej ilości jedzenia, którego nie zdołali zjeść. Poczuli się trochę winna, że zamówiła połowę menu, ale po chwili się rozgrzeszyła. Adwokat odliczył prawdopodobnie wszystkie koszty swej podróży ze spadku, który ma jej przekazać.

Pan McShane wyglądał na zaszokowanego, kiedy weszli do ogołoczonego z mebli mieszkania i Genevieve otworzyła pustą lodówkę, żeby schować przyniesione z restauracji jedzenie.

Uśmiechnęła się na widok jego wybałuszonych ze zdumienia oczu.

- Sam pan widzi - to dla mnie dar niebios. Kiedy mogę wyjechać?

- A kiedy będzie pani gotowa? - spytał nerwowo.

- Za tydzień. - Dwa tygodnie temu odnowiła ważność paszportu, licząc właściwie na cud.

Adwokat wsunął palec za kołnierzyk koszuli i szarpnął lekko, jakby z trudem oddychał.

- Jeśli jest pani pewna...

- Jestem pewna. - Stanowczo skinęła głową.

- W takim razie świetnie. Bilet będzie czekał na panią na lotnisku. Polecę wcześniej do Anglii sprawdzić, czy wszystko jest należycie załatwione.

Odprowadziła go do wyjścia, pożegnała i zamknęła drzwi. Odczekała, aż kroki McShane'a ucichną, i odtańczyła krótki taniec radości. W podskokach przeszła do kuchni, żeby sprawdzić, czy kelner zapakował resztę ciasteczek z wróżbami. Odwróciła papierową torebkę do góry dnem i na bufet spadło jedno ciasteczko oraz dziesięć studolarowych banknotów. Nareszcie jakiś rycerski gest!

Przełamała ciasteczko i wpakowała połowę do ust. Potem rozwinęła małe rulonik papieru.

„Strzeż się prezentów od duchów.”

Roześmiała się głośno. Zabawny zbieg okoliczności, Bryan McShane nie jest z pewnością duchem. Zignorowała lekki dreszcz na plecach. W zamkach dzieją się

czasem dziwne rzeczy. Było jej zupełnie wszystko jedno, czy piwnice Seakirk pełne są trumien z wampirami, czy nie. Od dziś jest właścicielką prawdziwego zamku. Marzenie stało się rzeczywistością.

Bryan McShane szedł korytarzem w stronę gabinetu, klnąc cicho pod nosem. Oczywiście, to on musiał przyjechać do Seakirk. Nie dość, że z narażeniem życia poleciał do Stanów. Teraz po raz drugi naraża życie, by zdać relację najnowszemu klientowi agencji „Maledica”. Żadne pieniądze nie były w stanie zrekompensować tego koszmarnego stresu. Sięgnął po wymiętoszoną chusteczkę do nosa i przetarł brwi starając się dojść do siebie. Za dziesięć minut wsiądzie do samochodu i odjedzie. Przeżyje te dziesięć minut.

W odpowiedzi na jego nieśmiałe pukanie rozległ się ponury pomruk: „Wejść!” McShane niepewnie wszedł do środka i spojrzał na ekran telewizora zajmujący prawie całą ścianę. Zawodnicy futbolu amerykańskiego warczeli i obrzucali się wyzwiskami podczas zacieklego meczu. Dzięki antenie satelitarnej umieszczonej na murach zamku obraz tej dzikiej walki docierał do gabinetu.

- Walczą jak baby, nie sądzisz? - zabrzmiał niski głos.

- Tak jest, milordzie - pisnął w odpowiedzi Bryan, po raz kolejny zdając sobie sprawę, że w obecności lorda Seakirk struny głosowe odmawiają mu posłuszeństwa.

- Nie stercz tak i przestań się trząść, człowieku. Jakie wieści przynosisz?

- Powinna tu być na początku przyszłego tygodnia, milordzie.

Obraz telewizyjny nagle zniknął, a klient Bryana wstał i odwrócił się do niego. McShane nigdy nie mógł oswoić się z ogromnym wzrostem tego człowieka, jego postać niezmiennie budziła w nim niepokój. Nie chodziło tylko o chłód bladezielonych oczu ani o groźnie ściągnięte brwi. Ani nawet o widoczne pod ubraniem falujące mięśnie czy dłonie, które z łatwością przełamałyby dorosłego mężczyznę na pół. Nie, chodziło o ten sarkastyczny uśmiech. Niebezpieczny uśmiech bez cienia ciepła. Kiedy ten człowiek się uśmiechał, Bryan miał ochotę uciekać.

- Mam nadzieję, że zadbasz o wszystkie konieczne drobiazgi, jeśli chodzi o Worthingtona?

Worthington był to starszy dżentelmen, podejrzana postać nosząca miano zarządcy. Bryan za wszelką cenę omijałby go z daleka.

- Tak jest, milordzie. Natychmiast się tym zajmę.

- Wyplaciłeś już sobie pieniądze?

- Tak jest, milordzie - odpowiedział unikając w panice wzroku gospodarza. - Ani pensa więcej, niż się należało.

- Nawet nie przyszło mi to do głowy. Twoja stawka jest niebotyczna, ale muszę uznać, że wykonałeś swoje zadanie. Z pewnością będę jeszcze w przyszłości potrzebował usług twojej agencji. Domyślam się, że znajdę cię w londyńskim biurze?

- Oczywiście, milordzie. Pozostaję zawsze do usług.

Na pożegnanie Bryan usłyszał jedynie niski pomruk i ekran telewizora znowu jaskrawo rozblysnął na ścianie. Mężczyzna z kocią gracją osunął się na fotel i oparł nogi o stołek. Bryan wiedział, że może już odejść.

W całej tej scenie nie byłoby niczego niezwykłego, gdyby Kendrick z Artane był zwykłym człowiekiem. Lecz on nie był zwykłym człowiekiem.

Był duchem.

### 3

Genevieve była pod wielkim wrażeniem. Jechali przez teren posiadłości ponad kwadrans, zanim zobaczyła zamek. Kiedy w końcu jego zarysy ukazały się w oddali, mocno zacisnęła ręce, żeby nie podskoczyć na przednim siedzeniu samochodu pana McShane'a. To było wspanialsze niż sobie wyobrażała!

Gdyby to nie była jawa, przysięgłaby, że zbliża się do legendarnej siedziby króla Artura, zamku Camelot. Zewnętrzne mury z wieżami, blankami i mostem zwodzonym otaczały wewnętrzny, wyższy pierścień muru. W środku wyłaniała się twierdza, ponura i nieprzystępna. Kontrastem dla tej surowości wydawała się powiewająca wesoło w lekkim wietrze czarno- -srebrna flaga zatknięta u szczytu najwyższej wieży. Genevieve zobaczyła w wyobraźni pędzących z przeciwka rycerzy na koniach. Zażądaliby z pewnością wyjaśnień, kto ośmielił się przekroczyć granice ziem Seakirk. Przypominająca celtyckie czasy nazwa zamku wywołała jej uśmiech.

Most zwodzony opuszczono, gdy podjechali do zewnętrznego muru, jednak w zasięgu wzroku nie widać było żywej duszy. Genevieve nie wierzyła w duchy, lecz zupełny brak służby czy jakichś pracowników wydał jej się nieco niepokojący.

- Jest tu chyba jakaś służba, prawda? - spytała mimochodem.

Bryan przełknął ślinę.

- Oczywiście, panno Buchanan. Przepraszam... lady Buchanan.

- Och, niech pan nie myśli, że roszczę sobie prawo do tytułu.

- Zapewniam panią, że skrupulatnie zbadałem wszelkie źródła. Jest pani ostatnim żyjącym potomkiem Ryszarda z Seakirk, trzynastowiecznego hrabiego. I ma pani pełne prawo dziedziczyć tytuł i wszystko, co się z tym łączy.

„Wszystko, co się z tym łączy”? Dlaczego zabrzmiało to tak złowieszczo?

Genevieve odpędziła niemądre myśli i skupiła się na otoczeniu. Gdy most zwodzony opadł w dół, podniosła się metalowa krata i przejechali przez fragment obwarowania, który kiedyś musiał być strażnicą. To barbakan - przypomniała sobie. Po chwili znaleźli się na szerokiej przestrzeni terenu otaczającego wewnętrzne mury. Podjechali do następnego barbakanu, gdzie uniosła się przed nimi kolejna krata.

- Krata broniąca wstępu do twierdzy - stwierdził Bryan.

- Wiem - powiedziała wpatrzona w ukazujący się u wylotu tunelu dziedziniec.

- Trochę czytałam na temat średniowiecznej architektury - dodała skromnie.

Wiedziała na ten temat dużo więcej niż „trochę”, ale popisywanie się teraz wiedzą nie miało sensu; pan McShane był tak spięty, jakby za chwilę miał dostać ataku hysterii.

Zamek prezentował najwspanialsze osiągnięcia średniowiecznej sztuki budowniczej. Główny budynek składał się z czterech wysokich kondygnacji z

basztami na każdym rogu. Dwa niższe piętra miały tylko kilka okien, lecz wyższe z nawiązką uzupełniały ten brak. Genevieve nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy wnętrza komnat za tymi pięknymi, zwieńczonymi ukośnie oknami o szybach oprawionych w ołowiane kratki. Po prawej stronie zobaczyła rozległy ogród pełen ostatnich letnich kwiatów i ogromnych drzew. Wydawał się odrobinę zaniedbany i pomyślała od razu, że z ochotą się nim zajmie. Dziedziniec przed zamkiem wyłożony był jasnokremowymi kamiennymi płytami. Musiały być bardzo stare, ale świetnie utrzymane. Rozemocjonowana wyskoczyła z samochodu - to wszystko o mały włos nie przeszło jej koło nosa. Cała posiadłość była w nienagannym stanie. I należy do niej. To chyba sen. Z trudem powstrzymała dziką ochotę wykonania na frontowych schodach kilku podskoków radości.

Bryan również prawie w biegu wysiadł z samochodu, wyciągnął z bagażnika dwie walizki Genevieve i postawił je u podnóża szerokich schodów prowadzących do głównego hallu.

- Życzę wszystkiego najlepszego - rzucił przez ramię i wskoczył do wozu.

- Ale...

Machnął na pożegnanie ręką i odjechał.

Genevieve stała na schodach patrząc za oddalającym się samochodem. Dziwnie się poczuła. Przypomniała sobie, jak matka po raz pierwszy zostawiła ją samą w przedszkolu. Jednak teraz czuła się o wiele gorzej. A jeśli nikogo tu nie ma? Albo, nie daj Boże, w środku są jakieś ciała... powiedzmy czyjeś zwłoki?

Wzięła głęboki oddech i odwróciła się do drzwi. Musi okiełznać wybryki swojej wyobraźni, zanim zupełnie poniesie ją fantazja. To jest jej dom. Ma prawo zapukać do drzwi i spodziewać się, że otworzy jej jakaś zupełnie normalna osoba.

Gdy tylko uniosła rękę, żeby zastukać, drzwi się otworzyły i stanęła oko w oko z lokajem o nader surowym obliczu. Nie mógł być nikim innym. Miał na sobie ciemny garnitur, wykrochmaloną białą koszulę i pedantycznie zawiązaną pod szyją czarną muszkę. Siwe włosy były idealnie zaczesane do tyłu, każdy kosmyk na swoim miejscu.

Bezwiednie się roześmiała.

- Och, pan jest... doskonały.

Nie mrugnął nawet okiem.

- Lady Buchanan, jak się spodziewam - odezwał się dziwnym tonem.

Genevieve poczuła, że uśmiech znika z jej twarzy. Powitanie nie było zbyt wylewne. Pewnie nie wypada okazywać serdeczności przy pierwszym spotkaniu. Skinęła głową i wyciągnęła rękę.

- Ma pan z pewnością jakieś nazwisko, prawda?

- Worthington, milady - powiedział, ignorując jej wyciągniętą dłoń. - Rządca.

- Ach, rządca... - powtórzyła z powagą. - Bardzo mi miło pana poznać.

- Milady... - skwitował oficjalnie i minął ją, żeby wziąć bagaże.

- Ależ nie, mogę sama...

Pod jego miążdżącym spojrzeniem słowa zamarzyły jej na ustach. Poczuli się jak dziecko, które narozrabiało w niedzielnej szkółce. Worthington najwyraźniej bardzo poważnie traktował swoją pracę.

- Tędy proszę, milady - powiedział kierując się w głąb hallu.

Genevieve ruszyła za nim. Po chwili przystanęła pod wrażeniem tego, co zobaczyła. Poczuli dreszcz zachwytu. Ten przepastny hall... Nigdy nie widziała czegoś podobnego. Sala miała co najmniej dwa piętra wysokości, a na przeciwległych ścianach znajdowały się dwa ogromne kominki. Określenie „ogromne” właściwie nie wystarczało. Na każde palenisko można by rzucić pół wielkiego pnia i zostałyby jeszcze miejsce na upieczenie dwóch dzików. Kamienną posadzkę w średniowieczu pokrywało może siano, lecz teraz podłoga była wypolerowana do połysku. Tapiserie ze średniowiecznymi motywami zawieszono na murach sięgały od sufitu prawie do ziemi. Musiały być albo autentyczne, albo doskonale odtworzone. Podeszła do ściany i wyciągnęła dłoń, żeby dotknąć tkaniny, kiedy Worthington chrząknął znacząco. Tęsknie popatrzyła na tapiserie, a potem na swego rządcę. Wyglądał na nieco zniecierpliwionego. No cóż, tapiserie mogą poczekać. Pewnie zbliża się czas podawania herbaty, a Worthington nie lubi zaniedbywać obowiązków w najmniejszym detalu.

Posłusznie weszła za nim na schody. Idąc krętą klatką schodową pomyślała o tym, jak zawsze wyobrażała sobie wnętrze zamku Camelot. Podążając za Worthingtonem przesunęła palcami po chłodnej kamiennej poręczy.

Schody prowadziły do długiego korytarza. Oświetlenie imitujące pochodnie rzucało długie cienie na ściany. Genevieve z niedowierzaniem uśmiechała się do siebie. Wyobraziła sobie, że naprawdę jest panią tego domostwa, popołudnia spędza w pokoju dziennym na szyciu i haftowaniu z damami dworu i czeka, aż dzielny małżonek wróci z wyprawy i obrzuci ją zdobytymi w ciężkiej walce łupami.

- Oto pani pokój, milady - zaanonsował Worthington.

Postawił bagaże przed drzwiami i przekręcił klamkę. Przepuścił Genevieve przed sobą. Weszła do środka i stanęła jak wryta.

Czegoś obrzydliwszego nie widziała nigdy w życiu. Cała komnata była urządzona w stylu Ludwika XIV, a w rogu stała pozłacana klatka dla ptaka. Różowy dywan dopasowano do różowych obić na meblach, różowej kapy na łóżku i różowych tapet. Poczuli się, jakby zjadła za dużo cukrowej waty.

Cofnęła się na korytarz i potrząsnęła głową.

- Nie mogę.

- Przepraszam?

- Ten pokój... Jest okropny. Będę spać gdziekolwiek, w pokoju gościnnym, w części dla służby, w piwnicy... Wszędzie tylko nie tu.

Siwa brew na zaskoczonej twarzy rządcy uniosła się do góry.

- Nie odpowiada pani?

- Zemdliło mnie.

Druga brew również się uniosła.

- W rzeczy samej. Zechce pani obejrzeć inne sypialnie? Mamy ich kilka, może pani wybrać.

Skinęła potakująco. Worthington pokazał jej pokój obok, udekorowany w tym samym stylu, tylko w błękitach. Wizja prześladowujących ją we snach wystrojonych w koroneczki Smerfów sprawiła, że gwałtownie potrząsnęła głową. Kolejna sypialnia tonęła w żółto-pomarańczowych falbankach i ozdóbkach. Genevieve wzdrygnęła się, powstrzymując obrzydzenie i poprosiła rządcę, by umieścić ją raczej w stajni. Worthington ceremonialnie ruszył korytarzem w stronę dwóch ostatnich pokoi gościnnych. Były równie okropne jak poprzednie.

Genevieve z rozpaczą wyrzuciła ręce do góry.

- Czemu to wszystko jest tak strasznie pretensjonalne!

W oczach Worthingtona pojawił się błysk aprobaty.

- Milady, każda z ostatnich pięciu pań Seakirk urządziła inną komnatę. Żadna z nich się pani nie podoba?

- Jestem pewna, że to bardzo miłe damy, ale gust miały po prostu straszny - powiedziała z przekonaniem. - Jedyne pocieszenie to to, że mam pieniądze, by całkowicie zmienić wystrój tych pokoi, czego nie omieszkam zrobić jak najszybciej. A teraz proszę pokazać mi stajnie. Nic mi się nie stanie, jeśli tam spędzę kilka nocy.

- W stajniach jest zbyt zimno, milady - powiedział marszcząc w zamyśleniu czoło. - Może przygotuję jeden z pokoi służby...

Odeszła, zanim skończył zdanie. Widząc, że ominął jeszcze jedne drzwi w głębi korytarza, Genevieve chciała wiedzieć dlaczego. Nawet jeśli jest to jakiś składzik, z pewnością wygląda lepiej niż to, co widziała do tej pory. Nie zaszkodzi jej noc czy dwie pod zwykłym kocem.

- Lady Buchanan - szybko powiedział Worthington. - Nie wolno...

Odwróciła się i popatrzyła na niego wyniośle, zdecydowana od początku odpowiednio ustawić porządki w swoim nowym domu. Worthington jest jej lokajem, a nie przełożonym. Przez ostatnie pół godziny nie przestawał nią komenderować, ale teraz dość już tego. Najlepiej niech od razu zrozumie, że ona nie należy do kobiet, które potulnie pozwalają wodzić się za nos. Ona jest tu głową domu i, do diabła, jej lokaj zaraz się o tym przekona.

- Nie wolno czego? - spytała stanowczym tonem, wyobrażając sobie, jak królowa Elżbieta I wypowiedziałaby te słowa.

- Milady - odezwał się pojednawczo - jestem pewien, że nie spodoba się pani ten pokój.

- O tym zdecyduję sama.

- Zaklinam panią...

Kiedy mówił te słowa, otwierała już drzwi. Worthington i jego zaklęcia przestały ją zupełnie interesować na widok tej cudownej komnaty.

Nigdy dotąd nie widziała tak niezwykłej sypialni, a oglądała ich przecież i sama urządziła tak wiele. Całą jedną ścianę zajmował masywny kominek, prawie tak ogromny jak paleniska na dole. Wysokie okna z ciężkimi zasłonami zajmowały drugą ścianę. Przy jednym z nich, wychodzącym prawdopodobnie na ogród, stało

wielkie drewniane biurko. Przy drugim oknie zobaczyła miękko wyściełaną, przytulną ławeczkę. Najchętniej natychmiast wskoczyłaby na poduszki i zwinęła się w kłębek. Nad łóżkiem, również ogromnych rozmiarów, zwisały umocowane na czterech kolumnach zasłony baldachimu. Może tapiserie w hallu są replikami, lecz zasłony przy łóżku z pewnością nie. Genevieve nie musiała podchodzić bliżej, żeby zauważyć, że materia jest bardzo stara, jednak w zadziwiająco dobrym stanie. Poczowała, jakby przeniosła się kilkaset lat w przeszłość.

- Piękne... - szepnęła.

- Ależ, milady, tu jest tak zimno - powiedział Worthington. - Zaziębi się pani.

- Trzeba rozpalić w kominku - stwierdziła. - Worthington, ten pokój jest idealny. - Promiennie uśmiechnęła się do rządcy, nie pamiętając już, że przed chwilą ją zirytował. - Zrobił to pan specjalnie, prawda? Nie doceniłabym piękna tej komnaty, gdyby nie pokazał mi pan najpierw tych koszmaronów. Dziękuję.

Z wdzięcznością uściśnęła jego rękę, porwała swoje bagaże i zamknęła mu drzwi przed nosem.

Odwróciła się i oparła o ścianę. To miejsce jest doskonałe. I należy do niej. Gdyby mogła jeszcze płakać po tych potokach łez, jakie wylała w ostatnim czasie, teraz właśnie rozplakałaby się ze szczęścia. Ta sypialnia i całe to cudowne, magiczne miejsce warte były każdej minuty udręki, przez którą przeszła w ciągu ubiegłych trzech miesięcy. To było tego warte.

Znalazła swój prawdziwy dom.

Worthington marzył, żeby zbiec po schodach, zaryglować się w piwnicy i upić do nieprzytomności. Niestety, to po prostu nie było możliwe. Jego lordowska mość musi się o tym jak najszybciej dowiedzieć. Zanim sam odkryje prawdę.

Westchnął głęboko i ruszył korytarzem. Schody na trzecie piętro nigdy nie wydawały mu się takie długie i strome. Wlokąc się noga za nogą, podszedł do drzwi gabinetu lorda Seakirk i zapukał mocno.

- Wejdz i mów szybko! - wrzasnął Kendrick.

Worthington znowu westchnął i rzucił błagalne spojrzenie ku niebiosom, po czym wszedł do środka. Kendrick chodził w tę i z powrotem po pokoju, z rękami założonymi do tyłu.

- No i co? - spytał niecierpliwie. - Którą komnatę wybrała, staruszkę? Mam nadzieję, że niebieską. Zawsze chciałem napędzić stracha jakiejś bezrozumnej kobiecie w niebieskiej komnacie.

- Nie, milordzie, nie wybrała niebieskiej komnaty.

Kendrick skrzyżował ręce na piersi. Na jego twarzy pojawił się grymas uśmiechu.

- Co, wybrała pewnie tę żółtą graciarnię? Lady Emily tak się napracowała nad swoim sanktuarium, zanim przedwcześnie opuściła ten padół.

Worthington nie zdołał stłumić kolejnego westchnienia.

- Lordzie Kendrick, sądzę, że może powinien pan ponownie to przemyśleć.

Kendrick zmarszczył gniewnie brwi.

- Pozbycie się tej ostatniej z rodu Buchananów jest moją jedyną nadzieją, o czym sam wiesz doskonale.

- Ona jest inna.

- Należy do Buchananów. I to wystarczy.

- Ma charakter.

- I z pewnością wygląda zupełnie jak Matylda.

Worthington potrząsnął głową.

- Nie. Ma ciemne włosy i najpiękniejsze piwne oczy, jakie widziałem. Na pewno nie chciałby pan jej zabić, co nie znaczy, że kiedykolwiek w przeszłości był pan do tego zdolny.

Twarz Kendricka jeszcze bardziej spochmurnała.

- Widzę, że rzuciła już na ciebie urok. - Zamaszyście podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. - Wszystkie kobiety Buchananów były sukami, poczynając od tej dziwki, której o mało nie poślubiłem. Może zabójstwo nie okaże się konieczne, ale na pewno dostanę od niej to, czego chcę. - Odwrócił się i przeszył Worthingtona zimnym wzrokiem. - A teraz powiedz, który z pięciu pokoi wybrała. Dość mam już dziś zagadek.

Worthington zdał sobie sprawę, jak bezcelowa byłaby dalsza dyskusja. Kendrick całkowicie tracił zdrowy rozsadek, kiedy chodziło o Matyldę albo którąś z jej nieszczęsnych potomkiń. Worthington już dawno dał za wygraną i zaprzestał prób zmiany swego pana. Nie udało się to jego ojcu ani dziadkowi, ani pradziadkowi. Z westchnieniem odwrócił głowę.

- Nie wybrała żadnego z tych pokoi, milordzie - rzucił przez ramię otwierając drzwi gabinetu.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Worthington był już piętro niżej, gdy cały zamek zatrzęsł się od wściekłego ryku Kendricka.

Rządca uśmiechnął się do siebie, niespiesznie schodząc po schodach. Może młody lord Seakirk zastanowi się dwa razy, zanim zabije dziewczynę, której krew obryzgałaby jego własne łóżko.

Kendrick zjawił się w jej pokoju o północy. To jego pokój! - pomyślał ze złością.

Genevieve czytała przy świetle świecy. Cholernie romantyczne. Tuż przy łóżku stała lampa, ale najwidoczniej nie zadała sobie trudu, żeby się rozejrzeć. Stał w cieniu i myślał o tym, co ma zrobić. Tak, to jedyne wyjście. Przed upływem tygodnia zamierzał doprowadzić ostatnią z Buchananów do uciezki, obłądu albo śmierci. Prawdę mówiąc, było mu wszystko jedno, w jaki sposób tego dokona, jednak myśl o drobnym odwecie za swoją udrękę trochę go kusiała. Gdyby bardzo się postarał, mógłby wyobrazić sobie, że to wrzeszczy Matylda, a nie Genevieve.

Raz jeszcze popatrzył, jak prezentuje się w swoim przebraniu. Może mógł wymyślić coś lepszego, ale pomyśl ze strzałą potwornie sterczącą z piersi był naprawdę trafiony. Plamy krwi pokrywające go od stóp do głów zawsze

wywoływały jeden lub dwa zduszone krzyki. Tak, kostium jest dość oryginalny, na pierwszy seans straszenia wystarczy.

Uśmiechnął się ponuro, wyobraziwszy sobie przeraźliwy wrzask lady Buchanan. Z pewnością wyskoczy z jego łóżka jak z procy. Może będzie jeszcze wrzeszczeć pędząc po schodach, przez główny hall i na podjeździe. Przewidując taką ewentualność zaparkował samochód tuż przy wejściu i zostawił kluczyki w stacyjce. Kiedy ta wiedźma zniknie raz na zawsze z zamku, Kendrick wezwie Bryana McShane'a i zmusi go, żeby wy dostał od niej odpowiednie podpisy na dokumentach. Panna Buchanan z rozkoszą podpisze oświadczenie, że widziała obiekt i że z niego rezygnuje. Sprawa zostanie załatwiona zgodnie z prawem i ostatecznie.

A potem, dzięki starannie podrobionej metryce urodzenia, przejmie zamek w posiadanie, tak jak powinno się było stać siedemset lat temu.

I wtedy będzie wolny.

Genevieve wtuliła się głębiej w poduszki i przysunęła książkę bliżej płomienia. Czytanie przy świetle świecy jest na pewno romantyczne, ale niezbyt zdrowe dla oczu. Mimo wszystko uśmiechnęła się. No to co, jeśli nawet rozboli ją głowa? To nieistotne. Tak właśnie sobie to wyobrażała - siedzi w swoim średniowiecznym zamku, w swojej średniowiecznej sypialni i czyta przy świetle świecy. Do zupełnej doskonałości brakowało jej tu tylko średniowiecznego manuskryptu.

Pierwszy dzień w Seakirk minął bez żadnych szczególnych wydarzeń. Oprócz tego potwornego ryku po południu, ale Worthington zapewnił ją, że to tylko dźwięki wydobywające się z rur kanalizacyjnych. Pomyślała z wdzięcznością o osobie, która kazała zainstalować w zamku kanalizację, i poleciła Worthingtonowi, by nazajutrz natychmiast sprowadził hydraulika. Aluzje Briana McShane'a sprawiły, że czuła się trochę przewrażliwiona. Podejrzane hałasy nie działają uspokajająco. Kątem oka dostrzegła jakiś cień koło kominka. Gwałtownie odwróciła głowę. Westchnęła z ulgą. Nic. Odsunęła spadającą na twarz grzywkę. Zabawne, jak tańczące przed oczami kosmyki włosów zmieniają kształty w mroku.

Płomień świecy zaczął nagle drzeć, jakby ktoś lekko na niego dmuchał. Przeszedł ją lodowaty dreszcz. Po chwili odetchnęła i powiedziała do siebie głośno:

- Nie bądź głupia. To tylko przeciąg.

Usłyszawszy własne słowa poczuła się lepiej. Płomień przestał podskakiwać. Genevieve rozluźniła się, próbując uspokoić dzikie bicie serca. Worthington uprzedzał ją przecież, że tu strasznie wieje. Przy dziennym świetle obejrzy dokładnie pokój i znajdzie źródło przeciągu. Nie pozwoli zamrozić się na śmierć.

Nagle usłyszała jakiś głuchy odgłos.

Worthington wciąż tłucze garnkami w kuchni. Musi jak najszybciej ustalić z nim godziny pracy. Podskoczyła nerwowo, czując, że po plecach jakby przebiegł jej pajak. Znowu ten głuchy odgłos. Czyżby Worthington sprzątał pokoje? O północy? Och, tak, musi rozmówić się z nim z samego rana. Tym razem rozległo się jakieś mruknięcie.

Mruknięcie?

Nie będzie się rozglądać. To może być jakiś wielki szczur albo monstrualna kreatura z horroru klasy B. Spotkanie ani z jednym, ani z drugim nie wzbudzało w niej entuzjazmu.

Z powrotem wetknęła nos w książkę.

Znowu łomot i pomruki.

O Boże, pomyślała przerażona, czując, że potnieją jej dłonie. To chyba sen. Czyżby w zamku rzeczywiście działy się dziwne rzeczy, o czym bąknął kiedyś w czasie rozmowy McShane? To naprawdę przestawało być zabawne.

Rozległo się głośnie, ponure chrząknięcie.

Genevieve podniosła oczy. Gdyby nie odejęło jej głosu, jej wrzask podniósłby umarłego z grobu. Wydała z siebie jedynie coś pomiędzy cichym piskiem a skrzekiem.

To było ogromne. Tonęło we krwi. Wgapiąło się w nią złowieszczo. Wyciągnęło ramiona i wciąż się zbliżało, zupełnie jak Frankenstein. Krzyknęłaby pewnie znowu na widok strzały sterczącej z piersi tego monstrem, lecz straciła po prostu oddech. Cofnęła się odruchowo pod wezgłowie łóżka i podciągnęła kołdrę pod brodę. Nie to nie jest żaden film. Ani serial o wampirach, który oglądała w dzieciństwie, siedząc na tyle blisko telewizora, by błyskawicznie zmienić kanał, jeśli sprawy przybrałyby zbyt przerażający obrót. To dzieje się naprawdę, a ona za chwilę wyzionie ducha.

Stwór zatrzymał się przy łóżku i zamachał groźnie rękami. Genevieve nie zastanawiała się ani sekundy dłużej. Odrzuciła pościel i wyskoczyła z łóżka do drzwi. Klamka ślizgała się jej w dłoni, jakby ktoś wymazał ją smarem.

- Precz, ladacznico, jeśli ci życie miłe! - zaryczało widmo tuż za jej plecami.

Z krzykiem otworzyła drzwi i wypadła na korytarz. Biegła przed siebie, nie zważając, że rani bose stopy o twarde, wyziębione kamienie posadzki. Widziała właśnie upiora i niech ją piekło pochłonie, jeśli spędzi z nim choć jedną chwilę dłużej pod jednym dachem. Natychmiast znajdzie miejsce w jakimś przytulnym hoteliku, a potem zdybie Bryana McShane'a i zabije go za oszustwo.

„Dziwne rzeczy”? Matko Święta, to był duch!

Dzikim pędem zbiegła po kręconych schodach na dół. Na ostatnim stopniu potknęła się i uderzyła w palec. Zasyczała z bólu, ale utykając, ciągle biegła w stronę wyjścia.

- Lady Genevieve, na miłość boską!...

Na dźwięk głosu Worthingtona, odbijającego się echem w wielkim hallu, znowu krzyknęła.

- Co pani tu robi na bosaka?

Genevieve szarpała już zamek w drzwiach.

- Muszę się stąd wydostać... - dyszała. - Duch... na górze...

- Ależ, milady, jest pani zmęczona - powiedział łagodnie rządcą. - Przygotuję pani filiżankę herbaty z kropelką brandy. To na pewno podziała uspokajająco.

Genevieve gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nigdy w życiu... Nie zostanę tu ani minuty dłużej.

Worthington położył rękę na jej dłoniach. Na moment przestała zaciekle szarpać zamek.

- Milady, nie może pani wyjść bosą. W środku nocy.

Powoli dotarło do niej, że nie otworzy sama tych drzwi. Szczególnie w takim stanie umysłu. Popatrzyła w sufit i głęboko odetchnęła.

- Nie wróć na górę - szepnęła.

- Oczywiście, że nie. Pójdziemy do kuchni. Tu w hallu jest strasznie zimno, milady.

Z trudem oderwała się od chłodnego metalu zasuwki przy drzwiach, jakby rezygnowała w ten sposób z ostatniej deski ratunku.

- Worthington, on próbował mnie zabić.

- Proszę napić się trochę herbaty, milady. To pozwoli pani zasnąć.

- Nie chcę spać.

- Jest pani zbyt podniecona podróżą i przeprowadzką. Herbata panią uspokoi.

- Popatrzył na nią, ruchem głowy wskazując drzwi w głębi hallu. Kiedy nie drgnęła, powtórzył pytająco: - Milady?

Genevieve westchnęła i skinęła głową. Poszła za lokajem przez hall; w kuchni usiadła przy stole i czekała. Przyglądała się jak Worthington ze stoickim spokojem nastawia wodę, parzy herbatę, a potem dolewa do filiżanki brandy. Przed oczami wciąż miała broczącego krwią potwora, który zawisł nad nią z morderczym wyrazem w oczach. Bez zastanowienia do dna wypila herbatę. Gardło zapiekło od gorącego płynu.

- Jeszcze - wydusiła ochryple.

Po kolejnych dwóch filiżankach poczuła się znacznie lepiej. I zaczęło do niej docierać, że zachowuje się niepoważnie. Duchów nie ma. To wszystko gra wyobraźni. Zawsze miała jej przecież w nadmiarze. A co czytała w łóżku? Noc krwawych wampirów. Nic dziwnego, że naszły ją omamy.

- Odprowadzę panią do sypialni - zaproponował Worthington.

- Dziękuję - Genevieve uśmiechnęła się słabo. Od odważnych postanowień daleko jeszcze do czynu. Zmusiła się, żeby wyjść z kuchni. - Sądzę, że musimy wezwać jakiegoś cieślę. W tym pokoju są straszne przeciągi.

- Oczywiście - przytaknął Worthington.

Poprowadził ją na schody i dalej korytarzem do sypialni. Nie, nie chciała tam wracać, ale co jej pozostało? Poprosić lokaja, żeby zamienił się w ochroniarza i spędził noc w fotelu przy łóżku? I tak czuła się już wystarczająco głupio po tym szaleńczym biegu do drzwi. Nie będzie robić z siebie jeszcze większego pośmiewiska.

Po sekundzie wahania otworzyła drzwi i weszła do pokoju. Był pusty. Westchnęła z ulgą.

- Życzę dobrej nocy, milady.

- Dobranoc - odpowiedziała, niepewnie tkwiąc wciąż na progu. Nagle zmroziła ją myśl, że ma zostać sama. - Worthington...

- Jest tu pani bezpieczna - zapewnił. - Absolutnie bezpieczna. Potrzebuje pani jedynie snu, milady. Zmiana czasu po podróży daje o sobie znać.

To właśnie chciała usłyszeć. Worthington ma rację. Zmiana czasu źle działa na organizm i stąd halucynacje. Uśmiechnęła się, zamknęła drzwi i podeszła do łóżka. Pokój wyglądał najzupełniej normalnie. Świeca na stoliku nocnym paliła się równym płomieniem, rzucając wokół łagodne światło. Pobieżne spojrzenie dookoła upewniło ją, że wszystko jest na swoim miejscu.

Weszła do łóżka i skuliła się pod kołdrą, naciągając przykrycie na uszy. Teraz jest już bezpieczna. W pokoju poza nią nikogo nie ma.

- Jestem zupełnie bezpieczna - powiedziała na głos. - Nic mi nie zagraża.

Nagle świeca zgasła.

- Nie bądź taka pewna, więdźmo.

Genevieve krzyknęła cicho i schowała głowę pod kołdrę. Zwinięta w kłębek modliła się o utratę świadomości. Brzmiące wciąż w uszach echo tego niskiego, ponurego głosu przypominało jej nieubłaganie, że nie jest jednak sama i że chroni ją jedynie kołdra, którą jak tarczę kurczowo przyciskała do twarzy. Cokolwiek tam się czai, jest wielkie, okrwawione i przerażające.

I pragnie jej śmierci.

## 4

Genevieve ocknęła się niespokojnie. Dłuższą chwilę leżała bez ruchu, wsłuchując się w bicie własnego serca. Potem lekko poruszyła palcami prawej ręki. Wszystko działało normalnie. Nie czuła żadnego bólu od zadanych ran, z czego wysnuła wniosek, że wciąż żyje.

Nie zabił jej. Dlaczego? Czyżby upiór się ulitował, czy chciał wystraszyć ją tak, żeby umarła na zawał? To byłoby czyste zabójstwo. Wampirze zabójstwo. Uśmiechnęła się lekko. Szkoda, że świat nigdy nie dowie się, jaki hart ducha wykazała. Z pewnością zakończy żywot w momencie wytknięcia nosa spod kołdry, gdy czający się obok upiór urwie jej głowę.

A może on działa tylko w nocy? To chyba bardziej pasowałoby do tej ohydnej bestii. Nie miała pojęcia, która jest godzina. Mogła to sprawdzić jedynie wysuwając głowę spod kołdry, a jeszcze nie była na to gotowa.

Musi wyznaczyć sobie jakiś plan działania. Planowanie w punktach spraw do załatwienia zawsze polepszało jej nastrój, nawet jeśli w pięć minut po sporządzeniu gubiła gdzieś listę i zupełnie o niej zapominała.

A więc, po pierwsze: gdy tylko z Bożą pomocą będzie już rano, natychmiast lecieć do okien, szeroko je otworzyć i przyjrzeć się wszystkiemu w dziennym świetle.

Po drugie: stawić czoło temu, co zobaczy w pokoju bez względu na grozę sytuacji (upiór we własnej osobie lub pobojuwisko, które po sobie zostawił).

Po trzecie: pędzić na dół i ubłagać Worthingtona, żeby pozwolił jej spać do końca życia na progu swojej sypialni.

Po czwarte: zapomnieć o poprzednich trzech punktach, wydostać się stąd co sił w nogach, biec, gdzie oczy poniosą i nigdy nie oglądać już zamku Seakirk.

Nie, punkt czwarty to żadne wyjście. To jest jej dom. Nie ma zamiaru go opuszczać.

Dłużej się nie zastanawiając, odrzuciła pościel, podskoczyła do okna i trzęsącymi się rękami odsłoniła kotary. Nigdy wcześniej słoneczne światło nie sprawiło jej tyle radości. Przyłożyła dłonie do ciepłych szybek i kilka razy głęboko odetchnęła. Co zobaczy za chwilę na podłodze? Worthington będzie musiał pomóc jej zeskrobać ślady krwi z posadzki. Na szczęście podłoga w sypialni jest drewniana. Przy czyszczeniu dywanu po prostu by skonali.

Skonali? Co za idiotyczne określenie.

Przygotowana na najgorsze, powoli odwróciła się od okna. Sypialnia wyglądała zupełnie zwyczajnie. Genevieve zmarszczyła brwi. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak wczoraj. Podeszła do łóżka i stanęła w miejscu, gdzie w nocy pojawiła się zjawą. Żadnych śladów. Uklękała i przeciągnęła ręką po podłodze. Nic. Ani krwi, ani wybebeszonych flaków.

Absolutnie nic.

Ciężko usiadła na ziemi. To jakieś wariactwo. Widziała przecież zeszłej nocy tego żywego trupa i to on tak ją wystraszył. Nagle poderwała się z błyskiem w oku. To niemożliwe! Musiały zostać jakieś ślady: zadrapanie, strzępek materiału, kropelka krwi.

Po pół godzinie bezowocnych poszukiwań dała za wygraną. Niczego nie znalazła. Czy to wszystko jej się śniło? Wróciła do okna i skuliła się na wyłożonej poduszkami ławie. Popatrzyła na ogród w dole. Za dużo telewizji? A może zaszkodziła jej kolacja. Worthington przygotował na deser pyszny, ale strasznie sycący mus, a ona pochłonęła aż dwie porcje. Nadmiar cukru we krwi spowodował pewnie halucynacje.

A może, pomyślała z ponurawym uśmiechem, to wyłącznie gra jej wyobraźni. Od dzieciństwa prześladowały ją przecież koszmary senne. Wszystkie smoki z bajek i potwory z seriali telewizyjnych nawiedzały ją później we snach. Ostatniej nocy zdarzyło się to samo. To musiał być sen. W zamku nie ma duchów. Duchów w ogóle nie ma.

Weź się w garść, Buchanan, zbeształa się w duchu.

Boże, ależ zrobiła z siebie kretynkę. Worthington pewnie już załatwia jej miejsce w najbliższym sanatorium dla nerwowo chorych. Trudno mu się dziwić. Można mieć tylko nadzieję, że z czasem o tym zapomni, tłumacząc całe zajście szokiem wywołanym zmianą czasu po podróży i lekturą zbyt wielu powieści sensacyjnych.

Weszła pod prysznic i zaczęła układać plan dnia. Im szybciej spisze dokładnie wszystkie rzeczy z wyposażenia pozostałych sypialni, tym szybciej się ich pozbędzie i inaczej urządzi te pokoje. Najchętniej wynalazłaby jakieś kopie średniowiecznych sprzętów albo może uda jej się kupić oryginalne stare meble.

W każdym razie coś w tym samym stylu co jej sypialnia. W końcu jeśli ma się do dyspozycji spore konto, dlaczego z niego nie skorzystać?

Wieczorem Genevieve siedziała w fotelu z wysokim oparciem, który Worthington przysunął dla niej bliżej kominka, i przyglądała się, jak lokaj starannie dokłada polan do ognia. Wielki hall nie był pewnie najprzytulniejszym pomieszczeniem w zamku, ale w ciągu dnia nie zdążyła jeszcze obejrzeć wszystkich komnat, a mimo racjonalnego podejścia do kwestii duchów, wołała nie zapuszczać się w nocy w żadne zakamarki.

Od ogromnego paleniska biło teraz miłe ciepło. Worthington wyprostował się i złożył jej lekki ukłon.

- Jeśli nie życzy sobie pani nic więcej...

- Och, proszę jeszcze zostać - powiedziała szybko. - Niech pan posiedzi ze mną chwilę przy kominku.

- Milady, nie wiem, czy wypada...

- Proszę siadać, jeżeli nie chce pan stracić pracy - stwierdziła nieomal poważnie. Bardzo potrzebna była jej teraz obecność drugiego człowieka.

Worthington zamrugał tylko, po czym przysunął drugi fotel i usiadł.

Właściwie nie mogła dziś narzekać na brak towarzystwa innych ludzi. Przez zamek przewinęła się cała armia ekip sprzątających, które czyściły i polerowały wszystko od piwnic po strych. Worthington zawiadywał akcją z wprawą doświadczonego sztabowca. Ludzie z miasteczka pracowali sumiennie i tak szybko, jakby nie mogli doczekać się, kiedy już skończą i wyjdą. Genevieve zauważyła, że popatrują na nią z pewnym politowaniem. Co znaczyły te spojrzenia? Czy litowali się nad dziedziczką fortuny Seakirk? Widziała wykazy kont bankowych. Liczba zer przy sumach przyprawiła ją literalnie o zawrót głowy. Nie wiedziała, który z Buchananów zgromadził tak oszałamiający majątek, najwyraźniej jednak umiał zabrać się do rzeczy.

A może litowali się, że wzięła sobie na głowę prowadzenie tak wielkiego domu? Tego popołudnia zdążyła tylko dokładnie obejrzeć te pięć straszliwych sypialni, które Worthington pokazał jej po przyjeździe, a w zamku musi być przecież co najmniej dziesięć razy tyle pomieszczeń.

A może ich litość budził fakt, że Genevieve czuje się tu tak obco, że nie potrafi nawet otworzyć zamka drzwi wejściowych własnego domu?

Poczuła mrowienie na karku. Gwałtownie obejrzała się, a potem popatrzyła do góry, nad głową. Nic. Worthington wyglądał najzupełniej normalnie: spokojnie siedział obok, a na jego srebrno siwych włosach błyskały refleksy ognia z kominka.

- Worthington?

- Tak, milady.

- Nie zauważył pan w zamku czegoś niezwykłego?

- Niezwykłego? - powtórzył ze zdziwieniem.

- Tak. Rozumie pan, coś niezwykłego. Paranormalnego - dorzuciła jakby mimochodem.

Worthington uśmiechnął się z lekką ironią i odparł:

- Czasem zdarzają się jakieś dziwne rzeczy.

- Dziwne rzeczy?

Dlaczego wszyscy używają tego określenia?

- Milady... - ciągnął łagodnie rządcą. - Ta siedziba zachowała się w doskonałym stanie od czasów średniowiecza. Jak mogłaby nie nabrać szczególnego charakteru przez tyle wieków?

Szczęólnego charakteru. Oczywiście. Powinna się domyślić. I co z tego, że szczególny charakter objawia się w postaci upiora? Może nauczyć się z nim żyć. A gdy upiór pogodzi się z faktem, że nowa właścicielka nigdzie się stąd nie ruszy, prawdopodobnie również się do niej przyzwyczai. Może zawrą nawet pakt o

nieagresji. „Nie boję się ciebie i nie będę wzywała oddziału egzorcystów, żeby cię przegonić.” Trochę buńczuczna propozycja rozejmu, ale może zadziała.

Genevieve poczuła się znacznie lepiej. Na tyle lepiej, że nie protestowała, kiedy Worthington dyskretnie stłumił ziewnięcie i zapytał, czy może odejść. Skinęła mu ręką na dobranoc, podciągnęła nogi na fotel i skuliła się, zapatrzona w ogień. Tak, tu rozpocznie nowe życie. Do pełni szczęścia musi jeszcze tylko odnaleźć zamkową bibliotekę. Zaszyje się tam na cały dzień, co na pewno ostatecznie wyleczy ją z resztek złego samopoczucia po zmianie czasu. Zamknęła oczy i uśmiechnęła się z przyjemnością. Ma przed sobą cały dzień marzeń o swoim cudownym zamku i pięknym, dzielnym rycerzu...

Nagle szeroko otworzyła oczy na dźwięk jakiegoś uderzenia. Z przerażeniem wbiła wzrok w rozedrganą stal tuż przed sobą, centymetr od stopy zwisającej nad krawędzią siedzenia fotela.

To był miecz. Wielki szmaragd lśnił na rękojeści. A na poprzeczce wygrawerowane były stylizowane litery: ARTANE

- Następnym razem nie chybię - odezwał się niski głos za jej plecami.

Odwróciła się gwałtownie, uderzając z impetem o oparcie fotela. Na widok tego, co zobaczyła, z wrażenia zapomniała nawet o przeszywającym bólu w łokciu.

Miał prawie dwa metry wzrostu i potężną budowę, a całe to wielkie ciało pokrywała zbroja. W jednej ręce trzymał wsparty ostrzem o podłogę długi, ciężki miecz, w drugiej, połyskujący w odblaskach ognia topór.

Oto jej rycerz.

A raczej duch jej rycerza.

Szarpnęła się gwałtownie, czując, że włosy stają jej dęba na głowie, a kolana miękną. Nie, to nie jego potężna postać przerażała Genevieve. Nie zbroja ani nawet straszna broń. Przerażał ją jego morderczy wzrok.

- Wynoś się stąd, ladacznico! - wrzasnął nagle, podnosząc wysoko miecz.

Genevieve zerwała się do ucieczki. Nie wiedziała, dokąd biegnie, dopóki nie uderzyła się o kamienny stopień krętych schodów. Nie zważając na ból stopy zamrugowała tylko przez łzy i czepiając się w locie poręczy, popędziła na górę.

Minęła wieczność, zanim dotarła na drugie piętro. Zapiszczała płaczkliwie, szczęśliwa na widok światła pochodni w korytarzu. Duch został na dole...

- Głucha jesteś, kobieto? - rozległ się za jej plecami wściekły głos. - Rozkazuję ci wynieść się stąd!

Genevieve przeraźliwie krzyknęła i potykając się pobiegła korytarzem. Nagle światła zgasły. Zupełnie straciła poczucie kierunku i runęła na ziemię. Na skórze poczuła lekki powiew powietrza. Podciągnęła kolana, skuliła się i zasłoniła głowę ramionami. Była pewna, że za chwilę zimna stal przebije jej ciało, zmiażdży kości, a na koniec miecz spadnie na kark i ucięta głowa potoczy się po posadzce.

Nic takiego nie nastąpiło. Przez dłuższą chwilę klęczała bez ruchu z sercem walącym o żebra, ledwie łapiąc oddech. Śmierć jednak nie nadeszła. Zupełnie nic się nie działo. Żadnych ciosów, strumieni krwi, nawet najlżejszego dotknięcia. Nic.

Boże, czyżby traciła rozum? Przed chwilą znów go widziała. A był to przecież duch!...

Powoli uniosła głowę, ale w otaczającym mroku nie mogła niczego dostrzec. Ostrożnie przesunęła się w prawo, po omacku szukając ręką ściany. Potem powoli wstała z klęczek i na moment oparła się o mur, żeby złapać oddech. Pewnie nie na długo zostawił ją w spokoju.

W korytarzu panowała absolutna cisza. Genevieve posunęła się odrobinę w prawo, w stronę swojej sypialni.

- Do kroćset, wiedźmo, nie tędy prowadzi droga do wyjścia!

Genevieve zamarła w miejscu, słysząc już w wyobraźni świst miecza spadającego na jej głowę. Na filmach miecze zawsze świstały w powietrzu; w życiu jest pewnie tak samo.

- Na lewo, pannico! Idź w lewo!

Był teraz naprawdę doprowadzony do ostateczności.

- Nic nie widzę... - szepnęła.

Światła w korytarzu znów rozbłysły i Genevieve ujrzała ducha, który, z rękami skrzyżowanymi na szerokiej piersi i wyrazem wściekłego niezadowolenia na twarzy, stał oparty o przeciwległą ścianę.

Dobry Boże, ależ on musiał przerażać ludzi, kiedy jeszcze żył! Wyciągnął ramię wskazując palcem w kierunku schodów.

- Tędy.

Nie mogła wydusić słowa. Przez chwilę bezgłośnie poruszała wargami, co spowodowało, że duch jeszcze bardziej zmarszczył czoło.

- Co znowu? - warknął.

Coś ścisnęło ją w gardle. Za nic w świecie nie zejdzie teraz na dół. Skręciłaby sobie kark na schodach.

- Umiesz przenikać przez zamknięte drzwi? - wybełkotała w nagłym przypiływie olśnienia.

Jego groźnie ściągnięte brwi utworzyły nad oczami jedną ciemną linię.

- Nie rozumiem, co to ma do rzeczy.

Najwidoczniej nie miał zamiaru powiedzieć ani słowa więcej.

Genevieve odwróciła się i popędziła w odwrotną stronę niż chciał. Jeśli nie może przenikać przez zamknięte drzwi, to właśnie tak musi się od niego odgradzić. Rano wezwie speców od parapsychologii, żeby go wypędzili. Upiór rezydujący w domu to zbyt wiele atrakcji.

Dotarła prawie do drzwi sypialni, gdy duch pojawił się przed nią, stał z zaciśniętymi pięściami wspartymi na biodrach.

- Do diabła, kobieto, masz się stąd wynieść! - zagrzmiął.

Genevieve stanęła jak wryta w odległości wyciągniętej ręki od upiora, a potem cofnęła się o dwa kroki. Na szczęście zgubił gdzieś po drodze swój miecz i topór. Żeby tylko zdołała teraz odwrócić jakoś jego uwagę i prześlizgnąć się do pokoju...

- Jest tro... trochę za późno, żeby wychodzić z domu - zaczęła szcękając zębami.

Duch popatrzył groźnie spode łba. Zawahał się przez moment, a potem jeszcze bardziej spochmurniał.

- Wyjedziesz jutro?

Skwapliwie skinęła głową. Wydał z siebie przeciągły pomruk i rzucił:

- A więc jutro. O pierwszym brzasku.

- Nie lubię zrywać się o świcie...

- O pierwszym brzasku! - warknął groźnie.

- O pierwszym brzasku - przytaknęła natychmiast. - Punktualnie.

A teraz zejdź mi z drogi, chcę dostać się do sypialni, pomyślała.

Duch zniknął. Genevieve wpatrywała się przez chwilę w miejsce, gdzie stał. Potem obróciła się na pięcie i rozejrzała z tyłu. Korytarz był pusty. Położyła rękę na klamce, ale nie weszła od razu.

- Na pewno nie przyjdiesz dziś w nocy do mojego pokoju? - rzuciła w pustkę korytarza.

- To jest moja komnata, dziewczyno!

- Twoja - poprawiła się szybko. - Oczywiście, że jest twoja. Ale zostawisz mnie dziś w spokoju, prawda?

Dopiero po chwili ciszy rozległo się burkliwie:

- Tak.

- Dziękuję - szepnęła.

Odpowiedział jej tylko głuchy pomruk niezadowolenia.

Wślizgnęła się do pokoju i zamknęła drzwi na zasuwkę. Oparła się o nie i głośno westchnęła z ulgą. Jest już bezpieczna. Drzwi są zamknięte, a duch obiecał, że zostawi ją w spokoju. Była pewna, że dotrzyma słowa. W końcu rycerze nigdy nie kłamią.

Kolana się pod nią ugięły i osunęła się na podłogę, wdzięczna, że ma pod sobą coś solidnego.

Nagle łzy zaczęły płynąć jej po policzkach. Cztery miesiące temu miała piękne mieszkanie, świetną pracę i wspaniałe perspektywy. Teraz nie ma niczego. Dostała piękny zamek tylko po to, by jej go odebrano. Marzenie spełniło się, a zaraz potem legło w gruzach.

Podciągnęła kolana, oparła na nich czoło i bezsilnie opuściła ramiona. Co dzieje się ostatnio z jej życiem? Wszystko wymyka się spod kontroli.

Genevieve od tygodni czuła się tak, jakby porwała ją fala wydarzeń, na które nie ma najmniejszego wpływu. Wszyscy nią pomiatają. Najpierw wystawił ją do wiatru personel w firmie. Potem klienci zapędzili w taki ślepy zaułek, że nie miała innego wyjścia, jak zaakceptować propozycję Bryana McShane'a i przenieść się do tego pełnego przeciągów zamczyska z nadętym rządcą i upiorem terrorystą!

Nagle wyprostowała się. Do diabła, koniec z tym! Dostyc już ma ludzi, którzy mówią jej, co ma robić, wykorzystują jej dobre serce i ciosają kolki na głowie. Skoczyła na równe nogi i zaczęła energicznie przemierzać pokój. Poczucie krzywdy zamieniło się w prawdziwą wściekłość. Worthington przestanie jej dyktować, co ma

jeść, gdzie ma spać, czy ma wypić herbatę teraz, czy później. A ten przeklęty upiór... może zabierać się do piekła razem ze swoimi pretensjami i horrorem!

Coraz bardziej wściekła rzucała się w tę i z powrotem po pokoju. Jak on śmie wyrzucać ją z jej własnego domu! Kimkolwiek jest, na pewno nie należy do potomków Ryszarda Seakirk. Ten ciamajda pasuje raczej na jakiegoś stukniętego stajennego, dotkniętego manią wielkości. No, już ona mu pokaże, kto tu rządzi! Prawie zapragnęła, żeby znowu się pojawił. Dałaby mu szkołę, jakiej nie zapomniaby do końca swoich dni. Jeśli nie pohamuje nieco swoich wampirzych zapędów, gorzko pożałuje, że wypowiedział jej wojnę.

Drugi miecz.

Genevieve zaczęła szybko myśleć. Miecz wciąż tkwi w fotelu na dole. Jest prawdopodobnie straszliwie ciężki i Genevieve nigdy nie da rady nim wymachiwać, ale lepiej, żeby był w jej rękach, niż w jego. Na początek dobre i to.

Podniosła się i przyłożyła ucho do drzwi. W korytarzu panowała kompletna cisza. Otworzyła zasuwę i ostrożnie wyjrzała. Drzwi nawet nie zaskrzypiały. Powoli wysunęła się z pokoju. Pochodnie były zgaszone. Tym lepiej. Jeśli ona nie może go widzieć, on jej też nie. Może przeniósł się na dół, do części dla służby, i straszy tam Worthingtona.

Zmarszczyła brwi. Worthington i jego komentarz o „dziwnych rzeczach” dziejących się w zamku... Ten stary lis od początku doskonale wiedział o upiorze. Usłyszy od niej kilka słów na ten temat. Zaraz po tym, jak przyjmie do wiadomości, że ona nie ma zamiaru nigdy więcej jeść płatków owsianych na śniadanie. Najwyższy czas, żeby zapoznał się z jej upodobaniami kulinarnymi.

Wielki hall był pusty. Przy kominku jak poprzednio stały dwa fotele. Ogień wygasł, a mrok nie ułatwiał Genevieve zadania. Po omacku przeszła przez salę, zatrzymała się przy fotelu, w którym wcześniej siedział Worthington, i ze zdumienia otworzyła usta.

Miecz zniknął.

Podeszła bliżej i uklękła na ziemi, dokładnie oglądając krawędź swojego fotela. Z niedowierzaniem przesunęła palcami po drewnianej części, gdzie znajdowały się wieczorem jej stopy.

Nie było żadnych śladów. Żadnych zadrapań. Żadnego dowodu, że tkwiło tu ostrze miecza.

Oszołomiona usiadła na piętach. Nie ma sensu wmawiać sobie, że to jedynie gra wyobraźni. Wiedziała, że miecz tkwił w krawędzi fotela. Wyraźnie widziała błyszczącą w świetle kominka stal. Zapamiętała napis na rękojeści: ARTANE.

A teraz miecz zniknął. Zniknął też ślad tego, że został wbity w krawędź fotela.

Nagle doznała niesamowitego olśnienia. Miecz nie zostawił śladu, gdyż w rzeczywistości go tu nie było. Duch użył sztuczki, żeby ją wystraszyć. Broń pojawiała się i zniknęła tak samo jak zjawy rycerza. On nie może jej nic zrobić. Bo nie ma żadnej realnej broni.

Zachciało jej się śmiać. Podniosła się i zdecydowanym krokiem ruszyła do schodów. W drodze do sypialni niczego nie widziała ani nie słyszała.

Zamykając drzwi na zasuwę poczuła, że gotuje się ze złości. Ależ się najadła strachu przez tego przekłętą straceńca! I w jaki sposób ją tak załatwił? Dziecinnymi sztuczkami. Wyjechać z zamku? Akurat. Nigdy w życiu. To jest jej dom i nie zrezygnuje z niego, żeby polepszyć humor jakiemuś nieokrzesanemu, cholernemu duchowi bez cienia rycerskiego honoru.

Nie, upiór będzie musiał zacisnąć zęby i w końcu pogodzić się z jej obecnością. Nie zamierzała nigdzie wyjeżdżać.

## 5

Kendrick de Piaget, drugi syn hrabiego Artane, samozwańczy wciąż według prawa lord Seakirk, siedział w swoim gabinecie z nogami opartymi o stołek i spod zmarszczonych chmurnie brwi wpatrywał się w ekran telewizyjny zajmujący prawie całą przeciwległą ścianę. Do kroćset, traci już chyba resztki rozumu! To jedyne wytłumaczenie tego, że pozwolił Genevieve zostać jeszcze jedną noc. Gdyby miał olej w głowie, wyrzuciłby ją od razu.

Telepatycznie sterował impulsami elektrycznymi przy zmienianiu kanałów. Obrazy na ekranie migały w zawrotnym tempie. Do diabła, nigdzie nie ma futbolu amerykańskiego. Ani nawet hokeja. Odrobina ostrej walki zdecydowanie by go uspokoiła, ale najwyraźniej nie zazna w tej chwili ukojenia. Z głośnym westchnieniem wyłączył telewizor i wstał.

Poszedł schodami na górę i wyszedł przez drzwi prowadzące na mury. Za życia spacer wzdłuż dachu zawsze go uspokajał. Po śmierci niewiele się zmieniło. Oprócz zmian zasadniczych, oczywiście. Gdyby był żywym człowiekiem, powiew znad morza rozwiewałby mu włosy, szarpał połami płaszcz, wślizgiwał się pod ubranie pieszcząc skórę. Czułby słonawy zapach powietrza i nocny chłód, smak wina i błogą sytość po kolacji.

Jego ciało pragnęłoby też innych rozkoszy, tych, które z radością zaspokoiłaby każda z dziewczek służebnych jego ojca. Tak, za życia wieczory kończyły się często bardzo przyjemnie.

Po śmierci nie było już nic. Żadnego pożytku ze zmysłów, którymi jego ciało cieszyło się przez ponad trzydzieści lat; ani smaku, ani powonienia, ani dotyku. Śmierć to próżnia, całkowita pustka, klatka, z której nie może się wydostać przez siedem wieków. Nawet wykorzystywanie niezwyklej mocy duchowej nie mogło zrekompensować najprostszych, ziemskich radości, jakich niegdyś zaznawał.

Już niedługo. Niedługo Genevieve odjedzie, prawo własności zamku przejdzie na jego nazwisko i skończy się ta męka na ziemskim padole. Będzie mógł przejść na drugą stronę, uwolniony od klątwy, którą Matylda wymamrotała, gdy konał w lochu Seakirk. Zamek stanie się w końcu jego własnością i Kendrick z radością go opuści. Jest tak strasznie zmęczony tym życiem po śmierci.

Przepelniającej go goryczy też miał już dosyć. Za życia był całkiem miłym człowiekiem, na tyle przynajmniej, na ile miły mógł być rycerz, który chcąc pozostać przy życiu, musiał głównie spędzać czas na podrzynaniu gardeł wrogom. Nigdy nie brakowało mu kompanii do nocnych biesiad, jeśli miał na to ochotę; to chyba mówi coś o jego charakterze. Szkoda, że cały urok i galanteria zniknęły w momencie, gdy przeszła go strzała Ryszarda.

Boże, ależ on gardził Ryszardem i Matyldą! A z dwojga złego Matyldy nienawdził jeszcze bardziej. Czarownica. Zachłanna, plugawa nierządnicą. Kendrick głośno przeklął. Tak, to przez nią stał się taki złośliwy. Za życia nigdy nie próbowałby zrobić krzywdy ani podnieść ręki na kobietę. Robiło mu się niedobrze na myśl o przerażeniu, w jakie wpędził biedną lady Buchanan. Jak nisko upadł!

Zmarszczył znów brwi. Nie miał innego wyjścia. Od razu wiedział, że ona tak łatwo nie postrada zmysłów. Jest o wiele silniejsza niż jej poprzedniczki. Straszenie było jednak jedyną bronią Kendricka. Metoda to godna pożałowania, ale konieczna.

Dziwne, lecz dotąd nie miał wyrzutów sumienia wobec żadnej z przedstawicielek rodu Buchanan.

Ruszył przed siebie, odpędzając głębsze refleksje na ten temat. Za kilka godzin już jej nie będzie, a on każe Worthingtonowi zawiadomić McShane'a i prawnik dostarczy wszystkie odpowiednie dokumenty. A potem Kendrick będzie mógł położyć się i zasnąć na zawsze. Na samą myśl o tym poczuł ulgę. Och, jak strasznie wyczerpało go to błąkanie się wśród żywych!

Spacerował po murach, dopóki niebo nie pojaśniało zapowiadając świt. Nagle ogarnęło go uczucie zmęczenia - nie duchowego, lecz cielesnego. Ale nie ma przecież fizycznego ciała; jakże więc mógłby być zmęczony? To uczucie nękało go tylko wtedy, gdy próbował przesunąć jakiś przedmiot z fizycznego świata. Kiedyś chciał użyć telefonu. Samo podniesienie słuchawki zajęło godzinę, a potem przez tydzień leżał w łóżku dochodząc do siebie po tym wysiłku. Nie miał zamiaru podejmować więcej takich desperackich prób.

Może krótki odpoczynek nie jest złym pomysłem. Oczywiście nie ma teraz wstępu do swojej sypialni, ale na dole, w piwnicy z winem, jest wygodny stół. Tak, to najlepsze miejsce. Poza tym będzie miał okazję sprawdzić, czy Worthington nie pociąga zbyt często wspianego rocznika Bordeaux, który tam leżakuje.

- Kendrick, na miłość boską, co ty wyprawiasz?

Kendrick był przekonany, że tylko na chwilę przymknął oczy. Groźnie zmierzył swego rządcę.

- Próbuję odpocząć, staruszku. I muszę stwierdzić, że nie jesteś w tym względzie zbyt pomocny.

Mimowolnie potarł dłonią czoło i natychmiast zdał sobie sprawę z tego, co robi. Jakby mogła go boleć głowa! Dla zasady przybrał znów groźną minę.

- Co to za cholerny harmider?

- Lady Genevieve znalazła kupca na błękitny pokój, milordzie. Kolekcja lady Agaty opuszcza właśnie zamek.

Kendrick poderwał ze stołu.

- Co zrobiła?! Miała wynieść się o świcie!

Worthington strzepnął niewidoczny pyłek z rękawa marynarki.

- Widocznie zmieniła plany, drogi chłopcze.

Kendrick zeskoczył na ziemię.

- Do stu piorunów, Worthington, dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

- Nigdy nie zachwycał mnie gust lady Agaty. Zdaje się, że byłeś podobnego zdania.

- Kazałem Genevieve wynieść się stąd i ty, do diabła, doskonale o tym wiedziałeś.

- Rzeczywiście... - stwierdził beznamiętnie Worthington.

Kendrick rzucił mu miażdżące spojrzenie i wbiegł na schody, żałując, że nie ma ciała - z przyjemnością dałby wyraz irytacji z hukiem wypadając z piwnicy. Jego stopy nie miały jednak styczności z niczym, co materialne, toteż poruszał się bezgłośnie.

Zatrzymał się w drzwiach kuchni, ujrawszy, jak jego ofiara stara się oczarować parę zdziadziałych staruszków. Prześwitująca prawie przez skórę błękitna krew upodabniała ich do sinawych mebli wynoszonych właśnie z hallu.

- Tak się cieszę, że meble znajdują się w miłym domu - szczebiotała Genevieve. Zależało mi tak bardzo, by przeszły w dobre ręce.

- Może pani być pewna, lady Seakirk, że należycie o nie zadbamy - odpowiedziała cedząc słowa starsza kobieta. - Oczywiście rozumie pani, że na wymianę możemy pani zaproponować tylko kilka pomniejszych sprzętów z naszej kolekcji.

- Oczywiście, rozumiem - zapewniła Genevieve. - Postaram się wpaść do państwa w najbliższym czasie.

- Ale nie bez uprzedzenia, moja droga. Mamy tak wiele ważnych spotkań, a czasu wciąż brakuje. Obawiam się, że nie znajdę dla pani wolnej chwili wcześniej niż za dwa tygodnie.

Złość Kendricka natychmiast przeszła z Genevieve na tę parę nadętych arystokratów, którzy ostentacyjnie ją lekceważyli. Miał ochotę wyskoczyć z ukrycia i porządnie wystraszyć te bezmyślne kukły. Po chwili zastanowienia stwierdził, że pomysł nie jest wcale taki zły.

- A to co ma znaczyć? - zagrzmiął wkraczając zamasyście do hallu.

Kobieta o mało nie zemdlała. Może słyszała o legendzie zamku Seakirk, którą Kendrick starannie podtrzymywał przy każdej możliwej okazji. Im więcej ludzi wierzy, że zamek nawiedzają duchy, tym rzadziej tu zagląдают i Kendrick ma święty spokój.

Genevieve ze złością rzuciła okiem w jego stronę, po czym uprzejmie zwróciła się do gości.

- To tylko wiatr, lady Hampton. Lordzie Hampton, wydaje mi się, że państwa samochód już podjechał. Zatelefonuję do państwa. Do widzenia.

Wypchnęła ich prawie z hallu i zamknęła drzwi. Kendrick podszedł bliżej, mierząc ją swoim najgroźniejszym spojrzeniem.

- Żądam wyjaśnień!

Oparła się plecami o drzwi i ziewnęła. Nie było to dyskretne, wytworne ziewnięcie, lecz demonstracja znużenia. Albo znudzenia.

Kendrick nie był pewien, co dokładnie ma przez to rozumieć, Genevieve jednak bez wątpienia chciała go obrazić, a to mu się nie podobało.

- Przekłęta wiedźmo, odpowiadaj!

Odepchnęła się od drzwi i stwierdziła:

- Och, urządzenie domu to ciężka robota... - I zawołała: - Worthington, może pan podawać lunch.

- Jeszcze nie pora, milady - odpowiedział z kuchni lokaj.

- Nie szkodzi - ostro skwitowała Genevieve. - Zdaje się, że ja tu decyduję.

Kendrick stał z otwartymi ustami, kiedy przeszła obok, jakby wcale go tu nie było. W ogóle nie zauważyła groźnego wyrazu twarzy, który swoim zdaniem zaprezentował bez zarzutu. Przyglądał się z głupią miną, jak jej zgrabna postać w dżinsach i długim swetrze niespiesznie oddala się w stronę kuchni.

Włosy miała związane z tyłu głowy w coś prześmiesznie przypominającego ogon konia. Majtał się w prawo i lewo, kiedy sunęła po posadzce z zuchwale zadartą głową.

Gdy zniknęła z pola widzenia, Kendricka trafił szlag. Niech ta wiedźma nie wyobraża sobie, że tak łatwo go zbyć! Wściekły ruszył do kuchni i stanął tuż obok niej. Sięgała właśnie do lodówki. Kendrick dawno nie był taki rozsierdzony.

- Zaczynam mieć dosyć twojej bezczelności!

Cofnął się odruchowo, gdy gwałtownie otworzyła drzwi lodówki. Gdyby miał ciało, uderzyłaby go prosto w twarz.

Impertynencje Genevieve stawały się nie do zniesienia.

- Nie pozwolę się lekceważyć!

- Worthington, nie mamy już lodów, a mam ogromną ochotę na mrożony koktajl. Czy mógłby pan pojechać do sklepu?

- Milady, lody są niezdrowe.

Zatrzasnęła z rozmachem lodówkę.

- Nie szkodzi - stwierdziła stanowczo. - Nie jest pan moją matką i nikt nie będzie mi mówił, co mogę jeść, a czego nie. Jeśli mam ochotę na lody, pana obowiązkiem jest mi je podać. Czy to jest jasne?

Kendrick skrzyżował ramiona na piersi i przyglądał się reakcji Worthingtona. Teraz Genevieve zobaczy, kto jest szefem kuchni.

- Oczywiście, milady - odezwał się cichym głosem Worthington. - Pani życzenie jest dla mnie rozkazem. Koktajl czekoladowy rano, w południe i wieczorem, jeśli tak pani każe.

Kendrick mruknął z niesmakiem. Lokaj popisał się wyjątkową siłą charakteru...

Genevieve odchrząknęła z satysfakcją i z zadartym wysoko nosem wymaszerowała z kuchni, dyndając arogancko końskim ogonem.

- Żałosny jesteś, Worthington - mruknął ponuro Kendrick.

Lokaj uśmiechnął się zadowolony.

- Ona ma charakter. Musisz to przyznać.

- Niczego nie muszę przyznawać.

Kendrick wyszedł. Z ciężkim sercem ruszył schodami na trzecie piętro do swego gabinetu. Nie dość, że nie udało mu się doprowadzić jej do obłędu, to nawet przestała się go bać. Dotychczasowa taktyka okazała się błędna. Bezczelna arogancja, jaką Genevieve dziś zaprezentowała, upewniła go, że pozostaje już tylko jedno wyjście.

Będzie musiał ją zabić.

Wieczorem Genevieve siedziała przed kominkiem w swojej sypialni i czekała na ducha. Nie miała wątpliwości, że pojawi się tej nocy, wściekły za to, jak potraktowała go po południu. Nie mógł znieść lekceważenia. Tym razem Genevieve go nie zlekceważy. Kiedy się ukaże, poprosi, by usiadł. Porozmawiają spokojnie i rozsądnie. Każdy problem można rozwiązać przy odrobinie dobrej woli.

Czy on drażni się z nią, żeby sprawdzić z kim ma do czynienia? Czy chce ją tak przerazić, by wyjechała z zamku? No cóż, spotka go rozczarowanie, gdyż ona nigdzie się stąd nie ruszy. Mogą przecież znaleźć jakiś sposób na pokojową koegzystencję.

Poczuła, że stają jej włosy na karku. Duch jest w pokoju. W wysokim lustrze na ścianie dostrzegła odbicie noża - wisiał nad nią w powietrzu. Ścisnęło ją w gardle.

Kiedy sztylet przesunął się tuż nad jej kark, zamknęła z przerażenia oczy.

- Do takich tchórzliwych metod się uciekasz? - wydusiła piskliwie, wczepiając się rękami w poręczę fotela. Wydawało jej się, że za chwilę usłyszy trzask pękającego w uścisku palców drewna.

Nóż nagle podskoczył do góry.

- Słucham?...

- Wbijanie mi noża w plecy - ciągnęła bez tchu, modląc się, żeby ta paplanina odwróciła jego uwagę. - Dość nędzny sposób, nie sądzisz? - dodała pogardliwie.

- Myślałem jedynie o tym, żeby jak najszybciej cię zabić. Sposób nie ma znaczenia.

- A może spojrzalbyś mi chociaż w oczy, zanim to zrobisz? - spytała starając się zyskać na czasie.

- Do stu piorunów, ależ z ciebie zuchwały babsztyl!

Genevieve poczuła raczej niż usłyszała, że się przesunął.

Nagle zobaczyła przed sobą potężne uda. Miał tak długie nogi, że biodra znajdowały się teraz powyżej jej głowy. Dziś najwyraźniej nie miał ochoty męczyć się w niewygodnej zbroi. Miał na sobie dzinsy. Zmusiła się, żeby przesunąć wzrok w górę po smukłych biodrach. Po chwili jej spojrzenie padło na sportową bluzę.

Poczuła, że skacze jej ciśnienie. Bluza była czarna i miała na piersi napis: Śmierć Buchananom.

- Jakie to miłe... - powiedziała słabym głosem.

Kendrick wydał z siebie niski pomruk, ale stał nadal z opuszczonymi rękami. Powoli przesunęła wzrok po jego szerokiej piersi, ramionach i karku. Potem zobaczyła twarz.

Jak do tej pory mogła w ogóle skupić myśli w jego obecności, nie wspominając już o tych demonstracjach lekceważenia? Był tak niesamowicie przystojny, że zaparło jej dech. Jeśli teraz ma umrzeć, to nie ma nic przeciw temu.

Patrzyła na ciemne włosy opadające na ramiona, mocno zarysowany podbródek, zdecydowaną linię ust i lekko wystające kości policzkowe. Co za niezwykła twarz, taka męska, promieniująca siłą. O tak, to jest jej rycerz. Ależ on musiał siać spustoszenie za życia! Jej wzrok przykuły jego oczy. Ich barwa...

- Twoje oczy mają tak niewiarygodnie zielony kolor... - wymamrotała wpatrując się w niego.

- Po matce - rzucił krótko.

- Po matce? - powtórzyła bezmyślnie, czując, że się czerwieni.

- Oczy - mruknął niecierpliwie. - Mam oczy po matce - wyjaśnił, dodając pod nosem jakieś przekleństwo. - Ojciec zwykł mówić, że jej oczy mają kolor prześwieczonej słońcem szafli.

- Jakie to romantyczne... - Genevieve uśmiechnęła się zachwycona. - Z pewnością lubił żartować. - Pomyślała, że po takich rodzicach upiór nie może być wcieleniem zła.

Przez dłuższą chwilę milczał. Po czym wydał z siebie niezbyt przekonujące mruknięcie.

- Tak, lubił żartować.

- Masz piękny akcent...

Zdesperowanym gestem dotknął dłonią czoła.

- Nigdy dotąd nie byłem w tak idiotycznej sytuacji - przyznał. - Przyszedłem zabić kobietę i stoję tu gawędząc z nią spokojnie, jakbyśmy przechadzali się po królewskim ogrodzie. Na wszystkich świętych, dziewczyno, doprowadzasz mnie do szału!

- Och, jestem pewna, że tak naprawdę nie chcesz mnie zabić - szybko powiedziała Genevieve. - Tak miło się nam rozmawia. Właściwie dlaczego nie usiądziesz...

- Ty głupia dzierlatko!... - Parsknął ze złością. - Oczywiście, że chcę cię zabić! Jak ci się zdaje, po co przyniosłem ten cholerny nóż?

Powstrzymała ironiczny uśmiech. Ten facet wyraźnie jej nie docenia. Przez trzy dni próbował zabić ją z tropu cyrkowymi sztuczkami z nieistniejącymi mieczami i tym podobnymi historiami, a teraz sądzi, że ona da się nabrać na ten sztylet? Nic z tego. Poczuła przyływ odwagi. Wyciągnęła do niego rękę.

- Mam na imię Genevieve.

- Wiem, kim jesteś!

Uśmiechnęła się nie zwracając uwagi na jego reakcję.

- Bardzo mi miło. A ty jesteś?... - zawiesiła pytająco głos.

Upuścił nóż na fotel obok i rozpaczliwie podniósł ręce do nieba.

- Ty, moja damo - powiedział z bólem w oczach - doprowadziłabyś wariata do obłądu. Na Boga, nie widzisz, co się ze mną stało? - Odwrócił się i podszedł do drzwi mamrocząc coś cicho. - Jakże nisko upadłem. Na szczęście ojciec tego nie widzi. Rozniósłby mnie na strzępy!

Zniknął. W powietrzu pobrzmiwało jeszcze chwilę echo jego niskiego głosu.

Genevieve nie mogła oderwać wzroku od miejsca, gdzie stał. Była kompletnie oszołomiona. Nie dość, że zostawił ten niby sztylet, to prawie nie wrzeszczał, a rozmowa przebiegła całkiem uprzejmie. Może nie należy spisywać go jeszcze na straty.

Ta myśl podniosła ją na duchu. Bez ociekającego krwią kostiumu był wyjątkowo przystojnym mężczyzną. Wyjątkowo przystojnym upiorem, poprawiła się z uśmiechem. Tak, potrafi być całkiem sympatyczny. Przystojny mężczyzna, który nigdy nie będzie się naprzykrzał fizycznie, wprawiając ją w zażenowanie. Miła, bezpieczna rozmowa i nic poza tym. Życie bywa jednak czasem znośne.

Uśmiechnęła się pobłaźliwie na wspomnienie dzisiejszego wieczoru. Upiór przybył tu ze sztyletem, jakby rzeczywiście chciał ją skrzywdzić. A przecież, mimo groźnych min, nie wyglądał na kogoś, kto mógłby zrobić coś złego kobiecie. Mężczyźni może tak, ale nie kobiecie.

Spojrzała na nóż leżący wciąż na sąsiednim fotelu. Dziwne, że udało mu się go zostawić. Poprzednio broń zniknęła wraz z nim. Czy gdyby spróbowała go dotknąć palce natrafiłyby na pustkę? Wstała powoli, żeby nie zniszczyć działania czarów. Ogień kominka odbijał się w ostrzu sztyletu, który naprawdę leżał na poduszce fotela. Genevieve wzięła głęboki oddech i wyciągnęła dłoń w kierunku wąskiej rękojęści.

Pod palcami poczuła chłód stali.

Chwyciła nóż i zadrżała na całym ciele. Broń wysunęła się z rozdygotanej ręki, a cały pokój nagle zawirował jej przed oczami. Boże, nóż jest prawdziwy! Kendrick mógł ją zabić!

Nie broniła się przed ogarniającą wszystko błogą ciemnością.

Może upiór okaże jej litość i zamorduje ją, gdy będzie nieprzytomna? Miała nadzieję, że obudzi się na puszystym obłoczku z harfą w dłoniach.

Nie wahaj się, piękny upiorze. Nawet nie poczuje, kiedy to się stanie, pomyślała.

Kendrick stał nad nieruchomym ciałem swej ostatniej ofiary. Cień uśmiechu przemknął mu po twarzy. Jakże jego babka polubiłaby tę dziewczynę. Tak odważnie stawiała do pojedynku.

Babka Gwen nie znosiła dziewcząt bez charakteru.

Westchnął. Obudzi Worthingtona i każe mu położyć ją do łóżka. Nie ma sensu, żeby dziewczyna przeniosła się na tamten świat z powodu przeziębienia. Nóż

leżał na podłodze obok Genevieve. Lokaj będzie musiał go stąd zabrać. Trzymanie w dłoni sztyletu wycieńczyło Kendricka. Wymachiwanie bronią stworzoną siłą wyobraźni to jedna sprawa, natomiast utrzymanie w rękach czegoś, co naprawdę należy do fizycznego świata, to zupełnie co innego.

Znów westchnął przesuwając ręką po włosach. Ach, kiedy to się stało? Kiedy zamienił się w rozmamłaną babę, która nie potrafi nawet chwycić sztyletu i przebić nim serca wroga?

To stało się, gdy wróg okazał się ponętą dziewczyną z niewyparzonym językiem i charakterkiem, który nie tak łatwo złamać. Na chwałę świętego Jerzego, nie jest w stanie zmusić się do zabicia kobiety. Pomimo nienawiści do jej rodu...

- Żałosny jesteś, Seakirk - mruknął do siebie. - Straszliwie żałosny.

Skłonił się lekko przed bezwładnie leżącą na ziemi Genevieve. Pokonała go w tej bitwie. Jednak wynik wojny nie jest jeszcze przesądzony.

Miał dziwne przeczucie, że nie jemu przypadnie zwycięstwo.

## 6

Bryan McShane składał i rozkładał w palcach chusteczkę do nosa. Cała była mokra od potu. Jak strasznie nie znosił wizyt w biurze „Maiedica”, szczególnie gdy miał niepomyślne wiadomości dla swego chlebowodawcy!

- Wejdź, Bryan - zachęcił go sympatyczny głos.

Bryan zerknął na wyrozumiałą twarz Cecylii, sekretarki pana Maledici, i wysilił się na słaby uśmiech. Jak ona, na Boga, może pracować dla tego człowieka? Na jej miejscu Bryan nie wytrzymałby tu ani jednego dnia.

W odpowiedzi na jego nieśmiałe pukanie rozległ się niecierpliwy pomruk, wzywający, by wszedł. Ostatni raz wytarł ręce w chusteczkę, schował ją do kieszeni i przekroczył próg gabinetu. Wgapiając się w herb zawieszony za plecami szefa, starał się nie wpaść w panikę na widok stojącego na dwóch łapach, rozsierdzonego smoka, mimo iż czerwony stwór wydawał się dużo łagodniejszy od Malediki.

- Dzie... dzień d...dobry, sir - wykrztusił wreszcie.

- Mów - rozkazał Maiedica. - Przestań się trząść, McShane, i raportuj.

Bryan nie śmiał zbliżyć się do ogromnego drewnianego biurka ani skorzystać z jednego z pokrytych skórą foteli. Nawet gdyby schował się za którymś z masywnych mebli, Maledica prawdopodobnie dosięgnąłby go i złapał za gardło.

Przez przypadek odkrył, jak niebezpiecznym człowiekiem jest jego pryncypał. Już sama fizjonomia budziła dreszcz grozy. Był wysoki, o szerokich barach, a surowy, nieprzenikniony wyraz twarzy sugerował, że lepiej nie zadawać mu niepotrzebnych pytań. Jedynie oczy zdradzały jego prawdziwą naturę. Oczy, z których w każdej sytuacji emanowała wściekłość albo cyniczne, zimne rozbawienie, jakby chciał powiedzieć: „Mogę cię zmiażdżyć bez najmniejszego wysiłku”.

Bryan nie brałby sobie tak do serca niebezpiecznych błysków w oczach szefa, gdyby pewnego wieczoru przypadkowo nie wyszedł za nim z biura. Jakiś zbir wypadł z bocznej ulicy i rzucił się na Maledica, a ten powalił go na ziemię jednym potężnym ciosem w szczękę. Bryan nie czekał, by sprawdzić, co stało się z biednym rzezimieszkiem. Nie zauważony, ulotnił się jak najszybciej, by to samo nie przydarzyło się jemu.

A teraz Maledica żąda raportu.

- Jeśli eh...chodzi o ostatnie wy... wydarzenia... -jąkał się.

- Podpisała papiery czy nie? - spytał krótko Maledica.

- Jeszcze nie, sir, ale w każdej chwili spodziewam się od niej wiadomości...

- Ty głupcze! - wrzasnął mężczyzna, po czym nagle zacisnął usta, jakby pożałował wybuchu. Pochylił się nad biurkiem wyciągając przed siebie potężne ramiona. - Posłuchaj uważnie, McShane. Dokumenty muszą być podpisane i to szybko, zanim uda jej się uciec do Stanów. Natychmiast pojedziesz do Seakirk. Spotkasz się z panną Buchanan i jeśli wciąż jest przy zdrowych zmysłach, przekonasz ją do zawarcia umowy.

Bryan skinął głową przetykając nerwowo ślinę. Z trudem powstrzymał się, żeby nie poluznić krawata. Bryan już sam nie wiedział, co bardziej go przeraża - powiedzenie „nie” panu Maledica czy ponowne spotkanie z Kendrickiem de Piaget.

- A jeśli już jej tam nie ma, odnajdziesz ją i zaproponujesz finansową rekompensatę. Powinna być zadowolona, nie sądzisz?

- Tak - skwapliwie przytaknął Bryan. Byłaby kretynką, gdyby nie wzięła pieniędzy i nie wyniosła się na zawsze.

- Jeśli gdzieś zniknęła, odszukasz ją. Nie wracaj bez podpisu, czy to jest jasne?

Nie wypowiedziana groźba zawisła ciężko w powietrzu, przyprawiając Bryana o drżenie kolan. Nie miał wątpliwości, co go czeka, jeżeli misja się nie powiedzie.

- To wszystko, McShane.

Bryan odwrócił się i czmychnął do drzwi.

- Nie próbuj mnie zdradzić, McShane!

Dobry Boże, on nawet czyta w cudzych myślach! Bryan pospiesznie wymknął się z gabinetu.

Maledica rozparł się wygodnie w swoim skórzanym fotelu i uśmiechnął się. Ten nędzny sługus uciekł jak wypłoszony zając. McShane widać miał naprawdę ptasi mózdzek, skoro przyszło mu do głowy, że może go przechytrzyć. Na razie wydarzenia toczą się tak, jak zaplanował, a zwycięstwo jest coraz bliższe. Żaden zasmarkany prostaczek nie sprzątnie mu sprzed nosa zdobyczy, o którą walczył od tak dawna. Obrócił się z fotelem i popatrzył na pochodzący z czasów średniowiecza herb swojej rodziny. Smok mrugnął do niego z wypolerowanej tarczy i Maledica roześmiał się głośno. Czuł przedsmak triumfu. Wiedział, że tym razem nie pozwoli odebrać sobie rozkoszy pełnego zwycięstwa.

Ostatnia z Buchananów jest teraz z pewnością sparaliżowana strachem i z radością pozbędzie się wszelkich praw do zamku. A gdy Seakirk stanie się wreszcie jego własnością, William Sedwick Maledica (wspaniałe nazwisko sobie wymyślił!) osiągnie w końcu to, za co sprzedał duszę.

Zemstę.

## 7

Genevieve zbiegła radośnie ze schodów. Jaka wspaniałą przygodę przeżywa! Zatarła ręce, szybkim krokiem przemierzając kamienną posadzkę wielkiego hallu. Musi wreszcie znaleźć odpowiedzi na pytania, które nie dają jej spokoju. Kim jest upiór? Co zamierza? Co go tak wścieka, oczywiście oprócz faktu, że już nie żyje?

Worthington kręcił się koło piecyka, mrużąc coś do siebie.

- Wspaniały zapach - zauważyła wesoło Genevieve i usadowiła się przy długim kuchennym stole.

Lokaj popatrzył jej głęboko w oczy.

- Jak się pani dziś czuje? - spytał.

- Nigdy nie czułam się lepiej.

- Dobrze pani spała?

- Kim on jest?

Kącik ust Worthingtona leciutko drgnął w uśmiechu.

- Kto?

- Proszę sobie ze mnie nie żartować, Worthington - rzuciła ostrzegawczo. - Wie pan, o kim mówię. Zataił pan pewne informacje, a ja mam tego dość. Natychmiast żądam odpowiedzi. - Pomyślała, że naprawdę zaczyna mówić jak królowa Elżbieta. Z całą powagą zmarszczyła brwi. - Teraz powie mi pan, kim on jest.

Worthington odwrócił się w stronę piecyka.

- Nie jestem do tego upoważniony, milady.

A więc nie ma zamiaru się poddać. Zdaje się, że gra w tę samą grę co Bryan McShane. No cóż, niewielka to strata. Na pewno inni wiedzą coś o zamku. Ludzie z miasteczka wynajęci do sprzątnięcia słyszeli przecież jakieś plotki. Jeśli Worthington nie raczy jej oświecić, prędzej czy później gdzie indziej znajdzie odpowiedź na swoje pytanie.

- Cóż, nie będę natrętna - stwierdziła obojętnie. - Czy mogę pożyczyć pana samochód? Muszę pojechać do miasta.

- Niech pani weźmie samochód jego lordowskiej mości - odezwał się znad rondla. - Stoi przed wejściem, a kluczyki są w środku.

- Ma pan na myśli wóz Rodneya? - dopytywała się Genevieve. - Zmarłego hrabiego Seakirk?

Obserwując jego profil spostrzegła, że lokaj powstrzymuje uśmiech.

- Nie, milady. Nie Rodneya.

- Rodney był jedynym dziedzicem, o którym mi wiadomo.

- Ja znam innego - stwierdził pogodnym tonem.

- Niechże pan da spokój, Worthington - powiedziała przymilnie. - Proszę się nie upierać i nie zmuszać mnie, bym wyrzuciła pana z pracy.

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Wszystko w swoim czasie, milady.

Genevieve nie wierzyła, że jej upiór ma tytuł hrabiego, lecz wydawało jej się całkiem prawdopodobne, że przejawia on słabość do kosztownych samochodów.

- Po co duchowi samochód?

- Jego lordowska mość uwielbia swoje zabawki.

- Aha... W takim razie spróbuję nie wjechać do rowu.

- Nie sądzę, by mu się to spodobało.

- Też mi się tak zdaje. Aha... - dodała - do pana wiadomości: wybieram się do antykwariatu. Szukam kilku rzeczy.

Kiedy przeczytała reklamę sklepu z antykami w gazecie, pomyślała, że jeśli ktokolwiek wie coś o pamiątkach przeszłości zamku Seakirk - nieożywionych i ożywionych - to będzie to z pewnością antykwariusz.

Worthington obrzucił ją sceptycznym spojrzeniem stawiając przed nią talerz z jajecznicą na szynce.

- Panna Adelajda jest straszną plotkarką. Nie powinna pani wierzyć we wszystko, co powie.

- A w jaki sposób mam oddzielić prawdę od plotek, jeśli nikt tutaj nie chce mi pomóc? Chyba że pan wyjaśni mi kilka spraw. To najprostsze wyjście, prawda, Worthington?

- Jego lordowska mość ma rację - mruknął lokaj. - Zuchwała z pani kobieta.

I odplynął z kuchni powiewając połamami kruczocznego fraka.

Podróż do miasta należała do tych przeżyć, które Genevieve najchętniej wyrzuciłaby z pamięci. Kierownica z prawej strony była strasznie niewygodna. A jazda po lewej stronie jezdni diabelnie niebezpieczna. Zdając sobie sprawę, że prowadzi samochód wart sto tysięcy dolarów, była trochę spięta. Może jej upiór zrezygnował chwilowo z pozbawienia jej życia, ale z pewnością ją ukatrupi, jeśli skasuje mu ulubioną zabawkę.

Zaledwie kilka razy otarłszy się o śmierć przez zderzenie czołowe z nadjeżdżającymi z naprzeciwka samochodami, dotarła w końcu do antykwariatu pani Adelajdy. Właścicielka czekała już na progu, jakby wiedziała o wizycie. Genevieve zastanowiła się, czy czasem całe miasteczko nie jest nawiedzone.

- Proszę wejść, drogie dziecko. Niech pani usiądzie. - Adelajda zaprosiła ją do środka i usadziła w fotelu.

Gospodyni poszła przygotować herbatę i Genevieve wprost nie mogła się doczekać jej powrotu. Może dowie się, kim jest mężczyzna, który ją prześladuje.

Adelajda starannie przygotowała poczęstunek, po czym usadowiła swe obfite kształty w fotelu naprzeciwko.

Genevieve nie zdążyła jeszcze otworzyć ust, by o cokolwiek spytać, gdy Adelajda zdawała już sprawozdanie z wszystkich miejscowych ploteczek.

Tematy były standartowe: romans właściciela sklepu spożywczego z żoną posterunkowego; krawcowa, która odbywa podejrzenie długie wizyty przymiarkowe u burmistrza; dzieci kierowniczkii szkoły, które podpaliły niedawno bibliotekę. Genevieve od razu poczuła sympatię do Adelajdy i śmiała się serdecznie z tych opowieści o życiu małego miasteczka.

- A teraz proszę mi powiedzieć - Adelajda zamruwała. - Widziała go pani?

Genevieve na to właśnie czekała. Dlaczego więc nagle straciła ochotę do rozmowy na ten temat? Przemknęło jej przez myśl, że upiór należy przecież do niej i nie życzy sobie band turystów i parapsychologów koczujących pod jej drzwiami. Wyglądało jednak na to, że Adelajda nie da się łatwo zbyć. Wpatrywała się wyczekująco w Genevieve.

- Kogo?

Gospodyni uśmiechnęła się.

- Moja droga, lubię gawędzić z ludźmi, ale nie ze wszystkimi i nie o wszystkim, proszę mi wierzyć. Nie zawiodę pani zaufania.

Genevieve odpowiedziała uśmiechem.

- Czy wie pani, kim on jest?

W oczach Adelajdy pojawiło się rozmarzenie.

- Jest naprawdę tak przystojny, jak mówią?

- Jeśli akurat nie ocieka krwią i nie macha toporem...

Adelajda szeroko otworzyła oczy i nagle zachichotała jak pensjonarka.

- Widzę, że trzyma się swoich starych sztuczek.

- Może mi pani powiedzieć coś więcej? Mój lokaj milczy jak grób, a nie bardzo mam ochotę wypytywać samego upiora.

Adelajda odstawiła filiżankę z herbatą i konspiracyjnie pochyliła się do przodu. Genevieve również się przysunęła, by nie umknęło jej ani jedno słówko z rewelacji, które miała nadzieję zaraz usłyszeć.

- Nazywa się Kendrick de Piaget z Artane - powiedziała z namaszczeniem Adelajda. - Sir Kendrick był synem najpotężniejszego hrabiego Anglii w trzynastym wieku, Robina z Artane.

Na szczęście Genevieve nie popijała w tym momencie herbaty, gdyż niechybnie by się zakrztusiła.

- W trzynastym wieku? - Osłupiała z wrażenia.

Adelajda patrzyła na nią roziskrzonym wzrokiem.

- Tak, i nie było wtedy na wyspie potężniejszej i bardziej szanowanej za wyczyny wojenne rodziny.

- Och... - Genevieve pomyślała, że miecz Kendricka pasował do wizerunku rycerskiej chwały.

- Podobno Kendrick miał poślubić panią zamku Seakirk, Matyldę. Nikt nie wie, co dokładnie się stało, ale w jakiś sposób go zdradziła i zapłaciła za to życiem. Poprzysiągł zemstę na jej potomkach i nęka ich od wieków.

- Rozumiem... - Genevieve uświadomiła sobie, że jest spokrewniona z Matyldą. Łamigłówa zaczęła układać się w całość.

- Oczywiście nigdy go nie widziałam - ciągnęła Adelajda - lecz słyszałam, że się ukazuje. Gdy jego lordowska mość dostaje jednego ze swoich napadów szału, Worthington wymyka się dla chwili wytchnienia do pubu. Po piwie albo dwóch czasem trochę się wygada. - Adelajda uśmiechnęła się. - Ale nie mówi zbyt wiele. Nie jest gadatliwy.

- Tak, wiem coś o jego niechęci do wyjawiania szczegółów. - Genevieve pokiwała głową, mimowolnie zaciskając palce na koronkowej serwetce Adelajdy, jakby była to ostatnia deska ratunku. Cofnęła dłoń i spytała: - Może mi pani jeszcze coś powiedzieć?

Adelajda westchnęła.

- Niestety, to wszystko, co wiem, drogie dziecko. Obawiam się, że jeśli chce pani dowiedzieć się o nim czegoś więcej, musi pani dokonać tego sama. Ludzie mówią, że sir Kendrick jest prawowitym hrabią Seakirk.

- Ale jak on może być hrabią Seakirk... - zaczęła Genevieve, lecz w tym samym momencie uświadomiła sobie odpowiedź na to pytanie. - Rozumiem - powiedziała zamyślona. - Ktoś z Buchananów ukradł mu tytuł.

- Jestem przekonana, że to jest bardziej skomplikowane, moja droga, znam jednak za mało faktów.

Genevieve pokiwała głową. Właśnie te fakty musi poznać, jeśli chce zrozumieć ducha mężczyzny, który przez siedemset lat nie opuszcza murów tego nadmorskiego zamku.

Wróciła do domu, a potem poszła na spacer na plażę. Maszerowała do zachodu słońca, starając się zrozumieć człowieka, z którym zamieszkała pod jednym dachem. Czy kochał Matyldę? Ile miał lat, gdy umarł? Jak doszło do morderstwa? Czy kryją się za tym inne tajemnice?

Szła już kilka godzin, kiedy zorientowała się, że nie wie, gdzie jest. Cholera, kiedy zrobiło się tak późno? Spojrzała na ciemne niebo i pojawiające się gwiazdy. Nie było nawet księżyca, żeby oświetlić nieco drogę. Dlaczego nie ubrała się ciepiej? Zawróciła, ale okazało się, że nadszedł przytył i plaża zniknęła pod wodą. Miała ochotę sięść i płakać.

Nagle tuż przed sobą zobaczyła migoczący płomień świecy.

- Zgubiłaś się? - Usłyszała burkliwy, niski głos.

Gdyby był z krwi i kości, z radości rzuciłaby mu się na szyję.

- Tak - odpowiedziała zachrypniętym głosem.

Kendrick de Piaget zmaterializował się. Skonstatowała, że światełko pochodzi od świecy w jego wyciągniętej dłoni.

- Nadal jesteś na mojej ziemi. Na szczęście. Kilka kroków dalej na północ i nie mógłbym po ciebie przyjść.

- Dziękuję - szepnęła patrząc w jego jasnozielone oczy.

Uśmiechnęła się bezwiednie. Naprawdę miały kolor szafli.

- Nie chcę, żebyś umarła. Wolę sam cię zabić - rzucił ostro. - Idź za mną. Mam nadzieję, że trafię do domu.

Skinęła głową i zaczęła wdrapywać się za nim na skarpę.

- Naprawdę jesteś Kendrickiem de Piaget?

- Tak - odparł po chwili wahania.

Przez następną godzinę nic nie mówili, gdyż Genevieve z trudem chwytła oddech. Kendrick najwyraźniej zapomniał, że jej ziemską powłoka, a w szczególności nogi, z trudem za nim nadążają.

W końcu dotarli do bram i weszli na dziedziniec. Latarnia przy drzwiach zamku rzucała blade, złotawe światło na podjazd.

Genevieve przystanęła, by złapać oddech.

- Kochałeś ją? - spytała zasapana, wzięwszy się pod boki.

Nareszcie zadała pytanie, które nie dawało jej spokoju.

Kendrick obrzucił ją zimnym spojrzeniem.

- Gdybyś miała choćby najmniejsze pojęcie o uczuciu, jakie żywiłem dla tej kobiety, nie śmiałybyś pytać.

- Och... - Przełknęła ślinę. - Rozumiem.

- To dobrze - stwierdził i zniknął.

Genevieve stała jeszcze przez chwilę na dziedzińcu, by dojść do siebie po tym wyścigu. Potem wyprostowała się i zmarszczyła czoło. Uzyskanie wyjaśnień od tego człowieka będzie trudniejsze, niż się spodziewała.

- Cóż... powiedziała. - Jeśli tak bardzo ją kochałeś, dlaczego mnie nienawidzisz? Jestem przecież jej potomkiem i...

Natychmiast pojawił się tuż przed nią.

- Nienawidziłem Matyldy - wycedził z błyszczącymi oczami. - Nawet gdy myślałem, że ją kocham, nie kochałem jej naprawdę. Była podstępna, zachłanna suką i nie obchodził jej nikt poza nią samą. Przez nią moje życie zamieniło się w piekło.

- Dlaczego?

- Bo nie mogę odejść z Seakirk!

- Ale co to ma wspólnego ze mną?

- Żyjesz i oddychasz.

- Tak bardzo ci ją przypominam?

Kendrick przeszywał ją wzrokiem.

- Nie jesteś do niej podobna. I nie ma to żadnego znaczenia,

- O co więc chodzi? Kto ci powiedział, że moja śmierć rozwiąże twoje problemy?

- Sam doszedłem do tego wniosku.

- W takim razie doszedłeś do błędnego wniosku, mój drogi - powiedziała odwzajemniając jego groźne spojrzenie.

Nie dość, że nieokrzesany, to jeszcze niezbyt lotny. Może lepiej zostawić go i poczekać, aż polepszy mu się humor.

Ruszyła do przodu i po prostu przez niego przeszła, z czego zdała sobie sprawę dopiero po chwili. Zatrzymała się i powoli odwróciła.

Wyglądał na tak samo zdumionego jak ona.

- Nikt wcześniej nie považył się na coś takiego - powiedział.

- Stałeś mi na drodze. - Genevieve odzyskała równowagę. - Może następnym razem się odsuniesz.

Nie oglądając się więcej poszła do swojej sypialni. Była tak zajęta myślami, że wykonała wszystkie rutynowe czynności przed pójściem spać zupełnie bez zastanowienia. Teraz wie, kim on jest i dlaczego ją nęka. Przynajmniej częściowo. Worthington będzie musiał udzielić jej reszty informacji.

Nie, nie zapyta o nic Worthingtona. Kendrick sam opowie swoją historię, gdy będzie gotów. Nawet tak niewiele go znając, miała przeczucie, że nie powinna się bać. Zresztą to nie ma znaczenia. I tak nigdzie się stąd nie ruszy, a on też nie robi wrażenia, jakby się dokądś wybierał. Mają mnóstwo czasu na rozmowy.

Zapaliła świeczkę przy łóżku i wślizgnęła się pod kołdrę. Nie miała ochoty czytać, leżała więc zapatrzona przed siebie.

- Jesteśmy tu w Seakirk ucywilizowani - zabrzmiał niski głos. - Nie musisz używać świeczki.

Stał oparty o kolumnienkę baldachimu łóżka.

- Nie masz zwyczaju pukać przed wejściem?

- To jest moja komnata.

- Nie miałam innego wyboru - powiedziała czując dreszcz na plecach. - A ponieważ wątpię, byś w ogóle sypiał, łóżko z pewnością nie jest ci potrzebne.

- To bez znaczenia, czy jest mi potrzebne, czy nie. Seakirk należy do mnie i ja tu rządę. A poza tym... - Wpatrywał się w nią intensywnie. - Nie podoba mi się, że leżysz w moim łóżku.

- Więc mnie zabij - powiedziała wzruszając ramionami. - Pokrwawisz moją pościel.

- No to wywlecż mnie na dół i zabij na dziedzińcu.

Zasepił się ponuro.

- Nie mogę.

- Udało ci się utrzymać nóż w dłoni.

- To wymaga ogromnego wysiłku. Nie byłbym w stanie cię podnieść.

- Naucz się więc żyć ze mną. Bo ja stąd nie wyjadę. - Pochyliła się nad nocnym stolikiem i zdmuchnęła świecę.

- Dobranoc, Kendrick.

Leżała sztywno, wyobrażając sobie dotyk stalowego ostrza na gardle. Czy całkiem zwariowała, żeby mu się stawiać? Wiedziała, że jej nie zabije. Ale czy aby na pewno?...

W pokoju panowała cisza. W końcu Genevieve trochę się rozluźniła. Delikatnie podciągnęła kołdrę na uszy. Musi chronić szyję przed wampirami. A może upiór obroniłby ją? Szczególnie w trosce o to, by jego pościel nie została

zbrukana jej krwią. Nie byłaby to specjalnie rycerska motywacja, ale może z czasem da się go trochę wychować.

Czy on ciągle tu jest? Nie miała odwagi podnieść głowy. Zacisnęła szczęki i mruknęła:

- Nie myśl sobie, że stąd wyjadę.

Odpowiedziało jej pełne niezadowolenia parsknięcie:

- Tyle to już się sam domyśliłem.

Jakiś ślad poczucia humoru. Kendrick de Piaget nie jest więc przypadkiem spisany na straty.

- Dobranoc, Kendrick.

Czekała dłuższą chwilę. Zmęczenie ogarniało ją jak gęsta mgła. Prawie już spała, gdy w pokoju rozległo się echo jego szeptu:

- Dobranoc, Genevieve.

Bryan McShane zacisnął palce na śliskiej od potu kierownicy i wjechał przez wewnętrzną bramę. Zamek Seakirk wyrósł mu nagle przed oczami niczym wyłaniająca się z ziemi skała. Wykrzywił się ze strachu i sięgnął po następną chusteczkę.

Jakże nienawidził tego miejsca i zamieszkujących go duchów! Jeśli nie polował na niego lord Seakirk, to ścigał go jakiś inny umarłak. Bryan przypomniał sobie, jak pierwszy raz tu przyjechał i musiał uciekać przed dzikim wojownikiem saraceńskim wywijającym dwoma mieczami. Agencja, w której wynajął samochód, nie była potem zachwycona stanem siedzenia kierowcy.

Żenujące wspomnienie upapranych spodni stanowiło tylko jeden z wielu powodów, dla których Bryan nienawidził z całego serca zamku Seakirk. Lord Seakirk był na drugiej pozycji.

McShane nie lubił czuć się onieśmielony. Drzemiący w jego duszy lew czekał na okazję, by zademonstrować swoją odwagę. Lecz nawet lwia dusza kurczyła się ze strachu w obliczu Piageta. Jego lordowska mość zapłaci mu za to pewnego dnia.

Tak, drogo zapłaci.

Lecz nie dzisiaj. Dziś Bryan zdobędzie podpis panny Buchanan na dokumentach Maledici. Jutro wymyśli, jak przenieść ten podpis na papiery ze swoim własnym nazwiskiem pod punktem „Nabywca” i sprzeda zamek wywodząc w pole i Piageta, i Maledicę. A potem uda się na długie, zasłużone wakacje.

I będzie się nimi cieszył do końca życia.

Ale to dopiero jutro. Dziś musi przekroczyć próg wielkiego hallu zamku Seakirk, co odwlekał od ponad tygodnia. Ominie go przynajmniej wędrownka drogą do piekła, czyli do gabinetu Piageta.

Nie zastukał jeszcze nawet do wejścia, gdy drzwi się otworzyły i stanął w nich Worthington. Jak ten staruszek wytrzymuje to życie? Może ma nerwy ze stali. Bryan był przekonany, że nic na tym świecie nie byłoby w stanie zburzyć nienagannie przyczesanej fryzury lokaja.

- Pan McShane. Witam.

Bryan lekko skinął głową.

- Przyjechałem zobaczyć się z panną Buchanan.

Worthington odsunął się na bok i gestem zaprosił go do środka. McShane wszedł i cały podskoczył, gdy drzwi się za nim zatrzasnęły. Ukryta lwia natura przybrała postać wystraszonego kundla z podwiniętym ogonem.

- Lady Genevieve jest w tej chwili nieobecna, panie McShane...

- Ja się nim zajmę, Worthington - zagrzmiało w drugim krańcu hallu.

Bryan zmusił się, żeby rozluźnić zaciśnięte kurczowo palce, i nerwowo wytarł spocone ręce w spodnie.

- Mi... milordzie... - wyjąkał. - Nie spodziewałem się spotkać pana.

- Nic dziwnego - powiedział Kendrick przemierzając bezgłośnie salę. - Powiedziałem przecież, że wezwę cię sam, jeśli będę potrzebował twych usług.

- Tak... rzeczywiście - skwapliwie przytaknął Bryan. - Moja wizyta jest czysto kurtuazyjna. Czy wszystko toczy się zgodnie z pana oczekiwaniami? Przywiozłem pani Buchanan dokumenty do podpisu.

Kendrick złowieszczo zniżył głos.

- Jak już stwierdziłem, zawiadomię cię, jeśli będziesz potrzebny. A do tego czasu nie pokazuj się w Seakirk.

Bryan zamrugnął powiekami.

- A więc ona wciąż tu jest? Nie wystraszył jej pan?

- Dość! - wrzasnął Kendrick. - Nie rozumiesz, co do ciebie mówię, człowieku? Jeśli będziesz potrzebny, wezwę cię!

- Ależ, milordzie...

Kendrick postąpił krok naprzód i McShane cofając się wylądował na podłodze. Śmierć z rąk Maledici wydawała się zabawną igraszką w porównaniu z tym potwornym upiorem.

- Wynoś się, tępaku!

Bryan poderwał się i wybiegł na zewnątrz, błogosławiąc Worthingtona, że na czas otworzył przed nim drzwi. Wskoczył do samochodu i z piskiem opon ruszył w stronę bramy wewnętrznego muru, potem przekroczył następną, a w końcu przez tunel i most zwodzony wydostał się poza obwarowania. Odetchnął dopiero za granicą ziem Seakirk i skręcił w drogę prowadzącą do miasteczka.

Genevieve Buchanan była albo martwa, albo uwięziona w tych trzymetrowej grubości murach. W żadnym wypadku nie miał zresztą zamiaru jej ratować.

Francja jest chyba piękna o tej porze roku...

Kendrick patrzył na tumany kurzu wzbite przez przyspieszony odjazd McShane'a. Żałosny szczur. Powinien wybrać sobie jakąś inną profesję. Nadawał się jedynie do prozaicznych, nudnych zajęć.

- Milordzie, o czym bełkotał pan McShane? - spytał Worthington, poprawiając swój nieskazitelny frak.

- Puste gadanie, staruszku. Zawiadom strażników przy zewnętrznej bramie, by nie wpuszczali go do zamku, jeśli pojawi się bez zapowiedzi.

Worthington rzucił mu sceptyczne spojrzenie, po czym ściągnął usta.

- Co zamierzasz?

- Doskonale wiesz, jaki był mój plan, Worthington. Chciałem, by Genevieve podpisała dokumenty i zwróciła mi wolność. Na miłość boską, czy nie przedyskutowaliśmy tego szczegółowo?

Worthington uniósł siwą brew.

- Mam wrażenie, że używasz czasu przeszłego, drogi chłopcze. Czy mam rozumieć, że zmieniłeś zdanie na temat swojego uroczego gościa?

Kendrick popatrzył na niego wilkiem.

- Tak właśnie masz to rozumieć. Jesteś wścibskim, starym chytrusem, który nie ma nic do roboty poza wścibianiem nosa w moje sprawy!

- Cóż innego, jeśli nie pana sprawy, milordzie, miałyby mnie obchodzić?

Kendrick zignorował tę próbę wyciągnięcia dalszych informacji. Wiedział, że Worthington nie znosi być odsuwany w cień. Kendrick tym razem nie miał zamiaru ustąpić. Wszystko, co lokaj powinien wiedzieć, to że Bryan McShane ma trzymać się z dala od bram Seakirk. Ten nędzny adwokacina nie dostanie Genevieve w swoje łapy. A dla niej lepiej będzie nie wiedzieć, czym zajmował się przez ostatnie tygodnie McShane. Mimo iż Kendrick nie był pewien, czy chce, by ta dziewczyna została na stałe, musiał przyznać, że jako gość na jakiś czas była całkiem do wytrzymania.

Jak można nie podziwiać jej odwagi? Albo tego zaciętego uporu, kiedy szycowała się do obrony swojej pozycji? Ach, i ta cudowna nonszalancja, z jaką machała związanymi z tyłu głowy włosami, jak końskim ogonem... Potraktowała go wtedy, jakby był jedynie natrętną muchą.

Wolnym krokiem przeszedł przez hall w stronę schodów. Był ciekaw, gdzie też podziwewa się jego gość. Idąc na górę wyciągnął przed siebie dłoń i ujął miecz, który ukazał się nagle w powietrzu. Przypiął go do pasa na biodrach, zastanawiając się, czy kieruje nim tylko czcza próżność. Przecież i tak w każdej chwili może poń sięgnąć dzięki czarom. Był chyba ciekaw reakcji Genevieve. Czuł, że się nie zawiedzie.

Minął ponad tydzień od dnia, gdy poszedł za nią nad morze, i wbrew swojej woli coraz bardziej ulegał jej urokowi. Nie była podobna do żadnej kobiety z rodu Buchananów. Wcale nie bała się ciężkiej pracy. Trzy dni spędziła w pozostałych sypialniach, dokładnie oglądając wszystkie sprzęty i przyczepiając etykiety, a potem godzinami siedziała przy telefonie w poszukiwaniu kupców na meble. Pod koniec tygodnia koszmary zniknęły, a puste komnaty czekały na nowy wystrój. Kendrick doskonale wiedział, na jak wiele stać Genevieve i teraz wyczekiwał z niecierpliwością, co nowego ta dziewczyna wyczaruje w jego domu.

Przeszedł przez drzwi sali bawialnej na piętrze i schował się w cieniu. Genevieve siedziała skulona na ławie pod oknem i wpatrywała się w ocean. Słońce rzucało delikatne światło na jej długie, ciemne włosy. Były jakby stworzone dla męskich dłoni. Można by je powoli rozczesywać, głaskać, zanurzać w nie palce i rozkoszować się, jak łaskoczą policzki... tego, nad kim by się pochyliła. Tak, wspomnienie jej włosów było tylko jednym z powodów, dla których ostatniej nocy prawie do świtu nerwowo chodził w tę i z powrotem po murach. Było to zupełnie

niedorzeczne, ale nie umiał wyrzucić z pamięci jej obrazu. A teraz patrzył, jak siedzi, podciągnawszy długie nogi na ławę, i szczupłymi palcami obejmuje kolana i wspartą na nich brodę.

Dlaczego żaden mężczyzna nie zagarnął jej dla siebie? Może uroda Genevieve nie odpowiadała dokładnie klasycznym kanonom, ale miała w sobie coś ziemskiego, budzącego zaufanie.

Szkoda, że nie spotkał jej za życia. Umiałaby go oswoić i cieszyliby się sobą każdego wieczoru w ciepłe kominka.

Och, jaka to bolesna myśl.

Ona również wyglądała na zamyśloną. Ogarnęły go wyrzuty sumienia za to, co zrobił, by sprowadzić ją na wyspę. Na pewno tęskni za domem. Dobrze przynajmniej, że nie rozpacza nad utraconym kochankiem. Kendrick zebrał dość informacji, by wiedzieć, że w jej życiu nie ma mężczyzny, który przypędziłby tu za nią. Z jakiegoś dziwnego powodu myśl ta sprawiała mu przyjemność.

Podobało mu się po prostu, że była samodzielna i samej sobie zawdzięczała wszystkie osiągnięcia. Umiała urządzić się w życiu i jest to bezsprzecznie godne podziwu. To wszystko.

Nie, fakt, iż nie należy do innego, nie ma najmniejszego znaczenia. Zupełnie żadnego znaczenia. Nie zwariował do tego stopnia, żeby zaprzętać sobie tym głowę...

Skrzyżował ramiona na piersi i spochmurniał. Do stu piorunów, jest mu kompletnie obojętne, czy ta dziewczyna należy do innego mężczyzny! Nosi nazwisko Buchanan, a on potrzebuje tylko jej podpisu na dokumencie, w którym zrzeka się praw do jego domu. Poza tym Genevieve w ogóle go nie interesuje. Dla pewności kilka razy powtórzył sobie to w myślach.

Dostrzegła go kątem oka i podskoczyła łapiąc się ręką za gardło.

- Przeraziłeś mnie.

- Wciąż zapominam zapukać - powiedział niskim głosem.

Uśmiech pojawił się najpierw w jej oczach. Worthington miał rację; było w nich coś urokliwego. Trochę piwne, trochę zielone... ze złotymi plamkami. Wargi też uśmiechnęły się na chwilę, ale spoważniały natychmiast, gdy spostrzegła miecz.

- Dobry Boże... - szepnęła przestraszona.

Wyprężył się chępliwie i podszedł bliżej. Był zadowolony z jej reakcji. Więc jednak budzi w niej respekt. Pochlebiało mu, że wciąż może zrobić na kobiecie wrażenie.

- Myślałam, że już nie chcesz mnie zabić - powiedziała.

- Nadal rozważam tę możliwość.

- Och... - podniosła na niego oczy. - Uprzedź mnie, gdy podejmiesz ostateczną decyzję.

Zacisnął usta, żeby ukryć uśmiech. Na świętego Jerzego, ta dziewczyna ma w sobie coś.

- Wierz mi, będziesz pierwszą osobą, która się o tym dowie - zapewnił.

Usiadł w drugim końcu ławy i oparł się o ścianę, jakby od niechcienia dotykając dłonią rękojeści miecza. Genevieve zerkała cały czas na broń spod na wpół spuszczonej rzes. Kendrickowi bardzo się to podobało.

Milczenie przedłużało się niezręcznie. W końcu Genevieve powiedziała:

- Lepiej podejmij decyzję.

- Wolę trzymać cię w niepewności.

- Naprawdę nie sędzę, by zabicie mnie poprawiło ci samopoczucie - stwierdziła.

Pod jej szczerym spojrzeniem poczuł, że jest łajdakiem.

- Spróbujmy porozmawiać - ciągnęła z przekonaniem. - Możesz mi zaufać, uważnie cię wysłucham.

Poczucie winy Kendricka zmieniło się w irytację. Jakby rozmowa mogła rozwiązać jego problem! Poderwał się z ławy.

- Jak śmiesz dawać mi rady! - Parsknął. - Nic nie wiesz o tym, co przeszedłem.

- Zabicie mnie nie jest żadnym rozwiązaniem - powtórzyła, uparczywie się w niego wpatrując.

Do diabła, ta dziewczka pozwala sobie na zbyt dużą szczerość jak na jego gust. To nic, że w rodzinie Kendricka wszystkie kobiety bywały szczerze do bólu. On potrzebuje kobiety, która zna swoje miejsce i, co najważniejsze, wie, kiedy zamilczeć!

Zdał sobie sprawę, o czym przed chwilą pomyślał i wściekle zaklął. Jakby szukał sobie kobiety i to na dodatek wśród Buchananów!

Przeklinając dziko, rozwiął się w powietrzu.

Dwa dni potem nadal był w nie najlepszym nastroju. Zamknął się w gabinecie i nigdzie nie wychodził. Nie odpowiadał nawet na zaniepokojone nawoływania Worthingtona. Niech oboje myślą, że umarł, z pewnością by mu to ulżyło. Udawał, iż nie czuje się wcale urażony, iż Genevieve go nie szuka. Pewnie się cieszy, że się go pozbyła. Bardzo dobrze. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje, są przymilne dusery śmiertelnej kobiety.

Ciemny kształt zamajaczył koło okna. Kendrick spojrzął na kapitana swojej straży.

- Co tam, przyjacielu?

Royce Canfield przeszedł przez pokój i usiadł w fotelu obok.

- Mam tylko kilka godzin...

- Royce, powtarzasz to od siedmiuset lat - ostro skwitował

Kendrick. - Nie sądzisz, że zdążyłem się zorientować, ile czasu możesz zostać?

Royce rozparł się wygodnie w fotelu.

- Zrobiliśmy się drażliwi, co? - stwierdził z uśmiechem. - Czy ta twoja nowa Buchanan daje ci się we znaki? Rzuciłem na nią okiem, gdy działałem na lotnisku. Nie powiem, urodziwa...

- Nie twój interes. - Kendrick zmierzył go lodowatym spojrzeniem.

Jeszcze bardziej zmarszczył brwi na widok uśmiešku Royce'a. Niestety bardzo brakowało mu najlepszego przyjaciela, a czasem wcale za nim nie tęsknił. Teraz miał ochotę go wyrzucić.

Royce przypominał mu o sprawach, o których starał się nie myśleć. Kendrick westchnął i oparł się wygodniej w fotelu.

W dzieciństwie stanowili z Royce'em nierozłączną parę. Rycerskiego fachu uczył ich ten sam opiekun, a potem, gdy wrócili do domu w Artan, ojciec traktował Royce'a jak rodzzonego syna. Kiedy obaj zdobyli rycerskie ostrogi, Royce obwieścił, że chce zostać kapitanem straży Kendricka, a on nie mógł wymarzyć sobie nic lepszego. Razem brali udział w wyprawie krzyżowej, razem walczyli i razem uganiali się za dziewczętami.

Ile razy Royce uratował mu życie, gdy byli w służbie jako najemnicy? Zbyt wiele, by zliczyć.

A teraz to. Razem za życia, razem po śmierci. Kendrick żałował jedynie, że nad Royce'em ciąży klątwa ciągłego wędrowania, a on musi pozostać w Seakirk. Matylda pozbawiła ich nawet możliwości przebywania razem.

Royce wyciągnął do przodu długie nogi.

- Zajrzałem do rodowych włości.

Kendrick uśmiechnął się. Uwielbiał opowieści o Artane i jego znakomitych mieszkańcach.

- I co?

Royce roześmiał się.

- Kendrick, powinieneś zobaczyć najmłodszego syna lorda Artane. Jest tak do ciebie podobny, że ostatnio prawie uwierzyłem, że widzę ducha.

- Twoje poczucie humoru jest jak zwykle niezbyt taktowne. Jak się miewa drogi hrabia Artane? Ojca szlag by trafił na widok tego młokosa rządzącego jego majątkiem.

- Wygląda na to, że nieźle daje sobie radę. Oczywiście trochę odjęło mu mowę, kiedy spytałem, czy mogę zatrzymać się u niego na nocleg.

- Nie zrobiłeś tego.

Royce uśmiechnął się z satysfakcją.

- Owszem. A Nazir o mało nie przyprawił go o atak apopleksji, kiedy zaczął wywijać tymi swoimi ociekającymi krwią mieczami.

- Gdzie on jest?

- Straciłem go z oczu...

- Royce! - krzyknął Kendrick. - Twoim obowiązkiem jest go kontrolować. Ty możesz opuścić Seakirk i mieć go na oku. Ja nie mogę.

- Ależ on wróci prędzej czy później. Zawsze wraca.

Kendrick nie czuł się uspokojony. Nazira naprawdę trudno było upilnować. Poczul dreszcz na myśl o kłopotach, jakie może spowodować saraceński wojownik. Gdyby tylko nie był uwięzany w Seakirk...

- Nie jest jeszcze tak źle - odezwał się Royce.

- Co nie jest źle? - spytał zupełnie niepotrzebnie, gdyż Royce równie łatwo czytał myśli Kendricka, jak on jego.

Zdumiewające, do czego zdolny jest umysł, gdy uwolni się od ciężkiej mu powłoki cielesnej.

- Ty przynajmniej masz dom. Ja nie mogę zostać w jednym miejscu dłużej niż jedną noc.

- Ale możesz przemieszczać się, gdzie ci się podoba - mruknął w odpowiedzi Kendrick.

- Nieustająca włóczęga... To staje się nieco męczące po kilku stuleciach, przyjacielu. Ciesz się z pięknego zamku i kobiety, z którą go dzielisz. Mogłeś skończyć o wiele gorzej.

Kendrick milczał. Sam już nie wiedział, która klątwa jest gorsza. Royce miał jednak chyba trochę racji. Smutno uśmiechnął się do przyjaciela.

- Przepraszam. To moja wina, że nie możesz...

- Cholera!... - zaklął z uśmiechem Royce. - Sam podjąłem decyzję, że zostanę, i doskonale o tym wiesz. To miło ze strony Matyldy, iż pozwoliła mi dokonać wyboru, nie sądzisz?

- Myślisz, że ona była czarownicą?

Royce roześmiał się głośno; wstał.

- Odpowiem ci przy następnym naszym spotkaniu. Bywaj, Kendrick. Ucałuj ode mnie tę swoją słodką wiedźmę.

- Prędeż ognie piekielne zamienią się w góry lodowe - mruknął ponuro Kendrick, wiedząc, że nigdy nie odzyska swego ludzkiego ciała, by móc pocałować kobietę...

Po odejściu Royce'a poszedł na mury. Może widok fal morskich rozbijających się o brzeg zdoła go uspokoić. Nie zdziwiło go specjalnie, że nadzieja okazała się płonna.

Pewnie wizyta Royce'a tak go rozstroiła. Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. Jak cudowne były te dni, gdy dom w Artane wypełniała liczna rodzina - dziadkowie, ciotki, wujowie, kuzyni i rodzeństwo. Dzieciaki zawsze wyprawiały jakieś zabawne figle. Wtedy nigdy nie czuł się samotny. A Royce był mu nawet bliższy niż rodzeni bracia. Jedynym powodem konfliktu między nimi była Matylda. Royce jej nie cierpiał. Kendrick uważał go za wariata.

Nie, to on zachowywał się jak wariat. Matylda była czarownicą.

Kendrick nie wierzył w czarownice, lecz nie mógł zapomnieć dziwnego uczucia, które go ogarnęło, gdy rzuciła na nich przekleństwo. Skazała Royce'a na wieczną tułaczkę, miał nigdy nie zaznać spokoju. Kendrickowi powiedziała, by zapomniał o ciepłe domowego ogniska. Przepowiednia nieźle się tej suce udała.

Tylko Nazir jakoś się uratował. Może dzięki temu, że był niewiernym. Jego saraceński sługa miał talent do wszczynania awantur i teraz był zachwycony, że Kendrick, uwiązany w Seakirk, nie jest w stanie go powstrzymać. Ten szelma pożałuje jeszcze swoich pomysłów.

Ale Kendrick mógł przecież w każdej chwili wezwać Nazira i wierny niewolnik musiałby go posłuchać. Po prostu nie miał jakoś serca czy siły, by go powstrzymać. Dzikie pomysły Nazira były jedyną rozrywką, a jego opowieści o niesamowitych wyczynach w jakiś sposób przypominały dawne dobre czasy.

- Kendrick?

Głos Genevieve tak go zaskoczył, że o mało nie spadł z murów. Odwrócił się przez ramię. Stała kilka kroków od niego.

- Co? - burknął.

Odnalazła go właśnie, kiedy czuł się samotny. Stłamsił w sobie dziwne uczucie radości pomieszanej z bólem. Niech go piekło pochłonie, zanim pozwoli pocieszyć się jednej z Buchananów.

Genevieve niepewnie podeszła bliżej i zadarła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie miałam zamiaru cię obrazić ani urazić twoich uczuć.

- Nie mam uczuć, jak więc mogłabyś mnie urazić?

- Możliwe, chcę cię jednak przeprosić. Nie mam pojęcia, przez co przeszedłeś, i nie powinnam była wyciągać pochopnych wniosków. Wybacz mi.

Jak uroczo drżała stojąc tak blisko i z jaką determinacją starała się to ukryć. Dał jej się we znaki przez ostatnie dwa tygodnie, zdobyła się jednak na tę rozmowę. Zadziwiające. Jeszcze bardziej zadziwiające było to, że go przeprosiła.

Poczuł, że lód skuwający mu serce odrobinę stopniał. Nie żeby jakoś specjalnie nim to wstrząsnęło... Tylko odrobinę. To właściwie nie wina Genevieve, że Matylda była taką suką. Nie może obwiniać jej o to, ani o swoją sytuację.

Westchnął. Nie jest w stanie przeprowadzić do końca żadnego planu. Nie może jej zabić ani doprowadzić do szaleństwa. A duma nie pozwala mu poprosić bez osłonek, by przepisała na niego zamek.

Och, jakże nisko upadł!

Może za kilka dni znów spróbuje, jeśli upora się z tym kretyńskim pragnieniem, żeby widzieć uśmiech na jej ustach. W końcu zdusi ten dziwny ból, który nosi w sercu, odkąd Genevieve pojawiła się w jego domu. Jeśli przejdzie mu ta obezwładniająca tęsknota, by zatracić się w jej piwnych oczach...

Tak, wtedy zażąda, żeby zrzekła się swej własności na jego korzyść, i będzie mógł odejść z Seakirk. Jeżeli dopisze mu dobry humor, może nawet pozwoli, by zamieszkała tu po jego odejściu.

Ale jeszcze nie teraz. Popatrzył z góry na jej miłą twarz i zaskoczony tak szybką kapitulacją usłyszał swój własny głos:

- Jeśli tak bardzo ci zależy, wybaczam ci.

Starał się, by zabrzmiało to opryskliwie. Niech ta dziewczyna nie wyobraża sobie, że ma nad nim władzę. Jest kobietą z krwi i kości, co nie znaczy, że Kendrick pozwoli jej przejąć całkowicie rządy w domu. Niezależnie od zapisów w królewskich dokumentach, Seakirk należy do niego! Zapłacił za to krwią i ma zamiar zatrzymać swoją własność. Genevieve musi zrozumieć, że on jest panem tego miejsca.

Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Gdybyś kiedyś poczuł się znudzony albo pragnąłbyś towarzystwa, mogłabym... No cóż, będę w pobliżu.

- W moim łóżku - zauważył ponuro.

Genevieve nie robiła wrażenia zbitej z tropu tą uwagą.

- Tak, w twoim łóżku. Nie będziesz musiał długo mnie szukać. - Cofnęła się o krok. - Dobranoc, Kendrick.

Jak słodko wymawiała jego imię. Czyżby nigdy wcześniej nie zwrócił uwagi, jak miło może brzmieć ludzki głos szepczący coś do ucha? Nie, tylko głos Genevieve miał w sobie coś takiego, że miękły mu kolana.

Odwróciła się, jakby chciała odejść. Nagle przeraziła go myśl, że zostanie sam.

- Genevieve?

- Tak? - Odwróciła się.

Nie, nie przyzna się przecież, że chce, by została. Stracił już wszystko, jednak wciąż ma swoją dumę.

- Dobranoc. - Miał nadzieję, że ton zabrzmiał pewnie, a nawet protekcyjnie.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

- Dobranoc, Kendrick. I dziękuję, że mnie nie zabiłeś.

- Nie chwał dnia przed zachodem słońca.

Ta zuchwała istota miała czelność roześmiać mu się w twarz. I mrugnąć porozumiewawczo okiem! Zanim odzyskał mowę, zakręciła się na pięcie i odeszła.

Niech to wszyscy diabli! Wrócił do ponurej kontemplacji rozciągającego się w ciemnościach oceanu. Zamiast jednak zacisnąć zęby z wściekłości, uśmiechnął się pod nosem. Na wszystkich świętych, ta dziewczyna ma w sobie coś! Najpierw umiejętnie polechtała jego próżność przeprosinami, a potem robiła sobie żarty, jakby upewniła się, że może wyprawiać z nim, co jej się podoba.

- Do diabła! - mruknął przez zęby i cicho zachichotał.

Po chwili chichot przeszedł w głośny śmiech. Tak, ostatnia z Buchananów była naprawdę dziewczyną z bigłem. Znów się roześmiał, a na wspomnienie figlarnej miny Genevieve poczuł, że pękają żelazne obręcze, które od stuleci pętały mu serce. Może nadszedł czas, by skorzystać z okazji i docenić miłe towarzystwo.

Dopóki oczywiście Genevieve nie przestanie go intrygować. A to z pewnością nie potrwa długo i Kendrick zażąda, by się poddała. Lecz najbliższe kilka dni mogą spędzić całkiem przyjemnie.

W końcu lepsze już towarzystwo kobiety z rodu Buchananów niż żadne.

Szczególnie jeśli tą kobietą jest Genevieve.

Genevieve siedziała na kamiennej ławce w cieniu starego drzewa. Rano miała ogromną ochotę zabrać się do szkicowania przyszłego wystroju sypialni, z których wyrzuciła te koszmarnie meble, ale teraz nie mogła się jakoś nad tym skupić. Leniwie kręciła ołówkiem między palcami, zastanawiając się, na co właściwie czeka. Bo na coś czekała.

Dokładniej ujmując, na kogoś. Minęły dwa dni od rozmowy z Kendrickiem na murach. Zadawała sobie pytanie, czy w ogóle jeszcze jej się ukaże. Czyżby znów go obraziła? No to co? W zamyśleniu stukwała ołówkiem w udo. Dlaczego miałoby jej zależeć? A jednak to duch jej własnego zamku. Nie może jej być obojętny. Żadna dziewczyna nie pozostałaby obojętna wobec tak przystojnego upiora.

Podniosła oczy znad bloku rysunkowego i wstrzymała oddech. Zupełnie jakby jej myśli się zmaterializowały, Kendrick szedł ścieżką w jej stronę. Jak ta Matylda mogła mu się oprzeć? Na jego widok po prostu zapierało dech.

Czarne legginsy podkreślały długie muskularne nogi, a pod białą bluzą rysowała się potężna pierś i ramiona. Długie włosy miał związane z tyłu czarną tasiemką, której koniec spadał na obojczyk. Pas od miecza wisiał nisko na biodrach, co nadawało Kendrickowi wygląd seksownego pirata. Szedł z nonszalancką swobodą, jakby był panem wszystkiego wokół. Może to i prawda. Jeśli Seakirk w ogóle do kogoś należy, to właścicielem z pewnością jest właśnie Kendrick.

Genevieve ze zdumieniem stwierdziła, że wygląda zupełnie jak żywy człowiek. Jaka szkoda, że to tylko złudzenie. Matylda była idiotką. Nawet gdyby nie dostrzegła, jaki jest przystojny, nie mogła pozostać obojętna na jego niezwykle magnetyzm. Genevieve stała obok niego na murach tylko kilka chwil, a podziało to tak, że poczuła się bliska omdlenia. Jak ktoś mógłby patrzeć w te zielone oczy i nie mieć waty w nogach, i to mimo ponurego spojrzenia, które nie opuszczało twarzy tego mężczyzny. Był po prostu nieprzytomnie przystojny.

Właściwie Genevieve miała nadzieję, że nigdy nie ujrzy jego uśmiechu. Z wrażenia prawdopodobnie padłaby trupem.

Lord Seakirk podszedł bliżej i złożył jej niski ukłon. Czy to ten sam mężczyzna zjawił się przed nią dwa tygodnie temu ze strzałą sterzącą z okrwawionej piersi, a potem straszył ją mieczem i chciał wbić w plecy całkiem prawdziwy sztylet?

A teraz składa ukłony? Miała ochotę uszczypnąć się, żeby sprawdzić, czy nie śni.

- Dzień dobry, milady - powiedział z powagą.

To zupełnie niedorzeczne, ale Genevieve poczuła, że się czerwieni. Jak czternastolatka, po raz pierwszy zauważona przez kapitana szkolnej drużyny koszykówki. Spuściła głowę wpatrując się z nagłym zainteresowaniem w trawę pod stopami.

- Dzień dobry... - odpowiedziała.

Kątem oka zauważyła, że usiadł obok na ławce. Potarła wilgotnymi rękami dzinsy, zdając sobie sprawę, że to wcale nie ze strachu spocily jej się dłonie. Och, zbyt mocno działa na nią bliskość mężczyzny!...

- Ładny dziś mamy dzień, nieprawdaż? - spytał.

- Tak, bardzo ładny.

- Jak pachnie teraz ogród? Ostatnie kwiaty tego lata wydają się już więdnąć.

Genevieve tak to zaskoczyło, że spojrzała na niego zdumiona.

- Nie czujesz zapachów?

- Jak mógłbym czuć zapachy, Genevieve? Kiedy straciłem ziemskie ciało, utraciłem też wszystkie zmysły, które ty uważasz za coś najzwyczajszego.

Genevieve poczuła, że nadszedł czas. Teraz jest moment na pytania. Zanim Kendrick znów się wścieknie i wyciągnie swój miecz.

- Jednak słyszę twój głos - ciągnęła. - Jak mówisz bez strun głosowych?

- Och, to dość skomplikowane. Nie wiem, czy sam rozumiem to wszystko do końca.

Czekała. Skończyła studia, na miłość boską. To nie może być aż tak trudne do pojęcia.

Kendrick uśmiechnął się, jakby ją usłyszał, co przyprawiło Genevieve o jeszcze większe zażenowanie. Nie, to niemożliwe, żeby czytał w jej myślach...

- Widzisz... - zaczął. - Istota człowieka to bardzo potężna siła. Dopóki mieszka w swej cielesnej formie, duch pozostaje spętany. Jednak nie uskarża się na swą dolę... Długo by mówić o rozkoszach, jakich dostarcza ciało.

Genevieve uśmiechnęła się do siebie. Miała wrażenie, że Kendrick za życia umiał w pełni korzystać z tych rozkoszy.

- Lecz za posiadanie ciała płaci się pewną cenę - ciągnął Kendrick. - Człowiek w zbroi porusza się mniej swobodnie niż bez niej.

- Mów dalej.

Dlaczego on nigdy nie napisał książki? Ileż pieniędzy zarobiłby na tych rewelacjach!

- Napisałem - powiedział. - Chyba jednak nie był to bestseller.

Genevieve zaparło dech, gdy sprawdziły się jej najgorsze przeczucia.

- Czytasz w moich myślach?

- Myśli mają ogromną moc, milady. Tylko częściowo używasz swego umysłu. Ja korzystam w pełni z jego możliwości. Ale bez wahania oddałbym tę umiejętność, by poczuć muśnięcie płatka róży na policzku albo zapach słonego powietrza w nozdrzach. Umiejętność czytania w twoich myślach jest nędzną namiastką przeżyć w porównaniu z tym, co dane jest tobie.

- Będę musiała uważać na swoje myśli.

- Wiem już, że masz mnie za nieokrzesanego dzikusa, bezczelnego aroganta i, chwilczkę... jak ty to określiłaś? - Uśmiechnął się nie spuszczać jej z oka. - „Nieprzytomnie przystojny”?

- Widocznie pomieszało mi się w głowie.

Roześmiał się na całe gardło, zupełnie tym razem nie urażony jej złośliwością. Po chwili uspokoił się, oparł o mur za ławką i spojrzał na nią z uśmiechem. Och, ten uśmiech był po prostu śmiertelnie zniewalający. Zakręciło się jej w głowie.

- Nawiedziło cię kilka nocnych koszmarów po przyjeździe... Powinienem chyba za to przeprosić. A wracając do pierwszego pytania - to co słyszysz, to obraz mojego głosu, który wysyłam do twojego umysłu. Bardzo prosta sprawa.

Dla ducha może prosta, pomyślała cierpko.

- Właśnie. A teraz opowiedz, milady, jak pachnie ogród? Wygląda pięknie.

Genevieve z trudem przełknęła ślinę. Tak wiele cudownych rzeczy brała za oczywiste: ciepło jesiennego słońca na włosach i ramionach, delikatny zapach róż, chropawą powierzchnię kamiennej ławki pod palcami... Jak Kendrick miałby uchronić się przed mściwą złością, jeśli tak długo pozbawiony był odczuwania tego wszystkiego?

- Nie lituj się nade mną - powiedział marszcząc czoło.

- Nie podsłuchuj moich myśli - rzuciła ostro, ale zaraz uśmiechnęła się usprawiedliwiająco. - Przepraszam. Nie chciałam być niegrzeczna.

Machnęła ręką.

- Ja nie mam uczuć, które mogłabyś urazić, zapomniałaś? Nie powinienem był nic mówić. Postaram się zbyt często nie podsłuchiwać. Proszę, opowiedz mi o ogrodzie.

- Pachnie różami i błotem - zaczęła powoli. - Czuję też lekką woń dymu. Tutaj w cieniu jest dość chłodno, a ławka jest zimna. - Popatrzyła na niego i wzruszyła ramionami. - To chyba wszystko.

- Och... - Pokiwał głową. - Bardzo przyjemnie.

Promień słońca rozbił się na klindze miecza. Genevieve spytała sztywno:

- Po co to nosisz?

- Przypuszczam, że z przyzwyczajenia. Kiedyś nigdy się z nim nie rozstawałem, nawet we śnie. Nie zliczę, ile razy broń leżąca w zasięgu ręki uratowała mi życie.

Nieprawdopodobne, że mężczyzna, który siedzi teraz obok, żył w innej epoce, w zupełnie innym świecie.

- Jak to było naprawdę? - spytała. - W twoich czasach?

Uśmiechnął się. To był chłopięcy, pełen życia i trochę szelmowski uśmiech. Genevieve wpatrywała się jak urzeczona. No i ten cudowny dołek w policzku. Matka musiała uwielbiać całować go w to miejsce.

- Chciałabyś zobaczyć moje czasy?

- Jakim cudem?

- Popatrz.

Zamrugnęła ze zdumienia i oniemiała. Tam, gdzie przed chwilą był ogród, teraz widziała tylko błotniste pole. Po dziedzińcu kręcili się jacyś ludzie i zwierzęta gospodarskie, a w oddali rozlegał się miarowy stukot kowalskiego młota.

Nagle z prawej strony usłyszała straszny łoskot i kiedy odwróciła się przerażona, ujrzała mężczyznę w pełnej zbroi, który wyleciał właśnie jak z katapulty z siodła swego konia. Szybując kilka metrów w powietrzu nadal mocno dzierżył w dłoni lancę.

Podciągnęła kolana pod brodę, kompletnie oszołomiona. Nie miała na sobie dżinsów, lecz sukienkę.

- Jak...?

- To się nazywa złudzenie. Albo iluzja, jeśli wolisz.

- Ale twoje ubranie wygląda zupełnie realnie.

- Moje czary działają na kilku poziomach. Na przykład to. - Wyciągnął miecz. Słońce zabłysło na ostrzu. - To nazywam trwałą iluzją. Tak jak moje ubranie - raz stworzone, trwa z dnia na dzień bez żadnych zmian. Dziedziniec przed tobą jest raczej iluzją chwilową. Rozwieje się po pewnym czasie, chyba że włożę w nią więcej energii. Twoja suknia należy do tego samego typu zjawisk.

Genevieve spojrzała na swój strój. To było absolutne marzenie miłośnika historii. Suknia była zielona, a materiał wyglądał na surową wełnę. Był ciężki i chropowaty w dotyku. Stanik wyszywany perłami i kamieniami szlachetnymi musiał kosztować fortunę. Zachwycona, przesunęła palcami po chłodnych klejnotach.

Poderwała głowę słysząc tętent końskich kopyt. Dwaj jeźdźcy zbliżyli się do nich, zsiadli z wierzchowców i stanęli przed Kendrickiem.

- Pozwól przedstawić sobie kilka postaci spośród moich bardziej trwałych złudzeń. - Wskazał mężczyznę po lewej stronie. - Oto żartobliwa imitacja potężnej postaci mego kuzyna, Jamiego. Naprawdę nie ma go tu - to jedynie odbicie wspomnień, które obdarowałem takim oto fizycznym kształtem.

Jamie był ogromny. Wyższy niż Kendrick i zbudowany jak potężna góra. Długie jasne włosy spadały mu poniżej ramion. W jednej ręce trzymał bojowy topór, a w drugiej wielki miecz.

- Jamie był doskonałym wojownikiem - zadumał się Kendrick. - Wiele lat spędziliśmy razem na wyprawach krzyżowych. A drugi - wskazał na uśmiechniętego młodzieńca, który dotykał ręką karku swego konia - to mój młodszy brat, Jason. Przypomina mi, jaki byłem w młodości. Potrafiłem powalić go w walce na miecze nie używając miecza.

Genevieve uśmiechnęła się. Kendrick najwyraźniej nie ma kompleksów.

Mrugnął do niej.

- Wiem, wiem...

Rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Zajmuj się własnymi myślami, Kendrick. Od moich trzymaj się z daleka.

Miała już zrobić mu dłuższy wykład na ten temat, kiedy z głuchym dudnieniem, na białym rumaku podjechał trzeci mężczyzna. Zeskoczył na ziemię, zanim koń się zatrzymał.

Ubrany był w białe szaty. Dokładnie tak wyobrażała sobie zawsze Saracena.

- Oto Nazir, potworny awanturnik - z lekkim sarkazmem stwierdził Kendrick.  
- Za życia wiele razy próbował mnie zabić. Dopiero gdy omal go nie zaszlachtowałem, stał się moim oddanym niewolnikiem. Prawda, Nazir?

- Nie jestem niewolnikiem - niesamowitym szeptem odpowiedział mężczyzna.

- Boże jedyny, on mówi? - wydusiła Genevieve.

Kiedy na nią spojrzał, miała wrażenie, że jest równie realny jak Kendrick.

- Kim jest ta kobieta, milordzie? - spytał wyraźnie zainteresowany Nazir. - Jej uroda budzi moje chucie... - Wpatrując się w nią rozpalonymi czarnymi oczami, postąpił krok do przodu.

Genevieve poczuła się zdecydowanie nieswojo.

Kendrick wstał; położył dłoń na rękojeści miecza.

- Kobieta jest moja. Nie wolno ci jej dotknąć ani nawet zbliżyć się, jeśli nie ma mnie przy niej. Twoim obowiązkiem jest jej bronić, gdybym ja nie mógł tego zrobić. Zabijesz każdego, kto odważyłby się podnieść na nią rękę, ale nie wezmiesz jej dla siebie. Zrozumiałeś?

- Tak jest, milordzie - krótko przytaknął Nazir. Nisko się skłonił i znów wyprostował. - Czy to wszystko?

Groźna mina Kendricka była wprost wspaniała.

- Jakie nowe spustoszenia masz na sumieniu?

W niesamowitych oczach Saracena pojawiły się natychmiast błyski złośliwej uciechy.

- Czyny godne pieśni, panie.

- Boże, zmiłuj się... - mruknął Kendrick, z rezygnacją opadając na ławkę.

- Tak jest, tak samo wykrzykiwała większość moich ofiar.

- Nazir!

Kącik ust Saracena uniósł się w leciutkim uśmiechu.

- Tylko kilka niewinnych figli w Londynie, milordzie. Opowiem ci o nich, panie, jeśli zapragniesz rozrywki.

Genevieve pochyliła się do Kendricka.

- On może opuszczać Seakirk?

- Tak, moja śliczna - odpowiedział swoim nieziemskim głosem Nazir. - Przynoszę jego lordowskiej mości zabawne historyjki z różnych stron. Jeśli masz ochotę teraz posłuchać, panie...

- Później - przerwał mu Kendrick. - Zjeżdżaj, Nazir.

- Zjeżdżaj? - jak echo powtórzył Saracen.

- Idź precz. Znikaj. Zejdź mi teraz z oczu.

Nazir rozwiął się w powietrzu. Ruchem dłoni Kendrick odesłał też w niebyt swego kuzyna Jamiego i brata Jasona.

Popatrzył na Genevieve i powiedział:

- Do Nazira trzeba się przyzwyczaić.  
- Rzeczywiście jest trochę specyficzny. Dlaczego z tobą został?  
- Za życia przysiągł mi wierność i nadal czuje się związany tym ślubem. Nie zrobi ci krzywdy, jeśli to cię niepokoi. Dane słowo jest dla niego świętością.

- Wygląda na bezlitosnego zbója.  
- Bo nim jest. A raczej był. - W zamyśleniu zapatrzył się przed siebie ponad brudnym dziedzińcem. - Swego czasu, gdy byłem w Ziemi Świętej, popełniłem błąd skradając jego siostrze całusa czy dwa i Nazir poprzysiągł, że się zemści. Deptał mi wytrwale po piętach, czułem prawie jego oddech na plecach, lecz nigdy nie stanął przede mną otwarcie, byśmy mogli walczyć jak mężczyzna z mężczyzną.

- Łgarstwo! - wściekle wrzasnął niewidzialny Saracen.

Kendrick zaśmiał się cicho.

- Walczyliśmy wiele razy, ale żaden nie mógł zdobyć przewagi. Dużo to mówi o jego zdolnościach, gdyż mój ojciec nie miał w Anglii równego sobie we władaniu mieczem, a ja uczyłem się od niego rycerskiego rzemiosła. Ostateczna bitwa między mną i Nazirem odbyła się pewnej księżycowej nocy na pustyni. Walczyliśmy tak długo, że z trudem trzymałem w dłoni miecz. W pewnej chwili zobaczyłem za nim jadowego węża. Wyszarpnąłem zza pasa sztylet i rzuciłem nim w gada, zanim zdążył ukąsić Nazira. Kiedy zrozumiał, że uratowałem mu życie, upadł na kolana i przysiągł mi wierność. - Kendrick wzruszył ramionami; uśmiechnął się. - Ojciec o mało nie dostał apopleksji, kiedy po powrocie do domu wjechałem w bramę zamku z Saraceniem u boku.

Genevieve spojrzała na miecz i westchnęła.

- To musiały być okrutne czasy. Nie mogę wyobrazić sobie takiego życia. Nieustannie oglądać się za siebie, czy ktoś na ciebie nie dybie...

Uniósł wyżej broń przyglądając się promieniom słońca na kłindze.

- Nam nie wydawało się to takie straszne. Pewnie dlatego, że nie znaliśmy innego życia.

Uwagę Genevieve przykuł ogromny szmaragd na rękojeści miecza.

- O Boże, czy to kiedyś naprawdę tu było?

Chełpliwie uniósł jedną brew.

- Byłem zamożnym człowiekiem. Chcesz się przekonać?

- Co masz na myśli?

- Chodź, pokażę ci.

Pozbierała swoje rzeczy i nagle podskoczyła, widząc, że ogród wrócił na swoje miejsce, a jej suknia zmieniła się znów w dzinsy i bluzę. Spojrzała na niego spod oka.

- Wolałabym, żebyś uprzedzał mnie o zmianie dekoracji. To denerwujące.

- Płochliwa jesteś, Genevieve.

- Ciekawe, jak byś się zachowywał na moim miejscu - odparła, starając się nie zwracać uwagi na jego diabelski dołek w policzku i kpiarski uśmiech, z jakim jej się przyglądał.

- Znając twoją skłonność do mdlenia z byle powodu, postaram się ograniczyć swoje sztuczki do minimum.

- Nigdy nie mdleję. Oprócz tamtego razu. Na moim miejscu też byś zemdlał. - Szła za nim do domu. - Myślałam, że chcesz mnie zabić!

Tak szybko się odwrócił, że z rozpędu o mało przez niego nie przeszła.

- A wydaje ci się, że zrezygnowałam?

- Nie uratowałbyś mnie na plaży, gdyby zależało ci na mojej śmierci - stwierdziła, hardo zadzierając brodę do góry, żeby dodać sobie kurażu.

Och, jakże była wdzięczna, że Kendrick jest jedynie duchem. Gdyby był prawdziwym mężczyzną, umarłaby pewnie ze strachu. Był dużo od niej wyższy i zbudowany jak gracz futbolowy. Nie taki, który rzuca piłką, tylko jak jeden z tych, których zadanie polega głównie na powalaniu i nokautowaniu przeciwników. Niezbyt znała się na futbolu, ale pamiętała z telewizji, jacy potężni są zawodnicy. Kendrick był właśnie taki.

- Mogłem cię uratować, żeby zachować sobie przyjemność zabicia cię później - powiedział.

- Wiesz, że to nie rozwiąże twojego problemu.

- A pozostawienie cię przy życiu rozwiąże?

- Tego nie powiedziałam. Lecz masz przynajmniej towarzystwo. To chyba coś dla ciebie znaczy.

Jego twarz złagodniała.

- Tak, to prawda. A ty jesteś bardzo urodziwą towarzyszką. - Uśmiechnął się i skinął głową w stronę domu. - Wejźmy do środka, zaprowadzę cię do jaskini lwa.

Genevieve zawahała się, jakby widziała go po raz pierwszy. Czy jest dla niej miły tylko po to, by w końcu ją zabić? Odgrywa szlachetnego rycerza, czy naprawdę taki jest pod maską tych groźnych min i pomruków?

- Genevieve?

Podniosła na niego oczy i odwzajemniła uśmiech. Jakikolwiek jest naprawdę, dziś zachowuje się wyjątkowo sympatycznie. Dlaczego miałaby zrezygnować z miłego popołudnia? Posłusznie za nim poszła, jakby przez całe życie miewała do czynienia z duchami.

- Lordzie Kendrick, lady Genevieve... - Worthington skłonił się, kiedy przechodzili. Najwyraźniej upiór spacerujący po zamku był dla niego najwykleszszym widokiem pod słońcem. Ku swemu zdziwieniu Genevieve zauważyła, że sama zaczyna o tym myśleć jak o czymś naturalnym. Mogłaby zupełnie zapomnieć o niematerialnym stanie Kendricka, gdyby nie ten żenujący zwyczaj przechodzenia przez wszystko, co znalazło się na jego drodze. Na szczęście nigdy nie wróci do prawdziwej postaci; cały by się posiniaczył, zanim przyzwyczaiłby się znów do ograniczeń cielesnej powłoki.

Poszła za nim schodami na trzecie piętro i w głąb korytarza. Światła same zapalały się przed nimi.

- Jak ty to robisz?

Zerknął na nią szelmowsko.

- Wieki praktyki.

Zatrzymał się przed jednymi drzwiami i złożył ukłon ustępując jej przejścia.

- Oto moja jaskinia, milady.

Genevieve zmarszczyła brwi. Do tego właśnie pomieszczenia bezskutecznie próbowała dostać się przez dobry tydzień. A więc tutaj Kendrick ma swoją kryjówkę. Komnata pokryta jest pewnie pajęczynami i kożuchem kurzu. Czy jest tam też jego trumna?

Otworzyła drzwi, ale zatrzymała się tak gwałtownie w miejscu, że Kendrick przez nią przeszedł. Pozostawiło to w niej przedziwne, dojmujące wrażenie.

Nie było tu żadnych pajęczyn ani kurzu. Kendrick najwyraźniej cenił wygody. Zobaczyła kominek, kilka szaf bibliotecznych wypełnionych wcale nie zakurzonymi książkami, wielki fotel i dwa inne przy bocznym stoliku, zastawionym kryształowymi karafkami.

- Czy mogę służyć ci za przewodnika? - spytał.

Skinęła głową, ciekawa, co takiego Kendrick chce jej pokazać. Poprowadził do drugich drzwi.

- To moja świątynia - powiedział z lekką ironią. - Możesz tam wejść na własne ryzyko.

Niepewnie otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Wzdrygnęła się, kiedy pochodnie na ścianach nagle same rozbłysły światłem, ukazując wnętrze długiej i wąskiej komnaty, a raczej korytarza, który pewnie biegł wzdłuż murów całego zamku. Wnętrze wypełnione było starociami - głównie bronią, ale dostrzegła też meble i komplety rycerskich zbroi.

- O Boże... - westchnęła. - Skąd to wszystko wzięłeś?

- Zdarłem z martwych ciał Buchananów, których zabiłem.

Gwałtownie odwróciła się do niego, ale od razu podniósł ręce w geście poddania.

- Tylko żartowałem, Genevieve. Większość tych rzeczy zdobyłem... legalną drogą, mimo iż nie przeczę, że kilka weszło w moje posiadanie w dość przykrych okolicznościach. - Wskazał na drzwi po prawej stronie. - Tam są moje osobiste rzeczy. Otwórz drzwi i wejdź. - Westchnął idąc tuż za nią. - Córka Buchananów w moim prywatnym apartamencie... Chyba naprawdę zwariowałem.

Na końcu języka miała kąśliwą ripostę, ale umilkła na widok niewielkiego, przytulnego pokoju. Ciemna boazeria nadawała pomieszczeniu jeszcze więcej ciepła. Jedną ścianę zajmowała biblioteka; nie zdążyła przyjrzeć się książkom, gdyż jej uwagę przyciągnął natychmiast obraz nad biurkiem.

- Moja rodzina - powiedział podążając za jej wzrokiem.

Bez trudu rozpoznała ojca Kendricka, gdyż byli niezwykle podobni. Wydawało się, że powstrzymuje uśmiech; w szarych oczach igrały te same błyski co w oczach syna. Obok stała przepiękna kobieta. Długie, jasne włosy spływały z jej ramienia jak najdelikatniejszy jedwab. Genevieve wspięła się na palce, żeby dobrze przyjrzeć się oczom matki Kendricka.

- Niech mnie diabli... - powiedziała bez tchu. - Były zielone.

Kendrick roześmiał się cicho.

- Teraz mi wierzysz?

Uśmiechnęła się, nie odrywając wzroku od portretu.

- Poznaję ciebie i Jasona, ale kim są pozostali?

- Matka i ojciec, Anna i Robin, i mój starszy brat Filip. - Kendrick przysunął się bliżej. - Ta dziewczyna o anielskim wyglądzie to moja siostra Mary.

- Jest bardzo piękna - szepnęła Genevieve.

- Tak, była piękna - powiedział w zadumie. - Umarła na suchoty rok przed tym, nim mnie zamordowano. Ojciec strasznie to przeżył. Przed ludźmi udawał bezwzględny, ale w głębi serca był bardzo uczuciowy. - Kendrick westchnął, założył ręce do tyłu. - Są teraz wszyscy razem. Bardzo im tego zazdroszczę.

- Skąd to wiesz? - Genevieve odwróciła się do niego.

- Każdy z nich pożegnał się ze mną przed odejściem na drugą stronę.

- To dobrze... - powiedziała cicho.

- Tak. A teraz pokażę ci moją kolczugę, a potem miecz.

- Kto namalował ten portret? - zapytała idąc za nim.

- Jonatan Buchanan, wnuk Matyldy. To jeden z niewielu jej potomków, których byłem w stanie tolerować. Pojawił się mniej więcej w tym czasie, gdy w końcu pogodziłem się z myślą, że nie jestem żywą istotą. Przedstawił postacię na podstawie mojego opisu lepiej niż wyszłoby to na zdjęciu.

Podeszli do oszklonej gabloty, w której znajdowała się dobrze zachowana średniowieczna kolczuga i strój z tej samej epoki. Trudno było jej uwierzyć, że to, co widzi przed sobą, naprawdę należało do Kendricka za jego życia. Popatrzyła na opończę, na której widniał wyhaftowany wizerunek czarnego, lwa stojącego na tylnych łapach. Przeraził ją niesamowity wyraz jego turkusowego oka.

- Moja babka miała oczy tej barwy - powiedział Kendrick. - Dziadek w ten sposób chciał ją uhonorować.

- Bardzo ją kochał.

- Tak, bardzo. I ona jego. Umarła zaledwie kilka godzin po nim, gdy oboje byli już w sędziwym wieku. Mój ojciec błagał, żeby ich nie opuszczała, gdyż ogromnie ją kochał, lecz nie chciała. Powiedziała, że światło jej życia już zgasło; po co ma żyć? Kiedy ciało dziadka Rhysa wystawiono w wielkim hallu, a poddani przyszli złożyć zmarłemu hołd, babka położyła się obok na katafalku i objęła go. Zamknęła oczy i zasnęła na zawsze. Moja matka przysięgała, iż widziała, jak duch dziadka ujmuje żonę za rękę i zabiera ze sobą jej duszę, ale nigdy w to nie wierzyłem. Uwierzyłem dopiero później. Zdziwiająco, jak jesteśmy ślepi, dopóki nasze dusze zamieszkują ciała.

Kendrick wydał się nagle nieswój. Jakby posunął się za daleko w zwierzeniach. Odchrząknął i wydał z siebie coś w rodzaju pomruku.

- Dobrze... Teraz pokażę ci dowód, że byłem kiedyś bogatym rycerzem, którego stać na zdobienie miecza klejnotami.

Poprowadził ją do długiej drewnianej gabloty ustawionej na stole pod ścianą i skinął głową, by otworzyła wieko. Oczom Genevieve ukazał się bardzo długi, stary i świetnie utrzymany pałasz. Był tak wypolerowany, że lśnił prawie własnym

blaskiem. A w rękojeści tkwił szmaragd wielkości kurzego jaja. Wyciągnęła rękę i delikatnie musnęła go palcami.

- Och... - Na chwilę zabrakło jej słów. - To był twój miecz?

- Tak - odpowiedział z dumą. - I była to świetna broń. Doskonale wyważona. Mogłem rozplatać nim na pół kamień albo niewiernego, cokolwiek stało mi na drodze.

Skinęła głową i przesunęła palcami po ostrzu. Nagle odskoczyła jak oparzona widząc, że z dwóch palców cieknie strugami krew.

- Kobieto, czyś ty oszalała? - wykrzyknął Kendrick. - Odedrzyj rękaw i zawiąż rękę!

Zaskakujące, jak wiele krwi może wypłynąć ze zranionych palców. Do diabła, pobrudziła krwią całą gablotę. Może uda się to domyc woda i mydłem. Albo octem. Matka używała chyba octu do wywabiania plam? Czy soku cytrynowego? Nie, sok cytrynowy jest do picia. A ocet do sosu do sałaty. Och, a teraz krew spływa na podłogę.

- Genevieve, oderwij rękaw bluzy! - wrzasnął Kendrick. A może jakiś specjalny proszek do prania? Ogarnęła ją dziwna wesołość. A, do diabła, wrzuci to wszystko po prostu do pralki. Znowu spojrzała na rękę. Czy to kość?

- Genevieve!

Skrzywiła się, ogłuszona jego dzikim wrzaskiem. Poczowała, że Kendrick rozdziera jej bluzę i ściąga rękaw na przegub dłoni. Szarpnął ostatni raz i padł na ziemię.

- Owiń rękę... - powiedział słabym głosem. - Niech Worthington zawiezie cię do lekarza.

- Kendrick...

- Szybciej! - wycharczał kaszłąc. - Idź już!

Owinęła rękaw wokół dłoni i uklękła przy nim.

- Co ci jest? - spytała półprzytomnie.

- Do stu diabłów, kobieto, idź już! - zagrzmiął; jego głos odbił się głośnym echem od ścian.

Genevieve chwiejnie stanęła na nogach.

- Jesteś pewien...

- Tak - powiedział wskazując wzrokiem drzwi. - Wynoś się stąd!

Wyszła z pokoju marząc o tym, żeby znaleźć Worthingtona, zanim przestanie nad sobą panować. Jakimś cudem udało jej się zejść do hallu, ale nagle dostała strasznych dreszczy. Worthington przy długim stole czyścił srebrny serwis do herbaty.

Odwrócił się do niej i zbladł jak ściana.

- Milady...

- To moja wina - szepnęła. - Poprowadzi pan samochód, Worthington. Chyba zaraz zemdleję...

Złapał ją w momencie, kiedy bezwładnie poleciała do przodu.

Wyprawa do miasteczka odbyła się sprawnie i właściwie bezboleśnie, ponieważ Worthington wlał w nią z pół butelki brandy, zanim dojechali do szpitala.

Zakładanie szwów wolałaby raczej zapomnieć, a najgorsze było wysłuchiwanie komentarzy pielęgniarek, że dawno nie widziały takich obrzydliwych ran. Lekarz okazał się na szczęście zręczny i szybki. Worthington uroczyście obiecał mu, że lady Genevieve nie będzie miała dostępu do kuchni ani żadnego innego miejsca, gdzie mogłaby chwycić nóż z nieodpowiedniej strony.

- To był ten jego cholerny miecz, Worthington - mruknęła ze złością, kiedy pomagał jej wsiąść do samochodu.

- Wiem, milady - odparł jak zwykle niewzruszony lokaj. - I nieładnie jest mówić „cholerny”.

- Przeklęty, cholerny miecz - burknęła, kiedy zamykał drzwi. Jest w końcu jej lokajem, a nie matką. A ona ma trzydzieści lat i będzie przeklinała, jak jej się spodoba.

Gdy dotarli do domu, poprzez resztki oparów brandy we krwi zaczął przebijać potworny ból. Chichotała, wspinając się po schodach, wsparta na ramieniu Worthingtona, po czym zległa bezwładnie na łóżku. Wymamrotała jeszcze coś bez sensu, po czym rozległo się głośne chrapanie.

Lokaj, potrząsając z przejścia głową, zdjął jej pantofle i przykrył ją kocem. Pocieszało go jedynie, że milady tak zdrowo chrapie. Wkrótce dojdzie do siebie i z pewnością wyciągnie Kendricka z tego strasznego marazmu, w którym jego pan tkwi od siedmiuset lat.

Worthington wiedział coś o tym. Był potomkiem człowieka, który służył u Kendricka jako giermek w trzynastym wieku. Wyrósł w Seakirk wysłuchując utyskiwań ojca na wieczne humory Kendricka. Po śmierci ojca Worthington przejął po nim posadę majordomusa. Darzył młodego lorda wielkim przywiązaniem i jak tylko mógł, starał się ulżyć jego cierpieniu.

A teraz pojawiła się Genevieve. Zdobyła serce Worthingtona, gdy uparła się mieszkać w pokoju Kendricka. A dzięki swej odwadze zdobyła jeszcze większy szacunek lokaja. Szkoda, że oboje młodzi nigdy nie będą mogli być razem. Ze wszystkich kobiet Buchananów Genevieve była jedyną, która nadawałaby się na żonę Kendricka. A młody lord potrzebował żony. Przez wszystkie te lata nigdy nie widział, by Kendrick uśmiechał się inaczej niż sarkastycznie albo z goryczą. Nigdy szczerze się nie śmiał, natomiast ciągle zrzedził i burczał coś wściekle. A te wszystkie kobiety z rodu Buchananów, które doprowadził do obłędu...

Worthington pokiwał głową zasłaniając kotary przy łóżku i skierował się do drzwi. Tak, najwyższy czas, żeby serce Kendricka stopniało, a Worthington był pewien, że Genevieve jest kobietą, która pomoże mu w tym zadaniu.

Wspiął się na trzecie piętro i wszedł do gabinetu lorda.

Kendrick był prawie niewidoczny w swoim wielkim fotelu.

- Jak ona się czuje? - spytał szeptem.

- Na razie niezbyt trzeźwo, milordzie. O mało nie odcięła sobie palców. Lekarz zapewnił mnie jednak, że rany się zagoją. Kiedy zostawiłem ją w pańskiej sypialni, chrapała jak niedźwiedź.

Kendrick przymknął oczy.

- Dzięki Bogu... - szepnął z ulgą. - Opiekuj się nią, Worthington. Dopiero za kilka dni odzyskam siły. - Otworzył oczy i przenikliwie popatrzył na lokaja. - Zadbasz o nią jak należy, prawda?

- Oczywiście, milordzie. Nie odstąpię jej ani na krok.

Kendrick kiwnął głową i powoli opuścił powieki.

- Nie pozwól, by cokolwiek jej się stało, Worthington. Nie zniósłbym tego.

Lokaj patrzył, jak Kendrick zapada w drzemkę. W innych okolicznościach mógłby pomyśleć, że strasznie ostatnio nudzi swoich rozmówców - wszyscy zasypiają w jego obecności.

Uśmiechnął się i wyszedł z gabinetu. Po raz pierwszy słyszał, że Kendrick troszczy się o kogoś. Z głębi serca! To dobry znak.

Jedyne, co docierało do świadomości Genevieve przez następne dwa dni, to straszny ból ręki i obecność Worthingtona faszerującego ją lekami. Lokaj pojawiał się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki za każdym razem, gdy budziła się z męczącego letargu. Zanim znów zapadła w sen, zdążyła spytać o Kendricka i dowiedziała się, że odzyskuje siły u siebie na górze.

Trzy dni po wypadku zwłokła się z łóżka. Po długim prysznicu wyciągnęła z szuflady swoją ulubioną, jaskrawoczerwoną piżamę z zakrytymi stopkami, które nadawały jej wygląd dziecinnych śpiochów. Nareszcie coś wygodnego i miłutkiego!

Teraz do szczęścia brakuje jej tylko kubeczek pysznych lodów. Usadowi się przy ciepłym kominku i życie nabierze blasku.

Szwy na palcach ciągnęły nieprzyjemnie, gdy poruszała ręką. Ostrożnie rozprostowała dłoń i popatrzyła na okropne sine szramy i czarną nić przytrzymującą rozplątane ciało. O mało nie pozbawiła się dwóch palców. Dużo czasu minie, zanim znów zbliży się do miecza Kendricka.

Ruszyła do drzwi. Porcja lodów będzie najlepszym lekarstwem. Może Worthington da jej jakąś rękawicę kuchenną, żeby nie musiała patrzeć na opłakany rezultat swojej głupoty.

Lokaj wchodził właśnie na górę, kiedy schodziła. Na srebrnej tacy niósł okazałą porcję lodów czekoladowych i czarkę polewy karmelowej. Roześmiała się szczerze rozczulona.

- Czyżby pan również ostatnio czytał w moich myślach?

Niewzruszony zwykle jak głaz Worthington tym razem zaprezentował prawie szeroki uśmiech.

- Milady, pani upodobania kulinarne są zbyt mało urozmaicone. Powinna pani spróbować innego smaku. Nigdy nie przyszła pani ochota na lody malinowe?

- Nigdy w życiu. Jeśli już decyduję się na kalorie, to wyłącznie w postaci czekoladowych pyszności. Czy zjemy na dole?

- Jego lordowska mość tak wypytywał mnie o pani samopoczucie, iż pomyślałem, że może zechciałaby pani zajrzeć do gabinetu i uspokoić go nieco.

- Wypytywał o mnie? - spytała, czerwieniąc się.

- Bez przerwy. Prawie zamęczył mnie bezustannymi pytaniami.

Genevieve powstrzymała uśmiech.

- No cóż, Worthington, nie mogę pozwolić, by padł pan ofiarą lorda Kendricka. Pójdę z nim porozmawiać.

Lokaj z zadowoleniem skinął głową i poprowadził ją na trzecie piętro. Bez pukania otworzył drzwi i popchnął Genevieve do środka.

Kendrick siedział w swoim fotelu, lecz był prawie przezroczysty.

- Co ci jest? - Zaniepokojona podeszła bliżej i uklękła obok fotela.

- Jestem tylko trochę blady - odpowiedział słabym głosem. - Szybko odzyskam siły.

- Blady? - powtórzyła przerażona. - Kendrick, ciebie ledwie widać!

- Jestem po prostu zmęczony. - Samo mówienie przychodziło mu z trudem. - Dla mnie oderwanie rękawa to tyle, co dla ciebie podniesienie do góry samochodu. Kosztowało mnie to wiele energii.

- Przepraszam - powiedziała zdruzgotana. - To wszystko moja wina. Nie chciałam, żeby coś ci się stało...

Położył palec na ustach, a potem opuścił rękę na pierś.

- Powinnaś się raczej cieszyć. Przez tyle lat nigdy nie zrobiłem nic dobrego dla kobiety z rodu Buchananów. Masz, milady, zaszczyt być pierwszą.

- Wcale mnie to nie pociesza. Wyglądasz strasznie.

- To wygląda gorzej niż jest naprawdę - pocieszał ją. - Worthington... - Podniósł oczy na lokaja. - Co tam przyniosłeś dla lady Genevieve?

- Nic zdrowego, milordzie.

Kendrick zmarszczył brwi.

- Więc zabierz to natychmiast i przygotuj coś innego. Musi jeść zdrowe rzeczy.

- Mam ochotę na lody - wtrąciła się Genevieve.

- Pospiesz się, Worthington - powiedział Kendrick, nie zwracając na nią uwagi. - Przygotuj zaraz coś pożywnego i przynieś tu. Widzę, że będę musiał sam dopilnować, by szybko wyzdrowiała.

- Mam ochotę na lody - powtórzyła Genevieve, rzucając Worthingtonowi ostrzegawcze spojrzenie.

Kendrick też groźnie popatrzył na lokaja.

- Idź już, staruszk. I wracaj szybko z czymś dobrym dla Genevieve.

- Do diabła, sama mogę decydować, co zjem - powiedziała z uporem i skrzyżowała ramiona na piersi.

Nagle zdała sobie sprawę, jak śmiesznie wygląda w tej dziecinnej piżamie, z kucykiem na głowie i zawadiacko zadartą brodą. Obaj mężczyźni wyglądali tak, jakby próbowali ukryć rozbawienie. Genevieve wiedziała jednak, że za późno na godny odwrót, stała więc niewzruszenie w swojej bojowej pozie.

Kendrick uniósł brwi spoglądając na lokaja.

- Lady Genevieve wyraziła swoją wolę.

- Tak jest - zgodził się Worthington.

- Sądzę, że nie powinniśmy jej drażnić. Wygląda na zirytowaną.

Worthington odstawił tacę, przysunął bliżej drugi fotel i gestem zaprosił Genevieve, żeby usiadła. Po chwili taca znalazła się na jej kolanach.

- Przynies jej coś zdrowego na deser, Worthington - powiedział z przekąsem Kendrick. - Przypilnuję, żeby wszystko zjadła.

Genevieve połała lody ciepłym sosem karmelowym i wpakowała do ust czubatą łyżkę.

- Dobrze?

Zerknęła na niego wyniośle, ale widząc uśmiech w zielonych oczach Kendricka i ten jego słodki dołeczek w policzku, skapitulowała.

- Boskie.

- Jak to smakuje?

Zastanowiła się, jak opisać słowami smak lodów.

- Delikatnie, jak rozpływający się jedwab.

- To niebezpiecznie brzmi.

Kiwnęła zgodnie głową. Nagle dotarło do niej, do jakiego stopnia tragiczna musi być dla Kendricka świadomość, jak wielu spraw nigdy już nie doświadczy. A teraz jest taki słaby i blady, i to wszystko jej wina...

- Naprawdę, tak mi przykro - powiedziała cicho.

Potrząsnął głową.

- Nie masz za co przepraszać. Ale jedno możesz zrobić, by odpokutować za swoje winy.

- Wszystko, co zechcesz.

Uśmiechnął się słabo.

- Uważaj z obietnicami, milady. Moja matka zawsze mawiała, że bezlitośnie egzekwuję dane mi słowo.

- Zapamiętam to sobie. A teraz, co mogę dla ciebie zrobić, co nie byłoby bezprawne, obrzydliwe albo niemoralne?

Roześmiał się.

- To drastycznie ogranicza mój wybór. Pomyślałem, że mogłabyś włączyć telewizor i znaleźć mi kanał sportowy. Chętnie popatrzyłbym na mecz futbolu. Chyba że wolisz coś innego?

- Nie znam się na futbolu amerykańskim, ale dotrzymam ci towarzystwa, jeśli chcesz.

Podniosła się i odstawiła tacę z resztą lodów na stolik pod ścianą. Kendrick przesunął wzrokiem po luźno opadającej piżamie.

- Jak mógłbym gniewać się na kobietę w tak uroczej nocnej bieliźnie? - powiedział cicho.

Genevieve wróciła na swój fotel i zaczęła nerwowo przełączać kanały, szukając czegoś, co odwróci jego uwagę. Teraz zastanawiała się, dlaczego była tak głupia, by przyjść tu w tej piżamie. Kendrick jest może duchem, ale z pewnością jest to duch stuprocentowego mężczyzny. Jego leniwy uśmiezek i natarczywe spojrzenie sprawiło, że znowu się zaczerwieniła.

- Proszę - powiedziała w końcu triumfalnie. - Czy to może być?

- Rozgrywki uniwersyteckie - westchnął z żalem. - Trudno, niech będzie.

Odłożyła pilota i znowu zaczerwieniła się spotykając jego przenikliwe spojrzenie.

- Przestań!... - syknęła zażenowana.

- Ja tylko patrzę, Genevieve. Nie możesz mieć o to pretensji. To trochę tak jak dzieciak przyglądający się zabawkom przez szybę wystawową - z dzikim pożądaniem, ale bez nadziei na spełnienie.

Chwyciła koc z oparcia jego fotela i szczelnie się nim okryła.

- Podglądacz - fuknęła.

Kendrick zaniósł się śmiechem i uspokoił dopiero, gdy głos wyraźnie zaczął mu słabnąć.

- Jesteś jedyna w swoim rodzaju, milady. Postaram się powstrzymać nieco swoje lubieżne zapędy.

Po czym, nie zważając na jej rumieniec, zaczął z werwą rozprawiać na temat zasad gry w futbol amerykański. Genevieve z wielką wdzięcznością pomyślała, że Kendrick nie jest prawdziwym mężczyzną. Kiedy wyobraziła sobie, że trzyma ją w tych silnych ramionach, dotyka smukłymi palcami, całuje...

- Genevieve, nie słuchasz mnie - powiedział. - Nic nie zrozumiesz z gry, jeśli nie poznasz zasad.

Zmusiła się, żeby na niego spojrzeć.

- Cały czas słucham - skłamała.

- W takim razie powtórz, co robi obrońca.

Dość głupie pytanie.

- Oczywiście broni - odparła zadowolona z błyskotliwej odpowiedzi.

- A odbierający?

- Odbiera.

- Co?

Do diabła, pytania zaczynają być bardziej techniczne.

- Piłkę?... - zaryzykowała.

- Dobra odpowiedź, ale po prostu zgadłaś. Nie bardzo cię to interesuje, moja śliczna.

- Och, ależ tak... - zapewniła.

Interesowałyby ją nawet, gdyby mówił o fizyce kwantowej, jeśli tylko mogłaby tu siedzieć i słuchać jego niskiego głosu, patrzeć na blade rysy twarzy, rozjaśnione chwilami pod wpływem emocji, i cieszyć się, że Kendrick poświęca jej całą uwagę. Och, tak, dla tej przyjemności gotowa jest dokładnie zapoznać się z zasadami gry w futbol.

- Dobrze więc... - powiedział poprawiając się w fotelu. - Wróćmy jeszcze do ataku. Po pierwsze, czy pamiętasz kim są liniowi?

- To ci ogromni faceci, którzy zbijają się w kupę - odpowiedziała posłusznie.

Uśmiechnął się, jakby powiedziała coś zabawnego.

- Niech ci będzie... A ci, którzy się cofają?

- Na nich rzucają się watahą te ogromniaste typy z przeciwnej drużyny, żeby odebrać im piłkę.

Kendrick słuchał z uśmiechem.

- Dobrze. A odbierający?

- Łapie piłkę w strefie końcowej, potem odstawia te śmieszne tańce, a potem rzucają się na niego koledzy z własnej drużyny. Nigdy nie mogłam tego zrozumieć, Kendrick. I dlaczego tak wałę o siebie głowami? Nie robiłeś tak chyba, gdy byłeś rycerzem?

Roześmiał się.

- Nie, ale teraz świat jest inny, Genevieve. Przepraszam, że w ciebie wątpiłem. Rzeczywiście uważnie słuchałaś. A teraz powiedz mi coś o rozgrywającym.

Tego już za wiele. Dość nawzdychała się w przeszłości do słynnego rozgrywającego Steve'a Younga.

- Kendrick... - zaczęła cierpliwie. - Doskonale wiem, kto to jest rozgrywający i co robi na boisku. Nie jestem zupełnie tępa w dziedzinie futbolu.

- Właśnie widzę - zaśmiał się pod nosem. - To może opowiesz mi więcej o obronie?

Zaczęła kręcić się niepewnie na fotelu.

- Wolę posłuchać ciebie...

- Ja już wiem wszystko o futbolu.

- I dlatego tak świetnie tłumaczysz zasady gry.

Zacisnął usta, ale Genevieve widziała, że powstrzymuje śmiech.

- Zwodzisz mnie. Nie odpowiadasz na pytania - stwierdził.

- Widocznie mam swoje powody.

Tym razem roześmiał się głośno.

- Dobrze, wytłumaczę ci. Ale słuchaj uważnie. Mecz za chwilę się rozpocznie i mam nadzieję, że będziesz umiała nazwać poszczególne pozycje zawodników.

- Jak sobie życzysz, milordzie.

Zagłębił się w kolejnych skomplikowanych wyjaśnieniach, kto co robi, na jakiej pozycji i z kim. Genevieve wiedziała, że zrozumie to wszystko dopiero, kiedy przyjrzy się grze. Kendrick chyba też zdawał sobie z tego sprawę. Zakończył swój wykład tuż przed rozpoczęciem meczu.

Nie wiedziała, czy patrzeć na ekran, czy na kibicującego Kendricka. To drugie wydawało jej się zdecydowanie ciekawsze. Zanim się spostrzegła, było po meczu, a Kendrickowi zaczęły opadać powieki. Uśmiechnął się do niej sennie.

- Nie pogniewasz się, jeśli chwilę się zdrzemnę?

- Ależ skąd... Pójdę już.

- Nie - powiedział szybko. - Zostań. Dobrze?

Jak mogłaby odmówić? Powoli usiadła znów w swoim fotelu.

- Chyba powinnam posiedzieć przy tobie. Wyglądasz bardzo blado.

Zgodnie kiwnął głową.

- Tak, potrzebuję dobrej opieki. Najchętniej przez całą dobę.

Genevieve nie mogła opanować rumieńca zalewającego policzki. Na szczęście Kendrick tego nie zauważył. Przymknął oczy i oparł się wygodniej w fotelu. Nie słyszała jego oddechu, ale wznoszenie się i opadanie jego piersi wkrótce stało się lekkie i miarowe.

Kiedy była już pewna, że Kendrick mocno śpi, wpatrzyła się w niego. Teraz, kiedy o tym nie wiedział, mogła przyglądać się bez zażenowania. Nigdy nie znała kogoś takiego. Większość mężczyzn, których spotkała w życiu to nieudacznicy, jak jej ojciec, albo tyrani. Co nie znaczy, żeby poznała ich w sumie zbyt wielu. Gdy w czasie studiów mogła już swobodnie umawiać się na randki, bardzo szybko z tego zrezygnowała. Woląла godzinami tonąć w książkach i marzeniach, niż interesować się prawdziwymi mężczyznami.

O wiele bezpieczniej było obcować z tymi, którzy istnieli w jej wyobraźni. Miała co prawda przyjaciół płci przeciwnej, lecz było ich niewielu i traktowali ją raczej jak siostrę.

Z Kendrickiem było inaczej. Jeśli wzbudzała w nim coś oprócz irytacji, to z pewnością nie były to uczucia braterskie. Wspomnienie spojrzenia, jakim zmierzył ją od stóp do głów, przyglądając się tej nieszczęsnej piżamie, wciąż przyprawiało ją o rumieniec. Wiedziała, co oznacza takie spojrzenie. Widziała to na filmach i w oczach kolegów, gdy patrzyli na inne dziewczyny. Lecz nikt nigdy nie patrzył na nią w ten sposób.

Do dzisiaj.

Nie sądziła, by była piękną kobietą; nie zaprzętała sobie myśli takimi rozważaniami. Była dobra w swoim fachu i w fantazjowaniu. W miarę upływu czasu coraz mocniej wierzyła, że to wszystko, czego jej trzeba do życia.

I nagle fantazje zamieniły się w rzeczywistość. Została wyrwana ze zwykłej egzystencji i przeniesiona w świat, gdzie wszystko jest inne. Stała się właścicielką zamku piękniejszego niż jakiegokolwiek marzenie. I miała swego księcia z bajki. Na początku zraził ją nieokrzesanymi manierami, lecz z czasem zrozumiała, że zachowanie to wynika z jego tragicznej sytuacji i jest zresztą często tylko grą pozorów. Kendrick lubi udawać, że ma serce z kamienia.

Przyglądała mu się badawczo. Po raz pierwszy znalazła się tuż obok tak potężnego mężczyzny. Dziwne, że zupełnie ją to nie onieśmiało. Natychmiast zorientowała się dlaczego. Kendrick jest duchem, istotą jedynie odrobinę bardziej

namacalną niż ktoś wymyślony, lecz nie na tyle realną, by stanowiła zagrożenie. Tak, taki mężczyzna by jej odpowiadał. Jest arogancki i nieznośny, ale potrafi też być czarujący. I patrzy na nią, jakby wydawała mu się pociągająca. Godna pożądaniami to może zbyt przesadzone, ale pociągająca... Tak, w to Genevieve skłonna była uwierzyć.

Spojrzała na dłoń Kendricka spoczywającą na oparciu fotela, kilka centymetrów od niej, i nagle przyszła jej do głowy niedorzeczna myśl. Czy poczułby, gdyby go dotknęła? Czy ona coś by poczuła?

Ostrożnie położyła rękę na jego dłoni. Przeszył ją dreszcz, jakby leciutki przepływ prądu elektrycznego. Ręka przeszła przez jego dłoń i dotknęła poręczy. Przyglądała się jak zaczarowana.

Dłoń Kendricka, jak aura, otaczała jej dłoń. Naprawdę, choć wydawało się to nierealne. A jeśli to jest realne?

Oparła głowę o fotel i zamknęła oczy puszczając wodze fantazji. Siedem wieków, które ich dzieli, nie ma znaczenia, Kendrick należy do niej i tylko to jest ważne.

A gdyby przeniosła się do trzynastego wieku? Byłaby panią na zamku Seakirk, sierotą osaczoną przez horde chciwych konkurentów, którym zależy wyłącznie na jej majątku, a nie na niej samej. W krytycznym momencie Kendrick zjawiłby się na swym wierzchołku i przepędził niegodziwców kilkoma zręcznymi ciosami potężnego miecza. Genevieve zobaczyła siebie na frontowych schodach w sukni, którą Kendrick pokazał jej kilka dni temu. Tak właśnie cierpliwie czekałaby na jego przybycie. Podjechałby na koniu, spojrzał na nią z góry z tym swoim zniewalającym uśmiechem i powiedział coś w stylu: „Teraz, kiedy oczyściłem okolicę z tych szumowin, milady, może masz ochotę na przejażdżkę?”

Nie, nie powiedziałyby tak. Raczej wyciągnęłyby do niej rękę z nachmurzoną miną i mruknął: „Chodź tu, dziewczyno. To małe ćwiczenie fechtunku przed kolacją nieco mnie znużyło. Nie mam ochoty piechotą iść do kaplicy, by cię poślubić. Pojedziemy konno.” Potem chwyciłby ją w ramiona i pocałował tak, że zabrakło by jej tchu.

Genevieve uśmiechnęła się do siebie. Tak, to do niego pasowało.

A może spotkałby się w dzisiejszych czasach? Ktoś mógłby ją zaciągnąć na jedno z tych plotkarskich przyjęć, których nie znosiła, i jak zwykle zaszyłaby się w najciemniejszym kącie, gdzie nikt by jej nie zagadywał. Zobaczyłaby go wśród tłumu gości, otoczonego wianuszkami pięknych kobiet, oczarowanych jego nonszalanckim wdziękiem i swobodą. Ich oczy spotkałyby się i coś by nagle zaiskrzyło. Bez słowa zostawiłby swoje towarzystwo i podszedł do niej. Mogliby podróżować po całym globie jego prywatnym samolotem albo przemierzać oceany luksusowym jachtem. Miejsce nie miałyby znaczenia; nie widziałby świata poza nią.

A może byłby samotnikiem, na przykład pisarzem, który pragnie odrestaurować swój średniowieczny zamek? Uśmiechnęła się; to zaczyna być całkiem realne. Miłość od pierwszego wejrzenia. Zabiegałby o jej względy obdarowując zabawnymi drobiazgami, czułymi liścikami, kwiatami, które sam by zrywał.

Genevieve westchnęła. Jakoś nie mogła wyobrazić sobie Kendricka grzebiącego się w ogrodzie. Lepiej zostawić go na koniu, z włosami przyklejonymi do wilgotnego od potu karku i chrzęszczącą przy każdym ruchu kolczugą. Należał do tamtego niebezpiecznego świata. Nic dziwnego, że lubi futbol. Pewnie przypomina mu atmosferę bitewnych zmaganiań.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego. I zdrętwiała. Nie spał.

Przyglądał się jej. Och, z taką czułością!... Ogarnęło ją emanujące od niego ciepło. Cudowne, kuszące ciepło.

Nagle poczuła, że palą ją policzki.

- Słuchałeś... - głos załamał się jej z zażenowania. - Słuchałeś moich myśli?

Nie odrywając od niej wzroku, powoli pokręcił przecząco głową.

Genevieve z ulgą przymknęła oczy i cofnęła rękę.

- Nie...

Spojrzała na niego.

- Nie ruszaj się - dokończył. Odwrócił dłoń do góry. - Daj mi rękę, kochana.

Ciepło nagle zmieniło się w palący ogień. A jeśli widział te jej śmieszne marzenia? Miała ochotę schować twarz w dłonie i rozplakać się z ponizenia. Cała odwaga, jaka pozwalała jej stawić czoło Kendrickowi, gdy wymachiwał mieczem, ulotniła się w jednej chwili.

Zerwała się i uciekła.

Pędziła korytarzem do swojej sypialni, modląc się, żeby nie miał sił za nią pobiec. Zaryglowała drzwi i rzuciła się na łóżko. Schowała głowę pod kołdrę, jakby miało to obronić ją przed Kendrickiem i własnymi głupimi marzeniami.

Boże, zmiłuj się.

Zakochała się w duchu.

Kendrick siedział na małej, dwuosobowej kanapce i niecierpliwie stukał nogą w podłogę. Właściwie raczej nerwowo niż niecierpliwie. Wiedział, że Genevieve niedługo się zjawi i, szczerze mówiąc, nie był pewien, czy spodoba jej się to, na co zamienił swój wielki fotel. Czy kanapka za bardzo nie sugeruje intymności?

- Do diabła... - mruknął. - Skąd przyplątało mi się to cholerstwo?

Miał na myśli bezwiedne stukanie nogą w podłogę, nerwowy tik, jakiego nigdy przedtem u siebie nie widział. Zresztą, czy w ogóle wcześniej bywał nerwowy w takich sytuacjach? Kobiety w jego czasach uganiały się za nim jak psy gończe za zwierzyną i częściej się od nich opędział niż dumał nad zalotami. Miał reputację równie dzielnego na polu walki, co w łożu, co w połączeniu z plotkami na temat jego majątku ściągało rozognione damy nawet z dalekiej Italii. Bogate wdowy, znudzone arystokratki, egzaltowane dziewice; tak, wszystkie knuły, jak zaciągnąć go do łóżka.

A teraz nagle ogarnia go nerwowość? Bo boi się przepłoszyć kobietę, której nie może nawet dotknąć? To najbardziej idiotyczna sytuacja, w jakiej kiedykolwiek się znalazł. Ojciec pękałby ze śmiechu, gdyby mógł go teraz zobaczyć.

Minął tydzień od dnia, gdy Genevieve wypadła jak burza z jego gabinetu, i zdarzyło się w tym czasie kilka rzeczy. Przede wszystkim odzyskał siły. Właściwie szybko przyszedł do siebie, ale przeciągał okres rekonwalescencji, by Genevieve dłużej się o niego martwiła.

Udało mu się zwabić ją do siebie jeszcze raz. Miał ogromną ochotę zajrzeć w jej myśli i dowiedzieć się, dlaczego uciekła wtedy w takiej panice, lecz w ostatniej chwili zrezygnował.

Jakiegokolwiek myśli zaprzętały jej umysł, z pewnością nie chciała, by je znał. Może to i lepiej. Jedyne, czego był pewien, to że Genevieve uważa go za nędzną kreaturę. Niepokojnie poprawił się na kanapie. Nie było to zbyt miłe.

Kolejnym wielkim wydarzeniem było uświadomienie sobie własnych uczuć. Na początku sądził, że zafascynowanie tą dziewczyną jest jedynie przelotne. Niedługo minie i wtedy powie jej, żeby przepisała akt własności zamku na niego.

Wszystko tak obmyślił, by cała operacja nie trwała dłużej niż dwa tygodnie.

Sytuacja diametralnie się zmieniła, gdy zrozumiał, że jest w niej zakochany.

Nie musiał długo zastanawiać się, kiedy to się stało. Nie wtedy, gdy, przekonana, że Kendrick nie może przeniknąć przez zamknięte drzwi, próbowała uciec przed nim do jego własnej sypialni. Nie wtedy, gdy prawie znokautowała go drzwiami od lodówki. Nawet nie wtedy, gdy zaprosił ją do swoich prywatnych apartamentów i z takim zainteresowaniem oglądała jego rzeczy i rodzinny portret.

Nie, to się stało, kiedy przebudził się z drzemki i zobaczył na swojej dłoni drobną rękę kobiety skulonej w fotelu obok, odzianej w śmieszny piżamę. Uśmiechała się tak uroczo, jakby odnalazła właśnie swoje szczęście. Potem otworzyła oczy i zobaczył w nich blask rozmarzenia. Był dziwnie pewien, że jest przedmiotem tych marzeń. Na wszystkich świętych, miał ochotę chwycić ją w ramiona i całować do utraty tchu!

Z westchnieniem przesunął ręką po włosach. Teraz nie mogło być mowy o odejściu Genevieve. Na dobre czy złe, będą musieli znieść to, co los im przeznaczył. W końcu może Genevieve przepisze na niego zamek. Wtedy Kendrick odejdzie na drugą stronę i będzie tam na nią czekał. Zakładając oczywiście, że dojdą do porozumienia.

Rozległo się ciche pukanie i Genevieve weszła do pokoju. Kendrick pospiesznie założył nogę na nogę starając się przyjąć zwykłą pozę. Zerknął na nią z nadzieją, że nie zobaczy niesmaku. Była pierwszą kobietą od siedmiuset lat, którą pragnął zdobyć. Nie był pewien, jak zareaguje, jeśli go odrzuci.

Uśmiechała się nieśmiało. Och, wciąż czuje się przy nim trochę zażenowana po tym wieczorze, kiedy go dotknęła. Ale to minie. Kendrick jest bardzo cierpliwy. Kiedy nadejdzie odpowiedni czas, Genevieve mu zaufa. W każdym razie uśmiecha się i nie ucieka na widok buduarowego mebla. Kendrick też lekko się uśmiechnął.

- Sympatyczny mebelek - powiedziała. Podeszła od tyłu do kanapy i przesunęła ręką po obiciu. - Ale jak udało ci się wtargać to na górę? A właściwie lepsze pytanie - kiedy?

- Wczorajszej nocy. Kupcy w miasteczku są przyzwyczajeni do wizyt Worthingtona o dziwnych porach. Zrobiło mi się żal, że musiałś siedzieć w tym niewygodnym fotelu, kazałem więc sprowadzić to.

Uśmiechnęła się.

- Jesteś niezwykle miły, milordzie.

- Chodź, sprawdź, czy jest wygodna - powiedział od niechcienia, jakby było mu zupełnie obojętne, czy usiądzie obok niego, czy nie.

„Spokojnie, Kendrick - powiedział do siebie w duchu. - Nie gap się na nią tak błagalnie.”

Powoli przeszła dookoła kanapy i usiadła. Gdyby odsunęła się jeszcze kawałeczek, wylądowałaby na przeciwległym oparciu.

- Zdjęli ci dzisiaj szwy? - spytał uprzejmie. - Mogę zobaczyć?

Wyciągnęła rękę, ale gwałtownie odskoczyła, kiedy pochylił się, żeby lepiej się przyjrzeć.

Musi natychmiast odwrócić jakoś jej uwagę. Inaczej znowu ucieknie.

- Popatrzmy na futbol? - spytał zachęcająco. - Mam mecz nagrany na wideo. Jeszcze go nie oglądałem.

- Świetnie. - Skinęła głową. - Może w końcu moja drużyna pobije tych twoich Raidersów.

Jej drużyna, rzeczywiście. Kendrick poczuł, że psuje mu się humor.

- Steve Young gra jak pokraczna baba - powiedział z naciskiem.

- Wcale nie.

- Tak, tak. Rzucałbym dwa razy dalej i mocniej od niego. I nie potrzebowałbym pierwszej linii do osłony - dodał arogancko.

Genevieve rzuciła mu rozbawione spojrzenie.

- Oczywiście, milordzie.

Kendrick zmierzył ją groźnym spojrzeniem za protekcyjny ton, na co odpowiedziała wybuchem śmiechu. Nie był jednak tak naprawdę zły i zauważył, że Genevieve jest rozluźniona. Nie wciska się już w kąć kanapy. Postarał się, żeby groźna mina nie zamieniła się od razu w uśmiech. Wygląda na to, że odwrócenie uwagi jest najlepszym sposobem rozbijania panny Buchanan.

Mecz się rozpoczął i po kilku minutach dziewczyna była zupełnie pochłonięta grą. Śmiał się z jej głośnych reakcji - gdy już poddała się emocjom, była równie zawzięta jak on. Potem rozwścieczyła go jej uwaga na temat potężnej budowy zawodników.

Wcale nie byli zgrabni, raczej przycięzcy w tych obcisłych strojach. On to by dopiero dziarsko wyglądał na boisku! Kusiło go, by wyczarować sobie na chwilę ubranie zawodnika, tylko po to, żeby się jej pokazać. Uznał jednak ten pomysł za nieco przesadzony.

W czasie przerwy zainteresowanie Genevieve przygasło, pozwolił jej więc wejść do swego sanktuarium. Ze skrywaną dumą podglądał, jak zafascynowana wpatruje się w jego skarby.

Poprzedniego dnia poszedł za nią i zobaczył, że delikatnie przesuwa palcami po tunice, którą nosił za życia. Widok ten wywołał w nim podejrzaną skurcz w gardle. Szybko wyszedł, nie chcąc jej przeszkadzać. Uciekł na mury i torturował się wizją, że Genevieve gładzi bluzę, którą właśnie miał na sobie.

Wzdychając położył nogi na stołku przed kanapą, założył ręce na karku i wygodnie się rozparł. Gdyby nie okropna świadomość, że nie może jej dotknąć, czułby się tak wspaniale, jak nigdy dotąd. Po raz pierwszy od stuleci odnalazł swoje dawne ja. Zniknęło pożerające go nieustannie pragnienie zemsty. Przestał obsesyjnie myśleć o niegodziwym spisku Matyldy i Ryszarda. Przestał też obwiniać Opatrzność o swoje nieszczęście.

Przepęłniała go wdzięczność. Nigdy nie sądził, że siedem wieków czekania przyniesie mu taki skarb jak ta kobieta. Z pewnym wahaniem, lecz był gotów przyznać, że czuje wdzięczność za swoją mroczną przeszłość. Gdyby nie te ponure lata, nie mógłby docenić światła, które przyniosła Genevieve.

Wdarła się w jego egzystencję z siłą huraganu i omotała swoją radością życia, zanim zorientował się, co się dzieje. Jak mógł oprzeć się urokowi jej śmiechu, kiedy odstawał swoje niezdarne sztuczki? Jak mógł nie podziwiać jej determinacji, entuzjazmu i radości, którą czerpała z codziennych drobiazgów?

Dzięki niej przypomniał sobie zapach przesyconego solą powietrza, wydawało mu się, że znów dotyka ziemi w ogrodzie, czuje smak przyrządzanych przez Worthingtona potraw.

No i ona sama. Jako kobieta. Nieśmiały, czarujący uśmiech, wybuchy radosnego entuzjazmu, uwodzicielskie spojrzenia piwnych oczu... Uwielbiał patrzeć, jak Genevieve kręci się w tym śmiesznym czerwonym stroju do spania, w którym wygląda jak wyrośnięty dzieciak.

Tak, jedyne nieszczęście polega na tym, że nigdy nie będzie dla niej tym, kim chciałby być. Nigdy jej nie przytuli, nie pogłaszcze po włosach, nie pocałuje. Nigdy nie spocznie obok niej nocą i nie przyciągnie do siebie jej drobnego ciała. Ani nie chwyci na ręce, by zanieść na plażę i kochać się w promieniach letniego słońca.

Może potrzebował siedmiu stuleci, żeby odczuć żal za tym, co już nigdy nie wróci. Za życia pewnie nie spojrzalby na nią drugi raz. Ważniejsze były bitwy i podboje. Jeśli czuł niedosyt po wyprawie krzyżowej, włóczył się po Europie i zaciągał w służbę najemną, pędząc życie pełne niebezpieczeństw, krwi i śmierci.

Zrobił się cyniczny. Wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy, ale tak właśnie się stało. Kobiety były dla niego jedynie pewnego rodzaju udogodnieniem życiowym. Pobieżnie wspominał dziesiątki niewiast, które uwiodły go z takich czy innych powodów. Wiele z nich wciągało go do łóżka z pobudek ambicjonalnych albo dla zwykłej zabawy. Nie raniło to w najmniejszym stopniu jego uczuć. Opowieści pięknych dam o jego miłosnych wyczynach poprawiały mu jedynie reputację.

Zdarzały się też mścicielki, kobiety, które wykorzystywały go, by poniżyć innego mężczyznę. Przeżył kilka starć o poranku z rozwścieczonymi zdradzonymi mężami. O tych kobietach wolał zapomnieć.

Tylko kilka zachował w pamięci. Dwie czy trzy z nich były niewinnymi dziewczycami o rozmarzonych oczach. Każdą bez osłonek uprzedził, by nie łudziła się nadzieją małżeństwa. Oferował tylko krótki romans, co mogło okazać się wspaniałym darem, biorąc pod uwagę, że prawdopodobnie i tak wyszłyby za mąż bez miłości. Skądinąd dość samolubnym darem.

Inne były wdowami albo starszymi od niego kobietami, które doceniały jego werwę i poczucie humoru, i umiały dochować w tej grze zasad fair play. Polegało to na wzajemnym poszanowaniu bez żadnych zobowiązań, dzieleniu przyjemności, dopóki związek trwał, i przyjacielskim rozstaniu, gdy się kończył.

Nagle zdał sobie sprawę, że Matyldy nie było wśród kobiet, które przedefilowały teraz w jego wspomnieniach. Uśmiechnął się lekko. Nie, nigdy naprawdę jej nie kochał. Była jedynie środkiem do celu.

Środkiem, dzięki któremu dostał Genevieve.

Opuścił ręce na kolana i zamknął oczy. Ciekawe, co powiedziałyby lady Buchanan, gdyby wyznał, że się w niej zakochał?

Genevieve chodziła po sanktuarium Kendricka, dotykając wszystkich zgromadzonych tu przedmiotów. Czy on kiedyś ich dotykał?... Podeszła do gabloty z jego ubraniami. Jak prawie codziennie od tygodnia otworzyła ją i dotknęła wyblakłej tkaniny.

Opuściła szybę i odetchnęła głęboko. Chyba traci rozum. Nie ma innego wytłumaczenia na to, co się z nią ostatnio dzieje.

Kendrick jest duchem. A nawet gdyby nie był, cóż by to zmieniło? Zachowywał się wobec niej przyjaźnie i to wszystko.

Potrząsnęła głową. Nic ponadto z pewnością nie przyszło mu nawet do głowy.

Zbliżyła się do biurka i popatrzyła na portret. Jaka to musiała być cudowna rodzina. Wyobraziła sobie, jakie młodzieńcze kawały bracia robili sobie nawzajem. Nawet na obrazie chłopcy wyglądali na niezłych urwisów. W ich oczach błyskały te same iskry, co w spojrzeniu ojca. Robin z Artane uśmiechał się do niej z góry, a ona odwzajemniła mu się tym samym. Prawdopodobnie był najbardziej niesforny z całej bandy.

A w postaci lady Anny było coś niezmiernie pięknego. I nie miało to związku z jej złocistymi włosami i niesamowicie zieloną barwą oczu. Emanowało z niej piękno wewnętrzne, szlachetność duszy, którą musiał odczuwać każdy, na kogo spojrzała. Genevieve pomyślała, że bardzo pragnęłaby poznać tę kobietę. Czas spędzony w jej towarzystwie nie byłby stracony.

Opuściła wzrok na biurko, ale nie zauważyła tu nic ciekawego. Jakies otwarte księgi rachunkowe - niewiele ją interesowało, co zawierają. Miała już odwrócić się i odejść, gdy jej uwagę przykuła kartka papieru. Pochyliła się i podniosła coś, co wyglądało na pokwitowanie rachunku.

Lord Kendrick de Piaget, pokwitowanie rachunku za wyświadczony usługi, 25 funtów. Pokwitowanie podpisane było przez Bryana McShane'a.

Zaszokowana wpatrywała się w kartkę. Nie wolno wyciągać pochopnych wniosków... Wyobrażała już sobie pięć potwornych scenariuszy. Może to tylko zbieg okoliczności. Bryan McShane zaoferował jej zamek w dobrej wierze. Kendrick z pewnością nie posłał go do Stanów z ofertą, by zwabić ją w śmiertelną pułapkę. Zanim popuściła wodze wyobraźni, z pokwitowaniem w ręce weszła do pokoju telewizyjnego. Kendrick wyglądał na śpiącego, ale nie powstrzymało jej to. Głośno chrząknęła.

Otworzył jedno oko.

- Pani wzywała, madame? - spytał przeciągle.

Pokazała mu pokwitowanie.

- Co to jest?

Coś przemknęło przez jego twarz, ale zniknęło tak szybko, że nie była pewna, czy jej się nie przywidziało. Kendrick powoli wyprostował się na kanapie i popatrzył na kartkę, którą trzymała w ręce.

- Wygląda na pokwitowanie od mojego prawnika.

- Znasz go? - wykrztusiła. - Pracuje dla ciebie?

Kendrick uśmiechnął się rozbawiony.

- Kochanie, jak inaczej dowiedziałabyś się o zamku? Oczywiście, że kazałem mu cię tu sprowadzić. Przyznaję, że na początku nie miałem najczystszych intencji, ale teraz nie masz chyba do mnie pretensji?

Jęknęła głośno i upadła na kanapę obok niego.

- Nie próbuj czarować mnie tym swoim uśmiechem. To na mnie nie działa.

Czy powiedział „kochanie”? Nie dała poznać, jaką przyjemność jej to sprawiło. Nie ujdzie mu to na sucho, nawet jeśli jest tak przerażająco przystojny i siedzi tu obok z niewinną miną.

Pokiwiała mu palcem przed nosem.

- Nie waż się mnie zwodzić. Wysłałeś McShane'a, żeby zwabił mnie w śmiertelną pułapkę, tak?

Zrobił jeszcze bardziej rozbijającą minę, najwyraźniej licząc, że Genevieve da się nabrać na ten chwyt. Westchnął, kiedy wbiła w niego ponury wzrok.

- Gen, daj spokój - powiedział pojednawczo, przysuwając się bliżej. - Wiesz, jak mi przykro, że przestraszyłem cię kilka razy na początku. Nie miałem pojęcia, jaką jesteś wspaniałą osobą. Gdybym wiedział, nigdy nie zrobiłbym nic podobnego.

- Co jeszcze masz na sumieniu?

Kiedy uśmiechnął się czule, miała ochotę zamknąć oczy w odruchu obrony. Ten mężczyzna naprawdę nie ma skrupułów.

- Źle oceniłem osobę, której wcześniej nie znałem, a potem pożałowałem swojego zachowania. Wybaczysz mi?

Skapitulowała.

- Dobrze - powiedziała z westchnieniem. - Wybaczam ci. Poza tym przespałeś pół meczu, a twoi Raidersi przegrywają. A... - dodała - ja nadal nie pochwalam tego, co zrobiłeś. Znęcasz się psychicznie nad tym biednym człowiekiem. - Westchnęła znowu widząc, że prawie jej już nie słucha. - Wyszło chyba jednak na dobre. Twoja oferta wyciągnęła mnie z prawdziwego dna.

Kendrick udał, że nie słucha. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Oby tylko nie przyszło jej do głowy dziękować mu, że zjawił się w jej życiu, gdy wszyscy inni się odwrócili.

A niewiele brakowało!

Właściwie jej nie okłamał. Po prostu przemilczał dużą część prawdy. Lecz prawda na zawsze by ich rozdzieliła. Pomyślał, że rano koniecznie musi zadzwonić do McShane'a i ostrzec go, by trzymał język za zębami.

Gdyby Genevieve dowiedziała się, że to Kendrick napuścił na nią wszystkich klientów, dostałby tak za swoje, że nawet bał się o tym myśleć.

## 12

Bryan McShane odsłonił kotarę przy oknie i wyjrzał na zewnątrz. Prawie świtało. Maledica niedługo pójdzie do pracy i ulice będą bezpieczne. Bryan chciał uciec z mieszkania dziś w nocy, ale możliwość natknięcia się gdzieś w ciemnościach na swego pracodawcę odwiodła go od tej myśli. Lepiej poczekać na światło dnia.

Nie miał ochoty wracać do mieszkania po ostatniej kłęsce w Seakirk, lecz nie było wyboru. Po pierwsze wszystkie pieniądze trzymał ukryte w materacu. Bez grosza przy duszy nie wydestanie się z Anglii. W materacu znajdowały się też narzędzia do fałszowania dokumentów. Kto wie, czy nie przydadzą się jeszcze kiedyś w przyszłości?

Zadzwoił telefon. To musi być Bobby. Bryan skontaktował się wcześniej ze szkolnym kolegą i ubłagał, by zawiózł go do portu. Miał nadzieję, że nic nie zburzyło ich planu.

- Halo?

- McShane? Cieszę się, że cię zastałem. Mamy coś do omówienia.

Lord Seakirk. Bryan natychmiast zaczął się pocić. Ten wampir nie zdołał chyba wydostać się poza teren swoich ziem?

- Milordzie... - zaskrzeczał w słuchawkę. - Gdzie pan jest?

- A jak sądzisz, głupku? - odparował szorstko Kendrick. - Mózg ci przestał pracować?

- Proszę wybaczyć, milordzie. - Bryan zreflektował się szybko. Pokusa, żeby odłożyć słuchawkę i skończyć z tym wszystkim, była bardzo silna, lecz nie na wiele by się to zdało. De Piaget był w stanie nasłać na niego któregoś ze swoich upiornych oprychów. - Czym mogę służyć? - wydusił przez ściśnięte gardło.

- Chcę, żebyś trzymał język za zębami na temat zdarzeń, które skłoniły pannę Buchanan do przyjazdu do Anglii.

- Och, ma pan na myśli telefony do jej klientów? - spytał bezmyślnie Bryan. - Ale milordzie, jakie to ma znaczenie...

- Owszem, ma znaczenie, ponieważ chcę, by zostało między nami - przerwał Kendrick. - Przekazałem na twoje konto pokaźną premię, McShane. Jeśli okażesz się godny zaufania, zastanowię się, czy nie powtórzyć tego manewru w przyszłości. Ale... - W jego głosie zabrzmiała nuta groźby. - Jeśli zawiedziesz moje zaufanie, uważaj, bo znajdę cię choćby na końcu świata. Pożałujesz, że zawiodłeś moją dobrą wolę.

„Pokaźną premię”? Myśli zawirowały szaleńczo w głowie Bryana. De Piaget miał swoje wady, ale nie było wśród nich skłonności do niedomówień czy sknerstwa.

- Oczywiście, milordzie! - wykrzyknął. - Nie powiem słowa, obiecuję panu!

- Dobrze - mruknął Kendrick. - I nie radzę ci zmieniać zdania. Worthington, odłóż tę cholerną słuchawkę.

Rozłączył się. Bryan oparł się o ścianę. Po twarzy ściekały mu strugi potu. Rękawem otarł czoło i ruszył do sypialni po bagaże. Bobby zgodzi się na pewno, by wstąpili po drodze do banku.

Kiedy postawił walizki na podłodze, rozległo się pukanie. Dzięki Bogu stary kumpel jest punktualny! Bryan podskoczył otworzyć drzwi.

Na progu stał Maledica, w nieskazitelnym włoskim garniturze, z gładko przyczesanymi jasnymi włosami. Był ogromny. Szkoda, że sam nie pojedzie nigdy do Seakirk. Starcie między nim i de Piagetem byłoby naprawdę interesującą rozgrywką. Bryan chętnie by to zobaczył. Niestety prawdopodobnie nie dożyje tej chwili.

Maledica wszedł do mieszkania i zamknął drzwi. Zatrzasnęły się złowieszczo.

- Nie zastałem cię w biurze, McShane.

- Och, sir, byłem... achrr!... - zacharczał, kiedy Maledica chwycił go pod brodą za koszulę i unióś nad ziemię. - Sir, wszystko wytłumaczę...

- Milcz. Widzę, że szykujesz się do podróży. Wracasz do Seakirk, domyślam się?

Bryan skinął głową tak skwapliwie, że pięść Malediki prawie wbiła mu się w grdykę.

- Mam wrażenie, że spakowałeś się na długi pobyt. Wolałbym, żebyś nie przeciągał wizyty, McShane. Nie chcesz chyba znów mnie rozczarować, prawda?

- Nie, sir - wydusił Bryan.

Maledica wciąż trzymał go za koszulę.

- Skrewiłeś ostatnio.

- Próbowałem, sir, ale de Piaget...

- Nie tłumacz się! - zagrzemiał Maledica. Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. - Posłuchaj mnie, niezdarna babo, posłuchaj uważnie. Zamek należy do mnie. Zmęczyło mnie już czekanie. Tym razem załatwisz to ostatecznie. Rozumiesz?

- Tak - zaskrzeczał Bryan.

- Rób, co uważasz za stosowne. Pomysł porwania wydaje mi się dość ciekawy, choć to tylko moja opinia. Sugeruję jednak, byś wziął ją pod uwagę. Z pewnością docenisz przenikliwość moich rad.

- Wydaje mi się, że on ją uwięził... - Bryan z trudem próbował zaczerpnąć tchu.

- Psia krew... - zaklął Maledica. - Na litość boską, przecież to duch. - Potrząsnął Bryanem. - Tracisz rozum, człowieku? Panna Buchanan prędzej czy później opuści zamek z jakiegoś powodu. Masz na nią czatować. Do diabła, czy mam załatwić to za ciebie?

- Nie, sir!

Maledica postawił Bryana na ziemi, nie spuszczając z niego lodowatego, pełnego nienawiści wzroku. Jego spojrzenie było tym trudniej znieść, że oczy miał

różnej barwy, jedno brązowe, a drugie niebieskie. Bryan wolał wgapić się w brązowe. Niebieskie kojarzyło mu się z czymś niezwykłym, demonicznym. Najchętniej zniknąłby i nigdy więcej nie oglądał tego człowieka!

- Nawet nie próbuj - mruknął groźnie Maledica, odwrócił się i wyszedł z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi.

Bryan popędził do łazienki. Kiedy pozbył się już resztek śniadania, podniósł głowę i tępo spojrzął w lustro. Miał rozczochrane włosy, czerwone oczy i kurczowo zaciśnięte usta.

Za dużo stresów. To go w końcu zabije.

Genevieve w zamyśleniu przesuwiała palcami po oparciu fotela, wspominając ostatni raz, gdy tu siedziała. Było to tej nocy, kiedy postanowiła, że musi porozmawiać z Kendrickiem, wtedy gdy pojawił się z prawdziwym, a nie wyczarowanym nożem. Okropnie ją wówczas wystraszył.

A teraz siedział naprzeciwko, wpatrzony w płomienie na kominku. Wyglądał niewinnie jak wygrzewający się przy ogniu kot. Długie, odziane w dżinsy nogi wyciągnął przed siebie, dotykał stopą jej fotela. Miał na sobie białą koszulę z rozcięciem pod szyją, z pewnością nieprzypadkowo dość głęboko rozchyłoną na torsie. Włosy związał z tyłu, a ogonek i czarna tasiemka opadały na jedno ramię. Gdyby miał jeszcze w uchu złoty kolczyk, wyglądałby zupełnie jak pirat. Odblaski ognia igrały na jego twarzy, oświetlając zarysy policzków, szczękę i miękką linię pełnych ust. Wpatrywała się w te wargi, kiedy poczuła na sobie jego wzrok. Zacerwieniła się gwałtownie, gdy mrugnął porozumiewawczo.

- Przestań - powiedziała.

Szerzej się uśmiechnął.

- Dlaczego?

- Bo to nieładnie podśmiewać się z kogoś.

- Lubię, jak się rumienisz.

Umilkła zażenowana. Kendrick od dawna drażnił się z nią w ten sposób, przy każdej możliwej okazji. Od czasu, kiedy znalazła pokwitowanie, całymi dniami byli nierozłączni. Genevieve wciąż spodziewała się, że Kendricka znudzi jej towarzystwo, ale jakoś na to nie wyglądało. Jeśli spała trochę dłużej, budził ją, a kiedy chciała wcześniej się położyć, robił tyle hałasu, że i tak by nie usnęła. Niech Bóg broni, żeby przyszła jej ochota poczytać w ciągu dnia. Kendrick nie znoził być ignorowany. Kilka razy powiedziała mu wprost, że jest nieznośny, ale w gruncie rzeczy lubiła jego mrukliwe gderanie i średniowieczne pijackie piosenki, które ryczał jej o świcie nad uchem, jeśli zasnęła. Rozczulało ją, że tak zabiega o każdą chwilę jej uwagi.

- O czym myślisz?

Oparła głowę o fotel i uśmiechnęła się.

- O niczym.

- Nieładnie jest kłamać.

- Nie zainteresowałoby cię to.

- Założymy się?

Potrząsnęła głową.

- Myśli bez znaczenia...

- Więc mogę w nie zajrzeć?

- Ani się waż!

Uśmiechnął się lekko.

- Coraz bardziej mnie kusisz, Genevieve.

Musi odwrócić jego uwagę. Najlepszym sposobem, by odwieść Kendricka od niezręcznego tematu, było odwrócenie jego uwagi.

- Czy jestem podobna do Matyldy? - wypaliła bez zastanowienia.

Po sekundzie dotarło do niej, jaką gafę strzeliła. Kendrick tylko przez moment wydawał się zaskoczony, po czym parsknął sarkastycznym śmiechem.

- O święci litościwi!... nie. Była wysoka i smukła jak ty, ale miała burzę puszystych, jasnych włosów i niebieskie oczy, które mogły zmrozić człowieka z odległości mili. Ogólnie rzecz biorąc, była kobietą nie do zniesienia. Nie mogę zrozumieć, jak Ryszard wytrzymał z nią tyle lat.

- Ryszard?

- Jej kochanek.

- Ach... Znałeś go wcześniej?

Uśmiechnął się.

- Pewnie chcesz, żeby opowiedzieć ci całą historię?

Genevieve poprawiła się niespokojnie w fotelu. Co to za historia? Pewnie, że umiera z ciekawości!

- Jeśli masz ochotę.

- Miesiąc temu nie byłbym w stanie o tym rozmawiać. Teraz nie czuję już takiej goryczy. A odpowiadając na twoje pytanie, nie, nie znałem Ryszarda przed tym fatalnym dniem, gdy ujrzałem go w wielkim hallu u Matyldy.

- Co się stało?

Kendrick zapatrzył się w ogień. Twarz mu stężała, jakby znów przeżywał tamte wydarzenia.

- Przyjechałem powiedzieć Matyldzie, że król podarował mi Seakirk za zasługi podczas krucjaty i że w zamian za obietnicę małżeństwa spłaciłem jej dłużników. Spodziewałem się, powodowany chyba głupią próżnością, peanów wdzięczności.

Genevieve czekała w milczeniu, aż znów zacznie mówić. Nie mogła go w żaden sposób pocieszyć. Miała dla niego tak wiele ciepłych uczuć, ale nie chciała być natrętna. Sam musi zdecydować, czy tego potrzebuje.

- Przybyłem zaledwie z kilkoma ludźmi. Nie przyszło mi nawet do głowy, żeby zabrać większą grupę. Jechałem przecież do narzeczonej. Czego miałbym się obawiać?

- Kendrick... - przerwała. - Może nie chcesz o tym mówić?

- Powinnaś poznać prawdę, Genevieve. Chociażby dla zaspokojenia ciekawości. - Znów zatopił wzrok w płomieniach. - Royce, Nazir i ja staliśmy w wielkim hallu z garstką ludzi.

- Royce?

- Mój kapitan. - Uśmiechnął się przeproszająco. - Przykro mi, że jeszcze ci go nie przedstawiłem. Nigdzie nie może przebywać dłużej niż kilka godzin i pojawia się dość rzadko. Przedstawię ci go następnym razem.

Skinęła głową i czekała na dalszy ciąg opowieści.

- Czekałem, aż Matylda zejdzie mnie przywitać. Ale zamiast niej wpadli do hallu uzbrojeni ludzie i wycięli wszystkich oprócz Nazira, Royce'a i mnie. Byłem tak oszołomiony obrotem sytuacji, że nie zdążyłem od razu zareagować. Zostało nas tylko trzech, lecz bywaliśmy wcześniej w takich opałach. Nazir zabił kilku napastników, zanim go dopadli, a Royce, którego w końcu rozbroili, rozplątał z dwudziestu. Nie mam pojęcia, ilu sam powaliłem, ale ciała leżały wokół w stertach.

- Tu na dole? - szepnęła.

Skinął głową.

- I możesz o tym zapomnieć? - Natychmiast się zreflektowała. - Przepraszam, to głupie pytanie.

Co miał na to poradzić? Nie mógł przecież odejść z Seakirk, choć z pewnością nie zapomniał tych tragicznych wydarzeń.

- Seakirk jest moim domem na dobre i złe - powiedział. - Sądzę, że nie odszedłbym stąd, nawet gdybym miał jakiś wybór. Potem - ciągnął - zawlekli nas do piwnicy i przykuli łańcuchami do muru. Ryszard zszedł na dół i uprzejmie podziękował za wszystko, co mu podarowałem, w tym kilka worków złota, które ze sobą przywiozłem. Potem zabił strzałami z kuszy Royce'a i Nazira, a na końcu mnie. Kiedy skończył, Matylda zeszła na dół. - Skrzywił się. - Z uśmiechem wyszeptwała swoje diabelskie zaklęcia nad nami trzema. Chociaż nie żyłem, wciąż stałem tam i słuchałem jej jadowitych słów.

Genevieve poczuła, że włosy na karku stają jej dęba.

- Była czarownicą?

- Gdybym wierzył w czarownice, musiałbym odpowiedzieć, że tak.

Przeszedł ją zimny dreszcz. Ona też nie wierzyła w czarownice, ale teraz ujrzała w wyobraźni odzianą w średniowieczne szaty kobietę, pochyloną nad trzema umierającymi mężczyznami i mamroczącą czarne zaklęcia. Pytanie, czy posłużyła się czarną magią, czy nie, pozostawało otwarte, z pewnością jednak ściągnęła na nich straszną tragedię.

- Ale dlaczego oni to zrobili?

- Sądzę, że dla pieniędzy. Moja rodzina była niezwykle bogata. - Przesunął palcem po małej bliznie na policzku. - Nie brakowało mi wrogów.

- Skąd masz tę bliznę? - spytała cicho.

Kendrick wyszczerzył się krzywo.

- Pamiątka po wyzbytym honoru sukinsynu z Sedwick o imieniu William. Nienawidził mnie, ale był za głupi albo zbyt mało odważny, by pomyśleć o morderstwie. Nie, to stało się dla złota, Matylda doprowadziła swój plan do końca.

Zmarnowane życie, wyłącznie przez pieniądze. Genevieve chętnie złapałaby tę kobietę za gardło. Zachłanna wiedźma.

- Ile miałeś lat, gdy... - Zawahała się. - Gdy Ryszard...

- Kiedy mnie zabił? Trzydzieści dwa.

- Trzydzieści dwa? I dopiero miałeś zamiar się żenić? Czy to nie trochę późno jak na tamte czasy?

- Miałem swoje powody. - Spojrzał jej w oczy i uśmiechnął niewinnie. Surowość zniknęła z jego twarzy. - Biorąc pod uwagę setki kobiet, które pchały się drzwiami i oknami do mojej sypialni, małżeństwo wydawało mi się dość nieciekawym ograniczeniem.

Miała ochotę go rąbnąć.

- Był z ciebie niezły Don Juan - skwitowała sucho.

- Tak. - Uśmiechnął się zadowolony. - Jestem bardzo utalentowany w sprawach łóżkowych.

- Ty łajdaku.

Roześmiał się.

- Nie masz o co być zazdrosna. One wszystkie już dawno nie żyją.

- Nie jestem zazdrosna. Przeraża mnie po prostu twoja rozwiązłość.

- A ty ilu miałaś kochanków? - spytał prowokacyjnie. - Daj spokój, Genevieve, masz trzydzieści lat, nie powiesz mi chyba, że jesteś dziewicą.

Zerwała się i wypadła z pokoju, zanim zdążyła się opanować. Pobiegnęła do schodów prowadzących na dach. Nawet zimne listopadowe powietrze nie ochłodziło jej płonących policzków. Oparła się o mur mrugając zażawionymi z upokorzenia oczami.

Nie ma nic złego w byciu dziewicą, do diabła! I niech szlag trafi Kendricka, jeśli go to śmieszy!

- To prawda?

Jego niski głos ogarnął ją jak ciepła fala.

- Idź do diabła... - powiedziała ocierając łzy z policzków.

Kendrick oparł ręce na murze po obu stronach jej głowy.

- Gen, kochanie, nie chciałem cię zranić.

Genevieve w geście obrony objęła się mocno ramionami i mrugając nerwowo wyrzuciła z siebie:

- Do cholery, nigdy się z nikim nie umawiałam.

- Gen...

- Jak miałam iść z kimś do łóżka, jeśli z nikim się nie umawiałam?

- Genevieve...

- Nie chciałam chodzić na randki tylko po to, żeby móc się tym chwalić! Zresztą nie obchodzi mnie, co sobie myślisz.

- Ale ja myślę...

- Nie jestem świętoszką. Jestem po prostu wybredna. Psia krew, jestem łakoma na lody czekoladowe, dlaczego nie miałabym być łakoma i na to?

Umilkła rozwścieczona. Proszę bardzo, powiedz coś obraźliwego.

Czekam - zdawała się mówić.

Kendrick nie odzywał się dłuższą chwilę.

- Skończyłaś, kochanie?

„Kochanie”? Genevieve zmarszczyła brwi. Co on właściwie ma na myśli? Zacisnęła zęby i kiwnęła głową. Niech ją teraz ostatecznie pognębi. Wytrzyma.

- To cudowne. Nigdy nie robiłbym sobie z tego żartów.

Odrobinę się rozluźniła.

- Bo nie powinieneś. Nie ma w tym nic złego.

- Oczywiście, że nie. - Przez chwilę milczał, a kiedy znów się odezwał, jego głos wydawał się zachrypnięty. - Cieszę się, że byłbym pierwszy.

Nie mogła powstrzymać lekkiego uśmiechu. Był naprawdę pewny siebie.

Po chwili milczenia spytał:

- Czekając, bo nie spotkałaś nikogo, kto by ci się podobał, tak?

Skinęła głową.

- Nigdy? Nigdy dotąd?

Potrząsnęła głową, a potem zeszywniała. Co to miało znaczyć? Nie, Kendrick nie spojrzałby na nią, gdyby nie to, że jest jedyną kobietą w promieniu dziesięciu mil. Westchnęła.

- Chyba czekałam na marzenie.

Patrzyła na światło księżyca odbijające się w spokojnej powierzchni oceanu. Srebrne smugi mieniły się i znikwały na załamaniach fal. Spokój morza sprawił, że poczuła ogromną ulgę, coś się w niej otworzyło i słowa same zaczęły układać się w opowieść o cudownych marzeniach, które wypełniały jej życie.

- Od dzieciństwa lubiłam marzyć o zamkach i rycerzach - wyszeptwała. - Wymyśliłam sobie, że mam własny zamek, gdzie jestem bezpieczna i kochana. To było piękne miejsce, jak Camelot, zamek króla Artura, który w moich fantazjach był czymś wspaniałym, z tą różnicą, że moja twierdza była prawdziwa i należała do mnie. - Uśmiechnęła się do siebie. - Im byłam starsza, tym fantazje stawały się bardziej wyraziste. Zamek przybrał formę średniowiecznej architektury, a jego wnętrze wypełnione było przeróżnymi cudownymi starociami z epoki. W marzeniach spędzałam dni na spacerach w ogrodzie albo na szczycie murów obronnych, rozkoszując się powiewem morskiej bryzy i ciepłym słońcem. A gdy nadchodziły zimowe chłody, chroniłam się w swojej bibliotece przy ogromnym kominku i tam spędzałam czas wśród bohaterów ulubionych książek, postaci z innego, nierealnego wymiaru.

Umilkła, zatopiona we wspomnieniach, zasłuchana w szum fal miarowo bijących o brzeg.

- Byłaś tam sama?

- Czym byłby zamek bez przystojnego rycerza, który broniłby go przed smokami?

- Oczywiście...

Genevieve zamknęła oczy.

- On uważał, że jestem piękna - ciągnęła cicho. - Wiedział, dlaczego czekałam właśnie na niego. Nie przeszkadzało mu, że nie umiem flirtować, nie jestem zbyt śmiała w towarzystwie i że pewnie popełniałabym gafy na przyjęciach. I było mu wszystko jedno, ile smoków musi zabić, by mnie zdobyć. Nie miało to dla niego najmniejszego znaczenia.

- Powiedz mi, jak on wygląda.

Zapytał tak cicho, że ledwie go usłyszała.

- I jest silny, tak silny, że wrogowie drżą na samą myśl o nim. Mnie jednak nigdy nie zrobiłby żadnej krzywdy. Ma długie, ciemne włosy. Jestem pewna, że uwielbiałby, żebym ich dotykała, ale za nic nie przyznałby się do tego.

- Jakiego koloru ma oczy?

- Zielone - odpowiedziała bez zastanowienia i natychmiast zagryzła wargę. Co skłoniło ją do tej bezmyślnej paplaniny? Boże, ależ nawygadywała głupstw...

- Ciemnozielone?

Zawahała się i jeszcze mocniej zagryzła wargę. Właściwie co ma do stracenia? Dumę? Przecież dumę już straciła. Spojrzała na oparte o mur duże, silne dłonie Kendricka.

- Nie - odpowiedziała cicho.

- Może... jasnozielone?

Bez słowa skinęła głową. „Boże, nie pozwól mu znów się ze mnie naśmiewać!”

- Powiedz mi więcej o tym facecie - poprosił. Jego głos tuż obok jej ucha przyprawił Genevieve o dreszcz na plecach.

- Czy jest przystojny?

- Och, Kendrick...

- Muszę wiedzieć - zagrzemiał. - Jeśli jest inny mężczyzna, zabiję go jeszcze dziś za to, że chce mi ciebie odebrać. Mów, czy twój rycerz jest przystojny?

„Zabiję go za to, że chce mi ciebie odebrać?” Genevieve poczuła ciepło rozlewające się w piersi, cudowne uczucie, jakiego nigdy nie zaznała - należy do kogoś. Uśmiech powoli rozjaśnił jej twarz, a w oczach pojawiły się łzy.

- Mów, Genevieve - groźnie żądał Kendrick. - Jest przystojny?

- Dostyc... - Tak jakby nie wiedział...

Po chwili usłyszała łagodniejszy ton:

- Arogancki?

- Okropnie. - Uśmiechnęła się znowu.

- Narwany brutal?

- Nie zawsze - odparła rozmarzonym głosem. - Nie, jeśli chce, jest bardzo delikatny.

- Genevieve... - powiedział. - Kochanie, masz swój wymarzony zamek. Tutaj, pod stopami. I masz swojego rycerza. Jeśli go zechcesz.

Nigdy tak bardzo nie pragnęła znaleźć się w ramionach żadnego mężczyzny. Podniosła oczy. Światło księżycy rysowało łagodne cienie na jego twarzy. Widziała, z jaką czułością na nią patrzy.

- Czy mam zabić wszystkie smoki, milady?

- Och, Kendrick...

- Tak czy nie?

Podniósł rękę i w tym momencie pojawił się w niej miecz. Stał błyszczała w promieniach księżycy.

- Mój miecz jest gotów do walki. Czy mam go użyć? Zostaniesz damą mego serca, bym miał po co walczyć?

Genevieve wpatrywała się w niego bez słowa. Marzenia spełniały się na jej oczach... Stała jak urzeczona, nie wiedząc, co myśleć. Tak wiele razy patrzyła w rozgwieżdżone niebo i prosiła, by zesłało kogoś, kto kochałby tylko ją. Gwiazdy podobno spełniają czasem marzenia, ale nigdy w to naprawdę nie wierzyła.

Aż do dzisiaj.

- Och... - westchnęła ocierając oczy. - Tak, bardzo bym chciała.

Miecz zniknął. Kendrick zbliżył dłoń do jej policzka. Cień tęsknoty przemknął przez jego twarz i szybko opuścił rękę. Ale nie odsunął się.

- Gdybym miał dość siły - powiedział - porwałbym cię w ramiona.

Poczuła dreszcz na myśl o jego pocałunku.

- Zmarzłaś - odezwał się i postąpił krok bliżej, jakby mógł ogrzać ją swoim ciałem.

- Nie, nie jest mi zimno - powiedziała prawie bez tchu. Drzenie nie było spowodowane chłodem.

Kendrick wpatrywał się w nią dłuższą chwilę. W końcu poważne spojrzenie rozjaśnił łagodny, trochę marzycielski uśmiech.

- Chodź, zejdziemy na dół. Nie mam płaszcza, żeby cię okryć. Przyjdę do sypialni, zanim zaśniesz.

Skinęła głową i poszła za nim wzdłuż murów.

- Zaśpiewasz mi coś dziś wieczorem? - spytała.

- Co tylko zechcesz.

- Tę piosenkę, którą śpiewałeś wczoraj rano.

- Którą? - Udawał, że nie pamięta.

- Przecież wiesz. O sprośnej dziewczynie, która tak upija rycerzy, że wpadają pod stół, a potem zdziera z nich zbroje i je sprzedaje. Bardzo lubię tę piosenkę.

Kendrick zamruczał, kiedy weszli na prowadzące w dół schody.

- Tylko pod warunkiem, że obiecasz nigdy nie wspomnieć o tym Royce'owi, gdy już się poznacie.

- Dlaczego?

Posłał jej łobuzerskie spojrzenie.

- Bo jemu to się przydarzyło.

Genevieve uśmiechnęła się, a Kendrick zanucił pieśń.

Cóż za ironia sytuacji. W końcu znalazła mężczyznę, który jej pragnie i ją szanuje. I kim on jest? Duchem. Tak samo nieosiągalnym jak rycerze w lśniących zbrojach, o których marzyła przez całe życie. Nie może go nawet dotknąć. Nie miała jednak zamiaru uskarżać się na swój los.

Obudziła się i przeciągnęła z przyjemnością. Dawno nie czuła się tak wypoczęta. Żadnych koszmarów nocnych, żadnych upiórów wymachujących straszliwymi mieczami nad jej głową. Jediną bronią, jakiej jej osobisty duch używał przez ubiegły tydzień, były prowokujące żarciki i zniewalające uśmiechy.

Nie, nazywanie go „swoim osobistym duchem” nie oddawało już stanu rzeczy. Stał się jej bohaterem. Miała szaleńczą ochotę uszyć wstęgę, którą Kendrick na znak oddania przewiązałby sobie na ramieniu. Czy odegraliby dla niej z Nazirem rycerski pojedynek?

W nocy obudziła się i zobaczyła, że zasnęła na kapie łóżka. Przez kilka godzin przed zaśnięciem rozmawiała z Kendrickiem, co zdarzało się ostatnio codziennie. Leżała przykryta kocem, z pewnością przez niego, a on patrzył na nią z czułym uśmiechem. Przestraszyła się, czy tak duży wysiłek mu nie zaszkodzi, ale rozwiał jej obawy stwierdzając z błyskiem w oczach, że dokładnie skalkulował swoje możliwości. Jak można dyskutować z mężczyzną, który decyduje się na wyczyn równy przeniesieniu góry, po to tylko, by przykryć ją kocem?

- Kendrick? - powiedziała na głos.

„Tak, kochanie.” Usłyszała w myślach jego szept. Zabrzmiął jak pieszczota.

„Gdzie jesteś?”

„Na dachu. Tęsknisz za mną?”

Uśmiechnęła się. I mówi to ktoś, kto jeszcze przed miesiącem życzył jej śmierci. Wszystko może się zmienić.

- To prawda, wszystko może się zmienić.

Podskoczyła na dźwięk jego głosu tuż koło ucha. Zmaterializował się obok niej na łóżku. Taka zadowolona, rozleniwiona mina o poranku to naprawdę grzech. Uśmiechnął się szerzej, spoglądając na nią.

- Śniłem ci się?

- Wiedziałbyś o tym.

- Zabroniłaś mi zaglądać w swoje myśli. Staram się zachowywać przyzwoicie.

- Mam wrażenie, że przyzwoite zachowanie nie przychodzi ci łatwo. Wyobrażam sobie, ile siwych włosów przybyło przez ciebie lady Annie.

Kendrick znów uśmiechnął się szelmowsko.

- Matka uważała mnie za idealne dziecko. To ojciec dostawał szału z powodu moich błazeństw.

Genevieve położyła się na boku, zwrócona twarzą do niego. Och, jak uwielbiała ranki z nim w łóżku. Nie miała wcale ochoty wstawać.

- Opowiadaj - poprosiła.

- Lista moich wyczynów jest długa.

- Powiem ci, kiedy mnie znudzisz.

Kendrick podparł głowę dłonią.

- No cóż... - zaczął z poważną miną. - Pewnie domyślasz się, że byłem chłopcem ciekawym świata...

- Nieznośnym - uściśliła.

- Niezwykle inteligentnym...

- Wścibskim bachorem.

- Przedsiębiorczym...

- Biedna twoja matka!... - roześmiała się.

- Uwielbiała mnie - stwierdził udając, że się obronił. - Zupełnie się nie zmartwiła, kiedy rozłożyłem na części pierwszy most zwodzony, żeby sprawdzić, jak działa.

Genevieve otworzyła szeroko oczy.

- Niemożliwe... Jak tyś to zrobił?

- Kiedyś w nocy - powiedział z dumą. - Miałem szczęście, że nasi wrogowie nie dybali w pobliżu, inaczej nie miałabyś u swego boku tak przystojnego rycerza.

Zignorowała tę próżną uwagę.

- I co zrobił twój ojciec?

- Pochwalił za ciekawy umysł, a potem tak wrzeszczał, że o mało nie ogłuchłem. Tym razem nie dostało mi się tak strasznie. Ale kiedy niemal zdemolowałem kuźnię, próbując swoich sił w kowalskim fachu, naprawdę wyglądał, jakby chciał mnie złać.

Genevieve skrzywiła się widząc jego diabelski uśmieszek.

- Filip, mój brat, był ze mną. - Kendrick roześmiał się do swych wspomnień. - Ciągłe słyszę jego lamente: „Kendrick, ojciec cię wychłoscze! Zastanów się, co robisz. Och, Kendrick, proszę, błagam cię, nie rób tego!” Filip był zawsze bardziej subordynowany.

- Czy ojciec zbił cię za to?

- Nie, upił się i straszył, że mnie wydziedziczy.

- Uderzył cię kiedyś?

- Nie, ale niezłe mną potrząsał, gdy moja siostra Mary podpuściła mnie, żebym rozłożył na części jego ulubioną kolczugę. - Mrugnął okiem do Genevieve. - Mówiłem ci, że wyglądała jak aniołek.

- Mieliście szczęście, że ojciec był tak opanowany.

Nagle spoważniał.

- A twój był inny?

- Mój ojciec prawie się nie odzywał, zresztą w ogóle był prawie nieobecny. Oboje byliśmy zbyt zajęci wykonywaniem poleceń matki. To ona nosiła spodnie w naszej rodzinie.

- Była trochę uparta, co?

- Można to tak określić.

- Potrzebowała męskiej ręki. Tak jak ty. Silna kobieta potrzebuje jeszcze silniejszego mężczyzny.

- Tak jak ja? - powtórzyła. - O czym ty mówisz? I za kogo się masz, twierdząc, że potrzebuję „męskiej ręki”, jak uroczo to określiłeś?

Z uśmiechem pochylił się nad nią tak blisko, że dotknęłyby się nosami, gdyby sprawy miały się inaczej.

- Jestem twoim panem. Moim obowiązkiem i radością jest chronić cię, opiekować się tobą i dbać, by niczego ci nie brakowało.

- A jaka jest moja rola?

- Absolutne posłuszeństwo - powiedział patrząc jej prosto w oczy.

- Kendrick, to naprawdę najbardziej średniowieczne podejście do sprawy, o jakim kiedykolwiek słyszałam!

- A czego się po mnie spodziewałaś? - spytał z uśmiechem błąkającym się wokół ust. - Ubierz się, moja pani, a pokażę ci, jak cudownie jest być moją poddaną.

Podciągnęła koc pod brodę.

- Wyjdź.

- Wolę zostać.

- Idź sobie - powtórzyła wskazując palcem drzwi. - I nie waz się podglądać. - Nagle zastanowiła się. - Podglądasz mnie pod prysznicem?

- Mimo ogromnej pokusy, dotąd tego nie robiłem - stwierdził uroczyście. - Mam zacząć?

Znowu pokazała mu drzwi.

- Wyjdź stąd, żebym wiedziała, że nie kręcisz się po pokoju, kiedy cię nie widzę.

Posłuchał z ciężkim westchnieniem. Genevieve wyskoczyła z łóżka i zabrała się do porannej toalety. Stęknęła zapinając najwygodniejsze dżinsy. Duże lustro przy szafie odbijało rozmiar katastrofy. Wikt Worthingtona dał widoczne rezultaty.

- Bzdura. Wyglądasz zachwycająco.

Zaskoczona okręciła się na pięcie. Kendrick stał wsparty niedbale o kolumnienkę łóżka.

- Obiecałeś, że nie będziesz podglądał!

- Genevieve, przecież jesteś już ubrana.

- A skąd wiedziałeś?

Wykrzywił się w uśmiechu.

- Podglądałem.

Otworzyła usta, żeby go zbesztać, ale nic nie powiedziała. Co to ma za znaczenie? W końcu to jego sypialnia.

- Nasza sypialnia - sprostował cicho.

Genevieve poczuła, że się czerwieni.

- Nie wyobrażaj sobie czasem, że się tu wprowadzisz na stałe, chojraku. Zresztą i tak nigdy nie śpisz.

- Czasem śpię. Zupełnie wyjątkowo, oczywiście.

- W takim razie znajdziesz sobie inne miejsce.

Kendrick podszedł do niej powoli.

- Ponętna z ciebie dziewczyna, wiesz?

Genevieve patrzyła na niego bez tchu. Był taki potężny. Kiedy patrzyła mu w oczy, wydawało jej się, że zemdleje. Zmusiła się, by nie okazać, jak bardzo ulega jego

sztuczkom. Nie miałyby zupełnie nic przeciw temu, żeby nie odstępował jej dwadzieścia cztery godziny na dobę. Lecz wobec ducha czy nie ducha, nie była jeszcze gotowa na taką intymność.

- Nie możesz tu spać - wyszeptwała z trudem.

Kendrick skrzyżował ręce na piersi i groźnie zmierzył ją z góry.

- Już zapomniałaś, kto tu jest panem?

- Lubisz korzystać ze swojej władzy - powiedziała cicho.

- Domagam się przynajmniej prawa do popołudniowej drzemki - wymamrotał głucho. - Mogę być naprawdę nieznośny, jeśli nie odpocznę przed porą herbaty.

Rozbawił ją ten upór, ale powstrzymała uśmiech.

- Nic ponadto?

- Nic ponadto - mruknął ponuro. - Sam nie wierzę swoim słowom.

Uff!... Popołudniowa drzemka to jedno; nocowanie to co innego. Taki układ jest do przyjęcia.

- W takim razie, zgadzam się, milordzie. Masz prawo do popołudniowej drzemki.

- Widzisz, jakie to proste? Jak miło być posłuszną?

- Och, tak - skwitowała ironicznie.

- A teraz pokażę ci, jaki potrafię być pobłażliwy. Jak masz ochotę spędzić dzień? - Cofnął się i skłonił nisko. - Jestem do twoich usług, pani.

- Myślałam ostatnio o urządzeniu pozostałych komnat. Chcesz mi pomóc?

- Nie wiem, czy na wiele się przydam, ale chętnie dotrzymam ci towarzystwa.

- Będzie mi bardzo miło.

Genevieve nie miała odwagi zabierać się do zdzierania tapet i dywanów w pozostałych pokojach gościnnych. Wiedziała, że sama nie da rady. Popatrzyła na Kendricka, gdy weszli do pokoju nazwanego Komnatą Francuskiego Smurfa.

- Jeśli wezwę ludzi do tej pracy, będziesz się przyzwoicie zachowywać?

- Twoje wątpliwości mnie obrażają. Dlaczego miałbym straszyć niewinne duszyczki?

- Zdaje się, że zdarzyło ci się przyprowadzić mnie o dzikie wrzaski swego czasu.

- To co innego. Mój plan polegał właśnie na...

- Kendrick!

- To było idiotyczne - dokończył. - Właściwie od początku byłem o tym przekonany.

- Marne usprawiedliwienie.

Rozejrzała się po pokoju, próbując wyobrazić sobie tu drewnianą podłogę i kamienne ściany.

- Skąd wzięłaś meble do swojej sypialni?

- Sprowadził je dla mnie Jonatan. Pamiętasz, wnuk Matyldy, który namalował portret mojej rodziny?

- Niemożliwe. Meble nie przetrwałyby tyle lat.

- Ależ tak, jeśli się o nie dba. Poza tym nikt nie używał tej sypialni, należała tylko do pana władającego zamkiem. Każdy, kto próbował, szybko rozumiał, że popełnił błąd.

Roześmiała się głośno.

- Kendrick, jesteś strasznym człowiekiem. Jak mogłeś znęcać się nad Bogu ducha winnymi duszami? Bawiło cię to?

- Potwornie. Szkoda, że nie zabawiałem się w ten sposób częściej, choć wątpię, czy przyniosłoby mi to prawdziwą radość. - Popatrzył na nią czule. - Radość poznałem dopiero niedawno.

Uśmiechnęła się niepewnie, czując znowu gorąco na policzkach. Czy nigdy nie przestanie przy nim się czerwienić?

Odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się promiennie. Nie miała siły ciągnąć teraz tego tematu. Może za kilka tygodni, kiedy przestanie się tak rumienić.

- Znasz dobry antykwariat w okolicy? Albo jakiś stary zamek, który moglibyśmy ograbić?

- Zmieniasz temat, ale nich ci będzie. Mogę posłać Royce'a i Nazira na poszukiwanie mebli. Gdy ustalimy pozycje wroga, po prostu zaatakujemy i ogłuszmy przeciwnika odpowiednio wypchaną sakiewką. Co prawda, nie polegałbym na dobrym guście Nazira w kwestii wystroju wnętrz.

„Mam doskonały gust!”

Genevieve zadrżała słysząc echo zamierającego okrzyku.

- Myślałam, że go tu nie ma.

- Zrobił się z niego domator, odkąd poznał nowe atrakcje Seakirk - stwierdził ponuro Kendrick. - Ale nie martw się, zabroniłem mu wstępu do sypialni. Nie ukaże ci się, dopóki go nie wezwiesz, i nie zrobi ci nic złego, ale za resztę nie mogę ręczyć. Niezła z niego zaraza.

„Nie jestem żadną zarazą.”

Genevieve roześmiała się słysząc rozdrażniony głos, który rozbrzmiał w jej myślach.

- Wydaje się zupełnie sympatyczny.

- A jaki ja ci się wydaję, lady Genevieve? - zapytał Kendrick wpatrując się jej w oczy. - Przysięgam, że nie powiedziałaś słowa na ten temat od wieków.

- Wydajesz mi się odrobinę rozleniwiony - nie patrząc na niego, odpowiedziała pierwszą rzeczą, jaka przyszła jej do głowy. - Pomóż mi coś zaplanować, dobrze? Czas przecieka nam przez palce.

Roześmiał się.

- Na Boga, Genevieve, nie można powiedzieć, byś miała romantyczną duszę. Dobrze, więc co mam robić? I radzę ci, żeby to zadanie nie odsunęło mnie od ciebie.

- Doradź mi - poprosiła. - Czy mam urządzić wszystkie sypialnie w stylu średniowiecznym, czy wolisz, żeby każda była inna?

- Wszystko, tylko nie Ludwik XIV - powiedział wzruszając ramionami.

Parsknęła śmiechem.

- Rozumiem, to jedno odpada.

Kendrick stanął obok niej i w zamyśleniu popatrzył na pokój.

- Może wymyśliłabyś coś podobnego do tego projektu, który zrobiłaś pod Nowym Jorkiem. Wiesz, bardzo mi się podoba taka stylistyka. Proste linie, prawie jak w wiejskiej chacie, bez zbędnej ornamentyki. Tak... - wyraźnie zapalił się do pomysłu. - A jeden pokój może w stylu rustykalnym, tak modnym teraz w Koloniach. Jak dom Montgomerych w Ohio.

Zaczął chodzić po pokoju, opowiadając z werwą i żywo gestykulując.

Genevieve odjęło mowę.

- Umiesz szyć patchworki? Jeśli nie, to kogoś zatrudnimy. A kolejny pokój mógłby być urządony na modłę dziewiętnastowieczną - solidne mieszczańskie gniazdko. Mahoniowe stoły. Fotele obite pięknymi tkaninami. Wielkie, stare lustra. Tak, zawsze lubiłem piękne lustra, mimo że nie mogę się w nich przejrzeć.

- Znasz Montgomerych?

- Oczywiście. Słuchaj uważnie, Gen. Na czym to ja skończyłem? Ach tak, stare lustra.

- Znasz też Allanów?

- Pewnie. - Machnął ręką, nie zastanawiając się nad pytaniem. - Rozmawiałem z nimi przez telefon, kiedy napuszczałem... ich... na ciebie... - Głos mu zamarł, jakby z balonika uszło powietrze. Popatrzył na nią bezradnie. - Genevieve... ja nie chciałem...

To niewiarygodne. Potrząsnęła głową, jakby nie docierało do niej to, co usłyszała. Kendrick ruszył w jej kierunku. Cofała się aż do ściany. Spojrzał na nią z udręką w oczach.

- Nie chciałem...

- Czego nie chciałeś? - spytała ostro, odzyskawszy mowę. - Ruiny mojej firmy? To przez ciebie, prawda?

- Nie przyjąłabyś mojej propozycji...

- Więc zniszczyłeś moje marzenie, jedyne, co kochałam, i wdeptałeś to w ziemię, tak?

- Genevieve, nigdy nie chciałem zranić...

- To ty do wszystkich zadzwoniłeś, prawda? - spytała łamiącym się głosem.

Po chwili milczenia skinął głową.

Ogarnęła ją dzika furia. Kendrick zniszczył jedyną rzecz, którą zbudowała własnymi rękami, i zrobił to po to, by ją zabić.

- Ty łajdaku! - Była na granicy płaczu. - Niech cię piekło pochłonie!

Wyminęła go i wypadła z pokoju. Kendrick stał cały czas tuż za nią i powtarzał, by go wysłuchała, ale nie zważała na to.

Zatkała uszy rękami, żeby powstrzymać głos przedostający się wprost do jej myśli.

- Przestań! - krzyknęła przeraźliwie, zatrzaskując za sobą drzwi sypialni.

Wyszarpnęła walizkę z szafy i rzuciła ją na łóżko. Z kufra pod oknem wyciągnęła naręczę ubrań i zaczęła wpychać je do walizki. Kendrick pojawił się obok.

- Genevieve, błagam cię...

- Czego chcesz? Żebym rozpoczęła nowe życie, a ty znów je zniszczysz?

- Nie znałem cię...

- To cię nie usprawiedliwia - krzyknęła.

- Genevieve, do diabła, pozwól mi wytłumaczyć!

- Zostaw mnie w spokoju! Po tym wszystkim, co ci powiedziałam... Jak mogłeś być tak okrutny?

Ubrania zaczęły same wyskakiwać z walizki.

- Nazir, sam dam sobie radę! - wrzasnął Kendrick. Nazir najwyraźniej nie słuchał. Gdyby Genevieve nie była tak zrozpaczona, pewnie wybuchnęłaby śmiechem z tego pojedynku na fruujące ciuchy. Ona wpychała je do walizki, a Nazir wyrzucał. Nie zwracając uwagi na Kendricka, złapała co się dało, zamknęła w końcu wieko i ściągnęła walizkę z łóżka.

- Genevieve, możesz zacząć tu wszystko od początku - powiedział stanowczym tonem. - Pomogę ci.

- Nie chcę tu niczego zaczynać - rzuciła przez zaciśnięte zęby, próbując pociągnąć za sobą walizkę.

Nie mogła jednak ruszyć jej z miejsca. Z drugiej strony pojawił się Nazir - zaparł się i ciągnął walizkę do siebie.

- Nie bądź śmieszna. - Kendrick nie przyjmował do wiadomości jej słów. - Stworzysz tu dwa razy większą firmę. Budynek garnizonowy przerobimy na magazyn, klienci będą mogli oglądać wszelkiego typu meble...

Genevieve puściła walizkę i spojrzała mu w oczy.

- Nie chcę tu niczego rozpoczynać - powiedziała rozżalona. - Moje życie było tam.

- Ale...

- Jesteś zimnym, wyrachowanym łajdakiem, Kendricku Seakirk. Nie wiem, jak możesz patrzeć mi w oczy po tym, co zrobiłeś. W ogóle nie masz wstydu?

- Zrobiłem wtedy to, co musiałem. Wiesz, że nie postąpiłbym tak, gdybym cię znał.

- I to cię usprawiedliwia?

- Możesz mnie winić?

- Tak! - krzyknęła rozpaczliwie. - Zrujnowałeś moje życie.

- A moje życie? Musiałem cię tu sprowadzić, wszystko jedno jakim sposobem.

- Żeby mnie zabić!

- Nie. - Gwałtownie potrząsnął głową. - Żebyś podpisała zrzeczenie się praw do zamku.

- Zrzeczenie się praw do zamku? - powtórzyła zaskoczona.

- Ale po co?

Jego twarz przybrała nieugięty wyraz.

- Ponieważ to jedyny sposób, bym odzyskał wolność. Gdy zdobęde twój podpis, kłątwa Matyldy przestanie działać i będę mógł dołączyć do moich bliskich po drugiej stronie.

Genevieve zakryła usta dłonią.

- I to był jedyny powód? Jedyny powód, by zniszczyć moje życie?

Skinął głową.

- Dlaczego po prostu nie poprosiłeś? - spytała powstrzymując szloch. - Dlaczego musiałeś zrobić coś tak strasznego?

- Nie wierzyłem, że pomożesz mi z dobrej woli.

- A więc teraz albo moje marzenie, albo twoje, tak? Albo zrezygnuję z zamku, a ty odzyskasz wolność, albo ty zrezygnujesz z wolności, a ja zatrzymam swoje marzenie.

Nigdy wcześniej nie widziała na jego twarzy wyrazu takiej udręki i straszliwego zmęczenia. Odpowiedział krótko:

- Tak.

- Więc możesz o tym zapomnieć - parsknęła pogardliwie.

- Zatrzymaj wszystko - i moje marzenie, i swoje kajdany. Nie podpiszę tego cholernego papieru.

- Genevieve, nie tego chciałem...

- Nie obchodzi mnie, czego chcesz!

- Gdybyś spokojnie się zastanowiła - powiedział błagalnym tonem - zrozumiałabyś, że możemy to rozwiązać...

Odwróciła się i pobiegła do drzwi. Instynktownie chwyciła w locie torebkę. Kupi sobie nowe ubrania, gdy już się stąd wydostanie. Paszport i pokazne konto Kendricka wystarczą, żeby przeżyć.

- Panie, zatrzymaj ją! - błagał Nazir.

- Pozwól jej odejść - zmęczonym głosem powiedział Kendrick. - I tak nic do niej teraz nie dociera.

Genevieve tylko cudem nie skręciła sobie karku, pędząc w dół po krętych schodach. Wciąż szlochała biegnąc przez wielki hall, gdzie wpadła na Worthingtona.

- Milady! - wykrzyknął zdumiony.

Wbiła w niego ponury wzrok.

- Pan też wiedział? Byliście w zмовie, co? Pan, Bryan i jego łajdacka mość?

- W jakiej zмовie? - Worthington szczerze nic nie rozumiał. - Milady, co się, na Boga, stało?

- Niech Kendrick panu opowie, jak zniszczył moje życie.

- Och, milady, jest pani rozdrażniona. Napijmy się dobrej herbaty i wszystko mi pani opowie - powiedział łagodnie.

- Nie mam ochoty na herbatę. Gdzie są kluczyki od jaguara?

Worthington zawahał się, a potem skinął głową. Genevieve patrzyła na niego przez łyż. Jak Kendrick mógł być tak okrutny? Firma była jedyną rzeczą, jaka udała jej się w życiu. Praca zastąpiła rodziców, przyjaciół i kochanka. To było całe jej życie. A Kendrick je zniszczył. Miał w sobie tyle samo współczucia co Matylda.

Worthington z założonymi do tyłu rękami patrzył, jak Genevieve schodzi po frontowych schodach. Wyglądała na zupełnie zdruzgotaną, jakby odebrano jej wszystko, co kochała. A byli ostatnio z Kendrickiem tacy szczęśliwi. Worthington potrząsnął głową. Co za niefortunny splot wydarzeń.

- Zadzwoń pani? - spytał cicho.

Kiwnęła głową.

- I wróć pani szybko do domu - stwierdził, jakby sam chciał uwierzyć, że nie ulega to żadnej wątpliwości. Serce mu się krajało, gdy patrzył w jej zaczerwienione od płaczu oczy.

- Nie wiem, Worthington - szepnęła. - Zawiadomię pana, kiedy podejmę decyzję.

Skinął głową. Nic więcej nie mógł teraz powiedzieć.

- Proszę jechać ostrożnie.

Uśmiechnęła się ironicznie.

- Nie popsuje zabawki jego lordowskiej mości.

- Niech diabli wezmą samochód.

Podeszła do jaguara. Nagle spojrzała do góry. To, co zobaczyła, musiało sprawić jej ból, gdyż szybko odwróciła się i wślizgnęła do samochodu. Silnik cicho zawarkotał. Worthington wilgotnymi oczami patrzył, jak odjeżdża w stronę wewnętrznej bramy. Wszedł na schody i podniósł głowę, zastanawiając się, co Genevieve zobaczyła tam w górze.

W oknie stał Kendrick; z całych sił przywarł do szyby.

- Narobiłeś sobie kłopotów, milordzie - powiedział ze smutkiem Worthington i wszedł do domu.

Kendrick stał na murach zamku, tam gdzie zawsze, i wbrew wszystkiemu miał nadzieję, że widok fal go uspokoi. Stał na dachu od ponad tygodnia, wciąż z tą samą nadzieją. Ale jakże fale mogłyby uspokoić kogoś tak zgnębionego? Potarł rękami twarz, odetchnął głęboko i spojrzał w niebo. Boże, powinien był powiedzieć jej o akcie własności zamku. Powinien był wyrzyszczyć to, gdy próbował wypłoszyć ją z Seakirk. Spakowałyby się w rekordowym tempie.

Ale nie, on uległ egoistycznej pokusie, żeby zatrzymać ją blisko siebie. Zamiast pozwolić jej odejść, robił wszystko, by została. I co dzięki temu zyskał? Tydzień szczęścia, po którym nadeszły najkoszmarniejsze dni, jakie przeżył w ciągu siedmiuset lat.

Zatrzymanie jej przy sobie nie było jego największym błędem. Błąd polegał na tym, że nie był z nią szczerzy. Któregoś z wieczorów, kiedy rozmawiali zwinięci na łóżku, powinien był opowiedzieć o klątwie i spokojnie wytłumaczyć, jak może się od niej uwolnić. Może Genevieve zrozumiałaby, że właśnie teraz, po siedmiu wiekach, Kendrick w końcu ma szansę odwrócić przekleństwo, które przykuło go do murów Seakirk, i że uwolni się dopiero wtedy, gdy zamek stanie się prawnie jego własnością. Zrozumiałaby, dlaczego tak podle ją potraktował i wysłuchała płynącej z głębi serca, najszczerzej prośby o wybaczenie.

Gdyby wybaczyła, popatrzyłby jej głęboko w oczy i wypowiedział słowa, które utkwiły mu w gardle tego straszego popołudnia w niebieskiej komnacie, kiedy wyznał jej prawdę.

Nie chciał, żeby podpisała ten dokument.

Jęknął przeciągle. Lecz słowa nie cofną przecież tego, co zrobił, by sprowadzić ją do Anglii. Bezlitośnie i metodycznie zniszczył jej reputację zawodową. Tak, rzeczywiście groźny z niego przeciwnik. Namierzył ofiarę, osaczył ją i systematycznie niszczył wszystko wokół niej, z precyzją godną najlepiej wyszkolonego najemnika. Może wybaczyłaby inne rzeczy, ale tego nie zapomni nigdy.

Gdyby mogła mu przebaczyć... Popatrzył na kamień pod palcami i przypomniał sobie, jak Genevieve oparła się w tym miejscu, kiedy opowiadała mu o swoich najgłębszych marzeniach.

A on stał się częścią tych marzeń. Jakże ją wtedy uwielbiał! I przyrzekł, że da jej szczęście, zadba, by niczego jej nie brakowało, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby czuła się bezpieczna. Nikomu już niepotrzebne przyrzeczenie. Genevieve nigdy niczego od niego nie weźmie, co oznacza, że on nie ma jej już nic do ofiarowania.

Może jednak wynagrodzić jej straty.

- Milordzie?

Kendrick zwrócił zmęczone spojrzenie na rządcę.

- Jakież wiadomości?

- Nie, milordzie. Miałem nadzieję, że Nazir za nią ruszy i wróci z raportem.

- Nazir powiedział: „Nie budzisz ostatnio mojej przyjaźni, panie. Zostanę na pewien czas przy lady Genevieve." Jeśli ona nie wróci, jego też nie zobaczymy.

- Pragnie pan jej powrotu?

- Na miłość boską, Worthington, oszalałeś? - wrzasnął z rozpaczą w głosie. - Oczywiście, że pragnę jej powrotu!

- Może spróbowałby pan ją odnaleźć?

Kendrick odwrócił skamieniałą twarz w stronę morza.

- Nie bądź okrutny, Worthington. To do ciebie nie pasuje.

- Nie miałem na myśli, żeby próbował pan opuścić Seakirk, milordzie. Mamy obecnie możliwości działania na odległość...

Worthington odwrócił się i odszedł.

Kendrick uderzył się dłonią w czoło, przeklinając własną tępotę. Dlaczego wcześniej nie przyszło mu to do głowy?

Rzucił się do schodów.

- Do diabła, Worthington, zaczekaj! Nie mogę sam wykręcać tych cholernych numerów!

Genevieve z wdzięcznością pozwoliła taksówkarzowi zapakować do samochodu paczki z zakupami. Potem z jękiem upadła na tylne siedzenie. Bolały ją wszystkie mięśnie. Robienie zakupów to ciężka praca.

Pod hotelem dała taksówkarzowi napiwek, co wywołało na jego twarzy szeroki uśmiech. Poprosiła, by pakunki zanesiono do pokoju, a sama weszła do niewielkiej herbaciarni. W Stanach nie była specjalną wielbicieleką herbaty, lecz w Anglii nabrała do niej upodobania. Jediną rzeczą, której ostatnio nie lubiła, było to, że przy wonnej herbacie atakowały ją myśli, które tak starannie odsuwała. Wraz z myśleniem nieuchronnie pojawiały się wspomnienia, a to sprawiało ból.

Kiedy tydzień temu przyjechała do Londynu, czuła się zraniona i kompletnie załamana. Nawet wydawanie tysięcy funtów na ubrania i biżuterię nie przynosiło ulgi. Lecz z czasem ogarnęło ją odrętwienie, a potem głęboka zaduma. Po raz pierwszy pomyślała z odrobiną zrozumienia o bólu, jaki musi odczuwać Kendrick. Czy Matylda nie zrujnowała jego życia tak samo jak on zniszczył jej?

Ale czy jej życie naprawdę legło w gruzach? Przynajmniej wciąż ma ciało - a to prawdziwe błogosławieństwo! Może podróżować, oglądać nowe miejsca, próbować egzotycznych potraw, odczuwać przeróżne zapachy. Kendrickowi to odebrano. Może zniszczył jej marzenia, ale czy na swój sposób ich nie odbudował? Przyjął ją do swego domu. Nauczył ją zasad futbolu. Zaproponował nawet, że pomoże jej założyć w Anglii firmę.

Dał jej dużo więcej. Sprawił, że poczuła się piękna. Patrzył na nią z miłością w oczach i zgodził się zostać jej rycerzem. Drażnił się z nią, śpiewał jej do ucha, arogancko rozkazywał, co ma robić. Czy nie jest to warte odrobiny pobłażliwości? Przecież wcześniej rzeczywiście jej nie znał. Gdyby ją znał, wiedziałby, że Genevieve spełni każde życzenie za jeden jego uśmiech. Zniszczył jej życie w Stanach, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. Prawdę mówiąc, musiała przyznać, że nawet

tego nie dokonał. Zrujnował firmę, tak, ale nie całe jej życie. Życie stało się teraz o wiele ciekawsze niż było kiedykolwiek przedtem.

Odstawiła filiżankę na stół. Za kilka dni pojedzie do domu i jeśli Kendrick zechce, podpisze ten dokument. A jeśli nie zechce, rzuci mu się na szyję i powie, jak bardzo go kocha.

Poszła na górę do swego pokoju. Był naprawdę piękny. Musi wziąć ze sobą broszurę i pokazać zdjęcia Kendrickowi. Będzie zdumiony, jak bardzo hotele różnią się teraz od zajazdów, w których biedni rycerze, jak Royce, tracili pod stołem swoje cenne zbroje.

Zadzwonił telefon.

Genevieve popatrzyła na aparat, wiedząc bez podnoszenia słuchawki, kto jest po drugiej stronie linii. Wytarła dłonie o dżinsy i wzięła głęboki oddech. Nie ma żadnego powodu do zdenerwowania. To tylko Kendrick. Wiele razy z nim rozmawiała.

I tym razem da sobie radę. Paraliżowało ją tylko uczucie, że ta rozmowa będzie bardzo ważna. Podeszła do stolika przy łóżku, nie spuszczać wzroku z aparatu.

Wciąż dzwonił.

Podniosła słuchawkę.

- Halo? - odezwała się niepewnie.

- Czy masz pojęcie, ile cholernych hoteli, zajazdów, schronisk młodzieżowych i pokoi do wynajęcia jest między Seakirk a Londynem?

Usiadła na łóżku, gdyż kolana odmówiły jej posłuszeństwa.

- Nie, ale domyślam się, że to sprawdziłeś.

- Genevieve, nie wiem...

- Kendrick, naprawdę nie musisz...

- Proszę - powiedział przejęty. - Pozwól mi skończyć. To co ci zrobiłem, jest niewybaczalne. Nie zdziwiłbym się, jeśli nie chciałabyś mnie nigdy więcej widzieć. Gdybym mógł odejść z Seakirk, oddałbym ci zamek i zniknął na zawsze.

- Kendrick, naprawdę...

- Kupię ci wszystko, czego potrzebujesz, byś mogła otworzyć nową firmę. Powiedz tylko gdzie, wybierz dom i wyposażenie, a ja zadbam o wszystkie formalności. Każę rozgłosić, że jesteś najlepszym ekspertem od konserwacji zabytków i urządzania wnętrz. Będziesz miała tak dużo pracy, że zatrudnisz do pomocy cały zastęp asystentów. Sądzę, że najlepszy będzie Nowy Jork, ale jeśli zechcesz wrócić do San Francisco, postaram się, byś odzyskała swój dawny dom. Albo znajdę ci nowy, jeśli wolisz. Co tylko zechcesz.

Genevieve poczuła mrowienie na karku. Nie to spodziewała się usłyszeć. Miał prosić ją o powrót, a nie wysyłać do Stanów.

- Rozumiem... - odezwała się bezbarwnym głosem.

- Nigdy nie wynagrodzę ci tego, co straciłaś, ale niestety na pewne sprawy nie mam już wpływu.

- Rozumiem - powtórzyła, zastanawiając się, dlaczego nie jest w stanie wydusić nic innego. - Mam wrócić do Stanów?

- Wiem, że nie chcesz wrócić do Seakirk.

Milczała. W ściśniętym gardle czuła gulę goryczy. On nie chce, żeby wróciła. Gwałtownie zamrugnęła, żeby powstrzymać łzy.

- Wyślę ci rzeczy, jeśli sobie życzysz. Wiem, że nie chcesz po nie wracać...

- To wiesz już chyba wszystko! - wykrztusiła i rzuciła słuchawkę.

Niech go diabli! Miał przeprosić, a potem wyznać jej dozgonną miłość, powiedzieć, że nie może bez niej żyć i że nie może znieść myśli o choćby jeszcze jednym dniu spędzonym bez niej. Nie chodziło jej o to, by zadzwonił i zakomunikował, że nie musi się fatygować po swoje rzeczy. Dlaczego nie wyrzucił ich do fosy?

Telefon znów zaczął dzwonić. Przeczekała dobrych dwadzieścia dzwonek, zanim poderwała słuchawkę.

- Słucham?!

Przez chwilę panowała cisza, a potem usłyszała niski głos:

- Wracaj do domu!

Nie prosił, po prostu rozkazywał.

To był najcudowniejszy rozkaz, jaki kiedykolwiek słyszała.

Odetchnęła powoli.

- Oczywiście, milordzie.

Cisza.

- Kocham cię.

- Och, Kendrick... - Sięgnęła po chusteczkę do nosa. - Ja też cię kocham.

Głośno chrząknął.

- Nie słyszę, żebyś zaczęła się pakować.

Genevieve skuliła się i objęła ramionami. Po co jej kwieciste przemowy, gdy w domu czeka na nią despotyczny, arogancki, kompletnie nieznośny rycerz. Roześmiała się, czując cudowną lekkość.

- Mam jeszcze trochę sprawunków do załatwienia.

- Jeszcze? Genevieve, będę musiał zacząć ograbiać zbłąkanych podróżnych na drogach, jeśli nie ulitujesz się nad stanem mojego konta.

- Kłamca - położyła się na łóżku, z uśmiechem patrząc w sufit. - Gdzie jesteś?

- Nieomal leżę na blacie stołu w kuchni. Worthington wykręcił numer i położył słuchawkę na stole, żebym mógł przyłożyć ucho.

- Dlaczego nie odezwałeś się wprost w moich myślach, tak jak robisz w domu?

- Jesteś poza granicami Seakirk. I wcale mi się to nie podoba, między nami mówiąc. Określeniu „niespokojny duch” nadałem ostatnio zupełnie nowe znaczenie.

- Czy doprowadziłeś już Worthingtona do zrezygnowania z posady?

- Trudno powiedzieć. Większość czasu spędza w pubie. Co robiłaś przez te dni? Oprócz wydawania moich pieniędzy - dodał ponurym tonem.

- Zaglądałam do antykwariatów - odpowiedziała. - Szkoda, że nie mogłam ci pokazać kilku rzeczy, Ale wzięłam katalogi, żebyś obejrzał w domu.

Kendrick chwilę milczał.

- Więc myślałaś o powrocie? Do mnie?

- Kendrick, wybaczyłam ci tydzień temu - powiedziała łagodnie. - Wszystko, co powiedziałeś, to prawda. Zrobiłeś to, co musiałeś. Zniszczyć tę ostatnią Buchanan. Nie powinnam była odbierać tego osobiście.

- Przykro mi, Genevieve. Gdybyś tylko wiedziała jak bardzo.

- Już o tym zapomniałam.

- Gdybym cię znał, nigdy nie zrobiłbym nic podobnego.

- Gdybyś mnie znał, nie musiałbyś tego robić.

W słuchawce rozległ się cichy śmiech.

- Czy mam rozumieć, że przybiegłabyś na jedno moje skinienie?

Zarozumiałstwa nie ubyłoby mu ani na jotę.

- Nie jesteś trochę zbyt pewny siebie?

- To tylko blef, żeby pokryć niepewność.

- Myślę, że nie masz żadnego powodu do niepewności.

- Obawiam się, że odzyskam spokój, dopiero gdy wrócisz do domu, gdzie jest twoje miejsce. Zostaw samochód w Londynie i przyjedź pociągiem. Później kogoś po niego pošlę.

- Muszę kupić jeszcze kilka rzeczy.

- Prezenty gwiazdkowe?

- Jeśli tak, czy pozwolisz mi zostać jeden lub dwa dni?

- To zależy od tego, czy zamierzasz kupić mi coś wyjątkowego. Jeśli opłaci mi się ten układ, jestem skłonny prolongować twój pobyt w Londynie.

- Jaki łąsy na prezenty...

- Ty będziesz najpiękniejszym prezentem... - Nagle głos mu się zmienił. - Wracaj szybko, Gen.

- Tęsknisz za tą okropną Buchanan, co? - szepnęła. - Kendrick, na starość stajesz się sentymentalny.

- Gdyby to było możliwe, zrobiłbym z ciebie panią de Piaget, zanim byś się obejrzała. - Westchnął. - Może coś w tym jest, że pokochałem ostatnią z Buchananów. Moja matka uznałaby to za bardzo romantyczne.

Genevieve zamknęła oczy wsłuchana w niskie, spokojne brzmienie jego głosu. Jak łatwo wyobrazić sobie, że jest jej prawdziwym kochankiem i szepcze w ciemności słodkie obietnice.

- Gen?

- Tak?

- Wiesz, potrafię być bardzo rycerski, jeśli okoliczności tego wymagają.

- Czy to znaczy, że będziesz zabiegał o moje względy?

- Wracaj do domu, to zobaczysz.

- Nie mogę się doczekać.

Cisza po drugiej stronie trwała tak długo, że zastanowiła się, czy Kendrick nie pożałował swoich słów.

- Kendrick?

- Jestem tu - powiedział cicho. - Genevieve, zdajesz sobie sprawę, w co się angażujesz, prawda?

- Nie martw się o mnie, przeżyję.

- Może... - Zawahał się przez chwilę. - Może powinnaś się jeszcze zastanowić.

Nie mam zbyt wiele do ofiarowania.

- Przestań...

- Nigdy nie dam ci ciepła w nocy, rodziny...

- Kendrick, powiedziałam, przestań!

Milczał tylko przez chwilę.

- Nie wiem nawet, czy udałoby się znaleźć jakiegoś szalonego księdza, który dałby nam ślub.

- Kendrick, jeżeli natychmiast nie przestaniesz, odłożę słuchawkę i wyłączę telefon.

Milczał znacząco.

- Te sprawy nie mają dla mnie znaczenia - powiedziała.

- Nie mów głupstw.

- Dam sobie jakoś radę. Nie rezygnuj, zanim nawet nie daliśmy sobie szansy.

- Czy to mają być oświadczyzny, milady?

- Beznadziejny typ! Ty powinienes to zrobić.

- Wracaj jak najszybciej sprawdzić, co przyniósł ci pod choinkę święty Mikołaj.

Genevieve znów się roześmiała.

- Naprawdę masz romantyczną duszę!...

- Pochodzę z romantycznego rodu. Dobrze, a teraz masz zamiar kontynuować tę kosztowną rozmowę, czy może zabierzesz się do czegoś konkretniejszego, na przykład pakowania?

- Przyjadę pojutrze. A rozmawiamy na twój rachunek. Powiedz coś jeszcze.

Zamruczał z udawaną irytacją, a potem powiedział:

- Opowiem ci, jak spędzałem czas. Może zainspiruje cię to do szybszego powrotu.

Genevieve zwinęła się na boku ze słuchawką przy uchu i uśmiechając się do siebie wysłuchiwała szczegółowej relacji, jakie katusze przeżywał jej książę z bajki od dnia, gdy go opuściła.

Nie chciała zastanawiać się nad realnym aspektem swojej sytuacji. Na razie Kendrick jest tak realny jak każdy inny mężczyzna, a pieszczota jego głosu to najcudowniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek odczuwała. Jakby całował delikatnie jej usta, dotykał silnymi rękami i przytulał do ciała równie prawdziwego i namacalnego jak jej ciało.

Później stawi czoło rzeczywistości.

Jakoś da sobie radę.

Genevieve pochyliła się nad szklaną gablotką i pokręciła nosem.

- Nie ma pani czegoś mniej konserwatywnego? - spytała. - Bardziej kolorowego.

Sprzedawczyni uśmiechnęła się.

- Chce pani podarować coś modnego ojcu?

- Lokajowi.

- Ach, to może coś naprawdę odważnego? - Wyjęła muszkę w jaskrawą szkocką kratę. - Bardzo śmiałe zestawienie.

Genevieve przymrużyła oczy.

- Tę również wezmę, ale nie znajdzie pani jeszcze czegoś zabawniejszego, na przykład w cętki albo groszki? Szukam dla niego czegoś naprawdę zwariowanego.

Pół godziny później wyszła z domu towarowego. W torbie z zakupami miała pół tuzina muszek o mniej lub bardziej szalonych deseniach. Cieszyła się na samą myśl, jaką minę zrobi Worthington na ich widok.

- Lady Seakirk?

Najpierw nie zareagowała, ale po chwili uświadomiła sobie, że to ona właśnie jest lady Seakirk. Przed nią stał Bryan McShane i wyglądał, jakby zobaczył ducha. Miała ochotę poczęstować go zdrową wiązanką, ale zrezygnowała. Co to da? Może zabawniej będzie udawać idiotkę i pozwolić mu pograżyć się samemu. Miała wrażenie, że ten facet marzy o nagłej śmierci.

- Och, pan McShane!... - Uśmiechnęła się promiennie. - Co za miła niespodzianka. Jak się pan miewa?

- Dobrze, dziękuję - odpowiedział niezbyt przekonująco.

- Pozwoli pani zaprosić się na lunch? Ciekaw jestem, czy podoba się pani życie na angielskiej prowincji.

Nie wątpię, pomyślała zgryźliwie. Najpierw zwabił niewinną dziewczynę do jaskini lwa, a teraz taki troskliwy. Uśmiechnęła się do siebie, jednym uchem słuchając paplaniny McShane'a.

Na szczęście dziki zwierz w jaskini okazał się najwspanialszym mężczyzną na świecie. Miała ochotę ucałować za to Bryana.

- To tutaj. - Wskazał wejście eleganckiej restauracji. - Ja zapraszam.

Spodziewam się, pomyślała. Wyciągnął od Kendricka dość pieniędzy, żeby jadać posiłki w takich lokalach do końca życia. Najwyższy czas, by Kendrick poszukał tańszego adwokata, tym bardziej że nie ściga już potomków Buchananów.

Genevieve usiadła i uśmiechnęła się do prawnika.

- Jak idą interesy? - spytała uprzejmie.

Bryan miał minę, jakby właśnie zbankrutował.

- Ach, przepraszam na moment, muszę zadzwonić.

Wstał i czmychnął od stołu, jakby przed kimś uciekał. Typowe, pomyślała, przypominając sobie, w jakim tempie ewakuował się po przywiezieniu jej do Seakirk.

Wrócił z takim samym nerwowym pośpiechem, ale wyglądał trochę lepiej.

- Zdaje się, że podoba się pani Seakirk - powiedział przymilnie, pochlipując wodę z kieliszka i uważnie się jej przyglądając.

- Nie mogę uwierzyć, że o mało nie zrezygnowałam z zamku. Jestem panu dozgonnie wdzięczna, tylko dzięki panu przyjechałam do Anglii.

Bryan niespokojnie okręcił się na krześle.

- O, to doprawdy drobiazg. Cieszę się, że wszystko dobrze się układa. Słyszałem plotki o „dziwnych rzeczach”, które się tam dzieją. - Zerknął na nią spod oka. - Nie zauważyła pani nic niezwykłego?

- Jaki zamek nie ma swoich małych tajemnic? - spytała powstrzymując śmiech.

- W Seakirk nie dzieje się nic nadzwyczajnego, jak na mój gust. Planuję właśnie pewne prace restauratorskie. Następnym razem musi pan koniecznie wpaść, pokażę panu cały dom.

- Z przyjemnością.

Zjedli lunch wymieniając grzecznościowe uwagi. Gdy wyszli z restauracji, Genevieve nie wiedziała o Bryanie nic więcej, niż kiedy tu wchodzili. I było jej to zupełnie obojętne. Przy pierwszym spotkaniu wydał jej się nawet do przyjęcia. Ofermowaty, ale nie całkiem beznadziejny. Teraz uderzyła ją jego nerwowość, zachowywał się jak maleńki człowieczek wyzbyty charakteru i godności.

Ale kto wypadłby korzystnie w porównaniu z Kendrickiem?

Dwie godziny później, po odwiedzeniu jeszcze kilku sklepów, wróciła do hotelu. Marzyła o ciepłym prysznicu, filiżance dobrej herbaty i telefonie od Kendricka. Niekoniecznie w tej kolejności. Potem wczesnie położyć się spać, żeby z samego rana dokończyć zakupy. Gwiazdkowy prezent dla Kendricka miał zostać dostarczony pod koniec tygodnia i chciała być w domu, zanim on go zobaczy. Wiedziała, że jeśli nie wróci na czas, Kendrick zabierze się sam do rozpakowywania pudła. A potem przez miesiąc będzie przezroczysty.

Komputer był straszliwie drogi, ale nie mrugnęła nawet okiem podpisując czek. Był to najnowszy cud techniki - użytkownik mógł wydawać polecenia głosem zamiast stukać w klawiaturę. Przy tak lukratywnej dla sklepu transakcji przeprowadzono nawet programistę, który objaśnił jej podstawy obsługi tej magicznej maszyny.

Resztę zakupów też kazała dostarczyć do domu, z przyjemnością korzystając z ułatwień życiowych, jakimi dysponuje posiadacz pokaznego konta bankowego. Teraz spakuje kilka rzeczy, które sobie zostawiła, i wyrusza do domu.

Kiedy tylko weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi, poczuła dziwne mrowienie na karku. Ktoś tu był i czuła, że to nie pokojówka. Machinalnie położyła torby na łóżku i zapaliła światło.

Pokój wyglądał jak pobojuwisko. Łóżko rozbabrane, poduszki rozrzucone po podłodze, meble poprzewracane. Lustro wyglądało, jakby ktoś walił w nie młotkiem.

Wtedy go zobaczyła. Wysunął się z cienia i szedł przez pokój, w rękach trzymając linę. Najwyraźniej Genevieve miała na niej zawisnąć.

Ledwie dosłyszalnie wydusiła: „Będę krzyczeć...”, co nie zrobiło na napastniku żadnego wrażenia.

Zanim przyszła jej do głowy jakakolwiek myśl poza tym, że dobrze byłoby nie zemdleć, w pokoju pojawiła się druga postać. Cała w bieli, z dwoma wielkimi mieczami w rękach.

Nazir.

Na jego widok mężczyzna zeszywniał. Saracen zbliżał się do niego, wrzeszcząc i wymachując mieczami.

Mężczyzna wyciągnął sztylet, cofając się przed nacierającym Nazirem. Nagle potknął się i uderzył głową o kant szafy. Z jękiem osunął się na podłogę. Stracił przytomność.

- Zwiąż go natychmiast, pani!

Roztrzęsiona Genevieve nie mogła ruszyć się z miejsca.

- Pani, szybko!

- Nie... nie wiem jak... - wyjąkała.

- Weź jego linę. Musisz go związać, zanim odzyska przytomność! - Nazir schował miecze do pochew na plecach. - Podejdź tu, pokażę ci, jak to zrobić.

Genevieve zbliżyła się powoli, ale kiedy upewniła się, że napastnik jest nieprzytomny, wzięła się w garść.

- Odwróć go, pani. Teraz liną zwiąż mu ręce z tyłu. Bardzo dobrze. A teraz drugim końcem nogi.

Genevieve skończyła i popatrzyła na swoje dzieło. Nieźle, jak na kobietę na granicy hysterii.

- Zadzwoń do milorda - syknął Nazir swoim niesamowitym głosem.

Skinęła głową i sztywno sięgnęła po słuchawkę, dziękując Bogu, że napastnik nie odciął sznura telefonicznego. Wykręciła numer do Seakirk.

Odebrał Worthington.

- Worthington, niech pan zawoła Kendricka - powiedziała łamiącym się głosem. - Proszę, niech się pan pośpieszy.

Kendrick odezwał się prawie natychmiast.

- Co się stało? Genevieve, nic ci nie jest?

- Ktoś był w moim pokoju. - Szczękała zębami. - Nazir go wystraszył i ten typ uderzył się w głowę.

- Genevieve, odłóż teraz słuchawkę i wezwij kogoś z obsługi - powiedział spokojnie. - Każ wezwać policję. Potem zadzwoń do mnie. Razem poczekamy.

Zadzwoiła do recepcji i ledwie znów połączyła się z Seakirk, rozległo się walenie do drzwi.

- Otwórz drzwi, kochanie - łagodnie powiedział Kendrick. - I każ Nazirowi zniknąć. Na jego widok policjanci dostaną zawału.

- Chyba miałby ochotę ich wystraszyć.

- Wiem. Powiedz mu, że ma zniknąć. Ja zaczekam.

Popatrzyła na Nazira, który najwyraźniej nigdzie się nie wybierał.

- Nazir, nie mogą cię zobaczyć. To tylko policja.

Zerknął na nią sceptycznie.

- Schowam się za zasłoną.

- Zobaczą cię. Bądź grzecznym duchem i posłuchaj Kendricka.

„Jestem duchem, a nie dzieckiem!...” - odbiło się echem w jej myślach. Zniknął, ale pomruki niezadowolenia pobrzmiwały jeszcze chwilę w jej głowie.

Szybko podeszła do drzwi. Policjanci zakuli napastnika w kajdanki, zanim zdążyła cokolwiek wyjaśnić. Potem zwrócił się do niej pękaty mężczyzna z zaczerwienionym nosem.

- Jestem inspektor O'Mally ze Scotland Yardu, proszę pani - powiedział sympatycznie. - Proszę opowiedzieć mi wszystko od początku.

- Rozmawiam przez telefon... - Genevieve spojrzała niepewnie na aparat. - Zaraz skończę. Kendrick?

- Daj mi inspektora - odezwał się stanowczo. - Ja to załatwię. Genevieve podała inspektorowi słuchawkę, nie wiedząc, jak przedstawić Kendricka.

- Tu inspektor O'Mally. - Słuchał przez chwilę, po czym uniósł brew. - To pańska narzeczona? Oczywiście, wasza lordowska mość. Będę jednak musiał zadać kilka pytań. - Znowu chwilę słuchał. - To nie całkiem po drodze... Nie, oczywiście, że nie. Natychmiast, milordzie. Zawiozę ją do domu, tak jest. Dobrze, już daję. - Podał Genevieve słuchawkę. - Jego lordowska mość życzy sobie mówić z panią, milady.

- Słucham?

- Inspektor O'Mally przywiezie cię do domu.

- Dobrze - szepnęła.

- Przykro mi, że nie było mnie przy tobie.

- Nikt nie mógł tego przewidzieć.

- Gen?

- Tak?

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham - wyszeptwała.

- Powiedz to jeszcze raz.

Uśmiechnęła się.

- Kocham cię.

- Słuchałbym tego bez końca... Wracaj jak najszybciej.

- Tak, do zobaczenia.

- Będę sterczał przed drzwiami do waszego przyjazdu.

Uśmiechnęła się znowu.

- Dziękuję ci, Kendrick.

Cztery godziny później byli w drodze. Inspektor O'Mally wziął ze sobą dwóch ludzi, którzy zmieniali się za kierownicą. Genevieve patrzyła w zamyśleniu przez okno. Jak dziwne bywają zrządzania losu.

Kiedy znalazła w końcu swego idealnego mężczyznę, Opatrzność sprawiła przewrotnie, że jest to duch. Wiedziała, że pakuje się w ryzykowną grę, nie mogła

jednak myśleć o Kendricku inaczej niż z radością. Cieszyła się, że znów go zobaczy. Wyobrażała sobie wszystkie te cudowne popołudnia, które spędzą razem, rozmawiając, śmiejąc się, czule patrząc sobie w oczy. Jak para zakochanych.

Tak, na zmartwienia czas przyjdzie później.

Westchnęła z ulgą, kiedy most zwodzony zaczął się opuszczać. Oczekiwano ich, mimo że prawie już świtało. Samochód wjechał przez bramę i zbliżał się do wewnętrznego pierścienia murów. Za kilka chwil będzie w domu.

W domu.

Jak dziwnie uważać trzynastowieczny zamek za swój dom. I kochać ducha z czasów średniowiecza.

Uśmiechnęła się do siebie. Wydawało się to zupełnie normalne. Czy reszta jej życia będzie równie normalna? Pozostawało jedynie mieć nadzieję, że to możliwe.

Młody policjant za kierownicą rozejrzał się z niepokojem, nie widząc wokół żywej duszy.

- Niech pan będzie spokojny - zapewniła Genevieve. - Tu nie ma duchów.

- Słyszałem, że zamek nawiedzają widma - powiedział tajemniczo, jakby spodziewał się, że zaraz wyskoczy na nich horda upiórów.

- Nie trzeba wierzyć we wszystko, co mówią ludzie - powiedziała, kiedy ich oczom ukazała się majestatyczna sylwetka zamku.

Westchnęła głęboko, lecz nie rozluźniło to ściśniętego ze wzruszenia żołądka.

Kendrick stał na schodach przed wejściem. Miał na sobie dżinsy i czarną skórzaną kurtkę. Wydawało się, że drży.

Genevieve zapragnęła objąć go mocno i ogrzać.

Wysiadła z samochodu i ruszyła do schodów, starając się, by jej krok wyglądał statecznie. Ale już po chwili zaczęła biec i zatrzymała się dopiero o stopień niżej, niż stał Kendrick. Począł, aż odzyska równowagę, pochylił się i pocałował ją w policzek.

Poczuła tylko leciutkie muśnięcie powietrza, ale to wystarczyło. Podniosła głowę i uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

Wspaniale się prezentował. Ciemne, długie włosy spadały w nieładzie na ramiona, a kilka kosmyków zasłaniało wciąż tak samo błyszczące, jasnozielone oczy. Wydał jej się jeszcze przystojniejszy i bardziej pociągający niż przedtem. I teraz wiedziała, że ją kocha.

- Cieszę się, że jesteś już w domu - wyszeptał zachrypniętym głosem, próbując przybrać srogiego wyraz twarzy. - Myśli Worthingtona nie są dla mnie tak pochlebne. Tęskniłaś?

„A ty? Tęskniłeś za mną?”

„Dowiesz się, kiedy zostaniemy sami.”

- Witamy w domu, milady - odezwał się Worthington składając głęboki ukłon.

„Stary lis” - mruknął Kendrick.

Genevieve z uśmiechem pochyliła się do lokaja i cmoknęła go w policzek.

- Dziękuję, Worthington. Czy mamy coś do jedzenia? Od dwóch tygodni nie jadłam przyzwoitego posiłku.

Worthington udawał, że jej serdeczny gest nie zrobił na nim żadnego wrażenia.

- Zaraz podam herbatę, milady. I pani ulubione ciasteczka. Pozwoliłem sobie upiec kilka dziś rano.

Kendrick roześmiał się, gdy zmieszany wciąż lokaj wszedł do domu zostawiając szeroko otwarte drzwi.

- Gen, on chyba nie zdaje sobie sprawy, że o świcie jest trochę za wcześnie na herbatę. Nigdy nie widziałem go tak poruszonego.

- Musiałeś doprowadzać go do szału w ostatnim czasie.

Spojrzała przez ramię na swoją trzyosobową eskortę. Policjanci stali trochę skonfundowani u stóp schodów. Spojrzała znacząco na Kendricka. Co prawda wyglądał dziś dość solidnie, a jeśli inspektor zechce uścisnąć mu rękę...

„Zajmę się tym.”

„Niegrzecznie rozmawiać w ten sposób przy innych.” - zbesztła go.

„To bardzo zabawne. Wyjadą przekonani, że odjęło nam rozum. Żeby tak gapić się na siebie i głupio uśmiechać bez słowa...”

Uśmiechnęła się.

„Bawi cię to, prawda?”

„Cieszę się, że cię widzę. A twój słodki głos w moich myślach to dodatkowa radość.”

Kendrick założył ręce do tyłu.

- Inspektorze O'Mally, panowie, proszę wejść do środka.

„Gen, możesz zamknąć drzwi? Wiem, że to niezbyt stosowna prośba, ale...”

„Nie bądź niemądry.”

Pierwsza weszła do domu i gdy wszyscy mężczyźni znaleźli się w hallu, zamknęła drzwi. Na szczęście Worthington był w pobliżu i czujnie podskoczył, by odsunąć dla Kendricka krzesło przy stole. Potem poczekał, aż Genevieve się zbliży i dla niej zrobił to samo. Kiedy usiadła, schylił się i szepnął:

- Milady, jest trochę za wcześnie na herbatę. Czy mam przygotować śniadanie?

- Bardzo proszę. Umieram z głodu.

Inspektor O'Mally odchrząknął głośno i przystąpił do swoich pytań. Genevieve przestała usilnie koncentrować się na tym, co ma mówić. Po prostu wpatrywała się w Kendricka. Oparł się bokiem o krzesło i swobodnie złożył ręce na kolanach. Wyglądał zupełnie normalnie. Od czasu do czasu podnosił dłoń i odgarniał do tyłu opadające włosy. Miała ochotę zrobić to za niego. Boże, jak Matylda mogła się w nim nie zakochać?

„Była głupia.” - Kendrick mrugnął do niej przez stół.

Zakaszłał przywołując się do porządku i odpowiedział na pytanie inspektora:

- Nic mi nie wiadomo, bym miał jakichś wrogów - powiedział.

„Przynajmniej wśród żywych.”

Wrogowie? Dlaczego robią z tego taką aferę? Genevieve popatrzyła na inspektora.

- Jestem pewna, że to był przypadkowy napad. Czyż nie zdarza się to często?  
- Musimy przeprowadzić dochodzenie. A pierwszym krokiem będzie sprawdzenie tropów - stwierdził inspektor. - Czasem umykają nam najbardziej oczywiste szczegóły.

Kendrick odpowiedział jeszcze na kilka pytań, po czym położył ręce na stole dając do zrozumienia, że to koniec przesłuchania. Worthington wyrósł za nim jak spod ziemi i odsunął krzesło.

- Bardzo dziękuję za pomoc, inspektorze - powiedział swoim najbardziej lordowskim tonem. - Zaproponowałbym panom nocleg, lecz przeprowadzamy właśnie remont pokoi. Worthington zawiezie panów do zajazdu w miasteczku i o wszystko zadba. Jutro rano będą tu na panów czekały bilety na pociąg.

- To bardzo miłe z pana strony, milordzie - powiedział inspektor również wstając od stołu.

Gdy później to wspominała, gotowa była przysiąc, że ktoś niewidzialny ją popchnął, ale teraz mogła winić jedynie własną niezdarność. Chciała stanąć obok Kendricka i nagle zorientowała się, że upada na ziemię przelatując przez niego. Przerażona, poderwała się natychmiast przy wtórze zduszonego pisku młodszego z asystentów inspektora. Biedny chłopak wypadł z hallu, jakby uciekał przed stadem głodnych wilków.

Inspektor pozostał imponująco spokojny.

- Jones, idź do niego i powiedz, że miał widzenie.

- Tak jest, sir!

Kiedy drugi chłopak wybiegł z domu, inspektor O'Mally osunął się na krzesło. Drżał, a jego twarz zrobiła się popielata.

Genevieve była pełna podziwu, że nie uciekł w popłochu jak pozostali dwaj.

- Usiądź, kochanie - powiedział do niej Kendrick.

Wróciła na swoje krzesło i popatrzyła mu smutno w oczy.

„Tak mi przykro! To moja wina.”

„On wygląda na dyskretnego człowieka. To wyjdzie nam tylko na dobre. Może zyskamy sprzymierzeńca wśród śmiertelników.”

Usiadł i spojrzał inspektorowi prosto w oczy.

- Jak pan zauważył, nasza sytuacja jest nieco specyficzna.

- Czy jest pan dziedzicem Seakirk? - spytał bez ogródek inspektor. - Nigdy nie interesowałem się zbytnio historią arystokracji, lecz wiem, że Seakirk ma bardzo szczególną reputację. Miałem wrażenie, że zamek należy do rodu Buchananów.

- Wykupiłem długi Matyldy z Seakirk w roku tysiąc dwieście sześćdziesiątym - odpowiedział również bez osłonek Kendrick. - Powinno to być zanotowane w królewskich rejestrach Henryka III. Lecz nie znajdzie pan w nich wzmianki, że tego samego roku, właśnie tutaj, zostałem zamordowany przez kochankę Matyldy. Seakirk należy do mnie.

Inspektor O'Mally z trudem przełknął ślinę.

- Co o tym myśli pana narzeczona?

- Kendrick jest prawowitym dziedzicem - powiedziała cicho Genevieve.

- I są państwo naprawdę zaręczeni?

- To, dobry człowieku - odparł stanowczym tonem Kendrick - nie jest pańska sprawa. Mam metrykę urodzenia, według której pojawiłem się na tym świecie około tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku. I jeśli nie jest pan w stanie znaleźć księdza, który nie będzie próbował żadnych egzorcyzmów, lecz udzieli mi ślubu z ukochaną, proszę ograniczyć się do dochodzenia, a nasze prywatne sprawy zostawić w spokoju.

O'Mally rozparł się w krześle zakładając ręce na wydatnym brzuchu. Wyraźnie się uspokoił i przez dłuższą chwilę w zamyśleniu patrzył na stół. Potem spojrzął znów na Kendricka.

- To zupełnie zmienia postać rzeczy. Ile osób wie o pana istnieniu?

- Bardzo niewiele. Ponieważ nie mogę opuszczać terenu Seakirk, nie mam prawie kontaktu z zewnętrznym światem. Plotki są trochę przesadzone, mimo iż nie sądzę, by wielu ludzi wierzyło w te opowieści.

- A pańska narzeczona?

- Genevieve zna tylko kilka osób w Anglii. W Stanach była znanym ekspertem w dziedzinie renowacji, lecz wątpię, by ktoś przyjechał tu, żeby zrobić jej krzywdę.

- No cóż, będę miał sporo pracy. - Inspektor pokiwał głową.

- Muszę dostać dokładny spis państwa znajomych. Sprawdzę, czy nie ma wśród nich nikogo podejrzanego. W razie potrzeby zastanę państwa tutaj, prawda?

- Dniem i nocą - westchnął Kendrick. - Wypiszemy listy nazwisk i niezwłocznie je panu prześlemy. - Wstał i tym razem bez żenady przeszedł przez krzesło.

Genevieve powstrzymała uśmiech, gdy inspektor znowu przybliżył się, ale zrobiło jej się go żal, więc w drodze do drzwi starała się poprawić mu nieco nastrój dziękując i żegnając się miło.

Kendrick zaczekał, aż samochód odjedzie, a potem zamknął drzwi.

- Ja mogłam to zrobić - powiedziała Genevieve.

- Mam usprawiedliwienie, żeby się zdrzemnąć. Pójdziemy na górę?

Skinęła głową i poszła za nim w stronę schodów. Gdy zbliżali się do sypialni, ledwie ciągnęła nogę za nogą. Tak cudownie było myśleć o powrocie do domu, gdzie czeka na nią ukochany, lecz rzeczywistość była okrutna. On nie żyje. Nie da się uciec przed tym faktem.

Drzwi się otworzyły.

- Kendrick, przestań - powiedziała cicho. - Ja mogę to zrobić.

Bez słowa czekał, aż wejdzie do pokoju. Uprzedziła go i sama zamknęła drzwi. Uśmiechnął się smutno.

- Czy tak już będzie do końca naszego życia? - spytał przekornie. - Będziesz kontrolować każdy mój ruch?

Poczuła palące szczypanie w oczach.

- Kendrick...

- Genevieve, wszystko się ułoży - powiedział łagodnie.

- Ale to takie straszne.

- Gen, może pewnego dnia jakiś anioł ulituje się nad nami. Ale do tego czasu nie możemy się poddawać. A teraz - zmusił się do pogodniejszego tonu - połóżmy się i opowiesz mi dokładnie o wszystkich prezentach, które mi przywiozłeś z Londynu. Zawsze uwielbiałem prezenty.

Nie mogła się nawet zdobyć na uśmiech. Pochylił głowę, żeby z bliska spojrzeć jej w oczy.

- Chodź, kochanie.

Zrezygnowana kiwnęła głową i zrzuciła buty. Kiedy się odwróciła, Kendrick leżał na łóżku, ze skrzyżowanymi stopami i rękami pod głową. Jego buty zniknęły, a stopy wyglądały zupełnie jak prawdziwe. Odwrócił się na bok, kiedy podeszła. Wyraźnie zobaczyła grę jego mięśni pod obcisłymi dżinsami.

- Znowu budzę w tobie sprośne myśli, najdroższa. - Uśmiechnął się lekko. - Nakryj się kocem, bo zmarzniesz.

Położyła się i podciągnęła na nich oboje koc. Patrzyła z niedowierzaniem na wyraźny kształt ciała Kendricka pod przykryciem.

- Jestem duchem, a nie czystą zjawą - wyjaśnił. - Moje ciało jest takie jak twoje, tyle że składa się z trochę bardziej rozrzedzonej materii.

- Więc jak możesz przechodzić przez przedmioty? - spytała.

- Na początku nie było to takie łatwe. Ale nauczyłem się pewnych sztuczek. To kapitalna zabawa. - Popatrzył na nią pogodnie. - Śmieszne uczucie.

Uśmiechnęła się w końcu.

- Inspektor zdębiał, kiedy przeszedłeś przez krzesło.

- Wiem.

Zamknęła oczy, marząc z całego serca, by choć jeden jedyny raz, przez sekundę, poczuć dotyk jego dłoni na policzku. Otworzyła oczy i spojrzała na niego z rozdierającą tęsknotą. Wiedziała, że Kendrick słyszy jej myśli.

- Przestań - powiedział błagalnie.

- To silniejsze ode mnie...

- Nie możemy spędzić reszty życia na marzeniach o tym, co jest nieosiągalne. - Głos odrobinę mu drżał. - Nie mogę cię dotknąć, Genevieve, i nigdy się to nie zmieni. Nigdy nie będę mógł wziąć cię w ramiona, całować i kochać się z tobą. Jeśli oboje nie zaakceptujemy tego teraz, nie damy sobie rady. Mamy jedynie naszą miłość. Czy to ci wystarczy?

- Nie mamy innego wyboru.

- To prawda.

- Czy można pokochać kogoś tak szybko?

Uśmiechnął się, a oczy leciutko mu się zamglily.

- Jeśli czeka się na niego siedem wieków...

Westchnęła, patrząc na niego czule.

- Jesteś absolutnie wspaniały.

- I?... - zachęcił z łobuzerskim błyskiem w oczach.

- Kocham cię - szepnęła. - Głupie to czy mądre, kocham cię.

- To przeznaczenie, Genevieve, a nie głupota. Gdybym wiedział, co przyniosą mi te wieki agonii, czekałbym z radością, zamiast wycinać w pień Buchananów.

- Jesteś cudowny.

- A ty jesteś bardzo piękna.

- I?...

- Kocham cię - odpowiedział. Zmarszczył niby groźnie czoło i dodał: - A teraz śpij. Nie jestem zbyt sentymentalnym typem, a poza tym miałaś już dziś przeze mnie dość zmartwień.

Wciąż uśmiechnięta, zamknęła oczy. Życie nie polega tylko na dotykaniu.

Przyzwyczaj się do tego.

Obudziło ją chrapanie. Zdumiona, natychmiast otrzeźwiała. Kendrick leżał na plecach i chrapał!

- Kendrick - syknęła. - Obudź się.

Wymamrotał coś niezrozumiale, oblizał wargi i dalej spał. Nie dziwiło jej już, skąd wzięło się powiedzenie „chrapać jak niedźwiedź”. Łóżko po prostu trzęsło się pod nimi.

„Widzisz Gen, to niezbyt miłe.”

Roześmiała się, kiedy zamrugał.

- Widzę, że jego lordowską mość zmorzył naprawdę głęboki sen.

Odwrócił się do niej i uśmiechnął.

- Przyglądałem się najpierw, jak ślicznie wyglądasz we śnie, ale potem przypomniałem sobie, że gdzieś z pewnością rozgrywany jest jakiś arcyciekawy mecz futbolowy. Pomyślałem, że miło byłoby obejrzeć go razem, ale potrząsanie tobą przerasta moje możliwości. Uciekłem się więc do tego sposobu, by cię obudzić.

- Dobrze przynajmniej, że nie ryczysz mi sprośnych piosenek prosto w ucho.

- Ta atrakcja zarezerwowana jest na poranki. Po drzemce w ciągu dnia należy ci się tylko mały popis chrapania.

- Rozumiem. Ale powinniśmy zabrać się do sporządzenia tych spisów dla inspektora.

- Moja lista będzie bardzo krótka - powiedział wstając z łóżka. - Pójdę na górę, a ty załatw, co masz do załatwienia.

Genevieve podniosła się z płonącymi policzkami.

- Czy zostawisz mi odrobinę prywatności, na miłość boską?

- Chciałem po prostu być miły.

Rzuciła poduszką. Przeleciała przez niego i upadła pod ścianą. Kendrick uśmiechnął się rozbawiony.

- Jesteśmy trochę drażliwi, co, kochanie?

Pokazała palcem drzwi. Skłonił się nisko i przeszedł przez nie bez otwierania. Genevieve objęła twarz rękami i odetchnęła głęboko, żeby opanować zażenowanie. Tak, do kilku rzeczy musi się przyzwyczaić, między innymi do tego, że Kendrick umie czytać w jej myślach. Gdyby nie był czasem tak okropnie bezpośredni... Może

w przyszłości powstrzyma się od głośnego komentowania, że Genevieve musi skorzystać z toalety. A co będzie, kiedy dostanie okres?

„Nie mam nic przeciwko temu.”

- Uspokój się! - burknęła, jeszcze bardziej zawstydzona. W końcu roześmiała się. - Kendrick, ja mówię poważnie. Zostaw mi przynajmniej odrobinę intymności. To gorsze od małżeństwa!

„Och!...”

„To czytanie w myślach, to jakbyś grzebał w mojej bielizniarce” - pomyślała ze zgorzeleniem, idąc do łazienki.

„To bardziej podniecające, wierz mi.”

„Kendrick!”

Przysięgłaby, że słyszy jego rechot. Weszła do łazienki i zatrzymała się. Do diabła, to naprawdę denerwujące! Puściła wodę i użyła toalety tak cicho, jak to było możliwe. Minie trochę czasu, zanim się przyzwyczai.

Kilka chwil potem pobiegła korytarzem i schodami na trzecie piętro. Zapukała do drzwi gabinetu.

„Wejź, Gen. Nie musisz pukać.”

Weszła do środka. Ogień palił się na kominku, a na oparciu kanapy czekał już na nią ciepły koc. Kendrick siedział trzymając nogi na stołku. Odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Kowboje przeciwko Delfinom. Nie najlepszy ten mecz.

- Jakoś nie mam ochoty oglądać. Chyba że puścisz mi na wideo drużynę, w której gra mój idol. Czy masz w tej jaskini coś do pisania? Pozwolisz, że poszukam?

- Nie mam nic do ukrycia, Genevieve.

Podeszła od tyłu do kanapy i pochyliła się tuż przy nim.

- Żadnych łajdactw, o których powinnam wiedzieć? Nic więcej na sumieniu?

- Oprócz dzikiego pragnienia, żeby cię poślubić i zaciągnąć do łóżka? Nie, znasz już wszystkie moje sekrety.

- Poślubić i zaciągnąć do łóżka? - spytała czerwieniąc się. - A gdzie podział się twój romantyzm?

- Jesteś dopiero jeden dzień w domu. Potrzebuję trochę czasu, by rozwinąć skrzydła mej romantycznej duszy. Na biurku jest notatnik i długopis. Przynies je, spiszemy listy nazwisk w przerwie meczu i w czasie reklam.

- I już jestem sprowadzona do roli dziewczki służebnej... - zamruczała idąc do muzeum Kendricka. Na progu podskoczyła - światło zapaliło się samo. - „Dzięki.”

„Cała przyjemność po mojej stronie.”

Spojrzała na biurko i zamrugła oczami. Jeszcze raz popatrzyła.

Na notatniku leżał długopis i para diamentowych kolczyków. Bez pudełka, kokardek ani kolorowego opakowania. Zwyczajnie sobie leżały, jakby po prostu je zdjęła i zapomniała schować.

- Kendrick!

- Jest ciekawy moment gry, kochanie. Czy to nie może poczekać?

Roześmiała się.

- Nie, to nie może poczekać. Chodź tu.

Nie spiesząc się zbyttnio podszedł do drzwi, oparł się o framugę i uśmiechnął frywolnie.

- Milady wzywała?

- Co to jest? - Wskazała na kolczyki.

- Postanowiłem sprawić ci coś szlachetniejszego niż to, co nosisz w uszach. Dbam po prostu o twój gust.

Podniosła jeden kolczyk, uśmiechając się bezwiednie. Był piękny. Jej biżuteria nie była najwyższej jakości, ale nigdy nie miała albo pieniędzy, albo ochoty, żeby wyszukać coś ładniejszego. Kolczyki to bardzo osobisty prezent. Fakt, że Kendrick o tym pomyślał, sprawił jej wielką radość.

- Załóż je - poprosił. - Chcę zobaczyć, czy wielkość jest odpowiednia. - Po chwili podszedł, żeby dokładnie się przyjrzeć. - Ledwie je widać! Chyba jutro kupię ci większe.

- Większe powalą cię z nóg swoim blaskiem.

- A tobie wyciągną uszy do ramion. - Uśmiechnął się krzywo. - Może rzeczywiście... Do tiary i naszyjnika i te będą pasowały.

- Ani się waż! Nie będę miała gdzie ich nosić, więc to tylko strata pieniędzy.

- Mam więcej pieniędzy niż oboje zdołalibyśmy wydać.

- Nie widziałeś jeszcze, co przywiozłam ci na Gwiazdkę.

- Masz zamiar mnie zlicytować? - spytał przekornie.

Dotknęła kolczyków.

- Są piękne. Dziękuję ci.

Wyciągnął rękę, żeby ją dotknąć, ale zatrzymał się w pół gestu i powoli opuścił ramię.

- Jesteś najpiękniejsza. Cieszę się, że sprawiłem ci przyjemność. Czy możemy już wrócić do meczu? Te zaloty mnie wykańczają.

- Och, idź sobie. - Przegoniła go machnięciem ręki. - Nie chcę pozbawić cię wszystkich sił od razu pierwszego dnia.

- Wzięła długopis i papier z biurka i poszła za nim.

Gra pochłonęła go już całkowicie, kiedy zaczęła pisać. Znała cały tłum ludzi. Od kogo zacząć? Na szczęście była specjalistką od sporządzania list i dość szybko na czterech stronach wynotowała wszystkich dawnych klientów. Potem zajęła się prywatnymi znajomymi. To zajęło o wiele mniej miejsca.

W Anglii zetknęła się tylko z kilkoma osobami. Zaczęła od chwili, kiedy stanęła na angielskiej ziemi, a skończyła na inspektorze O'Mally.

Gdy telewizor umilkł, podniosła oczy znad kartki.

- Przerwa?

- Tak. Jak tam twoja lista?

- Skończyłam. Teraz zacznę twoją. Kto pierwszy?

- Z żywych czy umarłych?

Uśmiechnęła się słabo.

- Umarłych?

- Po naszej wyspie płacze się więcej duchów, niż sobie wyobrażasz. Damy im jednak spokój. Inspektor nie byłby pewnie zainteresowany prowadzeniem śledztwa metodami parapsychologicznymi. Zacznijmy od Seakirk. Mamy tu Worthingtona...

- Kendrick!

- Ten człowiek chce nazwisk, więc mu je podam. Mieszkańców miasteczka pominiemy. Oni i tak interesują się jedynie plotkami. A teraz Londyn.

- Londyn? - powtórzyła zdziwiona.

- Na przykład Bryan McShane, którego tak lubisz.

- Nie lubię go. Jest beznadziejny.

- Ale czasem się przydaje.

- I wyciąga dużo pieniędzy.

- Łatwo go onieśmielić. I to mi się w nim podoba. Następnie mój bankier, pan Beagley. Bardzo uczciwy i prawy młodzieniec. Godny absolutnego zaufania.

- I łatwo go onieśmielić?

- Ma mnie za bogatego odludka, który udaje arystokratę. - Kendrick mrugnął porozumiewawczo. - Sądzę, że moja szczególna sytuacja nie miałaby dla niego znaczenia, gdyby o tym wiedział.

Genevieve postukała długopisem w koc.

- Nadal myślę, że to był przypadek.

- Może.

- Nie sądzisz?

Popatrzył na nią poważnie.

- Ze wszystkich pokoi w hotelu wybrał właśnie twój? Nie podobają mi się takie przypadki.

- Ale kto chciałby zrobić mi krzywdę? - spytała skonsternowana. - Nikogo tu nie znam!

- Pewnie masz rację - powiedział szybko. - To była jakaś pomyłka. Odłóżmy listy i nie mówmy już o tym. Patrz, przerwa się skończyła. - Włączył znów dźwięk w telewizorze. - Delfiny dostały lanie.

- Zmieniasz temat.

- Wiem.

Przez chwilę gryzła końcówkę długopisu, a potem odwróciła się na kanapie w stronę Kendricka. A jeśli nie był to zbieg okoliczności? Czego ktoś mógł od niej chcieć? Czyżby komuś zależało na tych kilku ciuchach, które miała w hotelu? Eleganckie pantofle były chyba najcenniejszą rzeczą, jaką posiadała. Nie licząc prezentów.

Zamek.

I należący do niego majątek.

Wszystko jest na jej nazwisko. Mimo że fortuna Buchananów nie mogła równać się z bogactwem Kendricka, w banku znajdowała się jednak spora suma na jej nazwisko. A jeśli ktoś się o tym dowiedział i postanowił ją porwać dla okupu?

- Kendrick, gdzie są dokumenty, które mam podpisać?

Najlepiej zapewni sobie bezpieczeństwo, jeśli nie będzie nic warta. Bandyci nie będą mieli powodu, żeby ją prześladować.

- Co? - spytał zapatrzony w ekran.

- Dokumenty potwierdzające zrzeczenie się zamku na twoją korzyść.

Zesztywniał. Wyłączył telewizor. Odwrócił się i z powagą spojrzął jej w oczy.

- Nie chcę, żebyś je podpisywała.

- Chyba powinnam to zrobić.

- Zabraniam ci - powiedział ostro.

- Dlaczego? Jakie to ma znaczenie? Wyrzucisz mnie na bruk, tak?

- Nie rozumiesz... Byłbym wtedy wolny, Genevieve. Prawne wejście w posiadanie zanku pozwoliłoby mi w końcu przejść na drugą stronę.

- Och...

- Nie chcę cię opuszczać.

- Ja też nie chcę, żebyś odszedł - szepnęła.

- Koniec z tym tematem. Nie powinienem być w ogóle wspominać o tym dokumencie. Masz o tym zapomnieć.

- Dobrze. - Skinęła głową.

- I nie myśl już o tamtej sprawie. Inspektor O'Mally sam rozwiąże zagadkę.

- Nie sądzisz, że komuś chodzi o zamek i chce go zdobyć przeze mnie?

Twarz Kendricka przybrała łagodniejszy wyraz.

- Nie, kochanie. Nie sądzę. McShane kilka miesięcy pracował dla mnie nad tymi dokumentami, o których mamy już nie rozmawiać. Nie wyobrażam sobie, by jakiś kryminalista wykonypował tak skomplikowany plan. Pozwólmy panu inspektorowi zająć się dochodzeniem. Wygląda na dobrego policjanta.

Potaknęła i położyła głowę na oparciu kanapy. Kendrick ma rację. Nie mogą nic więcej zrobić w tej sprawie.

Zadzwoił telefon. Bryan niezdarnie wyciągnął rękę do aparatu, zerkając nieprzytomnie na budzik. Trzecia rano? Kto, do diabła, dzwoni o trzeciej rano?

- Halo?

- McShane - zagrzemiał głos w słuchawce. - Jestem w mamrze. Rusz dupę i wyciągnij mnie stąd!

Bryan jęknął w duchu i opadł na poduszkę.

- Jakim cudem, do cholery...

- Jakiś potwór z dwoma mieczami, nie wiadomo skąd, spadł mi na łeb! Nie mówiłeś, że mam stoczyć pojedynek na miecze! Chodziło tylko o dziewczynę. Miałem ją złapać i wynosić się. I w co ty mnie wpakowałeś? Wyciągnij mnie stąd!

- Uspokój się, Starkey. Zaraz tam będę i wpłacę kaucję. Ale twoja robota będzie wykonana dopiero wtedy, kiedy dostarczysz pannę Buchanan.

- A niech cię szlag trafi! - wrzasnął mężczyzna. - Ani mi się śni zbliżyć jeszcze raz do tej dziwki!

- W takim razie z przykrością stwierdzam, że nie mogę wpłacić za ciebie kaucji. Dobranoc, Starkey.

Bryan odłożył słuchawkę. Lew kryjący się w jego duszy zaryczał zwycięsko. Od początku drażniło go, że Starkey zadziera nosa. Nie, wynajmie kogoś innego, może dwóch, i to sprytniejszych ludzi.

Westchnął. Tylko nie myśl o Maledice. Nie musi wiedzieć o tej obsuwie, postanowił.

Miał jednak przeczucie, że Maledica i tak się dowie.

Genevieve kończyła pakowanie prezentów gwiazdkowych. Chciała być gotowa, mimo że nie nadeszła jeszcze połowa grudnia. Po raz pierwszy w życiu miała czas i spokój ducha, by wcześniej przygotować się do Bożego Narodzenia.

Następnym punktem na liście świątecznych atrakcji było uraczenie Kendricka i Worthingtona jej ulubionym ciastem czekoladowym. Kendrick nie będzie mógł spróbować tego boskiego wypieku, ale postara się opisać smak jak najdokładniej. Poza tym postanowiła przygotować słodkie placuszki, karmelki i kilka innych świątecznych specjałów. Worthington w napięciu oczekiwał, kiedy milady przystąpi do akcji, przewidując zapewne pobjowisko, jakie Genevieve urządzi w kuchni.

Schowała ostatni pakunek do kufra pod oknem, zamknęła wieko i przekręciła kluczyk w zamku, jakby mogło to powstrzymać ewentualną ciekawość Kendricka. Włożyła kluczyk do kieszeni i zeszła na dół. W hallu Worthington czytał przed kominkiem gazetę.

- Gdzie jest Kendrick?

- Na zewnątrz, milady. Proszę wziąć płaszcz, jeśli chce pani wyjść.

- Tak, mam. - Westchnęła i popędziła z powrotem na górę po okrycie.

Kiedy znów przechodziła przez hall, Worthington nawet nie odwrócił głowy.

- Radziłbym wziąć rękawiczki, milady.

Zignorowała go i otworzyła drzwi. Stała zdumiona.

Dziedzinec wyglądał jak w trzynastym wieku. Oszołomiona zeszła ze schodów i nagle zorientowała się, że przez kogoś przeszła. Duch roześmiał się. Okręciła się na pięcie i złapała się za gardło.

Mężczyzna zdjął hełm, po czym zsunął z głowy metalową misiurkę. Błękitne oczy błyszczały wesoło, gdy składał głęboki ukłon.

- Royce z Canfield, ostatnio z Artane, do twoich usług, milady.

- Och, dzień dobry... - powiedziała zmieszana. - Jestem Genevieve.

- Wiem, pani. Cóż za rozkosz podziwiać z bliska twoją urodę. Na lotnisku, mimo iż byłem w pobliżu, nie śmiałem jawnie się twym oczom. Doprawdy, opowieści lorda Kendricka na temat uroków lady Seakirk nijak się mają do rzeczywistości. Takiej nieziemskiej słodyczy nie opiszą słowa.

- Och... - Genevieve gapiła się w niego z półotwartymi ustami. Ten to umie prawić komplementy.

- Nie, pani, to jedynie ze szczerego serca płynące wyznanie...

- Royce, ty nędzny pacholku, nie zbliżaj się do mojej damy!

Kendrick pojawił się nagle tuż obok. Siedział na koniu. Genevieve jeszcze szerzej rozdziawiła usta. Boże, czy to też duch konia? No cóż, widziała dziwniejsze rzeczy...

- O rany... - szepnęła osłupiała.

Kendrick mrugnął do swego kapitana.

- To większy komplement niż zwykle „och...”. Nie zapominaj, kto jest jej wybrankiem, chłopaczku.

- Kendrick, ty bufonie, milady miałyby kochać takiego ufajdanego w błocie śmierdziucha?

- Obrażasz mnie, kmiotku.

- Płacę tylko pięknym za nadobne.

- W takim razie domagam się satysfakcji.

- Z przyjemnością ci jej udzielię.

Kendrick uśmiechnął się do Genevieve.

- Zechcesz popatrzeć, jak wbijam tego kretyna w ziemię?

Nie była w stanie wydusić słowa. Czy to ten sam mężczyzna, któremu się przeciwstawiła? Wyglądał potężnie w dzinsach i bluzie; w kolczudze i z lancą w dłoni budził po prostu przerażenie. Jak ktokolwiek śmiał stawić mu czoło w bitwie zamiast uciekać, gdzie pieprz rośnie na sam jego widok?

- Usiądź na skraju ogrodu, najdroższa, pod drzewem. Kazałem Worthingtonowi zostawić tam koc, żebyś nie zmarzła. Tam będziesz bezpieczna. W przeciwieństwie do Royce'a.

Zawahała się.

- Nie zrobi ci krzywdy, prawda?

- Nie dopuszczę tego chłystka na długość miecza. Poza tym, nie, nie zrobi mi krzywdy, nawet jeśli jego lanca uderzy mnie przypadkowo, kiedy z łomotem polecą na ziemię.

Royce parsknął wyzywająco.

- Zapłacisz mi teraz czy później, bym oszczędził ci upokorzenia na oczach damy?

- Kapitanie, waż słowa - ostrzegł Kendrick.

- Czyżbym słyszał strach w twoim głosie, Seakirk?

Genevieve odeszła powstrzymując śmiech. Nie było tu najwyraźniej dość miejsca dla tych dwóch zakapiorów. Przeszła przez pokryty kurzem i błotem dziedziniec, usiadła na ławce i opatuliła się kocem. Miała zobaczyć coś, o czym czytała tylko w książkach.

Kendrick wjechał na oszrankowany plac turniejowy i zatrzymał się na jednym krańcu po jej prawej stronie. Royce ustawił konia naprzeciw, po lewej. Lancą nasunął na głowę hełm. Kendrick zrobił to samo. Ich wierzchowce zarżały i ruszyły na siebie galopem. Genevieve czuła drżenie ziemi pod nogami, kiedy rycerze pędzili po przeciwnych stronach biegnącej przez pole drewnianej balustrady.

Starli się z potwornym łoskotem. Royce zachwiał się, ale utrzymał w siodle. Kendrick zawrócił konia i znów ruszył na przeciwnika. Tym razem lanca Royce'a zazgrzytała, a tarcza wyleciała mu z ręki. Kurczowo chwycił się siodła. Kendrick nawet nie drgnął.

Genevieve spodziewała się, że jest dobry, ale teraz miała namacalny dowód. Nic dziwnego, że zarobił tyle złota na turniejach. Wyobraziła sobie, że powala

kolejnych rycerzy, zgania w gromadę jak jeńców i ze swoją zuchwałą miną żąda okupu za ich uwolnienie.

W trzecim starciu Kendrick zwałił Royce'a na ziemię. Nie zadał sobie nawet trudu, by pomóc mu się podnieść, ale pewnie dlatego, że na placu pojawiła się nagle cała gromada nowych przeciwników. Royce wygrzebał się z kurzu i ciężkim krokiem podszedł do Genevieve. Skłonił się nisko i upadł na ławkę obok niej.

- Bezczelny łajdak, co?

- Uważaj na słowa - odparła udając oburzenie.

Royce wykrzywił się w uśmiechu.

- Oto odpowiedź godna prawdziwego uczucia. Pewnie tylko dlatego tolerujesz tego nieokrzesanca. Ja chyba dłużej bym go nie zdzierzył.

- Długo się znacie?

- Razem się wychowaliśmy, uczyliśmy rycerskiego rzemiosła, a potem wyruszyliśmy na wojnę. A przez ostatnie kilka wieków wiziemy razem tę namiastkę żywota. Tak, długo się znamy. Sam nie wiem, jak udało mi się znosić go przez cały ten czas.

- Bardzo go kochasz, prawda?

Royce zakrztusił się.

- Kocham? Nie, milady. Po prostu go toleruje, to wszystko.

- Rycerz nie powinien kłamać.

- Dobrze więc, powiem prawdę, ale, błagam, nie powtarzaj mu tego, bo zamęczy mnie zjadliwymi prześmiewkami. - Zaczekał, aż Genevieve skinie głową na zgodę i ciągnął: - Miałem same siostry w domu i kiedy spotkałem Kendricka, myślałem, że dobry Bóg zesłał mi w końcu brata. Jego rodzina była bardzo bogata i wpływowa w naszych czasach, lecz Kendrick nigdy nie dał mi odczuć wyższości. Gdy zdobyliśmy ostrogi, zaproponowałem, by wziął mnie na kapitana swych ludzi i nigdy tego nie pożałowałem. Byliśmy jak bracia i najlepsi przyjaciele. Niestety przez ostatnie siedem wieków nie mogliśmy spędzać razem zbyt wiele czasu. Matylda nawet to nam odebrała.

- I nie przeszkadza ci, że pojawiłam się między wami? - spytała.

- Oczywiście, że nie - odparł z uśmiechem. - Masz na niego dobry wpływ. Mam tylko jedną prośbę - rozejrzyj się za jakąś miłą panną dla mnie, tylko żeby była równie piękna i mądra jak ty. Zazdroszczę Kendrickowi szczęścia.

Poprawiła koc odwracając się w stronę dziedzińca. Komplementy Kendricka przyprawiły ją o rumieniec, a ze strony kogoś obcego jeszcze trudniej było je przyjąć. Popatrzyła na Kendricka pędzącego właśnie wzdłuż balustrady.

- Jest wspaniałym rycerzem, prawda?

- Nie miał sobie równych, choć jego brat Filip skłąby mnie za to stwierdzenie - uważał się za lepszego wojownika. - Royce potrząsnął głową. - Kendrick miał w sobie tyle zuchwałej odwagi, że Filip nie mógł się z nim porównywać.

- Chyba nadal ją ma.

- Zuchwałość? - roześmiał się Royce. - Tak, to prawda. Nic się nie zmienił. Zobacz, z jaką zręcznością daje sobie radę z tą zgrają. A to godni przeciwnicy.

Przyglądała się, jak Kendrick powala siedmiu rycerzy z rzędu.

- Wymyślił ich? - spytała.

- Słucham?...

- Czy wyczarował tych rycerzy. Tak jak kiedyś swego brata i kuzyna.

Royce był rozbawiony jej pytaniem.

- Nie, milady, oni są tak samo prawdziwi jak ja i jego lordowska mość.

Pojawiają się natychmiast, gdy zwietrzą, że Kendrick ćwiczy. Zanim przybyłaś do Seakirk, kręcili się często po placu, mając nadzieję, że skuszą go do potyczki, lecz po twoim przyjeździe zabronił im przekraczać wewnętrzną bramę. Każdy z nich marzy, by wysadzić Kendricka z siodła.

Genevieve z trudem przełknęła ślinę.

- Zawsze tu są?

- A dokąd mieliby pójść?

- Może straszyć w innym zamku? - zasugerowała.

- Podczas gdy najznamienitszy rycerz Anglii rezyduje w Seakirk? Nie, lady Genevieve, za żadną cenę się stąd nie wyniosą.

Pokiwała głową. Kendrick rozgromił kolejnych kilku rycerzy. Był niezwycięzony, mimo że raz czy dwa ledwie zauważalnie zachwiał się w siodle.

- Czy któremuś z nich udaje się czasem go pokonać?

- Rzadko. I jeśli zdarzy się coś takiego, zatkaj sobie lepiej uszy na noc, gdyż hulanka będzie trwała do świtu. - Royce uśmiechnął się ironicznie. - Nie wspomnę już, w jak czarny humor wprowadzają te rzadkie wypadki jego lordowska mość.

- Mogę sobie wyobrazić - stwierdziła kwaśno.

Kolejka rycerzy czekających na swój pojedynek z Kendrickiem wyraźnie malała. Na końcu pojawił się mężczyzna w czerni, równie potężny jak on, jeśli nie potężniejszy. Genevieve zagryzła palce, kiedy ruszyli na siebie. Modliła się o zwycięstwo dla Kendricka. Przy drugim przejeździe jej ukochany omal nie wyleciał z siodła. Podskoczyła na równe nogi.

Nie patrzył na nią, gdy zawracał konia do trzeciego starcia. Po chwili czarny rycerz poszybował nad zadem swojego wierzchowca i przeklinając dziko, runął na ziemię. Kompani pomogli mu wstać, dorzucając swoje przekleństwa w stronę Kendricka, i cała grupa złorzecząc zeszła z placu.

Genevieve z ulgą wróciła na ławkę. Kendrick podjechał do niej, zeskoczył z konia i przyklęknął na jedno kolano.

- Pani... - Skłonił nisko głowę.

Dyszał ciężko, a pot spływał z niego strugami. Ubranie było przemoczone, włosy przyklejone do głowy.

- Ach... - zaczęła, szukając szybko stosownych słów. - Wspaniały wyczyn, dzielny rycerzu.

- Twój wierny sługa, pani.

- Cudownie. Dzięki.

Kendrick podniósł głowę i spojrzał na Royce'a.

- Nie jest zbyt rozrzutna w pochwałach, nie sądzisz?

- Każda sylaba, która pada z jej ust, warta jest klejnotu. A poza tym woda sodowa i tak już ci uderzyła do głowy.

Kendrick zrobił gwałtowny ruch w jego stronę i Royce odskoczył ze śmiechem. Skłonił się przed Genevieve i powiedział:

- Muszę odejść, piękna pani. Gdybyś mnie potrzebowała, jestem zawsze do usług. I proszę, pamiętaj o dziewczynie dla mnie... Może ich być kilka. - Z ręką na sercu skłonił się przed Kendrickiem. - Milordzie, przyjmij słowa mego pożegnania, adieu... Twoja waleczność jak zwykle mnie olśniła.

- Och, odejdz już, dobrze? - mruknął Kendrick podnosząc się z kolana.

Śmiech Royce'a słyhać było jeszcze, gdy zniknął. Kendrick popatrzył na Genevieve.

- Zachowywał się przyzwoicie?

- Opowiedział mi, jaki byłeś kiedyś cudowny.

- Chyba coś pomieszało mu rozum.

- Jestem pewna, że byłeś słodkim dzieckiem i lady Anna nie umiała się na ciebie złościć. Nawet kiedy zdemolowałeś kuźnię.

- Z trudem powstrzymywała się od śmiechu, gdy ojciec na mnie wrzeszczał.

Wstała i spojrzała mu w oczy.

- Szkoda, że cię wtedy nie znałam.

- Gdybyś mnie znała, poszlibyśmy teraz do sypialni i spędzili popołudnie w łóżku, bo porwałbym cię i zaciągnął do ołtarza przy pierwszej nadarzającej się okazji. Właściwie pomysł na popołudnie w łóżku wydaje mi się całkiem dobry. Umyję się i przyjdę do sypialni. Czekaj na mnie. W końcu należy mi się jakaś nagroda za wyczyny na polu walki. - Przyglądał się jej, czekając na potwierdzenie.

- Kilka dodatkowych pochwał nie wystarczy?

- Nie. To ma być całe popołudnie spędzone obok ciebie. A potem może zostanę na noc... żeby spać. Jakbym mógł zrobić cokolwiek innego... - dodał pod nosem.

- W takim razie daj mi pół godziny, potem nasycisz serce słuchając całej litanii moich zachwyków. Byłeś dziś rzeczywiście wspaniały.

Zerknął na nią zaczepnie.

- Wszelkie zachwyty będą mile widziane.

- Więc daj mi godzinę. Muszę sporządzić notatki.

Kiedy Kendrick wszedł do sypialni, dama jego serca smacznie spała. Podeszedł do łóżka, zacisnął zęby i zebrał siły, żeby nakryć ją kocem. Obudziła się, gdy z ogromnym wysiłkiem podciągał jej koc pod brodę.

- Dziękuję - szepnęła rozespana.

- Śpij słodko, kochanie.

Otworzyła oczy.

- Kocham cię.

Pochylił się, jakby zamierzał ją pocałować.

- Ja też cię kocham, Gen. Spij, najdroższa.

- Zostaniesz?

- Cała francuska armia nie oderwie mnie od ciebie.

Uśmiechnęła się i przymknęła oczy. Kendrick zrzucił buty, przeskoczył nad nią lekko, jakby płynął w powietrzu, i ułożył się z drugiej strony łóżka. Podparł głowę na dłoni i wpatrzył się w Genevieve.

Ciemne włosy leżały rozrzucone na poduszce. W porównaniu z białym tłem poszewki i jej delikatną cerą wydawały się jeszcze ciemniejsze niż były w rzeczywistości. Przyglądał się jej twarzy, nie rozumiejąc, dlaczego uważa się za nieładną. Tak, mężczyźni, których znała, musieli być idiotami. Chociaż właściwie powinien im podziękować. Zachwyciło go, że jest dziewcziną. Żaden mężczyzna wcześniej jej nie dotykał i Kendrick pomyślał, że gdyby mógł się z nią ożenić, należałaby tylko i wyłącznie do niego.

Dłoń Genevieve leżała na kocu tuż obok niego. Gdyby mógł, ująłby ją i poczuł, jak ich palce delikatnie się splatają. A jakże cudownie byłoby ująć obie jej ręce i opleść je wokół siebie!

Tak, Genevieve potrzebowałyby wiele czulej cierpliwości, musiałyby postępować z nią bardzo delikatnie. Ile oddałby za jedną wspólną godzinę normalnego życia!

Czy całowałby ją tylko, delikatnie pieszcząc usta swoimi wargami? Czy straciłby całkiem kontrolę, porwał ją do łóżka i kochał bez pamięci? Czy wystarczyłoby, żeby go dotknęła? Przesunąłby palcami po wnętrzu jej dłoni, a potem dotknął delikatnego nadgarstka. Gdyby choć raz mógł się przekonać, że jej skóra jest tak aksamitna, na jaką wygląda. Zamknął oczy modląc się o cud.

Tylko jeden raz. Jedno dotknięcie.

Wyciągnął rękę. Trzymał ją nad dłonią Genevieve przez dłuższą chwilę, wyobrażając sobie, jakie to byłoby uczucie, gdyby jego dłoń nie przepłynęła przez ciało Genevieve, lecz naprawdę jej dotknęła. Wyobraził sobie, że czuje przeguby jej palców, ciepło skóry, że przesuwa rękę po wszystkich ścięgnach i miękkich załamaniach. Gdyby tylko mógł odczuć to naprawdę.

Opuścił rękę.

I przez jedno krótkie mgnienie wydało mu się, że czuje opór. Potem dłoń przeszła przez jej rękę i rozplynęła się na tle koca. Szarpnął się jak oparzony, odwrócił na drugi bok i zaklął cicho, czując w oczach nagłe kłucie. „Idiota. Półgłówek. Jakbyś wierzył, że sprawy mogą się zmienić!”

- Kendrick?

Głośno odchrząknął.

- Co?

- Zimno ci? - spytała cicho. - Cały drzysz.

- Jak, do diabła, mogłoby mi być zimno, jeśli nie mam ciała, które czuje chłód?  
- warknął.

Zapadła cisza.

Kendrick jęknął i odwrócił się do niej.

- Przepraszam, kochanie - szepnął zachrypniętym głosem. - Nie chciałem na ciebie krzyczeć.

Potrząsnęła głową i przechyliła się, żeby zdmuchnąć świecę na nocnym stoliku. W bladym świetle kominka zobaczył łagodny uśmiech na jej twarzy.

- Oboje mamy za sobą długi dzień. Musimy odpocząć - powiedziała.

- Tak...

- Rano wszystko będzie lepiej wyglądać.

- Tak.

Ale, prawdę mówiąc, szczerze w to wątpił.

Kendrick stał ukryty w cieniu. Przyglądał się przyjęciu w wielkim hallu. To Genevieve pomyślała o wskrzeszeniu tej starej tradycji bożonarodzeniowej. Kendrick nie sprzeciwiał się przygotowaniom, gdyż przypominało mu to dom, a tego roku po raz pierwszy od wieków zatęsknił za domem.

Prawie od dwóch tygodni okoliczni mieszkańcy odwiedzali wieczorami zamek. Czekał tu na nich zwyczajowy poczęstunek, który w dawnych czasach symbolizował opiekę lorda - dzielenie się zimowymi zapasami z poddanymi.

Każdego wieczoru Genevieve zostawiała krzesło lorda przy stole puste, a sama siadała obok, gdzie byłoby jej miejsce, gdyby sprawy miały się inaczej. Większość mieszkańców miasteczka uważała ją za odrobinę szaloną. Niektórzy, jak pani Adelajda, byli zdania, że to niezwykle romantyczne. Kendrick podsłuchiwał raz, jak ta dobra kobieta przez cały wieczór rozwodziła się nad szlachetnością gestu lady Seakirk. Nikt z gości nie wiedział, że, niewidoczny, prawie cały czas siedział w tym krześle.

Genevieve od razu to wyczuła. Od tamtej pory codziennie przychodził i szeptał jej różne rzeczy do ucha. Czerwieniła się słysząc te niestosowne komentarze i uśmiechała, kiedy prawił jej czułości. To mu wystarczało.

Na początku.

Teraz sprawy miały się inaczej. Była Wigilia Bożego Narodzenia. Powinien siedzieć w krześle obok niej. Stał jednak w cieniu, jak obdarty chłopak stajenny, który wstydzi się pokazać. Zaciśnął zęby. Nigdy nie czuł się tak upokorzony. Dłużej tego nie zniesie. Wściekał się i bił z myślami od trzech tygodni, od tej nocy, gdy spróbował dotknąć ukochanej. Wydawało mu się, że oszaleje. Usiądzie za stołem na swoim

miejscu, a kiedy goście pójdą, zabierze swoją panią na górę, wręczy prezent i zada jej to jedno jedyne pytanie. Nadszedł czas działania.

Nie namyślając się dłużej, zamaszystym krokiem wyszedł z ukrycia i podszedł do stołu. Worthington natychmiast odsunął krzesło i Kendrick usiadł.

W hallu zapanowała absolutna cisza.

Wszyscy patrzyli na niego jak zahipnotyzowani. Z trudem zachował nieporuszony wyraz twarzy, ale teraz nie było już odwrotu. Z zaciśniętą szczęką, jakby obawiał się jej reakcji, popatrzył na Genevieve.

Po prostu uśmiechnęła się i powiedziała:

- Dobry wieczór, lordzie Seakirk.

Sztywno skinął głową.

Uśmiechnęła się jeszcze promienniej.

- Przybyli twoi goście, kochany.

- Tak, widzę. - Znowu skinął głową, czując, że nie jest w stanie spojrzeć na nikogo innego. Nie odrywał oczu od Genevieve. Boże, czyżby naprawdę zwariował?

- Może zechcesz powiedzieć kilka słów. Na powitanie.

Siedział na tyle daleko od stołu, że mógł wstać nie przechodząc przez krzesło. Podniósł się i zatoczył wzrokiem po tłumie.

Połowa zebranych rzuciła się do wyjścia. Mogło się to wydać zabawne, ale tym razem go nie rozśmieszyło. Właściwie sprawiło przykrość. Jakby chciał ich schwytać i przypiekać na wolnym ogniu!

Otworzył usta, żeby zatrzymać uciekinierów, ale zrezygnował.

Czuł się zraniony, lecz nie stracił jeszcze dumy. Jeśli chcą odejść, niech sobie idą, do diabła. Ci, którzy będą mieli odwagę zostać, usłyszą wspaniałą mowę i dostaną najlepszą strawę i wino, jakie ma. A reszta może iść do wszystkich diabłów.

Drzwi wyjściowe zatrzasnęły się z hukiem i zapadła cisza. Kendrick popatrzył na jakieś trzydzieści osób, które wciąż siedziały na miejscach i wpatrywały się w niego z rozdziawionymi ustami - było tu kilku starszych mieszkańców miasteczka, ale też trochę młodych. Z podziwem przyglądał się, jak biorą się w garść, choć właściwie wiedział, że nie ma w ich zachowaniu nic nadzwyczajnego. Starsi od dawna nie dziwili się niczemu, co dzieje się w Seakirk, a dla młodych było to po prostu intrygujące. Na szczęście. Przynajmniej nikt z obecnych nie zemdłał, choć pani Adelajda wpatrywała się w niego z budzącą pewien niepokój miną osoby nawiedzanej.

I wtedy poczuł, że nie może wydusić słowa.

Powinno przyjść mu to zupełnie naturalnie. W końcu wiele razy słyszał ojca i dziadka wygłaszających mowy w podobnych okolicznościach. Kiedy otrzymał Seakirk w darze od króla, wiedział, że odtąd będzie do niego należało pełnienie obowiązków gospodarza, a więc i przemawianie do gości w zamku.

A teraz jest naprawdę u siebie. Jego pani siedzi obok i patrzy na niego z miłością w oczach. Ludzie, którzy dawniej byłiby jego poddanymi, za których byłby odpowiedzialny, zebrani byli teraz przy długim stole i czekali, co powie ich lord.

Odchrząknął.

- Witam was, przyjaciele - zaczął. Chciał otrzeć ręce o uda, ale powstrzymał się i założył je do tyłu. - Biorąc pod uwagę przetrzebioną liczbę gości, jedzenia i picia będziemy mieć w nadmiarze.

Kilku młodych uśmiechnęło się z lekkim rozbawieniem. Pozostali słuchali z pobłażliwym uśmiechem, jaki starsi rezerwują dla przemawiających młokosów. Kendrick poczuł, że się rozluźnia. W ich twarzach było też trochę szacunku. Tak, wieczór nie okazał się pełną kłapą. Jest przecież lordem Seakirk i większość ludzi to respektuje. Posłał im uśmiech pełen lordowskiej dumy i dodał:

- Radujcie się, przyjaciele, jedzcie i pijcie przez cały wieczór. Worthington, zawołaj śpiewaków i grajków, niech moi goście dobrze się bawią.

Usiadł i wyciągnął przed siebie nogi, rozpierając się po wielkopańsku, tak jak zawsze robili w podobnie znaczących sytuacjach ojciec i dziadek. Do diabła, ależ dobrze się poczuł!

- Świetnie - szepnęła Genevieve. - Byłeś wspaniały.

Kendrick uśmiechnął się do swojej damy.

- Poczekaj, aż zobaczysz, co mam dla ciebie na górze.

- Naznosiłeś mi drewna do kominka na całą zimę?

- Coś trochę mniej osobistego.

Roześmiała się cicho.

- Żartowniś...

- Lordzie Seakirk? - rozległ się przejmujący szept.

Kendrick odwrócił się i zobaczył stojącą u szczytu stołu Adelajdę. Drżała jak osika. Dzielna kobieta, mimo przerażenia, podeszła bliżej. Kendrick obdarzył ją swoim najbardziej czarującym uśmiechem, który gwarantował zawrót głowy u każdej kobiety powyżej lat dziesięciu.

Adelajda osunęła się prosto w ramiona Worthingtona. Lokaj zatoczył się lekko, po czym chwycił mocniej Adelajdę, postawił ją z powrotem na nogi i wcisnął w dłoń kielich z winem.

- Niech pani pije, panno Adelajdo - polecił.

Posłusznie wypłała wino, łypiąc szeroko otwartymi oczami znad brzegu kielicha. Potem wyprostowała się i spojrzała na Kendricka. Chciało mu się strasznie śmiać - ale ta stara kobieta ma charakter!

- Co za radość gościć panią, pani Adelajdo. Lady Genevieve opowiadała mi o skarbach, jakie kryje pani sklep. Żałuję, iż sam nie mogę go odwiedzić.

Adelajda całkowicie odzyskała rezon i jak wytrawny żołnierz ruszyła do ataku. Podeszła bliżej i powiedziała:

- Ależ to zupełnie bez znaczenia, milordzie. Będzie mi niezmiernie miło dostarczyć do zamku wszystko, cokolwiek pan zechce. Jeśli Worthington okaże się tak miły i pomoże mi zapakować rzeczy do samochodu, przywiozę kilka z najciekawszych sprzętów ze swojego zbioru. Sądzę, że potrzebują państwo nowych rzeczy do restaurowanych pokoi.

- Ma pani absolutną rację - odpowiedział z uśmiechem Kendrick. - Może po Nowym Roku. A Worthington z przyjemnością pani pomoże. Prawda, Worthington?

Lokaj uniósł srebrną brew. W jego spojrzeniu było coś z prośby, ale i cień ostrzeżenia. Kendrick miał pewne podejrzenia, że Worthington czuje słabość do tej żelaznej damy, a wyraz jego oczu potwierdził te domysły. Kendrick uśmiechnął się porozumiewawczo.

Worthington gwałtownie odchrząknął.

- Proszę za mną, pani Adelajdo, znajdę pani wygodny fotel przy kominku na resztę wieczoru. Mimo iż nie sądzę, by jakiegokolwiek atrakcje mogły przyćmić ten występ, który już dziś widzieliśmy.

Kendrick miał ochotę czymś w niego rzucić. Ale ponieważ i tak nie byłby w stanie tego zrobić, z nachmurzoną miną usiadł na swoim miejscu. Dobry humor jednak zaraz powrócił, gdyż zbliżył się do niego wielebny Wadsforth, proboszcz miejscowej parafii, brat pani Adelajdy. Nie wymachiwał wcale wysoko wzniesionym krzyżem ani kropidłem z wodą święconą. Ksiądz nie wykazywał najmniejszej ochoty na odprawianie egzorcyzmów i wieczór potoczył się naprawdę sympatycznie.

Przedłużająca się pogawędka Kendricka z wielebnym przekonała ostatecznie resztę towarzystwa, że duch może być całkiem miłym gospodarzem. Ludzie zaczęli

tłoczyć się wokół niego, by poznać osobiście lorda Seakirk i na własne oczy zobaczyć, kto przez tyle lat ukrywał się w zamku. Kendrick był dumny, że Genevieve siedzi u jego boku. Uśmiechała się uroczo i rzucała mu słodkie spojrzenia. Pomyślał, że to dobrze, iż w gronie gości nie ma mężczyzny mniej więcej w jej wieku. Z pewnością próbowałby ją adorować, a Kendrick nie był pewien, jak by to zniósł.

Przed północą goście zaczęli wychodzić, by wziąć udział w pasterce w miasteczku. Kendrick wstał, zanim wszyscy wyszli, i spojrzał na Genevieve. Jakże chciałby towarzyszyć jej do kościoła! Popatrzył poważnie i spytał:

- Chcesz iść?

- Bez ciebie nie.

Zapragnął chwycić ją na rękę i zanieść na górę. Zamiast tego pochylił się i szepnął:

- Więc chodźmy do sypialni, milady. Wręcę ci mój prezent.

- Powinniśmy poczekać do jutra - zaprotestowała.

- Nie - stwierdził stanowczo. - Mój prezent nie może czekać.

Po chwili wahania ruszyła za nim na schody. W milczeniu weszli na górę, a potem Kendrick zapalał kolejne światła, gdy posuwali się korytarzem. Pozwolił jej otworzyć drzwi do sypialni, zachowując siły na to, co zamierzał teraz zrobić.

Worthington wcześniej dyskretnie wymknął się z hallu i ustawił wszystko przed kominkiem tak, jak życzył sobie jego pan. Kendrick wskazał Genevieve miejsce na kilimie rozłożonym przed paleniskiem i sam usiadł naprzeciwko. Poczekał, aż Genevieve rozejrzy się po pokoju i zauważy, że coś niewielkiego leży na obramowaniu kominka.

Nie musiał długo czekać. Uśmiechnęła się i chwyciła granatowe aksamitne pudełeczko. Nie mógł spodziewać się miłszej reakcji. Rozchyliła z wrażenia usta i ręką dotknęła gardła. Przez chwilę bezwiednie poruszała wargami.

- Otwórz... - powiedział cicho.

- Ale...

- Otwórz pudełko - powtórzył z uśmiechem.

Drżącymi palcami podniosła wieczko. Kendrick poczuł, że łzy napływają mu do oczu. Kochana, słodka Genevieve, wyglądała, jakby podarował jej gwiazdkę z nieba.

- Och, Kendrick... - szepnęła, wpatrując się w pierścionek. - Jest piękny.

Chciał objąć ją mocno i scałować każdą łzę spływającą po policzkach i szyi, a potem schować twarz w jej włosach, wsłuchać się w jej oddech i rozkoszować się bliskością jej ciała.

Z trudem odsunął te niemądre marzenia. Bierz to, co ci dają, i ciesz się, Seakirk, bo nie dostaniesz nic więcej, pomyślał. Czyżby oboje oszaleli, wierząc, że przeżyją całe życie obdarowując się jedynie słowami i spojrzeniami pełnymi miłości?

Przecież to nie do zniesienia!

Opanował się, czując na sobie poważny wzrok Genevieve.

Potrząsnął głową i wysilił się na uśmiech.

- Wybacz... - powiedział cicho - to tylko niemądre myśli. - Zerknął na pudełeczko. - Podoba ci się?

- To najpiękniejszy pierścionek, jaki kiedykolwiek widziałam.

- Może chcesz wiedzieć, dlaczego go kupiłem?

Skinęła głową.

- Usiądź w fotelu, żebym mógł przed tobą klęknąć, tak jak trzeba.

Znowu kiwnęła głową i usiadła w fotelu.

- Wyjmij pierścionek, najdroższa - powiedział czule, stając przed nią. - I połóż go we wnętrzu dłoni. Nie, lewej ręki. I nie chowaj prawej. Nie wiesz, że pierścionek zaręczynowy nosi się na prawej ręce?

- Och, Kendrick... - szepnęła z bladym uśmiechem.

Przyklęknął przed nią skupiony na słowach, które ma teraz wypowiedzieć. Uczył się swojej mowy na pamięć od dwóch tygodni.

- Genevieve... - zaczął z powagą. - Jestem świadom, jak niewiele mogę ci ofiarować - nie... - Podniósł dłoń. - Pozwól mi skończyć. - Skinęła głową, ale wiedział, że jego słowa sprawiają jej ból. Dla niego też były bolesne, prawda pozostaje jednak prawdą i trzeba stawić jej czoło. Odetchnął głęboko i ciągnął: - Mogę dać ci dom i moje złoto - czegokolwiek zapragniesz, będzie twoje. Te ziemskie dobra są jedyną dotykalaną rzeczą, jaką posiadam.

- Te sprawy nie mają znaczenia - przerwała mu.

Uśmiechnął się smutno.

- Więc mój zamek ci się nie podoba?

- Kendrick, wiesz, co miałam na myśli.

- Tak, wiem - zgodził się. - Ale czy chcesz tego wszystkiego, czy nie - należy do ciebie. A poza tymi ziemskimi dobrami mogę zapewnić ci swoją opiekę. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, byś była bezpieczna. Broniłbym cię do upadłego.

- Mam nadzieję, że nigdy nie będzie to konieczne.

- Poza tym, wszystko, co mogę dać, to moje serce - powiedział czule. - I miłość. Będę cię kochał tak żarliwie, jak mężczyzna z krwi i kości, Gen. Nie minie dzień, bym nie wyznał ci, jak bardzo mi jesteś droga i jak wiele radości wniosłaś w moje smutne życie. Zanim się zjawiłaś, była tylko ciemność. Teraz jest tylko słońce. I jeśli mnie zechcesz, jeśli czujesz to samo... - przerwał, żeby wziąć głęboki oddech, po czym dokończył z przejęciem: - Czy zrobisz mi ten honor i zostaniesz moją żoną?

- Och, Kendrick!... - Genevieve nie wiedziała, czy łzy spływają strugami po jej policzkach z bólu czy ze szczęścia.

-Tak.

- Podaj mi pierścionek, kochanie - powiedział. -I wyciągnij dłoń.

- Kendrick...

Zignorował jej protest i ujął w palce duży diamentowy pierścień. Pomyślał, że zadanie byłoby prostsze, gdyby wybrał mniejszy i lżejszy klejnot, ale nie miał w tej chwili ochoty na żarty. Teraz musi dokonać tego wyczynu.

Skoncentrował całą energię. Ile razy za życia taka koncentracja sił pozwoliła mu powalić silniejszego przeciwnika albo utrzymać się na nogach po wielu

godzinach walki w gorących piaskach Arabii, kiedy wydawało się, że dusza wyparowała już z ciała wraz ze strugami potu? Tak, to zupełnie to samo. Tylko ta sytuacja jest o wiele ważniejsza. Założy Genevieve pierścionek na palec, nawet gdyby miał potem leżeć nieprzytomny przez dwa tygodnie.

Podniósł klejnot. Boże, ależ to ogromne! Poczul pot występujący na czoło i skronie. Jej dłoń nagle znalazła się tuż przed jego oczami. Uśmiechnął się leciutko w podzięce. Genevieve prawie nie widziała go przez łzy, a jemu wzrok przesłaniał ten niesamowity wysiłek. Czuł, jak strużki potu ciekną pod koszulą.

Wepchnął pierścionek na przegub jej palca. Dotknęła kciukiem od spodu, żeby przesunąć go dalej, ale Kendrick szepnął:

- Nie. Ja to zrobię.

Genevieve zaczęła cała drżeć od płaczu. On jednak nie wypuszczał z palców jej dłoni. Boże, nigdy wcześniej nie zauważył, jak długi może być kobiecy palec! Zaciśnął zęby i popchnął pierścionek na swoje miejsce.

Udało się.

Upadł u jej stóp. Natychmiast uklękła obok.

- Kendrick...

Wyciągnęła rękę, żeby odgarnąć mu włosy z czoła, i dłoń przeszła przez jego ciało. Cofnęła rękę i zaciśnęła ramiona na piersi. Zamknęła oczy i zapłakała.

Kendrick usiadł, mimo rwącego bólu w mięśniach. Widocznie posiadał dość materii, by poczuć ten straszliwy ból.

- Genevieve - odezwał się zachrypniętym głosem. - Och, moja Gen, błagam, nie szlochaj tak, kiedy nie mogę cię pocieszyć.

Podniosła głowę przyciskając palce do ust. Oczy miała zaczerwienione, a policzki mokre od łez. Oderwała rękę od twarzy i niepewnie wyciągnęła do niego.

- Oddałabym wszystko, żeby cię dotknąć - szepnęła. - Tylko raz, Kendrick. Tylko raz. - Przesunęła dłoń do jego policzka, tam, gdzie dotknęłaby go, gdyby był żywym człowiekiem. - Tylko raz...

- Może kiedyś - powiedział, przekonany, że nigdy to nie nastąpi. Musiałby zdarzyć się cud.

Opuściła bezradnie ramiona.

- Jesteś strasznie blady. Chodź do łóżka.

Zmusił się do mizernego uśmiechu, mimo że łzy ciekły mu po twarzy.

- Powinienem częściej ćwiczyć. To najwyraźniej najkrótsza droga do łóżka mojej pani. - Położył rękę na jej dłoni. Zawisła w powietrzu. - Powiedz, że pierścionek ci się podoba.

- Będę go zawsze nosiła - przyrzekła. - Zawsze.

- Kochasz mnie?

- Do szaleństwa.

- To chodź do łóżka i opowiedz mi o tym. Chodź, kochanie, zgasimy światło i porozmawiamy.

Skinęła głową i wstała razem z nim.

- Zaraz przyjdę.

Patrzył, jak Genevieve idzie do łazienki. Kiedy zamknęła drzwi, odwrócił się do kominka, zwiesił głowę i zapłakał.

Genevieve stała na murach, drżąc w zimnym, przedwieczornym powietrzu. Nowy Rok nie przyniósł nic poza udęką. Spojrzała na wspaniały diament błyszczący w bladym zimowym słońcu. Kendrick ją dotknął. Czuła, jak wyjmuje pierścionek z jej dłoni, a potem wsuwa na palec. Dlaczego nie może więc poczuć jego dotknięcia jeszcze raz?

Opuściła rękę powstrzymując się od płaczu. Przez ostatnie dwa tygodnie prawie cały czas płakała. Mimo iż starała się robić to w samotności, nie mogła ukryć braku apetytu czy zaczerwienionego nosa. Kendrick z każdym dniem wydawał się coraz bardziej przygnębiony. Od tygodnia ani razu nie widziała uśmiechu na jego twarzy. To nie do zniesienia! Wracając z Londynu przeczuwała, że nadejdzie pora łez. Nie zdawała sobie jednak sprawy, że będzie to tak bolesne. Co za straszna lekkomyślność. Lepiej byłoby wcale go nie mieć, niż żyć w taki sposób. Przerazona zakryła ręką usta. Jak mogła pomyśleć coś takiego? Pobiegła do schodów. Musi przestać o tym myśleć. Kendrick spędzał większość dni na placu ćwiczeń. Może i jej pomógłby jakiś wysiłek fizyczny. Nie zaszkodzi spróbować.

Kendrick pokazał jej kiedyś wyjście na tyłach zamku. Ukryty tunel prowadził poza zewnętrzne mury. Ścieżka wiodąca na plażę była stroma, ale udało jej się ześlizgnąć między skałami. Nie zwracała uwagi na mgłę i przenikliwy chłód. Bieg po plaży odsunął ponure myśli. Biegła prawie do utraty tchu, aż mięśnie zaczęły palić z bólu. Mgła zamieniła się w siekający niemiłosiernie deszcz. Było jej wszystko jedno. Zdyszana upadła na mokry, lodowaty piach.

- A więc zdobycz sama weszła nam w łapy.

Genevieve poderwała głowę do góry i zbladła. Stało nad nią dwóch mężczyzn ubranych na czarno. Z ich twarzy biła nienawiść. Kiedy jeden wyciągnął rękę, odskoczyła do tyłu i poderwała się na nogi.

- Och, nie, panienko... - Drugi zastąpił jej drogę.

Genevieve rzuciła się do przodu, prześlizgnęła między napastnikami i zaczęła uciekać, co sił w nogach.

- Niech sobie ucieka - powiedział jeden z mężczyzn. - Zabawimy się na świeżym powietrzu. Davy, zauważyłeś, jakie tu zdrowe powietrze jest nad morzem?

„Kendrick!”

W myślach zobaczyła, że Kendrick odwraca się od rycerza pędzącego prosto na niego w szrankach. Przeleciał przez zad konia i z hukiem upadł na ziemię nakrywając się nogami - lanca przeciwnika trafiła go prosto w pierś. Poderwał się i wrzasnął na Nazira i inne duchy pilnujące zewnętrznych obwarowań.

„Do broni! Wszyscy do mnie!” - ryczał.

Genevieve krzyknęła z bólu, gdy prześladowca znużył się zabawą w kotka i myszkę, i chwycił ją za włosy. O mało nie urwał jej głowy. Wylądowała na piasku. Obaj stali nad nią śmiejąc się szyderczo.

- Niezła sztuka, co, Davy? Weźmy ją najpierw, potem odstawimy. Co ty na to? Drugi wyszczerzył się ukazując bezzębną szczękę.

- Tak, jestem za, Al.

Al walnął go w twarz.

- Mówiłem ci, żebyś nie używał mojego imienia, ty ośle! Całkiem zdumiałeś?

Nagle otoczyła ich gęsta mgła. Mężczyźni zakręcili się w miejscu, zdumieni, co tak gwałtownie przyćmiło światło.

„Gen, na czworaka w lewo! Tak szybko, jak możesz!”

Nie trzeba jej tego było dwa razy powtarzać. Al i Davy trzymali w rękach sztylety i nie miała zamiaru dać nabić się na któryś z nich. Z nosem przy ziemi w panice rzuciła się w bok. Wrzasnęła, gdy tuż obok jej ręki w piasek wbił się nóż. Zmieniła kierunek i podczołgała się aż do wody. Dalej nie mogła uciekać. Rozpłaszczyła się w przybrzeżnej fali i zaczęła się modlić.

W gęstej mgle rozgorzały odgłosy bitwy. Cienie duchów wynurzały się i znikwały w ciemności, rycerze w pełnych zbrojach wywijali mieczami i wrzeszczeli przeraźliwie. Ryki Ala i Davy'ego zagłuszył ogólny tumult. Genevieve przyłożyła ręce do uszu i modliła się, by wzięli ją za dryfujący kawałek drewna i zostawili w spokoju. Dlaczego Worthington nie wzywa policji?

Okrzyki bitewne zaczęły słabnąć; mgła powoli ustępowała. Podniosła głowę i zeszytniała na widok ciemnej postaci ze strzelbą w dłoni. Po chwili jednak słońce wynurzyło się zza chmur i spostrzegła błysk srebrnych włosów.

- Milady, proszę wyjść z wody. Zaziębi się pani.

Chwyciła Worthingtona za nogawki spodni.

- Na ziemię! - syknęła. - Zabijają pana!

Worthington ujął ją za rękę i pomógł wstać.

- Milady, proszę iść z jego lordowską mością do domu, a ja zaczekam tu na policję.

Kendrick wynurzył się z resztek mgły, ociekający krwią od stóp do głów. Widząc jej przerażony wzrok zaklął i natychmiast odzyskał swój zwykły strój - dzinsy i sportową bluzę.

- To tylko dla szpanu - powiedział uspokajająco. - Do domu, Gen, i natychmiast do gorącej wanny. Worthington przypilnuje jeńców. Worthington, zadbaj, żeby ich zatrzymano, aż do przyjazdu inspektora O'Mally. Jeśli nie będą zbyt rozmowni, ściągnij mnie tu z powrotem. Już ja ich przekonam, żeby udzielili szczegółowych informacji.

Gdy szli w stronę zamku, popatrzył na nią marszcząc czoło.

- Co, na miłość boską, przyszło ci do głowy, żeby samej się tu zapuścić? Genevieve, to naprawdę było niemądre!

Zatrzymała się i obrzuciła ponurym spojrzeniem.

- Musiałam się przejść. Ty ćwiczysz z rycerzami. Dlaczego ja nie mogę nigdzie się ruszyć?!

- Ponieważ ja nie potrzebuję opieki.

- Ja też nie!

- Wydarzenia dzisiejszego ranka były tego świetnym dowodem. Odtąd nie będziesz wychodzić z zaniku bez mojej wiedzy, Genevieve.

- Nie muszę ci się spowiadać...

- Jak mam cię chronić, jeśli nie wiem, gdzie jesteś?

- Och, daj mi spokój... - jęknęła rozpaczliwie, przeszła przez niego i ruszyła do góry. - Daj mi święty spokój!

Gdy wyszła na twardy grunt, pobiegła przez tunel, a potem przez pomieszczenia dla służby i schodami do swego pokoju. Zatrzęsła drzwi, pobiegła do łazienki i przekręciła klucz w zamku. Jakby zamknięte drzwi mogły zatrzymać Kendricka.

Ukryła twarz w dłoniach i zaszlochała. Czemu jej życie jest takie trudne? Nie dość, że pokochała ducha, to na własnym podwórku ścigają ją jacyś zboczeńcy. Z jękiem odepchnęła się od drzwi i weszła do wanny.

Czy może być jeszcze gorzej?

Kendrick siedział w gabinecie z głową na oparciu kanapy i nogami na stołku. Tkwił tak nieporuszony od dwunastu godzin, prawie całą noc. Czekał na Genevieve. Na próżno. Po kąpeli poszła spać. Nie miał odwagi iść ją pocieszyć. Był przerażony.

To potworne. O mało jej nie stracił. A wybawienie Genevieve z rąk tych łotrów jeszcze pogorszyło sytuację! Wiedział, jakie to dla niej trudne, jak bardzo pragnie, by ją przytulił i zapewnił, że jest całkowicie bezpieczna. Nie znalazłby słów, by opisać, jak bardzo i on tego pragnie.

Usłyszał pukanie do drzwi. Zaskoczony podniósł głowę. Jeszcze nawet nie świtało. Dlaczego wstała? Opuścił głowę na oparciu kanapy.

- Genevieve?

Drzwi się otworzyły i zajrzała do środka.

- Chcesz jeszcze ze mną rozmawiać?

Uśmiechnął się smutno.

- Oczywiście, kochanie. Wcześniej zerwałaś się z łóżka!

Westchnęła, zamykając za sobą drzwi.

Pomyślał, że - tym razem zielona - piżama jest równie urocza jak tamta czerwona.

Jakże chciałby objąć ukochaną dziewczynę.

Genevieve podeszła do kanapy. Niewiele brakowało, żeby usiadła Kendrickowi na głowie. Uśmiechnął się lekko. Była tak zamyślona, że nie wiedziała, co robi. Mimo pierścionka zaręczynowego na palcu, wciąż była strasznie nieśmiała. Zwykle siadała w odległości wyciągniętego ramienia. Małżeństwo prawdopodobnie też długo tego nie zmieni.

- Nie mogłam spać - szepnęła podnosząc na niego oczy. - Przepraszam za wczoraj. Byłam okropna.

- Byłaś zdenerwowana. Rozumiem.

- Musiałam wyrwać się z domu.

- Rozumiem, Gen - powiedział łagodnie.

- Sądzisz, że damy sobie jakoś z tym radę? Na pewno nie chcesz, żebym podpisała dokumenty?...

- Absolutnie nie! - Odetchnął głęboko, żeby się uspokoić. - Będę się cieszył tym, co mogę dostać od ciebie. To wystarczy.

- Ale...

- To jedyne wyjście.

Zagryzła wargę patrząc mu w oczy.

- Ale ostatnio byłeś taki przygnębiony.

- Zima nie wpływa na dobry nastrój.

- To nieprawda...

Kendrick przesunął ręką po włosach.

- Zbyt wiele czasu zmarnowałem na marzenia o tym, czego nie mogę mieć, kochanie. Teraz już tak nie będzie. Może wrócimy dziś do urządzania komnat? Dobrze zrobi nam obojgu, jeśli czymś się zajmiemy. I nie zapominaj, że musisz zaplanować ślub. Najlepszy termin będzie w czerwcu, nie sądzisz?

Genevieve spuściła oczy.

- Kiedy zamierzałeś poślubić Matyldę?

- Pod koniec zimy.

Uśmiechnęła się do siebie.

- W takim razie w czerwcu, milordzie.

- Okryj się kocem, najdroższa, i przysuń się tu bliżej. Mam obudzić Worthingtona, żeby rozpałił na kominku?

- Nie, tak jest dobrze. - Genevieve wzięła koc z krzesła przy drzwiach i wróciła na kanapę. - Pooglądajmy telewizję. Muszę się odprężyć.

- Tak wcześnie nie ma nic ciekawego.

- Wszystko mi jedno, znajdź cokolwiek.

- Mam nagrany mecz na wideo. Chcesz obejrzeć?

- Nie, Kendrick, później. Nie jestem w stanie oglądać futbolu przed śniadaniem.

- Dobrze, kochanie. W takim razie ty przejmij ster - powiedział spoglądając na pilota.

- Z przyjemnością.

- Pilotowanie to twoja specjalność...

Genevieve opatuliła się kocem.

- Jesteś wspaniała.

- Opowiedz coś więcej...

- Zajrzyj do moich myśli, jestem zbyt zmęczona, żeby teraz mówić.

Kendrick oparł się wygodnie o oparcie. Później wyciągnie od niej jakieś miłe słówka, kiedy poprawi jej się nastrój. Musi jak najszybciej zapomnieć o wczorajszym szoku. Inspektor pojawi się prawdopodobnie koło południa, ale do jego przyjazdu nie powinna o tym myśleć.

- Zobacz - powiedziała wpatrzona w ekran.

Kendrick zmrużył oczy.

- To film rysunkowy, Gen. Na jakimś innym kanale jest na pewno futbol. To przecież kreskówka dla dzieci.

- „Kopciuszek”... To chyba najwspanialsza historia miłosna wszechczasów.

- Najwspanialsza?

Odwróciła się do niego.

- Oprócz naszej.

Kendrick spowaźniał widząc jej smutne spojrzenie.

- Tak... - powiedział cicho. - Oprócz naszej.

- A teraz bądź cicho i oglądaj. Księżę jest bardzo przystojny.

- Przystojniejszy ode mnie?

- Nikt nie jest przystojniejszy od ciebie - odpowiedziała, nie odrywając już wzroku od ekranu.

Skapitulował. Wiedział, że Genevieve jest całkowicie pochłonięta filmem. Od czasu do czasu wzdychała wzruszona, więc miał wrażenie, że kreskówka poprawi jej humor. Tym lepiej.

Pomyślał o drzemce, po chwili jednak film go zainteresował. Rozbawiły go piskliwe głosiki myszek i postać dobrej wróżki, która, wypisz wymaluj, przypominała karykaturę Adelajdy. Szkoda, że pani Adelajda nie jest naprawdę dobrą wróżką spełniającą życzenia. Kendrick wiedział, o co by ją poprosił.

Och, co za rozczulająca historia. Gdy film się skończył, łzy lały się potokami po twarzy Genevieve, a Kendrick gwałtownie mrugał powiekami, by ukryć wzruszenie. Doszło do tego, że kreskówka doprowadza go prawie do płaczu! Popatrzył z uśmiechem na pociągającą nosem Genevieve.

- Gen, masz takie miękkie serce.

- To takie piękne - powiedziała, patrząc na niego rozmarzonymi oczami. - Prawda?

- Tak. - Boże, chyba się nie rozplącze? Odchrząknął głośno. - Czy mogę nastawić teraz mecz?

Oparła głowę obok jego ramienia.

- Tak, obudź mnie, kiedy się skończy.

Skinął na zgodę i włączył wideo.

Ach, jakie napięcie muszą czuć ci faceci na boisku. Zupełnie jak przed bitwą, mimo że ceny zwycięstwa nie można porównać, chociaż niektórzy traktowali to bez wątpienia jak grę na śmierć i życie. Z jaką ochotą wyszedłby z nimi na boisko. Szkoda, że ani on, ani Royce, nie odzyskają nigdy śmiertelnego ciała. Obaj są młodzi i silni. Może nawet zrobiliby karierę w zawodowej lidze futbolowej?

Do przerwy remis. Kendrick jęknął i opuścił głowę na oparcie. Oczywiście nie zdobyli się nawet na czyste, jednoznaczne zwycięstwo. Druga część będzie pewnie równie zacięta do ostatniej minuty, ale bez ostatecznego rozstrzygnięcia. Dziś chętnie obejrzałby, jak jego Raidersi zadają przeciwnikowi druzgoczącą klęskę. To by go rozluźniło. Ściszył dźwięk w telewizorze i puścił dalej taśmę.

Zamknął oczy, pozwalając myślom przepływać swobodnie. Przypomniała mu się kreskówka. Och, jak wielką moc miała dobra wróżka! Gdyby takie cuda zdarzały

się naprawdę. A może wystarczy mocno chcieć? Tylko godzinę, nie, pół godziny. Gdyby choć raz mógł wziąć w ramiona swoją ukochaną, na tak długo tylko, by ją pocałować, dotknąć jej twarzy, objąć i przytulić do piersi. Czy to tak wiele? Tylko raz? Przez kilka chwil?

„Tylko jeden raz. Tylko o to proszę. Jeden raz.”

Oczywiście nic takiego się nie zdarzy. Kendrick westchnął głęboko. Cuda nie zdarzają się już w naszych czasach. Poruszył lekko ramieniem.

Nagle zeszywniał.

Głowa Genevieve leżała na jego ramieniu.

Nie opierała się o kanapę, lecz o jego ramię.

Zaparło mu dech. Czuł jej dotyk. Opanowując panikę, ostrożnie uniósł głowę i spojrzał na Genevieve. Boże, czuł dotyk jej ciała!

Powoli wyciągnął rękę i dotknął kosmyka spadającego jej na czoło. Westchnął bezwiednie, czując, jak jedwabiste włosy prześlizgują mu się między palcami. Wstrzymał oddech i dotknął jej policzka. Skóra była delikatna jak u dziecka. Dotknięcie obudziło ją. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

- Koniec meczu? - spytała rozespana.

- Nie - szepnął prawie bezgłośnie. - Jest przerwa...

- To dlaczego mnie obudziłeś? - Słowa zamarły jej na ustach, kiedy zdała sobie sprawę, co się dzieje. Była równie oszołomiona jak on. - Co się stało?

- Nie pytaj. Tylko pozwól mi cię dotykać.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, kiedy przesuwiał dłońią po jej policzku i ustach, jakby chciał zapamiętać to uczucie. To było takie piękne, takie delikatne... Wsunął rękę we włosy Genevieve. Wydawało mu się, że każde dotknięcie pali mu skórę.

Uniósł jej twarz do góry i delikatnie dotknął wargami jej ust. Jęknął cicho, czując, jakie są miękkie i słodkie. Wiedział, że tak cudownie będą smakować. Drugą ręką objął ją i przyciągnął do siebie, nie odrywając warg od jej ust.

Nigdy nikt nie całował jej naprawdę. Wiedział to w momencie, kiedy wsunął język w jej usta. Podskoczyła gwałtownie, ale Kendrick mocno ją trzymał.

- Cichutko... - szepnął, pokrywając pocałunkami jej policzek, skroń, ucho. - Cherie, nie bój się mnie. Chodź tu, ma petite...

Och, jak dawno nie szeptał do żadnej kobiety po francusku, w języku swego dziadka. Słowa pełne czułości ożyły nagle same w jego pamięci.

Jednak teraz jest inaczej. Ta kobieta naprawdę należy do niego. Słowa przeznaczone były tylko dla niej, jego ręce istniały po to, by dotykać jej ciała, a usta, by całować tylko ją.

- Najdroższa - szepnął muskając jej wargi. - Moja słodka Genevieve. Powiedz, że to nie sen.

- To dar. Niemożliwy dar. Jak długo to...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Nie zniósłby teraz myśli, że może ją stracić. Zabiłby się z udręki. Odsunął lęk i skupił się tylko na drżącej w jego ramionach ukochanej. Pocałował ją namiętnie.

Nie, jeszcze za wcześnie. Jest zbyt gwałtowny jak dla niej. Genevieve potrzebuje delikatnego uwodzenia, a nie barbarzyńskiej żądzy. Odsunął się i przytulił ją do piersi, łagodnie głaszcząc po plecach.

- Moja Gen... - szepnął. - Jak strasznie tęskniłem za tobą.

- Weź mnie do łóżka. Teraz.

Popatrzył zaskoczony.

- Co? - spytał z niedowierzaniem.

- Dopóki możemy to zrobić. - Drżała tak mocno jak pierwszej nocy, kiedy ze strachu o mało nie postradała przez niego zmysłów. - Musimy zrobić to teraz.

- Jeszcze za wcześnie...

- Może nie być następnej okazji - powiedziała z lękiem w oczach. - Proszę, Kendrick. Nie boję się.

Takiego kłamstwa dawno nie słyszał. Zamknął oczy, zmagając się z pożądaniem.

Ale pragnienie zwyciężyło. Nagle jednym ruchem porwał ją na ręce i wstał. Popatrzył poważnie i spytał:

- Chcesz tego?

- A ty chcesz?

- Najpierw chcę cię poślubić. Ale obawiam się, że nie mamy wiele czasu.

- Więc kochaj mnie. - Objęła go za szyję i przycisnęła policzek do jego twarzy.

- Kochaj mnie, dopóki to możliwe.

Och, słodka Genevieve, tak odważnie zмага się z przerażeniem. Jak dzielny wojownik. Postara się sprawić jej jak najmniej bólu. Może wystarczy mu czasu.

Ruszył do drzwi.

I wtedy poczuł, że Genevieve przelatuje mu przez ręce. Krzyknęła z bólu upadając na podłogę, a potem przycisnęła dłonie do piersi. Kendrick stał nad nią osłupiały. Wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać.

Pustka.

- Niech to piekło pochłonie! - wrzasnął zaciskając pięści.

Genevieve niezdarnie wstała i upadła na kanapę, szlochając żałośnie. Kendrick czuł się tak, jakby ktoś wbijał mu nóż w brzuch.

Nie mógł tego znieść. Przeszedł przez drzwi i uciekł na mury, gdzie sam w gwałtownym szlochu dał upust swojej męce. Stał tam, aż nad horyzontem rozbłysły pierwsze promienie słońca.

Boże miłosierny, jakie jeszcze katusze ich czekają?

Genevieve słyszała w myślach echo jego rozpaczliwego płaczu. To niesprawiedliwe! Dlaczego? Dlaczego dostała go tylko po to, żeby stracić? Dlaczego dane jej było poczuć jego bliskość, a teraz znów znalazła się w otchłani?

Rozpacz zalała ją jak miazdząca fala. Czowała, że na zawsze zostanie na tym dnie piekieł. Z trudem wstała i powlokła się do pokoiku, gdzie Kendrick trzymał osobiste rzeczy. To musi się skończyć. Nie dadzą sobie rady po tym, co się stało. Podpisze dokumenty, odda Kendrickowi wolność i resztę życia spędzi w rozpaczach. Może nie będzie długo żyła. Oby nie trwało to długo; wtedy nareszcie znajdzie się tam, gdzie

Kendrick będzie na nią czekał. To lepsze, niż trwanie w tej sytuacji, która nagle obróciła się w taki koszmar.

Otwierała po kolei wszystkie szuflady i wyrzucała na ziemię różne papiery, szukając gorączkowo aktu zrzeczenia się własności zamku. Musi tu gdzieś być. Przeszukała bez rezultatu całe biurko. W końcu dostrzegła dokument. Pod suszką do atramentu.

Drżącą ręką podniosła papier.

Ostrożnie położyła go na blacie i sięgnęła po pióro. Musi po prostu podpisać. Nic trudnego. Podpisała w życiu setki dokumentów. Ten też może podpisać.

Przyłożyła pióro do papieru. Ktoś wystukał jej nazwisko na staroświeckiej maszynie do pisania. Genevieve Buchanan. Dwa krótkie słowa.

Zamaszyście złożyła podpis, a potem gwałtownym gestem wyrzuciła w powietrze pióro i kartkę. Osunęła się z płaczem na kolana.

Dopiero kompletna cisza wróciła jej zdolność myślenia. Przestała słyszeć echo krzyków Kendricka. Zawołała go w myślach.

Cisza.

Położyła się na zimnej kamiennej podłodze i znów rozplakała.

Rozdzierający ból wypełnił ją całą.

Koniec.

Kendrick odszedł.

Palący ból w piersi ustąpił. Oszołomiony Kendrick otworzył oczy. Słyszał świst wypuszczonej z kuszy strzały i czuł, że wbija mu się w ciało jak topór. Po odbierającej oddech agonii ogarnęła go błoga ciemność, obietnica spokoju i ukojenia.

A teraz znów jest żywy? To nie do pojęcia... Szarpnął łańcuchy krępujące nadgarstki i kostki u nóg - opadły, jakby nigdy ich tu nie było.

„Myśl, Piaget.” Czy to kolejny trik Matyldy? Czy ludzie Ryszarda czyhają na górze, uzbrojeni po zęby i gotowi rzucić się na samotnego, bezbronno człowieka? Gdyby tylko Royce i Nazir żyli. We trójkę wyszli cało z wielu pułapek. Rozejrzył się wokół. Ciała zniknęły! Kendrick przetarł ręką oczy. Boże, chyba pomieszało mu się w głowie!

Nie, jego kapitan i Saracen nie żyją; widział, jak to się stało. Nigdy nie wymaże tego z pamięci. Tym razem Ryszard drogo zapłaci za swoje łajdactwo.

Spostrzegł kolczugę, którą ktoś z niego zdarł i rzucił w ką. Porwał ją z ziemi razem z płaszczem, na którym widniał herb ojca, i szybko się ubrał. Jakimś cudem jego miecz też tu był. Chwycił go i podbiegł zaczajony do schodów, zdając sobie sprawę, że najmniejszy hałas może spowodować śmiertelne niebezpieczeństwo.

Ale... czy nie umarł już wcześniej?

Potrząsnął gwałtownie głową, starając się uporządkować wirujące myśli i obrazy. Później się tym zajmie, teraz musi wydostać się z Seakirk. Pojedzie do Artane, zbierze braci i kuzynów, i wróci, by się zemścić. Ryszard niedługo już pożyje. Kiedy znajdzie się w jego rękach, będzie błagał o litość.

Kendrick nigdy nie czuł takiej osłepiającej nienawiści. Tak, ten łajdak będzie modlił się o śmierć na długo, zanim ona nadejdzie. Wspiął się na pierwszy podest i rozejrzył czujnie, czy nie ma tu ludzi Ryszarda. Nikogo nie było w zasięgu wzroku. Podskoczył wyżej. Ostatnim razem, gdy widział wielki hall, sala była bardziej zaśmiecona i śmierdząca niż najnędnniejszy zajazd.

Teraz było tu czysto i schludnie. I żadnych śladów po bitwie. Uśmiechnął się gorzko. Jak to miło, że Matylda tak szybko zadbała o porządek. Podłogę trzeba przecież było skrobać po tym, jaką rzeźnię urządzili tu z Royce'em i Nazirem. Wszędzie walały się szczątki porąbanych, broczących krwią ciał.

Jednak dziwiła go ta pustka. W kominkach nie palił się ogień. Z kuchni nie dochodziły zapachy pieczonego mięsa. Nawet żadnego psa śpiącego w kącie. Jakby zamek był opustoszały.

Może czekają na zewnątrz. Mocniej zacisnął pięść na rękojeści miecza. Podeszedł do wyjścia, odsunął zasuwę i z rozmachem otworzył drzwi.

I o mało nie upadł z wrażenia. Na Boga, co się stało z placem turniejowym? Przyłożył rękę do czoła, starając się powstrzymać natarczywe, tańczące przed oczami wizje. Wczoraj wjechał w bramy Seakirk, zbulwersowany opłakanym stanem całego domostwa; teraz patrzył na zadbany, wspaniale utrzymany dziedziniec.

Zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie. Budynki były wciąż te same. Może odrobinę bardziej zniszczone, ale w dobrym stanie. Dziedziniec natomiast zamiast kurzu i błota pokrywały kamienne płyty i trawniki. A ogród!... Ogród był naprawdę piękny.

Lecz wokół nie widział żywej duszy. Poczł się zupełnie zdezorientowany. Co to za diabelskie sztuczki? Zszedł ze schodów i poszedł w stronę dużego trawnika. Rozejrzał się, zdumiony pustką dookoła.

- Ryszard, ty szatanie! - krzyknął. - Pokaż się! Wyjdź i walcz, ty tchórze!

Nic. Żadnej odpowiedzi.

- Słuchaj, bydlaku! - ryczał Kendrick coraz bardziej rozwścieczony. - Wyłaź spod spódnicy Matyldy i walcz jak mężczyzna!

Genevieve poderwała się na dźwięk wrzasków dochodzących z dziedzińca. Co się znowu dzieje? Zmarszczyła brwi wsłuchując się w dziwny akcent krzyczącego mężczyzny. Ledwie mogła zrozumieć słowa. Ciężko podniosła się z podłogi i powlokła do drzwi. Pewnie kolejny zbior chce ją porwać.

Zeszła do wielkiego hallu. Wrzaski stawały się coraz głośniejsze. Na litość boską, gdzie podziewa się Worthington, kiedy jest potrzebny? Podbiegła do drzwi - były odryglowane. Co się dzieje?

Otworzyła i wyjrzała na zewnątrz. Wrzaski nie ustawały.

Głos podobny był do głosu Kendricka, tylko głębszy, pełniejszy. Jakby wydobywał się z piersi żywego człowieka. Nie, to niemożliwe. Potrząsnęła głową schodząc ze schodów.

„Nawet o tym nie myśl, Buchanan!” Boże, nie wytrzymałaby tego - uwierzyć, że on żyje i przekonać się potem, że to nieprawda.

- Niech cię diabli, Ryszard! Ty kanaliu! Pokaż się!

Genevieve rzuciła się w stronę zabudowań. Za rogiem rozciągał się wielki trawnik i stamtąd właśnie dobiegały wrzaski.

Na środku trawnika stał Kendrick. Teraz wyraźnie usłyszała, że wzywa Ryszarda i Matyldę. Miał na sobie szaty, które powinny leżeć w szklanej gablocie na górze. W dłoni trzymał swój inkrustowany szmaragdem miecz; poranne słońce błyszczało na ostrzu.

Genevieve gwałtownie łapała oddech. Serce waliło jej jak młotem.

Kendrick zobaczył dziewczynę, gdy wynurzyła się zza rogu zamku. Zaczęła biec, wykrzykując jego imię. Boże, co to za strój? Od szyi do stóp pokrywało ją zielone futro. Takiej zieleni nigdy wcześniej nie widział. Kim ona jest? Celtyckim elfem ze szkockich kniei?

Podszedł kilka kroków i złapał ją za ramię.

- Kim jesteś, suko? - warknął ostro.

- Kendrick... - szepnęła roztrzęsiona. - To ja, Genevieve. Kochany, nie poznajesz mnie?

- Skąd znasz moje imię? - spytał, zaintrygowany jej dziwnym akcentem. Mówiła trochę jak wieśniaczka, ale był to naprawdę dziwny angielski. Z pewnością nie była szlachcianką, gdyż odezwałaby się po francusku.

- Kendrick, Ryszard cię zabił i byłeś duchem przez siedem wieków.

- Łgarstwa! - wycedził. Na wszystkich świętych, to czarownica!

- Mieszkałeś w Seakirk cały ten czas - ciągnęła poruszona. - Jestem ostatnią z Buchananów i chciałeś mnie zabić. Zakochaliśmy się w sobie. Dziś rano dotknęliśmy się po raz pierwszy, nie pamiętasz? Potem znów stałeś się duchem i tak mnie to załamało, że podpisałam zrzeczenie się własności zaniku na ciebie... Myślałam, że naprawdę umarłeś.

Ostatnia z Buchananów? Nie, zna wszystkich Buchananów, a ta dziewczyna nie jest wcale do nich podobna. Jonatan Buchanan, tak, dobrze pamięta tego chłopaka.

Zobaczył siebie, jak stoi nad młodzieńcem i opisuje dokładnie swoich bliskich, a Jonatan szkicuje portret. Zobaczył ich dwóch, jak grają w szachy i przypomniał sobie okropne uczucie, że nie może dotknąć pionków.

Ale to przecież niemożliwe. Jego palce są zupełnie zdrowe i normalne. Skąd więc to wspomnienie?

Mocno potrząsnął głową odsuwając od siebie te myśli. Czarownica rzuca na niego jakiś urok.

- Ty kłamliwa dziewczko - wycedził przez zaciśnięte zęby, chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą w stronę zamku. Może jeśli wrzuci ją do lochu, czarownica straci swoją moc.

- Nie kłamie - przekonywała gwałtownie kobieta. - Wiem o tobie wszystko. Wiem, że masz długą bliznę na piersi i że zranił cię Filip, gdy mimo zakazu ojca bawiliście się w pojedynkę na prawdziwe miecze.

Kendrick prawie biegł, nie zwracając uwagi na to, że kobieta co chwilę się potyka. Niech sobie pomoże swoimi czarami.

- Wiem, że kiedy król podarował ci Seakirk, pojechałeś sam nad morze i modliłeś się, prosząc Boga, by pomógł ci podjąć decyzję. Miałeś wizję Seakirk z ogrodem na miejscu placu turniejowego, widziałeś dziwnie ubranych ludzi, którzy podróżowali w metalowych pudełkach na kołach. - Jęknęła potykając się i upadła. Kendrick podniósł ją jednym szarpnięciem i dalej ciągnął za sobą. - Wiem, że pomyślałeś wtedy, iż to znak, by poślubić Matyldę. Sądziłeś, że widziałeś swoich potomków, żyjących wiele lat później. Nigdy nikomu o tym nie mówiłeś, Kendrick, tylko mnie.

Podniósł rękę, żeby uderzeniem zamknąć jej usta.

„Kendrick, my nigdy nie krzywdzimy kobiet, nawet w złości. Pamiętaj zawsze, że ponieważ jesteś silniejszy, musisz kontrolować swoją siłę.”

Ręka zawisła w powietrzu. Na świętego Jerzego, to czarownica! Jakże to ma znaczenie, co z nią zrobi?

„Nawet dziewczki służebne nie powinny nigdy odczuć twojej silnej ręki, synu. Kobieta, niezależnie od pozycji w świecie, jest jednym z boskich stworzeń. I tak trzeba ją traktować.”

- Do diabła, ojcze, to co innego - mruknął pod nosem, ale opuścił rękę dziewczyny i zatkał jej po prostu usta. - Milcz, wiedźmo! - syknął. - Służysz szatanowi. Nie będę słuchał twoich bluźnierstw.

Próbowała się wyrwać, ale wobec jego siły musiała dać za wygraną. Była wysoka, miała jednak w sobie coś bardzo delikatnego. Zmarszczył ponuro czoło, chwycił ją na rękę i zaniósł do zamku.

Wielki hall był nadal zupełnie pusty. Nagle znów nadeszła wizja. Hall pełen ludzi, ubranych tak dziwnie, że zatrzymał się w pół kroku. Mężczyźni i kobiety tańczyli w pstrokatych, wymyślnych przebraniach. Kobiety w kusych, bezwstydnie opinających biodra sukniach, a mężczyźni w luźnych, obwisłych szmatach na nogach.

Wizja znikła równie szybko, jak się pojawiła. Został sam ze szlochającą dziewczyną w ramionach. Wydała mu się taka wiotka. Zacisnął zęby, powtarzając sobie, że to przez jej czary mięknie mu serce.

Odwrócił się i ruszył w kierunku schodów prowadzących do podziemi. Dwie pary drzwi? Od kiedy są tu dwie pary drzwi do piwnic? Pewnie wcześniej nie zauważył. Wybrał te bardziej oddalone. Nadal nikt nie stawał mu na drodze.

Zbiegł schodami i rozejrzał się, do czego przywiązać czarownicę. Bóg jeden wie, co może jeszcze uknuć. Najpierw pomyślał o łańcuchach na murze, ale jej ręce były za szczupłe, wyslizgnęłyby się z kajdanów. Na ziemi wypatrzył jakąś linę. Podniósł ją, a czarownicę pchnął do kolumny podpierającej strop, wykręcił jej rękę do tyłu i związał za filarem.

- Och, Kendrick - szlochała. - Błagam cię, obudź się!

- Jestem zupełnie trzeźwy i wiem, co robię - warknął. - Gdzie jest Ryszard? Przysięgam, że poderżnę mu gardło, zanim słońce dojdzie do zenitu! - Skrzyżował ręce na piersi i popatrzył na nią z góry. - Mów prawdę, jeśli ci życie miłe.

- Ryszard nie żyje - wydusiła Genevieve. - Matylda też. Kendrick, mamy tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty szósty rok. Wszyscy nie żyją od kilkuset lat.

- Łżesz - parsknął. - Matylda niepotrzebnie zapłaciła ci za rzucenie na mnie uroku. Znajdę Ryszarda i tę jego dziwkę, i za wszystko mi zapłacą. Ty umrzesz, a ja sprowadzę braci i obrócimy ten zamek w perzynę. Nie zamierzam mieszkać w domu opanowanym przez szatana.

- Kendrick, proszę - skomlała dziewczyna. - Straciłeś pamięć... - Nagle szerzej otworzyła oczy. - Straciłeś pamięć?

Kendrick, pozwól, żebym ci pomogła, wszystko sobie przypomnisz! Posłuchaj tylko i spróbuj zrozumieć moje słowa.

Zatkał uszy rękami. Czy ta wiedźma sądzi, że bez walki podda się jej czarnej magii? Ona musi umrzeć i to zaraz. Ale jaką bronią ją zabić? W Artane nigdy nie było żadnej czarownicy, mimo że słyszał opowieści, ile ich nałapano w Szkocji. Jak się zabija wiedźmę? Ogniem?

Wstrząsnął się. Zabił niezliczoną liczbę przeciwników na wyprawach krzyżowych, lecz do pewnych rzeczy po prostu nie był w stanie się zmusić, na przykład do spalenia kobiety. Czy ma odciąć jej głowę? Popatrzył na nią. Nawet w mdłym świetle pochodni widać było, jak jest piękna. Urok to czy nie, z przyjemnością się na nią patrzyło. Nie, nie zetnie jej głowy ani nie przebije mieczem piersi.

Na ziemi dostrzegł kuszę. Tam, gdzie upuścił ją Ryszard. Była odblokowana, jakby gotowa do strzału. Spojrzał na mur, do którego go wcześniej przykuto.

- A Jonatan? Pamiętasz portret twojej rodziny, który namalował? Jest w twoim pokoju na górze razem z telewizorem i komputerem. Podarowałam ci go na Boże Narodzenie. Komputer słucha twojego głosu. Nie pamiętasz wszystkich gier, jakie ci wynalazłam? I nie pamiętasz, że razem oglądaliśmy mecze futbolowe w telewizji?

Dziwne, że strzała też tu jest.

Ale przecież tak właśnie było! Spojrzał uśmiechniętemu cynicznie Ryszardowi prosto w oczy. Słyszał świst wypuszczonej strzały i czuł rozrywający ból, gdy przeszła ciało. Pamiętał gorzki, metaliczny smak krwi w ustach.

- I nie pamiętasz, jak nieznośny był Nazir, dopóki nie pozwoliliśmy mu samemu urządzić jego pokoju? W nocy zamieniał wszystkie etykiety, które tak mozolnie naklejaliśmy na meble. A te wieczory, spędzone razem na kanapie w twojej jaskini, jak nazywałeś swój apartament? Kiedy przed ogniem na kominku dzieliliśmy się marzeniami i nadziejami, tym wszystkim, co wydawało nam się niemożliwe? A mój pierścionek? Nie pamiętasz, jak mi go dałeś? Sam go założyłeś...

Kendrick oparł się ręką o ścianę, żeby opanować zawrót głowy. Przecież strzała przebiła mu pierś... Wspomnienia osaczały go jak demony wynurzające się z mgły i znikwały, gdy tylko się zbliżał. Kim był Jonatan Buchanan?

Wnukiem Matyldy. Ale skąd on to wie? Poczł się zamknięty w więzieniu, pozbawiony dotyku, smaku i powonienia. Przypomnił sobie, że chodził po zamku i widział słomę na podłodze, lecz jego stopy nigdy jej nie dotykały. Stajnie pełne były brudnych ludzi i koni, ale Kendrick nie czuł odoru nawozu ani potu. Zapachu jedzenia też nie czuł. Jeśli po coś sięgał, jego ręka trafiała na pustkę.

- Przestań! - zaryczał odwracając się do dziewczyny, która wciąż plotła jakieś bzdury. Rzuca na niego czary... - Nic nie wskórasz swoją magią!

- Kochasz mnie - powtarzała z uporem. - Do diabła, Kendricku de Piaget, to nasza szansa, a ty chcesz ją zmarnować! Przypomnij mnie sobie, ty durniu!

- Słyszysz szatanowi! - zasyczał. - I nie będę więcej słuchał twoich łgarstw.

Chwycił strzałę i włożył ją do kuszy.

- Kendrick, pomyśl o tym, co kochasz - powiedziała szybko. - Twój jaguar. Moja czerwona piżama. Słuchanie awanturniczych opowieści Nazira.

- Pomódl się do swego szatańskiego bożka, bo zaraz do niego dołączysz - powiedział zimno, naciągając kuszę.

- Och, Kendrick - odezwała się słabym głosem Genevieve. - Proszę, przypomnij mnie sobie. Kocham cię ponad życie. Podpisałam dokument, Kendrick.

Dlatego wróciłeś do życia, jestem pewna! To twoja druga szansa, po tym, jak Ryszard odebrał ci życie.

Kendrick wyprostował się i wymierzył do niej.

„Kendrick, twoim obowiązkiem jest chronić kobiety i dzieci.”

Ale nie wiemy. Ta kobieta jest czarownicą.

„Nigdy nie zbrukaj honoru, krzywdząc kobietę po to, by upewnić się o swej sile, synu. Jeśli trzeba, zabij mężczyznę, ale nigdy kobiety. One są naszym najwspanialszym boskim darem.”

„Zamilknij, ojcze!”

„Jakże jestem dumna z mężczyzny, którym się stałeś, synu. Pamiętaj, że twój ojciec i ja będziemy na ciebie czekać, gdy nadejdzie czas.”

„Matko, o czym ty mówisz? Gdy nadejdzie czas?”

Kendrick stuknął się w czoło. Co to za czary, że słyszy głos matki wypowiadającej takie dziwne słowa? Spojrzał na czarownicę. Jej twarz pełna była smutku i żalu. Ale jeszcze jakieś inne uczucie promieniowało z jej oczu...

Miłość?

Niemożliwe. Rzuciła na niego urok. Stoi tu niepewny jak dziecko. Znow uniósł kuszę i spojrzał jej prosto w oczy.

- Chcesz coś powiedzieć przed śmiercią? - spytał sucho. - Jakieś słowo prawdy?

Och, ten smutek w jej spojrzeniu.

- Powiem ci prawdę - szepnęła. - Kocham cię, mój rycerzu.

Najpierw nic nie poczuł. Wszystkie uczucia i myśli odpłynęły jak cofająca się fala morska. A potem wspomnienia zaczęły powracać jak nawałnica. Przetarł dłonią oczy, jakby chciał się obronić przed tym atakiem, lecz nic to nie pomogło. Kusza wypadła mu z drżących palców i Kendrick zatoczył się do tyłu. Nigdy nie czuł tak strasznego zamętu w głowie, nawet po najbardziej zaciętych i wyczerpujących bitwach. A wspomnienia wciąż dobijały się do jego świadomości.

Narodziny dziecka Ryszarda i Matyldy. Nazir straszący tę parę łotrów i ich paniczna ucieczka z sypialni. Obraz matki, która przyszła do niego na mury zamku, żeby się pożegnać. Odejście ojca niedługo potem. Przez tyle czasu znosił mękę, że rodzice są po drugiej stronie, a on nie może do nich dołączyć. Mgła wciąż wirowała mu w głowie. Jonatan Buchanan. Chłopak, z którym się zaprzyjaźnił. Potem z tępą rezygnacją patrzył, jak Jonatan wchodzi w jasny snop światła - Kendrickowi nie było wolno iść za nim. Lata mroku, goryczy, nienawiści.

Przedefilowały przed nim pokolenia Buchananów... Upór lady Alicji, żeby nauczyć się gry na harfie i akompaniować sobie do śpiewu, mimo kompletnego braku uzdolnień muzycznych. Ustawiczne znęcanie się lady Heleny nad mężem i satysfakcja, z jaką przyglądała się biedakowi powoli tracącemu zmysły. Nie zmartwiła się, gdy w końcu się powiesił.

Skok z okna doprowadzonej do obłądu przez nocne zjawy lady Agaty. Kendrick skrzywił się. Czy naprawdę ukazał jej się z własną głową pod pachą i

krwawiącym kikutem zamiast karku? A zresztą, co to ma za znaczenie? Znowu poczuł dziką nienawiść do rodziny, która go przeklęła.

Oparł się o ścianę i przycisnął twarz do zimnego kamienia.

„Zimny kamień...”

Poczuł wilgotny chłód na policzku. Jak długo nic nie czuł? Uwięziony w próżni, pozbawiony zapachu kwiatów na wiosnę, smaku chłodnego wina w upalny dzień, dotyku stali w dłoni i kolczugi na plecach. Rok po roku, wiek za wiekiem musiał istnieć bez tego wszystkiego. Kiedy skończył się koszmar?

Gdy pojawiła się Genevieve.

Westchnął pod wpływem nowej fali wspomnień. Ociekający krwią ukazał się nad jej głową w sypialni na górze i przysięgał sobie, że doprowadzi ją do obłędu. Potem walczył z własnym podziwem dla niej, gdy odważyła się go zignorować... potem z tak ogromnym wysiłkiem włożył jej pierścionek zaręczynowy na palec. Słodka, najdroższa Genevieve. Nagle oderwał się od ściany i spojrzał na nią.

- Boże... - wyszeptał.

Genevieve. To ona dała mu szczęście. To ona go pokochała i wybaczyła, że brutalnie zniszczył jej marzenia. To ona oddała serce komuś, kto naprawdę nie mógł dzielić z nią życia. Komuś, kto z żalu za tym wszystkim, czego nie jest w stanie jej dać i czego nie może dostać, ronił łzy bezradnej rozpacz.

To ona kochała go tak bardzo, że postanowiła dać mu wolność.

- Genevieve...

Otworzyła oczy słysząc swoje imię. Wbiła w niego wzrok, jakby nie wierzyła w to, co się dzieje.

- Genevieve - powtórzył cicho.

Zamknęła oczy, a z jej ust wyrwało się słabe westchnienie.

- Najdroższa, co ja ci zrobiłem? - krzyknął Kendrick rzucając się do niej.

Odciął linę i chwycił ją, kiedy osuwała się na ziemię. Przycisnął do siebie i zaczął kołysać w ramionach.

- Och, Kendrick - szepnęła znów szlochając. - Myślałam, że już mnie sobie nie przypomnisz.

- Moja słodka Genevieve - szeptał jej do ucha, ściskając coraz mocniej. Boże miłosierny, jak niewiele brakowało, by zabił tę, którą kocha bardziej niż cokolwiek na świecie! Poczuł gorące łzy spływające po policzkach.

A po chwili zapłakał z zupełnie innego powodu. Jest żywym człowiekiem. To cud, niemożliwe stało się realne. Klątwa została przerwana i ktoś dał mu drugą szansę na życie. Jak długo to potrwa? Czy umrze? Ile czasu mu dano?

Proszę, modlił się w duchu. Niech dane nam będzie być razem, aż oboje posiwiejemy. Proszę, nie zabieraj mi tego...

Nagle spłynął na niego spokój. Jak lekka mgielka opadł w głąb serca i uspokoił lęk. Genevieve będzie na zawsze jego, nawet za grobem, jakie więc ma znaczenie, ile będą żyli? Miał jednak przeczucie, że dożyją późnej starości, zanim wyruszą w ostatnią wędrówkę. Zamknął oczy i podziękował za tę drugą szansę.

Ofiarowano mu po raz kolejny życie i marzenia, i nigdy nie zapomni, jaki to wielki dar.

Przepełniła go tak wielka radość, że zaczął się śmiać. Odsunął Genevieve i ujął jej twarz w dłonie. Mon Dieu, jak ja cię kocham!, pomyślał. Przesunął ręce po jej włosach, szyi i ramionach. Scałował łązy z jej policzków, a potem pocałował wargi.

Najdroższa Genevieve!

Objęła go za szyję, a Kendrick znowu przycisnął ją do siebie z całej siły.

- Twoja kolczuga!

- Przepraszam... - Uśmiechnął się, nie zwalniając uścisku.

- Może jakoś przeżyję - wydusiła z trudem.

- Mam nadzieję, tym bardziej, że nie zamierzam już nigdy wypuścić cię z ramion.

Rozkoszował się, że trzyma to wiotkie ciało, które tak idealnie pasuje do jego ciała. Jak cudownie czuć jej ramiona wokół szyi, zaciśnięte tak mocno, jakby chciała pozostać tak na zawsze.

Wtedy uderzył go w nozdrza własny smród.

- Boże, Gen, jak możesz to znieść? - prychnął odsuwając się. - Drżysz z zimna.

- Nie, zostań jeszcze... - powiedziała szybko.

- O nie, nigdzie nie odejdę - zapewnił.

Podniósł ją na rękach, roześmiał się z radości, że może to zrobić, i ruszył do wyjścia z lochu. Wiele razy myślał, żeby kazać zamurować drzwi do piwnicy i teraz cieszył się, że nigdy tego nie zrealizował. Worthington przeszedłby gehennę, zanim wydostałby go stamtąd. Lekko wskoczył na schody, szczęśliwy, że czuje ból w mięśniach i chłód palców ukochanej na szyi.

- Zmarzłaś na kość, Gen. Chyba będziesz musiała wziąć razem ze mną prysznic, żeby się rozgrzać.

- Kendrick!

- Jesteśmy zaręczeni - uśmiechnął się chytrze. - To dozwolone.

- Zapomnij o tym.

Wkrótce przekonała się, że tylko żartował. Wiedział, że będzie musiał być cierpliwy, ale w tym momencie nie mógł opanować przepełniającej go radości. Teraz marzył jedynie, by zdjąć śmierdzące ubranie, wykapać się, a potem chwycić znów w objęcia ukochaną i nie wypuszczać jej z uścisku, dopóki nie sprowadzą księdza, który da im ślub. Potem będzie ją nadal trzymał w ramionach, aż Genevieve przyzwyczai się do jego bliskości, a później będą się kochać do utraty tchu.

Worthington wkroczył do wielkiego hallu w tym samym momencie co oni. Przecierał zaspane oczy.

- Co to za harmider od samego rana? - zamruczał.

- Wczoraj wieczorem polało się za dużo wina - Kendrick teatralnym szeptem zwrócił się do Genevieve. - Lepiej nie prośmy o śniadanie od razu.

Worthington zamrugał, uważnie przyjrzał się Genevieve w ramionach Kendricka, po czym przewrócił białkami oczu i z jękiem osunął się na podłogę.

- Później zjemy śniadanie... - zgodnie stwierdziła Genevieve.

Kendrick ze śmiechem przeszedł nad lokajem. Odniesie ją na górę i wróci ocucić Worthingtona. I poprosi o śniadanie. Na razie ma ważniejsze sprawy do załatwienia, mianowicie da się wykąpać i ukraść pewnej słodkiej damie pocałunek albo dwa.

Tak, fikcja stała się rzeczywistością i to naprawdę jest cudowne.

Genevieve siedziała na toalecie w łazience i słuchała, jak Kendrick podśpiewuje pod prysznicem średniowieczne piosenki. To naprawdę zbyt wiele jak dla niej. Czuła przecież dzisiaj jego uścisk. To nie było złudzenie. Czuła kolczugę wbijającą się w żebra, kiedy niósł ją na górę. Dotykała policzkiem jego włosów, czuła ciepło skóry pod palcami. Jest prawdziwy, tak samo materialny i cielesny jak ona.

- Warto było na to czekać - mruknął z rozkoszą Kendrick.

Jak inaczej brzmi jego głos. Ostrzej, głębiej. Uśmiechnęła się.

- Dobrze ci tam?

- Byłoby lepiej, gdybyś tu przyszła, ale może to zbyt wiele przyjemności na jeden dzień. - Wyrżał zza zasłonki i mrugnął do niej. - Spróbujemy jutro.

Patrzyła na jego palce, gdy przytrzymał zasłonkę. Prawdziwe palce z krwi i kości. Ręce, które ją obejmowały, dotykały jej twarzy, przesuwaly się po plecach i ramionach, kiedy Kendrick chciał się upewnić, że nie śni. Teraz mógłby bez trudu włożyć jej pierścionek i otrzeć łzy.

- Genevieve?

Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się blado. Nawet z włosami oblepiającymi brudne policzki był piękny.

- Chodź tu.

Poczuła, że krew napływa jej do twarzy.

- Po co?

- Ponieważ minęło co najmniej dziesięć minut od chwili, gdy ostatni raz cię dotknąłem. Chcę się upewnić, że nie jesteś wytworem mojej wyobraźni.

Nie rozumiała, jak on może żartować na ten temat. Ona chyba jeszcze długo nie wy zbędzie się obaw i niepewności.

Potarła rękami o swoją zieloną pizamę zsuwając się z toaletki. Teraz musi stawić czoło kolejnej obawie. Kendrick jest prawdziwy.

Powinna cieszyć się jak szalona. A czuła się potwornie zdenerwowana. Wspaniale było zakochać się w mężczyźnie, który jest tylko odrobinę bardziej materialny niż marzenia, słuchać jego czułych szeptów, rumienić się i wyobrażać sobie, jak to by było, gdyby ją obejmował i całował. Zupełnie inaczej natomiast miały się sprawy, gdy marzenie przybierało realny kształt i to kształt pełen pragnień. Tylko raz ktoś ją całował i był to Kendrick, poprzedniej nocy. Tak, będą musieli z pewnością poczekać kilka miesięcy, zanim posuną się dalej. Może Kendrick zgodzi się przełożyć datę ślubu do czasu, kiedy przejdą etap trzymania się za ręce, na przykład za rok albo coś w tym rodzaju...

Położyła rękę na jego mokrej dłoni i zaczerwieniła się, kiedy podniósł jej palce do ust. Miał delikatne wargi, a policzki szorstkie od zarostu. Poczuła w brzuchu stado trzepoczących motyli, kiedy przyciągnął ją bliżej.

Nagle drzwi otworzyły się z impetem. Genevieve odskoczyła jak oparzona. Przycisnęła rękę do piersi, do walącego serca, i spojrzała na rozczochranego

Worthingtona, który z błędnym wzrokiem stanął w progu. Zwykle gładko przyczesane siwe włosy sterczały na wszystkie strony.

- Czy ja śnię?

Kendrick rzucił mu spojrzenie spode łba.

- Jajka, szynka, bekon, płatki owsiane, świeże bułeczki, naleśniki, które Gen tak lubi, i co tam jeszcze znajdziesz w lodówce. I pospiesz się. Umieram z głodu.

Genevieve chwyciła lokaja za ramię, gdy nadal półprzytomny okręcił się na pięcie, żeby odejść. Wyglądał, jakby za chwilę miał się rozpłakać.

- Chyba muszę wypić kieliszek brandy - wyszeptał.

Genevieve w pełni go rozumiała.

- Ale najpierw przygotuj jedzenie - warknął Kendrick. -I chcę koktajl czekoladowy. Pospiesz się, człowieku. I zadzwoń do miasteczka dowiedzieć się, czy brat Adelajdy jest w okolicy. Musimy zorganizować ślub. - Zamaszyście zaciągnął zasłonkę.

Worthington przeciągnął rękami po włosach i wycofał się z łazienki. Genevieve nerwowo przełknęła ślinę. Ślub? Tak szybko? Znow wdrapała się na toaletkę. Może jego lordowska mość tylko żartował?

Przeklinając pod nosem Kendrick zakręcił wodę.

- Te cholerne zbiorniki są za małe - mruknął odsuwając zasłonkę. - Jak można nacieszyć się prysznicem przez pół minuty?

Chciała coś odpowiedzieć, ale słowa utkwiły jej w gardle. Kendrick odgarnął włosy do tyłu. Jakie piękne miał ciało. Muskuly cudownie zarysowane, ale nie przesadnie rozdęte. Zerknęła na szeroką pierś zwężającą się ku dołowi, wąskie biodra i płaski brzuch.

Kątem oka spostrzegła jego męskość i ogarnęło ją przerażenie - czy on sądzi, że to zmieści się w niej gdziekolwiek? Na samą myśl miała ochotę uciekać.

Nogi. Tak, nogi były wspaniałe: zgrabne, silne i pokryte ciemnym zarostem. Krótko mówiąc, doskonały okaz samca. Najwyraźniej noszenie ciężkiej zbroi przez tyle lat zrobiło swoje. A teraz, gdyby tylko okrył te przerażające atrybuty męskości, mogłaby spokojnie odetchnąć.

- Skończyłaś? - zapytał z wyraźnym rozbawieniem.

Natychmiast podniosła oczy i zobaczyła frywolne błyski w jego wzroku. Zeskoczyła z toaletki i ruszyła do drzwi, lecz krzepkie ramię chwyciło ją w tali. Zapiszczała cicho.

- Nigdzie nie pójdziesz - szepnął jej do ucha. - Siadaj na tej toalecie i czekaj na mnie.

Przycisnęła ręce do drzwi, modląc się o wybawienie.

- Wycieraj się szybko, dobrze?

Parsknął śmiechem i puścił ją. Słyszała, jak mrużąc z zadowolenia trze ręcznikiem ciało.

- Jaki delikatny ten ręcznik...

W końcu oznajmił, że skończył. Kiedy się odwróciła, wcisnął jej ręcznik do rąk. Patrzył zupełnie niewinnie.

- Jak to się nakłada?

Owinęła mu ręcznik na biodrach i porządnie zawiązała, cały czas patrząc mu w oczy.

- Tak to się nakłada.

- Dziękuję. A teraz dasz mi jakąś żyletkę? I czy mogę użyć twojej szczoteczki do zębów? Po południu pošlę Worthingtona po zakupy.

Szczoteczka została użyta dość zręcznie, a golenie skończyło się jedynie dwoma małymi zacięciami. Przyglądała mu się cały czas i zaczerwieniła się, kiedy uśmiechnął się do niej w lustrze. Potem uśmiech zmienił się w takie spojrzenie, że zrobiło jej się słabo. Cofnęła się, żeby wymknąć się z łazienki. O rany, nie jest gotowa na to wszystko!

- Jeszcze z tobą nie skończyłem - powiedział cicho, chwytając ją w tali. Posadził Genevieve z powrotem na toalecie i oparł się rękami po obu jej stronach. - Właściwie to wcale nie zacząłem.

Chciała się poruszyć, ale nie była w stanie. Serce biło jak szalone. Nie wiedziała sama, czy to ze strachu, czy ze zdenerwowania. Nawet niezbyt postawni mężczyźni budzili w niej niepokój. Na widok takich olbrzymów jak gracze futbolowi miała ochotę piszczeć ze strachu. Nie dlatego, że ktoś ją kiedyś skrzywdził; po prostu nigdy nie zbliżyła się do takiego mężczyzny na tyle blisko, by wiedzieć, czy jej coś grozi, czy nie.

Przeczuwała, że zaraz się o tym przekona.

Kendrick ujął jej rękę i powoli dotykał każdego skrawka, zaczynając od palców, a kończąc na nadgarstkach. Żadna blizna czy ślad po oparzeniu nie uszedł jego uwagi. Potem przyłożył jej dłoń do swego policzka i przymknął oczy, ocierając się leciutko. Sięgnął po drugą rękę i pocałował końce palców.

Otworzył oczy i popatrzył na nią.

- Masz piękne ręce.

To był najbardziej zdumiewający komplement, jaki kiedykolwiek słyszała. Wrażenie było tym większe, że po raz pierwszy pomyślała, że może to prawda. Oparł jej ręce na nogach, rozsunął uda i stanął między nimi. Genevieve chciała zaprotestować, ale zamarła, kiedy dotknął jej skroni. I zapomniała o wszystkim, zapatrzona w jego oczy. Delikatnie okręcał sobie kosmyki wokół palców, jakby robił to pierwszy raz w życiu.

Potem przytknął nos do garstki włosów, żeby poczuć ich zapach, a potem dotknął nimi ust, żeby posmakować.

- Bardzo delikatne... - zamruczał przesuwając kosmykiem po policzku. - Bardzo piękne.

Genevieve siedziała nieporuszona, gdy położył ręce na jej ramionach i kciukami pieścił szyję. Przesuwał delikatnie duże, ciepłe dłonie po jej karku i włosach. Wstrzymała oddech, kiedy się pochylił. Zmusiła się, żeby nie zamknąć oczu. Chciała go widzieć w tym niezwykłym dla niej momencie. Nigdy wcześniej nie przeżywała niczego podobnego.

Kendrick jedną ręką podtrzymywał jej kark, a drugą dotykał policzka. Wpatrywał się w nią intensywnie, jakby zapamiętywał każdy szczegół twarzy; linię brwi, nosa, policzków i ust.

- Jesteś taka piękna - szepnął. Pochylił się i jeszcze raz wciągnął w nozdrza zapach jej włosów i skóry na szyi. - Taka słodka. - Potarł policzkiem o jej policzek, a potem pocałował brzeg ucha. - Nie używasz olejków wonnych, prawda?

Bez słowa potrząsnęła głową.

- To dobrze, nie używaj... - mruzczał ocierając nos o jej szyję. - Pięknie pachniesz.

Jego pieścizoty sprawiły, że przeszedł ją dreszcz. Całował policzki, skronie, kąćki oczu.

- Odchył głowę do tyłu - powiedział, podtrzymując ją ręką.

Posłuchała, jakby zaczarowały ją jego słowa.

- Czy rzucisz się, żeby wyssać ze mnie krew? - spytała próbując żartować. Wiedziała, że za chwilę zemdleje, jeśli coś tego nie przerwie. Te pieścizoty wprawiały ją w stan paniki!

Śmiejąc się cicho przycisnęła wargi do jej szyi.

- Czytasz za dużo powieści o wampirach, kochanie. I wiesz, że nie jestem już duchem, tylko zwykłym mężczyzną, złapanym w sidła urody swojej pani.

- Aha...

Wtedy Kendrick zaczął całować bardziej gwałtownie i Genevieve zupełnie straciła wątek myśli. Nie zostawił ani jednego skraweczka, jedną ręką podtrzymując jej głowę z tyłu, a drugą przyciągając ją mocniej do siebie. Czuli się jak kukiełka w jego ramionach. Bezwolnie poddawała się dziwnemu uczuciu, jakie wywoływały jego pieścizoty.

- Jaka twoja skóra jest słodka, Gen. I słona od łez. Wybacz mi, że cię dziś tak przestraszyłem.

- Wybaczam... - odpowiedziała bez tchu.

- Odtąd dozwolone są tylko łzy szczęścia - szepnął podnosząc głowę. Uśmiechnął się i znów pochylił, żeby przycisnąć usta do jej warg. Zamknęła oczy poddając się bez walki.

Smakował powoli każdy milimetr skóry, delikatnie dotykał wargami i drażnił językiem załamanie w kąćku ust. Kiedy zaczął przesuwając język po wewnętrznej stronie warg, bezwiednie rozchyliła usta. Wstrzymała oddech, gdy dotknął zębów, a potem wsunął głęboko język. Wtedy pierwszy raz jęknęła, czując takie napięcie w trzewiach, jakby spadała windą z trzydziestego piętra.

Więc to jest rodzaj pocałunku, przed którym przestrzegala ją matka. Nic dziwnego! Poczuli, że zaczyna machać nogami.

Kendrick zamruczał z głębi gardła, ale nie zwolnił uścisku. Nie przestawał dotykać jej języka, jakby chciał smakować ją w nieskończoność. Genevieve objęła go za szyję, żeby się przytrzymać. Otworzyła szerzej usta, poddając się tej słodkiej, porywającej gorączce.

Walenie w drzwi sprawiło, że podskoczyła prawie pod sufit. Gwałtownie odsunęła się od Kendricka, uderzając głową w lustro.

- Och, Genevieve... - Kendrick roześmiał się mimowolnie. Przyciągnął ją znowu i pogłaskał. - Chodź no tu i poczekaj spokojnie, aż zabiję tego intruza. - Przytrzymał ją jednym ramieniem, a drugą ręką otworzył drzwi. - Czego chcesz, wścibski staruszk?

Worthington wyglądał tym razem bez zarzutu. Mlaskając z niesmakiem, zmierzył Kendricka od góry do dołu. Genevieve podążyła za jego spojrzeniem i zamarła. Pod rękami Kendricka wyraziście rysował się kształt jego męskości. Ten widok zupełnie wytrącił ją z równowagi. Poczowała coś dziwnego w brzuchu. Nie, raczej poniżej brzucha. Odsunęła się pod lustro, ledwie wytrzymując spojrzenie Worthingtona. Lokaj z dezaprobatą zmierzył znów Kendricka i powiedział:

- Śniadanie już prawie gotowe, milordzie. Uważam za wysoce niestosowne, że przetrzymuje pan tu pannę Genevieve, w dodatku tak skąpo ubrany.

Kendrick zatrzaskał mu drzwi przed nosem.

Gniewne chrząkanie Worthingtona słyhać było przez drzwi.

- Dziesięć minut, milordzie, i ani chwili dłużej.

Kendrick ze zmarszczonym czołem popatrzył na Genevieve.

- Wyślę go na urlop. Jutro.

Uśmiechnęła się, gdyż pierwszy raz zobaczyła tę pseudogroźną minę na prawdziwej twarzy ukochanego. Rozczuliło ją to, ale kiedy na jego ustach zaczął się pojawiać powoli ten znany jej skądinąd leniwy uśmieszek, szybko potrząsnęła głową.

Spróbowała wyslizgnąć się z jego ramion, lecz chwycił ją, zanim sięgnęła stopami podłogi.

- O, nie, nic z tego - powiedział spokojnie. - Dokąd to się wybieramy?

- Muszę się ubrać i ty też.

- Mamy jeszcze dziesięć minut.

- Jajecznicę ci ostygnie. Puść mnie, Kendrick.

Uniół jej twarz, żeby spojrzała mu w oczy. Uśmiechał się czule.

- Dziękuję. Dałaś mi dziś wiele radości.

Zarumieniła się i znowu szarpnęła, ale Kendrick pokręcił głową. Pochylił się i musnął wargami jej usta.

- Mówię poważnie.

- Nie zdążyłam jeszcze wziąć prysznicza ani nawet umyć twarzy...

Spochmurniał.

- Nie pragniesz mnie?

- Kendrick... - jęknęła żałośnie.

- Tylko trochę się denerwujesz?

Kiwnęła głową.

- Gen, ja się nie zmieniłem.

- Jesteś odrobinę bardziej namacalny niż przedtem.

- Powiedz „kochany”, tak jak kiedyś mówiłaś - poprosił cicho. - A może twoje uczucia się zmieniły?...

Niepewnie objęła go za szyję.

- Kocham cię i nie boję się ciebie. Kochany... - dodała.

- Może zamienimy się miejscami na tej toalecie po śniadaniu? - zasugerował uprzejmie. Kiedy nie odpowiadała, dodał sucho: - Cóż za dziki entuzjazm...

- Kendrick, przestań...

- Dobrze już, to był głupi żart. Chodź, kochanie.

Wyszli do pokoju. W szafce trzymane były ubrania w jego rozmiarze dla podtrzymania pozorów, gdyby zdarzyła się taka konieczność, i Genevieve zabrała się do przekopywania zawartości, by znaleźć coś odpowiedniego. Między łazienką a sypialnią zgubił gdzieś ręcznik i czekał teraz przy łóżku, prezentując się w całej okazałości.

Genevieve, spuściwszy zaraz oczy, rzuciła mu ubranie, a sama wzięła swoje rzeczy i uciekła do łazienki. Po krótkim, zimnym prysznicu, szybko nałożyła bieliznę, umyła twarz i wyszczotkowała zęby. Wciągała właśnie dżinsy, kiedy Kendrick otworzył drzwi, wciąż nagi, z parą slipków w ręce.

O cokolwiek chciał spytać, pytanie ugrzęzło mu w gardle na jej widok. Spojrzał na nagie stopy, przesunął wzrok po nogach, zatrzymując się na chwilę przy nie dopiętym suwaku, i wbił oczy w koronkowy staniczek. Genevieve zakryła piersi ramionami, ale błyskawicznie znalazł się obok i rozsunął jej ręce.

Ostrożnie dotknął elastycznego ramiączka i przesunął palec w dół do koronki na piersi.

Nagle odwrócił się i wyszedł mruknąwszy cicho:

- Pospiesz się.

Genevieve wciągnęła koszulkę, a potem sweter, zapięła spodnie i przesunęła szczotką po włosach. Gdy wyszła z łazienki, Kendrick siedział na łóżku. Z zdesperowaną miną pokazał jej slipki.

- Czy to jest to, co myślę?

Kiwnęła głową przygryzając wargi, żeby się nie roześmiać.

- No więc, są za małe. Do południa będę bezpłodny, jeśli je włożę.

Roześmiała się i odskoczyła, kiedy wyciągnął po nią rękę.

- Poczekaj. Poszukam czegoś innego.

Po kilku minutach wyciągnęła z kufra bokserskie szorty. Kendrick z aprobatą pokiwał głową i je nałożył. W końcu wciągnął dżinsy i bluzę. Chciał iść na dół bosy, ale przekonała go, że adidas są lepsze.

W korytarzu zatrzymał się i wziął ją za rękę.

- Nie musisz sadzać mnie na toalecie dziś po południu. - Puścił jej dłoń i wsadził ręce do kieszeni, jakby robił to przez całe życie. - Jeśli nie masz ochoty.

Popatrzyła na niego poważnie.

- Ciągłe coś knujesz, Kendricku de Piaget.

- Przestanę knuć, jeśli ty przestaniesz się mnie bać.

- Staram się.

- Kocham cię, Gen. Nigdy cię nie skrzywdzę. Jak możesz się mnie obawiać?

Pomyślała, że ta niewinnie rozzalona mina zawsze ją będzie rozbrajać. Dała za wygraną i objęła go w pasie, mimo że z leciutkim wahaniem. Nie ruszał się, więc zebrała odwagę i przysunęła się trochę bliżej. Położyła rękę na jego muskularnej piersi i rozluźniła się, kiedy objął ją delikatnie i pogłaskał po plecach.

Właśnie zaczęły jej się podobać te karesy, gdy w brzuchu Kendricka potężnie zaburczało. Podniosła na niego oczy i zobaczyła, że jest zażenowany.

- Zapomniałam, że jesteś głodny. - Poczowała, że zmieszanie i jej się udziela.

- To dobry znak.

Zrobiło jej się strasznie głupio. Kendrick uśmiechnął się tylko i szybko pocałował ją w czoło.

- Najpierw jedzenie, a potem może wrócimy do tej sprawy i coś dla siebie wynegocjujesz. Spodobało ci się, co?

Nie miała ochoty odpowiadać na to pytanie. Zresztą miała wrażenie, że Kendrick doskonale zna odpowiedź. Wzięła go za rękę i zeszła na dół. Jej słodki upiór jest głodny i nie należy mu teraz stawać na drodze.

Kendrick wracał do rzeczywistości. Zewsząd atakowały go zapachy: szampon, którym mył włosy, mydło Genevieve, materiał bluzy, spalone drewno w kominku, przysmaki gotowane przez Worthingtona. Teraz powstrzymywał się, by nie zbiec pędem na dół i rzucić się łapczywie na jedzenie. I dotykane różnych rzeczy! Przesunął palcami po gładkim kamieniu poręczy, gdy schodzili krętymi schodami. Uśmiechnął się, czując dotyk delikatnej dłoni Genevieve. Bluza miło ocierała się o pierś, a dzinsy były trochę sztywne i zaczepiały o włosy na nogach. Podeszwy adidasów skrzypiały na stopniach. Powiew zimnego powietrza uderzył go prosto w twarz, gdy doszli prawie na dół. Na chwilę się zatrzymał.

- Kendrick?

Popatrzył na nią z góry.

- Straszne przeciągi grasują po tej kupie starych kamieni.

- Wcześniej tego nie zauważyłeś?

Uśmiechnął się i przyciągnął ją do siebie.

- Nie, powabna panienko, dopiero teraz.

Objęła go nieśmiało. Zauważył to wahanie, ale nic nie dał po sobie znać. Z czasem oswoi się z jego bliskością.

- Nie upuść mnie - powiedziała, gdyż wciąż stali na stopniach.

- Rycerz nigdy by tego nie zrobił swojej damie. Nie uchodzi. - Mrugnął okiem i poprowadził ją do hallu. Tak, pomyślał, Genevieve jest coraz bardziej rozluźniona, niedługo się do niego przyzwyczai.

Tak wiele było do dotykania i wążania, że nie wiedział, od czego zacząć. Na przykład tkaniny na ścianach - trochę szorstkie pod palcami, włochate i tak cudownie tracące zapachem pleśni. Albo kamień kominka. Tak, był świetnie przycięty i spasowany. Dotknął zimnego obramowania i uśmiechnął się, czując żar bijący od ognia. Jak bardzo brakowało mu nawet tak prostych przyjemności. Co mogłoby być miłsze od ciepła bijącego z kominka i grzanego wina po zimowym dniu spędzonym na placu ćwiczeń w lodowatej, metalowej kolczudze? Albo jak wspaniale latem czuć na sobie promienie słońca podczas fechtunku, a potem zanurzyć głowę w beczce deszczówki.

Zatrzymał się, chwytając nozdrzami woń kolejnego kulinarnego czarodziejstwa Worthingtona. Bez słowa pociągnął Genevieve do kuchni. Co za boskie zapachy.

- Nie tak szybko! - Roześmiała się, ledwie nadążając za jego wielkimi krokami.

Uśmiechnął się tylko i pędził jak wygłodniały pies gończy. Usadził ją w krzesło i podszedł do Worthingtona. Wyciągnął rękę, żeby podkraść naleśnika, ale dostał tylko po łapie od lokaja.

- Usiądź i czekaj, jak kulturalny człowiek.

Kendrick otworzył usta, żeby mu odszczeknąć, kiedy poczuł, że Genevieve ciągnie go za ramię. Rzucił jej jedno ze swoich miażdżących spojrzeń, lecz zupełnie się nie przejęła. Mamrocząc coś pod nosem pozwolił zaprowadzić się do stołu i popchnąć na krzesło.

- Zachowuj się - upomniała go.

Mruknął, że zacznie gryźć stół, jeśli natychmiast nie dostanie czegoś do jedzenia.

Kiedy Genevieve wzięła talerz i podeszła do kuchenki, z trudem powstrzymał się, żeby nie zerwać się z miejsca, chwycić jej w ramiona i zacząć dziko całować. Wciąż czuł wrzenie krwi po pocałunkach w łazience. Przy odrobinie szczęścia niedługo dostanie ich więcej. Genevieve nie będzie chyba tak długo bezlitosna.

- Worthington - odezwała się nakładając na talerz - on gotów jest rozszarpać nas oboje na strzępy, jeśli nie będziemy ostrożni. Myślę, że dziś wyjątkowo, ze względów bezpieczeństwa, zapomnimy o dobrych manierach.

Kendrick zacisnął palce, gdy postawiła przed nim talerz wypełniony po brzegi różnymi smakołykami. Złapała go za rękę, kiedy chciał chwycić smakowicie wyglądający kawałek mięsa.

- Sztućce, Kendrick.

Popatrzył niepewnie na widelec, który mu podała.

- Czy to naprawdę potrzebne? Nie używaliśmy takich rzeczy za moich czasów.

- Twoje czasy są teraz i będziemy używać sztućców. A to, na co łypiesz okiem, to bardzo pikantna kielbaska. Poparzysz sobie usta.

- Sam mogę decydować, co będę jadł, a czego nie - stwierdził ignorując widelec. Sięgnął palcami po kawałek kielbaski i wpakował go sobie do ust. Było to tak ostre, że łyzy stanęły mu w oczach. Mrugając z uporem gryzł mięso. Boże, gardło mu płonie! Genevieve roześmiała się i podała mu szklanekę mleka. Wypił wszystko jednym haustem.

- Cudowne - odetchnął przełknąwszy.

Odsunęła krzesło obok niego i usiadła.

- Będzie pan musiał częściej przygotowywać te kielbaski, Worthington. Jego lordowska mość je wprost uwielbia.

Kendrick zmierzył ją ostro i pochylił się znów nad talerzem, badając, co tam jeszcze zostało. Ułamał kawałek chleba i zaczął go żuć. Zastanawiał się, czego by spróbować, unikając kolejnej kompromitacji. Przez ostatnie kilka wieków przestał zwracać uwagę na jedzenie i czuł się trochę niekompetentny. Dobrze, że wiedział przynajmniej, jak jeść chleb. I jaki ten chleb był świetny, bez kamyków i paprochów, które zawsze chrzęściły w zębach za jego czasów.

- Spróbuj szynki - poradziła Genevieve. - Ta jest wędzona, ale bardzo delikatna.

Posłuchał. Niebo w gębie!... Z zamkniętymi oczami mruczał, żując wędlinę.

- Dobrze?

Otworzył oczy. Patrzyła na niego czule.

- Boskie - westchnął.

Nagle w jej oczach pojawiły się łzy. Przepełkał usta jeszcze jednym łykiem mleka - stwierdzając, że zdecydowanie woli piwo - i przyciągnął ją do siebie. Zaczęła strasznie szlochać, z głębi serca, żałośnie.

- Gen, na Boga, co ci jest? Czy zachowuję się jak prostak?

Ten żart spowodował tylko kolejny wybuch płaczu. Kendrick popatrzył na Worthingtona, ale lokaj jedynie wznosił bezradnie ręce. Przytulił jej głowę do piersi i zaczął delikatnie kołysać.

- Najdroższa, co cię tak martwi? - szepnął.

- Boję się... - Chwyliła go tak mocno, jakby chciała obronić go przed samym szatanem.

- Czego? Nie ma się czego bać.

- A jeśli coś ci się stanie?

- Moja śliczna, nic mi się nie stanie. Prosiłem, żebyś mi zaufała, prawda? Dostałem drugą szansę. Oboje dostaliśmy drugą szansę. Będę przy tobie do końca twojego życia. Mamy wiele lat, by zrobić wszystko, o czym rozmawialiśmy: podróże, odnawianie starych zamków, wychowywanie dzieci.

- Przepraszam, wasza lordowska mość, ale ile dzieci? - kwaśno przerwał Worthington.

- A ile przyprawiliby cię o obłąd? - spytał Kendrick powstrzymując śmiech.

- Jeśli mają być podobne do ojca, na myśl o jednym robi mi się słabo.

Kendrick parsknął śmiechem ściskając Genevieve.

- Słyszysz, najdroższa? Nie miałabyś ochoty doprowadzić naszego szcwanego lisa do obłąd? Bez ojca dzieci nie dasz rady do tego doprowadzić. - Genevieve milczała, ale łzy przestały jej cieknąć po policzkach. - Gen, nie zostawię cię. Obiecuję. Będiesz mnie miała serdecznie dosyć na starość.

Potrząsnęła głową.

- Nigdy nie będę cię miała dosyć.

Podniósł palcem jej brodę i pocałował. Takie cudowne wargi, słone od łez. Zastanowił się, czy kiedykolwiek nasyci się całowaniem tych ust.

- Milady, sądzę, że nie dowie się pani, jak ujarzmić jego lordowska mość, jeśli go pani nie nakarmi - wtrącił Worthington.

Odsunęła się z uśmiechem.

- To rzeczywiście miły sposób przypomnienia, że stygnie mu śniadanie.

Kendrick rzucił Worthingtonowi ponure spojrzenie.

- On po prostu daje do zrozumienia, że potrzebuje długich wakacji.

Lokaj postawił na stole półmiski z naleśnikami, jajecznicą, słodkimi rogalikami i owocami.

- Umarłbyś z głodu beze mnie.

Genevieve uśmiechnęła się.

- Przez pewien czas mogę dla niego gotować.

- A ja będę pomagał - stanowczym tonem stwierdził Kendrick. - Od jutra, po ślubie, jesteś oficjalnie na urlopie. Jedź na wycieczkę statkiem, do Kolonii albo na południe Francji.

Zapłacę za wszystko, czego sobie zażyczysz.

- Wszystko? - Worthingtonowi zabłyśły oczy.

- Tak - mruknął Kendrick. - Zasłużyłeś na to. Idź się pakować. Ja posprzątam w kuchni.

Nie trzeba było powtarzać tego dwa razy. W drzwiach zafurkotały tylko poły fraka. Kendrick sięgnął po jajecznicę i zaczął ją pochłaniać.

- Jutro?

- Za wcześnie?

Genevieve potrząsnęła głową, lecz wiedział, że myśl o ślubie ją zdenerwowała. Posadził ją wygodniej na kolanach i wrócił do jedzenia.

- Nie musimy konsumować małżeństwa od razu - powiedział.

Milczała.

Kendrick wpakował sobie do ust trzy kawałki szynki i zamyślił się głęboko. Może poczekać. Kilka godzin. Wtedy Genevieve już z pewnością się z nim oswoi.

Przynajmniej taką miał nadzieję.

Resztę popołudnia spędził na planowaniu. Organizowanie obłężeń zawsze było jego silną stroną i miał zamiar użyć swoich zdolności do zaplanowania ślubu. Zaciągnął Genevieve na krótką drzemkę do sypialni, a potem zabrał się do gromadzenia potrzebnych dokumentów. Trzeba też było zawiadomić brata Adelajdy o ceremonii.

Przez resztę dnia wychodził z szoku, po tym jak zobaczył Nazira i Royce'a wkraczających do wielkiego hallu w najzupelniej cielesnej postaci. Kilka godzin siedzieli w kuchni, zastanawiając się jakie znaczenie miało podpisanie zrzeczenia się własności przez Genevieve, i podziwiając, jak bardzo poprawiła się jakość żywności od czasów średniowiecza. Przed nadejściem nocy Kendrick zdążył zażegnać dwie bijatyki między swoim kapitanem a Saraceniem, najeść się tak, że nie mógł się prawie ruszać i dokonać ostatnich poprawek w planie ceremonii, która miała odbyć się nazajutrz. Sprawdził, że prezent ślubny dla Genevieve jest gotowy, tak jak polecił, i na koniec posłał damę swego serca do łóżka.

Sam położył się w pokoju obok. Nie mogąc zasnąć, wsłuchiwał się w jej westchnienia i przewracanie się na łóżku za ścianą. Najpierw pomyślał, że do niej pójdzie, ale zdecydował, że lepiej tego nie robić. Coś ją męczyło i najwidoczniej nie chciała mu o tym mówić. Właściwie nie spytał jej o to wprost, zajęty planowaniem i rozmową z przyjaciółmi. Jednak było mu przykro, że Genevieve nie ma do niego całkowitego zaufania.

Przecież wiedziała, że ją kocha ponad życie, że zrobiłby wszystko, by ją uszczęśliwić...

Westchnął. Jutro się pobiorą, jak najszybciej wyrzuci gości z hallu, a potem przeprowadzi bardzo długą rozmowę z ukochaną i dowie się, co ją tak dręczy.

Szkoda, że powrót do życia pozbawił go umiejętności czytania w myślach. To z pewnością ułatwiłoby mu zadanie.

Zamknął oczy. Jutro. Jutro rozwiąże wszystkie problemy.

Genevieve na palcach weszła do pokoju Kendricka, żeby sprawdzić, czy spokojnie śpi. Płomień świecy przy łóżku rzucał na jego twarz ciepłe światło. Jak niewinnie wyglądał we śnie, prawie bezbrannie. Wyciągnęła rękę, żeby odgarnąć mu włosy z czoła.

Dłoń trafiła na pustkę.

- Kendrick! - krzyknęła. Nie poruszył się. Próbowwała nim potrząsnąć, lecz ręce wpadały w próżnię. - Kendrick! - krzyczała przerażona. Przez cały dzień przeczuwała jakieś nieszczęście. - Kendrick! - szlochała, próbując chwycić nieistniejące ramiona.

- Genevieve, obudź się!

Otworzyła oczy. Kendrick mocno nią potrząsał. Usiadła zapłakana i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Och, Kendrick, śniło mi się, że znów jesteś duchem. Chciałam cię obudzić, dotknąć, ale nie mogłam!

Podniósł ją na ręce i wyszedł z pokoju.

- Połóżmy się razem i przytulę cię mocno. Zaraz się uspokoisz.

Był zupełnie nagi. Położyć się obok nagiego mężczyzny? Ta myśl podziałała na nią jak kubeł zimnej wody. Natychmiast wróciła jej trzeźwość umysłu.

- Och, nic mi nie jest - powiedziała szybko. - Kendrick, zanieś mnie z powrotem. Nie mogę dziś z tobą spać.

- Gen, nic ci nie zrobię.

- Ale...

- Dość tego - powiedział stanowczo. - Przez ostatnie dwie godziny przewracałem się z boku na bok, słuchając, jak ty robisz to samo. To idiotyczne.

Nie mogła zaprzeczyć. Po dwóch godzinach zapadła w końcu w ciężki sen, a potem przyśnił się jej ten koszmarne sen. Może zaśnie spokojnie, jeśli będzie trzymała go za rękę.

Kendrick zamknął za nimi drzwi sypialni i podszedł do łóżka. Odrzucił kołdrę i ułożył Genevieve. Nawet w bladym świetle dogasającego kominka jego nagość ją paraliżowała. Szarpnęła kołdrę na głowę.

- Włóż coś na siebie - szepnęła nerwowo.

Słyszała, jak ciężko westchnął i zaczął chodzić po pokoju. Zaklął siarczyście, kiedy uderzył w coś palcem u nogi, potem znowu westchnął i wślizgnął się pod kołdrę obok niej.

- Czy te dziwne, grube rajtuzy bez stóp wystarczą, czy mam się całkiem ubrać? - mruknął.

Odrzuciła nakrycie i wyskoczyła z łóżka. Czuła się tak poniżona, że łzy napłynęły jej do oczu. Kendrick złapał ją, zanim dotarła do drzwi, odwrócił do siebie i przyciągnął.

- Wybacz, Genevieve. To była głupia uwaga.

- Puść mnie. Pójdę do swojego pokoju, a ty będziesz spał, w czym zechcesz.

Milczał, lecz nie wypuszczał jej z ramion. Łagodnie głaskał ją po włosach i w końcu trochę się rozluźniła. Oparła się o jego szeroką pierś. Ciepła skóra i miarowe bicie serca Kendricka działały uspokajająco. Objął ją za ramiona i poprowadził do kominka. Dorzucił dwa duże drwa, usiadł w fotelu i przyciągnął ją na kolana. Uniósł jej twarz i powiedział łagodnie:

- Prawdziwe ciało przypomniło mi dawne zwyczaje. W moich czasach zawsze spałem nago. Po noszeniu nieraz dniem i nocą przez kilka tygodni jednego ubrania i kolczugi, uwolnienie się z tego wszystkiego było prawdziwą przyjemnością.

- Możesz spać, jak tylko ze...

Położył jej rękę na ustach.

- Paradowanie przed tobą nago było kompletnie bezmyślne. Nie powinienem był tego robić dziś rano po prysznicu ani teraz. Rano trochę się z tobą droczyłem, a teraz za bardzo się spieszyłem, żeby o tym pomyśleć. To moja wina.

- Nie myśl, że jestem pruderyjna - szepnęła.

- To naturalne, że jesteś onieśmielona. Zachowałem się jak bezmyślny łotr. - Przycisnął usta do jej policzka. - Wybacz mi.

- Dlaczego jesteś taki kochany?

- To za karę, za wszystkie te sytuacje, kiedy byłem nie do wytrzymania.

- Nigdy nie byłeś nie do wytrzymania.

- Daj mi szansę poprawy - szepnął, wtulając się w jej włosy. - Chodź, zmyjemy te łzy, a potem się położymy. Nie chcesz chyba mieć czerwonych oczu jutro rano. Royce wyzwie mnie natychmiast na pojedynek, jeśli dowie się, że przeze mnie płakałaś.

Wziął ją za rękę i poszli do łazienki. Kiedy zapalił światło, obydwójce zmrużyli oczy.

- Światło świec było miłsze dla oczu - powiedział pod nosem, sięgając po myjkę.

- Na pewno - zgodziła się i pozwoliła mu przetrzeć sobie policzki i oczy. Potem wytarł ją delikatnie suchym ręcznikiem i wrócili do sypialni. Genevieve wsunęła się do łóżka. Drżała, kiedy Kendrick dokładał do kominka. Po chwili usiadł koło niej na brzegu łóżka.

- Boisz się duchów? - zażartował.

- Nie jestem pewna, czy wybaczyłam ci już tę strzałę sterczącą z piersi. To było ohydne.

- Niezbyt inteligentny chwyt - uśmiechnął się kącikiem ust. - Nie wydobyłem z ciebie nawet porządnego wrzasku.

- Nie zasłużyłeś na to, ty draniu. Mam nadzieję, że był to najbardziej beznadziejny tydzień w twoim życiu.

- To prawda. - Schylił się i pocałował ją w czoło. - Spij, kochanie. Ja będę czuwał.

- Gdzie?

- Przy kominku - odpowiedział wstając.

- Nie możesz tam spać.

- Zapraszasz mnie do łóżka?

Genevieve szukała jakiejś wymijającej odpowiedzi.

- Twoje milczenie jest odpowiedzią, milady.

- Och, Kendrick, to nie chodzi o ciebie. - Zaczerwieniła się i dodała: - No więc... tak, chodzi o ciebie. W pewnym sensie.

- Żadne prawo nie mówi, że małżeństwo musi być skonsumowane jutro wieczorem.

- Kiedyś to się musi stać.

- Pochlebiasz mi. Nie, wiem... - burknął, kiedy uniosła się na łożku. - Nie chciałaś tego tak ująć...

Genevieve miała coś powiedzieć, żeby zatrzeć niemiłe wrażenie, ale nie wydusiła ani słowa. Przeżycia tego dnia przerosły ją. Wiadomość, że nazajutrz wyjdzie za mąż, przepeliła czarę. Nie ślub ją przerażał, ale to, co nastąpi później. Dotąd dawała sobie jakoś radę, ale jutro wszyscy opuszczą zamek i zostanie z nim sama. Wiedziała, że nigdy nie zrobiłby jej krzywdy, lecz z pewnością będzie chciał się zbliżyć.

Fizycznie. Intymnie.

Na myśl o tym miała ochotę rzucić się do ucieczki.

Popatrzyła, jak Kendrick siada przed kominkiem i wyciąga przed siebie długie nogi.

- Kendrick?

- Tak.

- To będzie bolało?

Po chwili odpowiedział:

- Trochę.

Oczywiście wiedział, o czym Genevieve mówi.

- Trochę?

- Coś pomiędzy „aść!” a „błagam, dobij mnie”.

- O Boże!

Kendrick stał przed ołtarzem w kaplicy swego zamku i trzymał w dłoni dłoń ukochanej. Myślał, że ta chwila nigdy nie nadejdzie. Genevieve należy do niego. Zerknął na nią ukradkiem i poczuł, że serce mu topnieje. Jak pięknie wyglądała w stylowej sukni od pani Adelajdy. Włosy miała zaczesane do góry, a kilka loczków spadało na kark i skronie. Marzył, by zanurzyć w nich palce. Kochana, słodka Genevieve.

Pozwolono mu pocałować pannę młodą i zrobił to, choć nie tak, jak miałyby ochotę. Była sztywna i zimna jak gład. Może to zdenerwowane związane z ceremonią. On pewnie też by temu uległ, gdyby nie myślał cały czas jedynie o tym, jak bardzo pragnie ją poślubić. Ona jednak jest inna. Wiedział, że budzi w niej niepokój, lecz nie miał pojęcia, jak pomóc jej przewyciężyć ten lęk. Jeśli ich

małżeństwo miało być czymś więcej niż kontraktem zawartym na papierze, będzie musiało dojść do zbliżenia. I mimo że myśl o tym sprawiała, że strategiczne partie jego ciała obejmował ogień, u Genevieve wywoływała jedynie paniczny lęk.

Cierpliwości, Seakirk. Trzeba będzie cierpliwości, by zrozumiała, że możesz dać jej rozkosz, myślał. A on był cierpliwy. Czekał na nią siedemset lat. Co zmieni kilka dni więcej?

Usiłował rozgrzać lodowatą dłoń panny młodej. Bez rezultatu. Wyglądała na tak spłoszoną, jak młoda kobyłka w stajni pełnej ognistych ogierów. Jakby chciał się na nią natychmiast rzucić!

Cierpliwości. Dostał już przecież tak wiele.

Późnym popołudniem Kendrick postarał się dyskretnie wypłoszyć wszystkich z domu. Worthington, w trosce, by nie umarli z głodu, zobowiązał panią Adelajdę do sprawdzania codziennie, czy żyją. Lokaj postanowił odbyć morską wycieczkę na greckie wyspy i obiecał dzwonić z każdego portu. Kendrick skwitował to krótkim: „Nie fatyguj się.”

Royce z radością wyczekiwał dwóch tygodni w gościnie u pani Adelajdy, gdzie spodziewał się zostać przedstawiony wszystkim okolicznym pannom na wydaniu. Jako pierwszy czmychnął z zamku, gdy nadszedł czas pożegnania z nowożeńcami.

Nazir natomiast zupełnie nie miał ochoty odjeżdżać. Nie podobała mu się perspektywa pobytu w gościnie u pani Adelajdy - był pewien, że ta kobieta otruje go przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Kendrick tłumił śmiech, gdy jego dzielny Saracen i pani Adelajda wymieniali spojrzenia. Miał szczerą nadzieję, że Adelajda ubezpieczyła swój sklep. Dzikie pomysły Nazira były absolutnie nieprzewidywalne.

Lord Seakirk na progu wielkiego hallu zęgnął ślubnych gości. Zmrużył oczy, kiedy Nazir posłał Genevieve błagalne spojrzenie zza tylnej szyby samochodu.

- Zdaje się, że jedno dziecko już mamy - mruknął.

- Nazir cię uwielbia.

- Nie, to ciebie uwielbia. I wydaje mu się, że owinał cię wokół palca. Jeśli chce coś załatwić, wie do kogo robić słodkie oczy.

- Cóż za psychologiczna wnikliwość, milordzie, zupełnie nie licująca ze średniowieczną mentalnością.

- Wolisz średniowieczną mentalność? - spytał uprzejmie. - Trzeba było od razu mówić!

Bez ostrzeżenia przerzucił ją sobie przez ramię i ruszył do domu. W środku zatrzymał się tylko po to, by zaryglować drzwi wejściowe.

- Kendrick, za chwilę zwymiotuję.

Szybko przełożył ją sobie na rękę.

- Masz słaby żołądek, kochanie.

- Umieram z głodu. Czy w ogóle jedliśmy coś dzisiaj?

Uśmiechnął się.

- Przebierzemy się, a potem może zejdziemy na dół i zjemy porządną kolację. -  
Dobrze, Seakirk, pomyślał. Zagaduj ją o jedzeniu. Im mniej będzie myślała o tym, co  
ma nastąpić, tym lepiej.

Kiedy dotarli do sypialni, Genevieve czmychnęła do łazienki. Kendrick zdjął  
średniowieczny odświętny strój, który wyczyszczono i pocerowano specjalnie na  
ślub, i włożył swoje ulubione, miękkie spodnie od dresu. Przyzwyczyił się do gołych  
stóp wystających z tego przyodziewku, ale zawsze mógł przecież nałożyć skarpetki i  
czuł się prawie jak w rajtuzach, jakie nosił za swoich czasów.

Czekał, aż Genevieve wyjdzie z łazienki. Po kilku minutach stwierdził, że nie  
słyszy szumu wody. Co ona robi? Przez następny kwadrans chodził w tę i z  
powrotem po pokoju, aż w końcu nie wytrzymał. Zapukał do drzwi.

- Gen?

- Już idę - odezwała się słabym głosem.

Odkręciła natychmiast wodę i usłyszał, że się myje.

- Gen, mogę wejść?

- Oczywiście - odpowiedziała łamiącym się głosem.

Kendrick otworzył drzwi i zobaczył, że Genevieve jest blada jak ściana. Och,  
dlaczego nigdy nie próbował uwieść odpornej dziewczyny? Miałby teraz więcej  
doświadczenia.

Zbliżył się spokojnie i zatrzymał o krok przed nią. Nie ma sensu przypierać jej  
do muru. Wyciągnął rękę.

- Chodź do mnie, żono - odezwał się łagodnie. - Wyglądasz na zmarzniętą.

Podążyła mu rękę z takim entuzjazmem, z jakim kobieta grzebie w śmieciach w  
poszukiwaniu zgubionego kolczyka.

Kendrick znał dokładnie ten wyraz twarzy, gdyż tydzień temu widział  
Genevieve właśnie w takiej sytuacji. Starał się nie okazać, że rani to jego dumę.

Przygarnął ją do siebie i zacisnął zęby, gdy lodowatymi palcami dotknęła jego  
karku. Boże, ma ręce jak kostki lodu!

- Genevieve - szepnął. - Nie zrobię ci krzywdy.

Potrząsnęła nerwowo głową.

- Kochanie, proszę, rozluźnij się.

Odsunął się i uśmiechnął do niej swoim najbardziej uwodzicielskim  
uśmiechem. Wiedział o tym, gdyż w młodości spędził wiele czasu na ćwiczeniu min  
i uśmiechów, wgapiiony w swoje odbicie w wypolerowanej srebrnej paterze.

Sprawdzony skądinąd uśmiech nie zrobił na żonie najmniejszego wrażenia.

Westchnął i znów ją objął. Kiedy słowa zawodzą, pozostaje tylko działanie.  
Zaniósł ją do łóżka i położył się obok. Usiadła, próbując wstać.

- Genevieve...

- Czegoś zapomniałam.

- Niczego nie zapomniałaś. Chodź no tu. - Pociągnął ją z powrotem na łóżko. -  
Nie ruszaj się - rozkazał i sięgnął po koc. Okrył ich oboje i przysunął ją bliżej. -  
Genevieve, na Boga, nie mam zamiaru brać cię siłą. Ogrzeję cię tylko, a potem  
pomyślimy o innych sprawach.

Drżała coraz mocniej.

- Jakich innych sprawach?

Kendrick westchnął zdesperowany.

- Zmiłuj się, o jedzeniu!

Rozpłakała się. On zaczął się denerwować.

- Genevieve, na miły Bóg, weź się w garść!

- Nie mogę tego zrobić - szlochała. - Kendrick, ja po prostu jeszcze nie mogę.

- Nie musimy...

- Prze... przepraszam - Zachłystywała się łzami. - Myślałam, że będę mogła.

Na... naprawdę.

Objął ją mocniej, ale to tylko pogorszyło jej stan. Czuł się strasznie zraniony. Była przecież przy nim absolutnie bezpieczna, a jednak ogarniało ją przerażenie, gdy się zbliżał. Powoli wypuścił ją z ramion i nie zareagował, kiedy się odwróciła. Bolało go, że Genevieve płacze, tym bardziej, że wiedział, iż to on jest powodem tych łez.

Długo wsłuchiwał się w jej łkanie. Nieruchomo leżał obok, gdy, wyczerpana, w końcu zapadła w głęboki sen.

Cierpliwość? Uśmiechnął się gorzko. Nie miał pojęcia, co to jest. Tak spieszno mu było do ślubu, że nie dał jej czasu, by naprawdę przyzwyczała się do zmian w swoim życiu. Tak, i spieszno mu było kochać się z nią. Wciąż strasznie tego pragnął. Ciało domagało się swoich praw, przypominając mu, jak cudownie jest uprawiać miłość. A uprawiać miłość z Genevieve?

Ta myśl po prostu go porażała. Czuć jej nagie ciało tuż przy swoim, jej delikatne palce w swoich włosach... Słyszeć ciche jęki rozkoszy i słowa miłości szeptane do ucha. To leżenie obok niej było istną torturą!

Ale sam był sobie winien. Powinien był dać jej więcej czasu. Wiedział przecież, jak niewiele miała doświadczeń z mężczyznami. Tak, wcześniej go akceptowała, ale wtedy miał mniej więcej tyle samo wspólnego z rzeczywistością, co jej wymarzony rycerz. A teraz? Teraz jest prawdziwym mężczyzną z krwi i kości, i ma pragnienia, których Genevieve nie rozumie i które budzą w niej strach.

Cóż, zamiast myśleć głową, on myślał inną częścią ciała. Zaciągnął ją do ołtarza i do łoża małżeńskiego, zapominając o jej odczuciach. A teraz leży obok niego wyczerpana od płaczu.

Żałosny jesteś, Seakirk, podsumował.

Począł do świtu, a potem wstał cicho i zabrał swoje rzeczy. Genevieve obudzi się pewnie późno i dopiero wtedy zauważy jego nieobecność.

Jeśli potrzeba jej czasu, będzie miała czas.

- Kendrick?

Genevieve zajrzała do gabinetu. Pusto. Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Nie ma powodu do paniki tylko dlatego, że kiedy spała, mąż gdzieś zniknął bez śladu. Może wybrał się na konną przejażdżkę. Nie miał na to czasu, odkąd wrócił do życia, a wiedziała, że nie może doczekać się, kiedy wskoczy na siodło.

Weszła do małego pokoju i usiadła przy biurku. Popatrzyła na portret rodzinny. Wyglądali na takich szczęśliwych. A lady Anna spoglądała z obrazu tak pogodnie, mimo że lord Robin miał w oczach takie same lubieżne błyski jak jego syn.

Genevieve zaczerwieniła się bezwiednie. Jak Annie udało się... to zrobić?

Położyła głowę na biurku. Co za katastrofa. Ostatniej nocy sprawy nie potoczyły się tak jak powinny. Zamierzała być kochająca i czuła, i ze stoickim spokojem znieść każdy ból, by tylko Kendrick był zadowolony. Jakoś wszystko wymknęło się jej spod kontroli.

A kłopoty pojawiły się, gdy zaczęło się realne życie. Poczwała się osaczona, kiedy Kendrick stał się normalnym mężczyzną i oczekiwał od niej rzeczy, których nie mogła spełnić. Nawet gdyby chciała z nim porozmawiać, a nie chciała, nie było ku temu okazji. Miał tak wiele spraw na głowie - głównie kontrolowanie Royce'a i Nazira. Nic nie mogła na to poradzić.

Nie była specjalnie dumna ze swej reakcji w nocy, gdy obudził ją z tego koszmarne snu, ale czego się spodziewał? Że natychmiast wskoczy mu do łóżka? Im więcej myślała o miłości fizycznej z Kendrickiem, tym bardziej ją to przerażało. Ślub był po prostu farsą. Stała z zaciśniętymi ustami i ledwie wydusiła sakramentalne „tak”.

A potem ta noc poślubna! Miała wrażenie, że Kendrick spodziewał się po niej innej reakcji. Dla niej też nie był to szczyt marzeń. Gdyby tylko mieli więcej czasu, kilka dni na rozpoczęcie czegoś zupełnie nowego - spotkanie dwojga normalnych ludzi, którzy stopniowo się do siebie zbliżają, uczą intymności, a nie rzucają się na siebie po kilku słowach wypowiedzianych przed księdzem.

Lecz, niestety, nie mieli tego luksusu. Będzie musiała wziąć się w garść i przestać zachowywać jak dziecko. Jest przecież zameżną kobietą. Kocha Kendricka. Kochanie się z nim będzie cudowne.

Doszła do jeszcze jednego, olśniewającego wniosku, a zdała sobie z tego sprawę po tym koszmarze, w którym Kendrick znów był duchem. Otóż jej wymarzony rycerz naprawdę odzyskał żywe ciało. Po raz pierwszy poczuła, jak bardzo jest z tego powodu szczęśliwa.

Chciała mu o tym powiedzieć. Natychmiast. Wstała zza biurka, pomachała ręką rodzinie na portrecie i wyszła z gabinetu. Może Kendrick robi sobie coś do jedzenia w kuchni. Jeśli mężczyźni lubią coś naprawdę, to jest to jedzenie.

Kuchnia była pusta. Wielki hall też. Genevieve poczuła, że pot występuje jej na czoło. Niemożliwe, by coś mu się stało.

Och, nie, nie teraz, kiedy odzyskała zmysły i zrozumiała, jak bardzo go kocha.

Sprawdziła w pozostałych sypialniach. Nic. Poszła nawet pod drzwi, które już kilkakrotnie bez powodzenia próbowała otworzyć. Prowadziły do komnaty, którą widziała tylko raz. Pokój został zamknięty przed Bożym Narodzeniem i, szczególnie nocami, Genevieve słyszała dobiegające stamtąd stukoty i pukania.

Wyciągnięcie jakichkolwiek wyjaśnień od Kendricka było jeszcze trudniejsze niż wypytywanie Worthingtona. Uderzyła kilka razy pięścią w drzwi wołając męża.

Głucha cisza.

To przestało być zabawne. Pobiegła do wyjścia i zbiegła na dziedziniec. Na dworze było okropnie zimno; nie zważając na to, popędziła do stajni. Tylko konie. Nawet żadnego stajennego, który mógłby jej coś powiedzieć. Usiadła na kupie siana gotowa za chwilę się rozpłakać. Była jednak zbyt zdenerwowana.

To niemożliwe! Czyżby dostała Kendricka po to, by za niego wyjść, odrzucić go w noc poślubną, a potem stracić?

Nie chciała w to uwierzyć. Musi być jakieś inne wytłumaczenie. Może pojechał po coś do miasteczka. Pewnie zostawił kartkę, ale była zbyt rozproszona i nie zauważyła jej.

Kiedy wróciła do wielkiego hallu, usłyszała dzwonek telefonu.

Pobiegła do kuchni, gdzie stał zawsze przenośny aparat. Podstawka leżała na szafce, jednak słuchawki nie było. Kierując się odgłosem dzwonka poszła do spiżarni. Na półkach nie dostrzegła nic poza żywnością.

Acha! Zanurzyła rękę w stos ręczników i wyciągnęła brzęczącą słuchawkę.

- Halo? - odezwała się bez tchu.

- Och, lady Seakirk, tu Johnny. Z zewnętrznej bramy.

Genevieve zeszytywniała. Świetnie. Następni zbóje na progu.

- Tak? O co chodzi?

- Milady, nie uwierzy pani...

Cudownie. Może tym razem przybywają wozem pancernym. Najlepiej będzie wywiesić białą flagę.

- Przed bramą stoi jakiś człowiek na koniu.

Na koniu?

- Na koniu?

- Tak, milady. I jest ubrany w kolczugę.

Serce biło jej jak szalone.

- Może zapytasz, kim jest?

Johnny zakrył dłonią słuchawkę i wydarł się do przybysza. Po chwili ciszy odezwał się:

- Milady, mówi, że przyjechał w konkury i że to nie mój cholerny interes, kim jest.

Genevieve poczuła ogromną ulgę.

- Milady, nie chciałbym zepsuć niespodzianki, ale jestem pewien, że to jego lordowska mość. W okolicy nie ma nikogo innego o takim groźnym spojrzeniu. I zagroził, że wyrzuci mnie na pysk, jeśli go natychmiast nie wpuszczę.

- W takim razie - powiedziała powoli, czując lekki zawrót głowy - wpuść go.

Odłożyła słuchawkę. Nie potrzebowała więcej wyjaśnień. Niech go diabli, podejrzwał jej marzenia tego dnia, kiedy spał w gabinecie, a ona pierwszy raz dotknęła jego dłoni. Poczowała się zmieszana, ale z drugiej strony jakie to miłe. Więc przybył do niej tak, jak zrobiłby w swoich czasach.

Suknia. Musi nałożyć suknię. Wybiegła z kuchni i popędziła na górę. Adelajda podarowała jej w prezencie ślubnym średniowieczny strój. Wiedziała, że trudno będzie jej włożyć suknię bez niczyjej pomocy, ale musi to jakoś zrobić. Przy odrobinie szczęścia Kendrick będzie jechał powoli i Genevieve zdąży go przywitać.

Suknia miała dość prosty fason i była suto marszczona. Genevieve włożyła skórzany pasek, opuszczając go nisko na biodra, tak jak widziała na ilustracjach z epoki. Nie było czasu, żeby nakryć czymś włosy, zresztą Kendrick i tak zaraz by jej to ściągnął z głowy.

Buty. Do diabła, gdzie są buty? Przerzucała rzeczy w poszukiwaniu pantofelków od Adelajdy. Zapadły się pod ziemię. Wyciągnęła pierwsze lepsze.

Różowe klapki.

To nic, nie będzie ich widać. Wsunęła je na nogi i potykając się, zbiegła do wielkiego hallu. Niech tylko powoli jedzie, błagała w myśli. Chciała stać u szczytu schodów, kiedy Kendrick ukaże się na dziedzińcu.

Zasapana, wyhamowała gwałtownie tuż przed drzwiami.

Odetchnęła jeszcze raz i otworzyła drzwi. Krata wewnętrznej bramy właśnie się podniosła i przejechał pod nią samotny jeździec. Genevieve zamknęła za sobą drzwi i przyjęła odpowiednią pozę na szczycie schodów.

To był Kendrick. Misiurkę zsunął na tył głowy, odsłaniając długie, ciemne włosy. Rozpoznała szary płaszcz z wyhaftowanym czarnym lwem. Nigdy nie pomyliłaby tego herbu z żadnym innym ze względu na niezwykłą barwę lwiego oka.

Słońce odbijało się w ostrzu miecza, szmaragd błyskał na rękojeści. Genevieve przełknęła nerwowo ślinę. Jak jakakolwiek kobieta mogła mu się oprzeć? Poczowała się strasznie na myśl o tym, jak zachowała się wczoraj wieczorem. Prawdopodobnie zmarnowała noc swego życia.

Kendrick zatrzymał się u stóp schodów i spojrzał na nią. Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że znów stracił pamięć. Potem na jego twarzy ukazał się uśmiech. Podniósł rękę i skinął na nią palcem.

Na trzęsących się nogach zeszła ze schodów i stanęła obok konia.

- Słyszałem, że milady boryka się ze stadem smoków, które trzeba posiekać na kawałki. Przybyłem na odsiecz.

Uśmiechnęła się.

- Jest ich kilka, dzielny rycerzu, i sądzę, że rozgromienie ich zajmie trochę czasu. Czy byłbyś skłonny zostać na dłużej?

- Tak, byłbym skłonny.

Nie robił żadnego gestu. Może potrzebuje zachęty.

- Dobijemy targu uściskiem dłoni?

- Wolałbym coś mniej intymnego.

Słodki Kendrick.

- Więc może pocałunek?

Groźnie popatrzył z góry.

- Tak, to może być. Chodź tu, dziewczyno. Nie będę schodził z konia, żeby za tobą ganiać.

Wyciągnął rękę. Ujęła ją, zebrała spódnice i wspięła się, opierając nogę na jego stopie. Podciągnął ją na siodło i objął.

Genevieve przytuliła twarz do jego włosów.

- Przepraszam - szepnęła. - Za wczorajszą noc.

- Chyba nie poznaliśmy się jeszcze na tyle dobrze, by zostać kochankami, co?

Powoli skinęła głową.

- Tym też się zajmiemy - delikatnie pocałował ją w czoło.

- Zaprowadzę konia do stajni i przyjdę do ciebie do domu.

- Pójdę z tobą - zaproponowała.

Na jego ustach pojawił się chytry uśmieszek.

- Więc tęskniłaś za mną dziś rano?

- Bardzo.

Obrócił konia i cmoknął. Genevieve objęła go mocno za szyję.

- Nie ruszamy do galopu, kochanie.

- Nie, ale jesteśmy daleko od ziemi.

- A ja myślałem, że tak mocno mnie obejmujesz, żeby ci nie uciekł.

- Kendrick, czy nikt ci nie mówił, że wciąż dopraszasz się komplementów?

- To nieprawda.

- Ależ tak. Ciągle. Czy tak żałuję ci miłych słów? - spojrzała w jego zielone oczy i jęknęła. - O nie, nie rób znowu takiej rozżalanej miny. Mówię ci więcej komplementów niż powinnam.

- Rycerz nigdy nie ma dość komplementów od damy swego serca - stwierdził uroczyście.

Zsunął się z konia, kiedy dojechali do stajni i wyciągnął do niej rękę. Jednak zatrzymał się na chwilę, odchylił brzeg sukni i popatrzył na klapki. Z uśmiechem podniósł na nią wzrok.

- Droga żono, co za szyk...

„Żono.” Może to dlatego, że specjalnie dla niej założył tę ciężką kolczugę, a może spowodował to czarujący uśmiech i dołeczek w policzku, w każdym razie tak ją rozbroił, że uśmiechnęła się promiennie.

- Spieszyłam się.

Chwytał ją za goły palec u nogi.

- Na spotkanie z kimś, kogo znam?

- Znowu dopraszasz się słodkich słówek.

- Nie mogę się powstrzymać. - Ściągnął ją z konia. - Siadaj no na tym sianie i podziwiał moją wspaniałą postać, kiedy będę odprowadzać konia. I trzymaj wysoko stopy, nie chcesz chyba zabłócić pantofelków.

Genevieve poczuła się, jakby ktoś przeniósł ją w przeszłość. Powietrze wypełniało skrzypienie kolczugi i skóry uprząży, ciche parskanie koni i szept Kendricka, który przemawiał do swego wierzchowca po francusku. Językiem ojczystym jej męża był francuski Normanów; jakie to zadziwiające! Zamarzyła nagle, by wrócić do jego czasów. Jak by to było, gdyby Kendrick naprawdę był jej rycerzem? I jej bezpieczeństwo, a nawet życie, zależałoby od jego sprawności?

Jak przyjęłaby ją jego rodzina w Artane? Spodobałaby się rodzicom, czy też woleliby inną żonę dla syna? Chciała poprosić go, żeby tam pojechali. Zobaczyłaby miejsce, gdzie się wychował. Niestety, zamek prawdopodobnie w niewielkim stopniu przypominał teraz to, czym był w średniowieczu. Dla Kendricka ten widok mógłby być zbyt bolesny.

- Genevieve?

Podniosła oczy i prawie przestała oddychać. Nie dlatego, by nie była przyzwyczajona do jego urody czy wspaniałej sylwetki. Do tego się przyzwyczaiła. I do tego kuszącego, seksownego uśmiechu. Nie, nie dlatego zabrakło jej tchu. Albo może ze wszystkich tych powodów.

Oto jej mężczyzna.

Przyjechał do niej... w konkury.

Kendrick objął ją ramieniem obrzucił groźnym spojrzeniem.

- Jestem głodny, dziewczyno.

Objęła go za szyję.

- Tak? A co nam upolujesz na kolację?

- Upoluję kilka steków w lodówce.

- Jaki jesteś dzielny...

- Ach, komplement - stwierdził z zadowoleniem. - Chętnie jeszcze posłucham.

Może, powiesz coś miłego, kiedy zaatakuję lodówkę mieczem. Moja odwaga w boju była zawsze wychwalana.

Uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek.

- Ugotuję coś dobrego. Nie będziesz miał chyba na nic siły po tych wszystkich wyczynach.

Mruknął coś arogancko i szybkim krokiem ruszył do zamku. Kendrick z wyciągniętymi przed siebie nogami siedział przy długim kuchennym stole i patrzył na żonę, która krzątała się w średniowiecznej sukni i tych śmiesznych klapkach. Nagle poczuł taki przyływ czułości, że poderwał się, obrócił ją do siebie i pocałował łapczywie.

- Jesteś cudowna - powiedział z uśmiechem.

Genevieve roześmiała się, zaskoczona tą nagłą afektacją.

- Dlaczego?

- Po prostu. Dlatego, że jesteś.

Szybko pocałował ją drugi raz, obrócił z powrotem do kuchenki i wrócił na swoje krzesło. Genevieve przyłożyła rękę do czoła, żeby odzyskać równowagę i popatrzyła na niego przez ramię.

- Dobrze się czujesz?

Kiwnął głową. Miał ochotę znów się poderwać i rzucić na nią, lecz został na miejscu. Nie popełnił drugi raz tego samego błędu. Będzie uwodził panią de Piaget wszelkimi sposobami, jednak nie dotknie jej, dopóki ona pierwsza tego nie uczyni. Może minie miesiąc, zanim zaloty doprowadzą do szczęśliwego zakończenia, ale Kendrick postanowił, że poczeka. Był gotów cierpliwie znosić katusze, by doczekać chwili, kiedy Genevieve przyjdzie do niego z własnej woli.

Z bożą pomocą może wytrzyma tę próbę.

Rozparł się wygodniej w krześle. Sprawy nie wyglądają tak źle. Godzinę temu posadził ukochaną obok siebie na koniu i przez tę godzinę Genevieve śmiała się więcej niż przez cały ubiegły tydzień. Kiedy wrócili do domu, błaznował atakując mieczem lodówkę, a potem nacierając na kuchenkę mikrofalową, aż w końcu stwierdził, że nieprzyjaciel się poddał. Genevieve kilka razy popłakała się ze śmiechu w czasie tego występu.

Podniósł ramiona, żeby się przeciągnąć, lecz poczuł, że nie może. Boże, kiedy ostatni raz zapomniał, że ma na sobie kolczugę? Nawet w czasie wypraw krzyżowych nie wydawała mu się tak bardzo częścią niego samego. Wstał i podszedł do żony.

- Pozwolisz, że zostawię cię na chwilę? - spytał uprzejmie. - Mam ochotę rozprostować kości po dzisiejszych wyczynach, a kolczuga strasznie mnie krępuje.

Uśmiechnęła się tylko. Brak reakcji ucieszył Kendricka.

Przynajmniej nie przerażyła się, że za chwilę wróci nagi i zgwałci ją na stole. Pewnym krokiem wymaszerował z kuchni.

Swoją drogą, to niezły pomysł. Może Genevieve da się na to namówić za kilka miesięcy. Oczywiście Worthingtona trzeba będzie znowu wysłać na wakacje, żeby mogli być sami, lecz Kendrick przeczuwał, że ten stary lis rozsmakuje się w podróżach i nie będzie protestował. Tak, trochę pieszczot, gdy lody czekoladowe są w zasięgu ręki, to całkiem dobry pomysł.

Ściąganie kolczugi nie było proste, ale jakoś dał sobie radę. Jak miło zrzucić ten ciężar z pleców. Wciągnął dzinsy i zajrzał do skrzyni w poszukiwaniu jakiejś koszuli. Uśmiechnął się, wyciągając bluzę z napisem „Raiders”. Kiedy Genevieve ją kupiła? Może nie jest aż tak nieczuła, jak mu się zdaje.

Nie, to niesprawiedliwe. Ona go kocha. Zawsze była nieśmiała i prawdopodobnie taka zostanie. Zauważył, że sam jego wzrost wprawia ją w zakłopotanie. Szkoda, że nie знаła jego matki. Ile razy widział, jak lady Anna odchyła głowę do tyłu, żeby nawrzeszczyć na ojca, który był od niej wyższy o dobre półtorej głowy, a ważył dwa razy tyle co ona. Lecz ojciec nie skrzywdziłby jej za żadne pieniądze. To po prostu nie do pomyślenia! Prędzej zadźgałby synów, niż podniósł na nią rękę. Szkoda, że Genevieve nigdy ich nie spotkała. Zrozumiałaby, że Kendrick jest pod tym względem taki sam jak ojciec.

Zbiegł po schodach. Zbliżając się do kuchni poczuł zapach mięsa w przyprawach. Oblizął się. Jeśli nie będzie ostrożny, niedługo jego gabaryty osiągną taki rozmiar, że nie zmieści się w drzwiach.

Kiedy wszedł do kuchni, żona stawiała właśnie przy jego miejscu koktajl mleczno-czekoladowy. Kendrick natychmiast obszedł stół z drugiej strony i chwycił szklanę. Genevieve zakryła dłonią koktajl i przytrzymała.

- Nie.

- Tak.

- Kendrick, nie przed kolacją.

- Sam zdecyduję kiedy.

- Nie, nie wolno.

- Ależ tak.

Zmarszczyła brwi.

„Nie bierz jeńców, Seakirk, żadnej litości.” Pochylił się nad stołem i pocałował ją. Nie próbował rozchylić jej warg, po prostu przywarł ustami do jej ust. Nie odsunęła się, a po chwili straciła równowagę i przechyliła się jeszcze bardziej w jego stronę, zawisając nad stołem. Nie podtrzymał jej, tylko wyprostował się i patrzył, jaki będzie efekt tego manewru.

Dama jego serca kurczowo trzymała się krawędzi stołu, z zamkniętymi oczami i lekko rozchylonymi wargami. Och, a koktajl był nareszcie wolny. Wypił zawartość, gulgocząc z rozkoszą, a potem głośno odstawił pucharek. Dyskretnie beknął - przynajmniej według niego było to dyskretne beknięcie - i z pomrukiem zadowolenia usiadł na krześle.

Genevieve otworzyła oczy i popatrzyła na niego z góry.

- Jesteś prawdziwym barbarzyńcą, milordzie.

Zrobił obrażoną minę.

- Bardzo dyskretnie beknąłem. - Boże, ona wygląda, jakby miała zemdleć!

- Nie o tym mówiłam.

Uniósł brew i przybrał nonszalancką pozę.

- O, ciekawe...

Dotknęła palcami ust i odwróciła się po przygotowane do podania warzywa. Kendrick zerwał się w samą porę, by chwycić wysuwający się z jej dłoni półmisek. Postawił go na stole i pomógł jej usiąść. No, dobrze chociaż, że przestała uciekać. Może stopniowo uda mu się wzbudzić w niej zaufanie.

Zjedli w milczeniu. Kendrick był zbyt pochłonięty jedzeniem, żeby rozmawiać, a Genevieve wyglądała na otumanioną. Grzebała widelcem w talerzu z brodą opartą na ręce i przyglądała się, jak mąż pożera swoją porcję. Szybko skończył i rozejrzał się, czy nie ma czegoś więcej. Genevieve uśmiechnęła się i podsunęła mu swój talerz.

Drugą porcję zjadł trochę wolniej, głównie dlatego, że zauważył spojrzenie Genevieve i poczuł niepokój, czy jego maniery przy stole nie są zbyt prostackie. W przeszłości nie zwracał sobie głowy takimi rzeczami jak sztuce. Człowiek, który tułał się miesiącami po świecie, nie dbał o dworne zachowanie wobec towarzyszy,

jadł gdzie popadło i jak popadło. Kendrick jadł palcami, noża używając tylko od czasu do czasu, żeby sobie pomóc. Przecież to wymachiwanie widelcem jest śmieszne!

Podniósł oczy na Genevieve i uśmiechnął się nieśmiało.

- Wybacz mi.

- Dlaczego? Dobrze ci idzie.

- Wstyd mi.

Wstała i stanęła za nim. Położyła dłoń na jego lewej ręce.

- Trzymaj widelec w ten sposób. Kiedy pokroisz mięso, trzymaj go w tej samej ręce albo przełóż do prawej, jak ci wygodniej. Rozumiesz?

- Och, nie bardzo... - powiedział szybko, kiedy chciała odejść. Bezradność nie jest chyba grzechem, jeśli chce się zatrzymać przy sobie żonę? - Pokaż mi jeszcze raz, Gen, dobrze?

Skończył jedzenie z jej pomocą i z zalem stwierdził, że nie zmieści już nic więcej. Genevieve zaczęła zbierać talerze.

- Kochanie - powiedział - ta suknia jest z pewnością mniej wygodna od dzinsów. Idź się przebrać, ja posprzątam.

- Kendrick, mogę to zrobić.

- Nie, ty gotowałeś, ja posprzątam.

- Nie wiesz, jak nastawić zmywarkę.

- To takie skomplikowane? Talerze wkłada się brudne, a wyjmuje czyste. Nawet średniowieczny barbarzyńca jest w stanie pojąć coś tak prostego.

Pocałowała go w policzek.

- Tylko żartowałam z tym barbarzyństwem.

- Chyba nie.

- Kendrick...

- Podoba ci się to we mnie, wiem. - Uśmiechnął się. - Nie gniewam się.

- To dobrze. I dzięki za pomoc. Bardzo z ciebie szlachetny rycerz.

Kiedy już wyszła, z ulgą beknął na całą kuchnię i zabrał się do roboty. Wkładanie talerzy do zmywarki było dziecinnie proste. Był zachwycony, że nie musi nawet wyrzucać resztek jedzenia. Jak cywilizowanemu człowiekowi udało się skonstruować maszynę, która trawi kości, kawałki warzyw i skórki od chleba, a po godzinie oddaje czyste talerze? Miał trochę kłopotu, jak ustawić resztę naczyń i pomyślał, że szkoda, iż dokładniej nie przyglądał się kiedyś reklamom w telewizji. Na pewno wiedziałby teraz więcej. W końcu upchał wszystko i zamknął drzwiczki maszyny. Zaczęła churgotać, kiedy włączył przycisk, ale pomyślał, że pewnie tak to ma być.

Podszedł do drzwi i wyjrzał do wielkiego hallu. Genevieve jeszcze nie zeszła. Zastanowił się chwilę. Był najedzony, ale czuł, że jeszcze jeden koktajl wypije z przyjemnością. Może przygotuje też przy okazji pucharek dla niej. Uwielbiała łakocie i Kendrick doskonale to rozumiał.

Mikser. Kolejny cud nowoczesności. Włączył bestię do kontaktu i rozejrzał się za plastikowym naczyniem. Dostrzegł je przy zlewie na suszarce obok tych

wszystkich nożyków i kręciołków. Udało mu się zmontować całość i postawił naczynie na białej podstawie. Wyciągnął odpowiednie produkty i zaczął nakładać je łyżką, ale szło to powoli, gdyż zjadał więcej lodów, niż wkładał do miksera.

Nieważne, mają ogromne zapasy. Zamówienie Genevieve zaszokowało Worthingtona, ale lodówka została wypełniona po brzegi różnego rodzaju lodami czekoladowymi. Mimo że Kendrick wolał te z wiórkami czekoladowymi, znalazł tylko zwykłe. Na pudełku było napisane „Starodawne”. Parsknął pod nosem. Na nazwę „Starodawne” naprawdę zasługiwałyby dopiero lody z kamykami i paprochami.

Wrzucił kilka łyżek do miksera. Oszacował uważnie przeciwnika i zastanowił się, dlaczego czegoś mu tu brakuje. Biała podstawka z guziczkami była na swoim miejscu, naczynie, no i zawartość. Popatrzył na suszarkę. Został tam tylko jakiś czarny kawałek plastiku i kilka sztuczków.

Wzruszył ramionami i wrócił do miksera. Dobrze, teraz zagadka tych guziczków, ale chyba robią to, co jest napisane pod spodem. Wolno? Nie, to brzmi za wolno. Szybko

- Chyba o to chodzi.

Lody były zamrożone i dużo siły potrzeba, żeby zmieniły się w gładką masę. Zadowolony ze swej dzielnej postawy kuchmistrza, nacisnął na odpowiedni guzik.

Wszystko dziko zafurkotało.

A potem nastąpiła eksplozja lodów i mleka.

Na całą kuchnię, włącznie z nim.

- Psiakrew! - wrzasnął. - Cholerny sukinsynu, co cię opętało!

Mikser wyłączył się. Kendrick stał lody z oczu i zamrugał.

Genevieve pojawiła się jak spod ziemi. Trzymała w ręce czarny plastikowy przedmiot.

- Zapomniałeś o pokrywce.

Mrugała dziko i zaciskała usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Kendrick zrobił się purpurowy, czego dama jego serca nie mogła dostrzec pod warstwą musu czekoladowego, który pokrywał go od pasa w górę. Mógł się roześmiać albo rozplakać.

Cichy chichot, który wyrwał się żonie przechylił szalę. Odchyliła się do tyłu i podparta pod boki wybuchnęła w końcu serdecznym śmiechem, od czasu do czasu chwytając oddech. Kendrick wyobraził sobie, jak komicznie musi wyglądać, i też zaczął się śmiać.

Genevieve, z trudem dochodząc do siebie, wyciągnęła z szafki ręcznik.

- Kendrick, nie widać cię spod czekolady. Chodź, wytrę cię. Musisz iść pod prysznic, a ja sprzątnę kuchnię. Co to za hurkot?

Zanim zdążył zaprotestować, wyłączyła zmywarkę i zajrzała do środka.

No cóż, nic dziwnego, że maszyna robiła taki piekielny hałas. Kilka szklanek było zbitych. Kendrick przykucnął i popatrzył na swoje dzieło.

- Coś jest nie w porządku z tą bestią - powiedział cmokając językiem. - Zobacz, co się stało!

Genevieve delikatnie położyła mu rękę na głowie.

- Kendrick, zanim włożysz talerze, trzeba wyrzucić odpadki, a szczególnie kości. Zmywarka ich nie lubi.

Natychmiast pojął błąd. Podniósł na nią zbołały wzrok.

- Chyba nie jestem najzręczniejszy w zajęciach kuchennych.

Pochyliła się i cmoknęła go w czubek nosa.

- Chyba nie, ale uroczo wyglądasz wysmarowany koktajlem czekoladowym.

- A co ze zmywarką?

- Jutro wezwiemy kogoś do naprawy. Następnym razem będziesz wiedział, jak jej używać.

Zamknął drzwiczki i wstał z westchnieniem.

- Rozpalę ogień na kominku w hallu i wrócę posprzątać ten bałagan. To moja sprawka.

- Nie bądź niemądry, pomogę ci. Przynies mi kilka ręczników ze spiżarki. Zaraz zrobimy porządek.

Kendrick musiał przyznać, że żona bardzo sprawnie poprowadziła akcję sprzątania. Mimo najlepszych chęci bardziej jej przeszkadzał, niż pomagał i w pewnym momencie pozwolił jej usadzić się w krzesło. Obiecał, że ugotuje kilka posiłków, by jej to wynagrodzić.

Zamknął oczy. Słyszał, jak Genevieve podchodzi do zlewu, odkręca kran, płucze i wyżyma ręcznik. Po chwili poczuł, że rozsuwa mu kolana. Otworzył natychmiast oczy. Uśmiechnęła się i przesunęła mu palcami po brwiach. Zamruczał, czując ciepły ręcznik na skórze.

- Och, Genevieve.

- Wytarcie twarzy nie wystarczy, Kendrick. Musisz wziąć prysznic.

- Jak pani każe.

Lecz nie ruszał się z miejsca, a ona nadal delikatnie zmywała mu twarz. Starał się prawie nie oddychać, żeby jej nie przestraszyć. Uwielbiał po prostu, kiedy go dotykała, nawet przez ten cienki materiał. Był gotów powtórzyć to wszystko, żeby tylko się nim zajmowała.

Nie zaprotestował jednak, gdy się odsunęła. Jest cierpliwy. Poczeka, aż sama do niego przyjdzie. Umyła mu twarz. To dobry początek, prawda? Uśmiechnął się rozanielony.

- Dziękuję.

- Nie ma za co.

- Pójdę się wykąpać.

- Pod brodą masz jeszcze całą skorupę czekolady.

Wstał.

- Poczekaś na mnie? - zapytał.

- Tutaj?

- Rozpalę na kominku w hallu. A potem pokażę ci moją niespodziankę. - Miał ochotę wziąć ją za rękę, ale się powstrzymał..

Nic na siłę. Wyszli z kuchni, Kendrick rozpalił ogień w kominku w hallu i złożył żonie głęboki ukłon. - Wróć niebawem, milady. I pokażę ci twój ślubny prezent.

Zaskoczona otworzyła szeroko usta.

- Ale Kendrick, ja nic dla ciebie nie mam!

Pocałował ją delikatnie w czoło.

- Ty jesteś moim ślubnym prezentem, Gen. Nie mógłbym marzyć o niczym więcej.

Wyprostował się i odszedł. Z trudem powstrzymał pokusę, żeby zerknąć za siebie i sprawdzić jej reakcję.

Miał nadzieję, że się uśmiecha.

Genevieve uśmiechnęła się zapatrzona w ogień na kominku.

Jaki on jest cudowny! Widok Kendricka wgapionego w mikser, który eksplodował jak wulkan, zawsze zostanie w jej pamięci. Gdyby nie wiedziała, że zrani to jego dumę, wybuchnęłyby od razu dzikim śmiechem. A to zdumione spojrzenie, gdy podała mu pokrywkę? Znowu się roześmiała. Słodki, kochany Kendrick. Jak można mu się oprzeć?

Chichotała pod nosem, dopóki nie rozległy się kroki na schodach. Kendrick podszedł wolno i powiedział przechylając głowę na bok:

- Skorupy chyba już zniknęły, milady.

- Biedaku. Powinnam była pokazać ci, jak używać miksera.

Nachmurzył się.

- Wiedziałem, że brakuje czegoś ważnego, ale byłem zbyt tępy, żeby dojść, czego.

- To ta nowoczesna technologia, Kendrick. Ty masz kłopoty z mikserem, a ja nie umiem nastawić odtwarzacza wideo.

Wyciągnął dłoń i pomógł jej wstać.

- Chciałbym o tym porozmawiać.

- O czym?

- Nie mam ochoty spędzać więcej czasu w gabinecie.

Genevieve od razu zrozumiała. Zbyt wiele się tam wydarzyło: pierwszy raz się dotknęli, a potem ten koszmar, kiedy wysunęła mu się z ramion... Tam podpisała zrzeczenie się zamku. Nie, ona też nie miała ochoty tam wracać.

- Rozumiem - powiedziała.

- Ale w hallu jest za zimno.

- Możemy urządzić sobie inną komnatę. A może pokój dzienny na trzecim piętrze? Okna wychodzą na ocean.

- Rozwiązałem już ten problem. - Wyjął z kieszeni klucz i położył go w jej otwartej dłoni. - Twój ślubny prezent.

Wiedziała, że chodzi o pokój zamknięty od Bożego Narodzenia.

Kendrick uśmiechał się zachęcająco.

- Idź, zobacz, czy ci się podoba.

Podeszła do drzwi, opanowując podniecenie. Zamek lekko dał się otworzyć.

To była jej biblioteka. Ciemna, przytulna i urządzona dokładnie tak, jak sobie wyobrażała. Okręciła się na pięcie i spojrzała na niego.

- Widziałeś to w moich myślach.

- Przyznaję się do winy.

- Och, Kendrick... - Zarzuciła mu ręce na szyję. - Jest przepiękna!

- Skąd wiesz? Nie przyjrzałaś się jeszcze.

Uśmiechnęła się, przeszła w głąb, żeby dokładnie wszystko obejrzeć. Piękne, ciemne meble i półki z książkami do samego sufitu. Ciemnozielony dywan.

Ogromny kominek. Wygodne fotele pokryte ciemnym materiałem w szkocką kratę. Mosiężne lampy.

I niesamowita liczba książek. Do końca życia nie zdoła przeczytać ich wszystkich.

- Nawet nie wyobrażaj sobie, że się tu zaszyjesz, żeby pochłaniać te książki - cicho mruknął Kendrick. - Nie znoszę być ignorowany.

Roześmiała się, podchodząc do jednej z szaf bibliotecznych. Przesunęła palcami po grzbietach książek.

- Moi ulubieni pisarze. Skąd wiedziałeś?

- Wkradłem się do twojej pamięci pewnej nocy, gdy spałaś. Genevieve, czy słyszałaś, co powiedziałem przed chwilą?

- Oczywiście, mężu.

- Więc powtórz mi to. I odłóż tę książkę!

Posłała mu chytry uśmieszek.

- Taka wspaniała biblioteka do mojej dyspozycji i sądziłeś, że nie tknę żadnej książki?

Z pomrukiem niezadowolenia przysunął się bliżej. Genevieve schowała się za krzesło.

- Och, proszę, Kendrick. Tylko kilka książek dziennie.

- Jedna na tydzień.

- Pięć na tydzień.

- Na Boga, Genevieve, to za dużo!

- Będę czytać, kiedy ty ćwiczysz na placu.

Założył ramiona na piersi.

- Wolałbym, żebyś patrzyła na mnie, kiedy ćwiczę.

- Codziennie?

- To takie nudne, że już masz dosyć?

- Mogę zabierać ze sobą książkę?

- Nie. I odłóż tę, którą trzymasz w ręce. Nie przyprowadziłem cię tu, żebyś utonęła w jakichś bzdurnych historiach.

- Och, Kendrick, to wygląda naprawdę interesująco... - Z piskiem uciekła, kiedy lekko przeskoczył przez krzesło. Złapał ją i przycisnął do półki.

- A teraz jak to wygląda?

- Naprawdę beznadziejnie... - odpowiedziała cicho, powstrzymując śmiech.

Wyjął jej książkę z ręki i odłożył na półkę.

- Dobrze powiedziane.

- Ojej, ale ty jesteś wymagający. Nikt ci tego nie mówił?

- Wiele razy. I zawsze w najbardziej pozytywnym znaczeniu.

Starła się wymyślić jakąś inteligentną ripostę, ale nagle zupełnie zabrakło jej słów. Wpatrywała się w męża. Stał tylko kilka centymetrów od niej, oparty obiema rękami o półkę za jej plecami. Czuła się jak krasnoludek przy olbrzymie. Mimo iż nawet jako duch robił wrażenie potężnego, teraz jego żywe, oddychające ciało zdawało się ją przygniatać. Widziała, jak jego pierś wznosi się i opada, słyszała lekki

oddech, czuła bijące od niego ciepło. Jak cudownie znaleźć się w jego ramionach i przytulić głowę do tej szerokiej piersi.

Wyczuła, że Kendrick czeka, aż ona zrobi jakiś gest.

Właściwie, czy był teraz tak bardzo inny niż przedtem? Oprócz zasadniczej różnicy, nadal był tym samym Kendrickiem. Rycerzem, który ofiarował jej swój zamek i swoje serce. Wciąż jest mężczyzną, który użył wszystkich sił, by założyć jej pierścionek zaręczynowy. Tym samym, który się z nią drażnił, doprowadzał do szału ciągłą potrzebą uwagi, bronił przed zbójami. I który ją kocha. Odrzucił własne pragnienie, żeby spełnić jej marzenia i zatrzymać ją przy sobie. Czy odzyskanie ciała tak bardzo go zmieniło?

Nie. Nie wiedziała, co prawda, jak się zachowywać, i z pewnością zrobi z siebie wariatkę jeszcze sto razy, ale warto spróbować. W końcu, czy tak trudno jest uwieść własnego męża? Tym bardziej, że prawdopodobnie nie będzie się specjalnie opierał.

Nie spuszczać z niego wzroku, powoli położyła mu ręce na ramionach. Nie poruszył się. Nie mrugnął nawet. Wspięła się na palce, żeby go pocałować, ale nie mogła dosięgnąć ust. Stał niewzruszony. Zmarszczyła czoło i stwierdziła:

- Mógłbyś się schylić.

- Według życzenia, milady. - Posłusznie opuścił głowę.

Teraz lepiej. Znowu wspięła się na palce, żeby sięgnąć jego warg. Ich dotyk wywołał dreszcz na plecach. Pocałowała jeszcze raz, potem znowu. Zastanawiała się, dlaczego Kendrick zupełnie nie reaguje. Otworzyła oczy i popatrzyła na niego.

- Wiesz, mógłbyś objąć mnie ramionami.

- Wystarczy jedno twoje słowo...

Aha, więc w to gramy. Może to całkiem ciekawa gra, szczególnie, że pewnie długo nie potrwa. Kendrick trzymał się twardo na wodzy, ale Genevieve wiedziała, że nie starczy mu cierpliwości w nieskończoność. Uśmiechnęła się przebiegle, zadowolona z władzy, jaką ma teraz nad nim.

- Jeśli tak - powiedziała rozkazującym tonem - to chcę, żebyś mnie mocno objął.

- Oczywiście, milady - odparł potulnie i otoczył ją ramionami.

Genevieve zmarszczyła brwi. Tak beznamyślnie jeszcze nigdy jej nie obejmował.

- Z uczuciem, Kendrick.

- Bardzo wyraźnie cię czuję, pani.

Przewróciła oczami.

- A ja myślałam, że chcesz zostać moim niewolnikiem.

Upadł na kolana.

- Rozkazuj, milady - wyznał żarliwie.

Roześmiała się i delikatnie odgarnęła mu włosy z oczu.

- Wydawało mi się, że masz ochotę mnie uwodzić.

- Zmieniłem zdanie. Wolę, żebyś ty mnie uwodziła.

- Nie mam najmniejszego pojęcia jak.

- Przed chwilą świetnie ci szło.

- Podobało ci się?

Popatrzył w bok, jakby głęboko zastanawiał się nad tym pytaniem.

- Jakoś się dało wytrzymać, ale nie można tego porównać z rozkoszą pochłaniania pucharu lodów czekoladowych z bitą śmietaną.

- Jakoś się dało wytrzymać? - powtórzyła.

- Tak.

Zacisnęła usta. Potem wzięła go za rękę, podniosła i zaprowadziła do długiej kanapy ustawionej przed kominkiem.

- Siadaj.

Usiadł posłusznie.

- Nie ruszaj się.

- Nie mogę rozpalić ognia na kominku?

- Lepiej nie, kusiłoby mnie, żeby cię nad nim poprzypiekać.

- To wydatnie poprawiłoby atmosferę, milady.

- Och, dobrze, tylko trzymaj pogrzebacz poza moim zasięgiem.

- Dokąd idziesz?

- Przygotować ci coś dobrego - mruknęła pod nosem i wyszła z biblioteki.

Trzaskając wszystkimi możliwymi drzwiami i szufladami przygotowała mu duży puchar lodów z górą bitej śmietany na czubku. Porcja dla konia. Albo średniowiecznego barbarzyńcy.

Jakoś się dało wytrzymać! Miała ochotę wrócić i dziko go pocałować. Zresztą to całkiem dobry pomysł. Wzięła puchar i łyżkę, i pomaszerowała do biblioteki.

Kendrick nie drgnął, kiedy trzasnęła drzwiami, choć doskonale wiedział, że coś się szykuje. Genevieve energicznie postawiła puchar na stole obok niego, chwyciła go za bluzę pod szyją i szarpnęła do siebie.

- Jakoś się dało wytrzymać? - wysapała. - Pokażę ci coś nie do wytrzymania, draniu.

Zanurzyła rękę w jego włosach, odchyliła mu głowę do tyłu i przyciągnęła go do siebie za bluzę. Pochyliła się i wpiła w jego usta z namiętnością godną gwiazdy filmowej. Nie przeszkadzało jej, że jest zbyt zaskoczony, by reagować. Zanim z nim skończy, z lodów będzie zupa.

Nie bardzo wiedząc, jak się uwodzi męża, improwizowała.

Ludzie zawsze przywierali do siebie ustami, a potem pieścili się językami. Dlaczego by nie spróbować? Przesunęła wargami po jego ustach. Kendrick nie drgnął, ale wyczuła, że wstrzymał oddech. Pan Nieczuły nie był tak nieczuły, jak by się wydawało.

Zachęcona, Genevieve wsunęła głębiej palce w jego włosy i zaczęła mocniej przyciskać wargi do jego ust. Bez trudu je rozchyliła i posunęła się dalej, mając nadzieję, że nie robi z siebie idiotki.

Jęknęła, czując jego język. Kendrick prawie nie oddychał, a serce waliło mu jak oszałałe. Dobrze, udawaj obojętnego, zobaczymy, co będzie dalej, myślał. Popchnęła go na oparcie kanapy i oparła się tuż obok na kolanie. Obie ręce zanurzyła w

długich, jedwabistych włosach i nie odrywała się od jego warg. Udawała, że doskonale wie, co robi. A Kendrick siedział nieporuszony jak kłoda, lecz jego język reagował za całe ciało.

Genevieve pomrukiwała, kiedy wsysał jej język głębiej i pieścił go delikatnie. Ale nie mogła go sprowokować, żeby wsunął język do jej ust. Dobrze, niech i tak będzie. Może za jakiś czas rozkaże mu pocałować się tak, jak zrobił to w sypialni na dzień przed ślubem. A teraz małżonek ma tylko zrozumieć, że z nią nie ma żartów.

Oderwała od niego usta, wstała i sięgnęła po puchar z lodami. Wcisnęła mu go w rękę i popatrzyła z góry. Wyglądał na półprzytomnego. Uśmiechnęła się z satysfakcją i podeszła do półki, żeby wziąć jakąś książkę. Musi wybrać coś, co nie wymaga skupienia, gdyż ledwie widziała na oczy, a z myśleniem było jeszcze gorzej. Wyjęła powieść detektywistyczną i usiadła w drugim końcu kanapy. Wyciągnęła stopy do ognia i poruszyła palcami.

- Jedz swoje lody - powiedziała obojętnym tonem i wsadziła nos w książkę.

- Chyba straciłem ochotę na lody.

- Nie pytałam cię o zdanie.

Kątem oka dostrzegła, że Kendrick przysuwa się bliżej. Starła się zrozumieć coś z pierwszej strony powieści. Co za bzdury. Już trzy ciała? W dwóch akapitach? Jak, na litość boską, ma spamiętać wszystkie te nazwiska?

Przed jej oczami pojawiła się łyżka.

- Może skosztujesz, milady?

Zjadła i stwierdziła ze znudzoną miną:

- Nie są najlepsze.

- Właśnie... Mnie też specjalnie nie smakują.

Kolejne zwłoki. Tym razem w bibliotece. Całkiem niezła ta książka. Dość trudno było jej się skupić nad treścią, ponieważ Kendrick co trzydzieści sekund pakował jej kolejną łyżkę do ust. Po około pięciu minutach czytania w kółko jednego akapitu i obserwowania kątem oka, Genevieve zdała sobie sprawę, że tego wieczoru nie nacieszy się lekturą. Lecz nie miała zamiaru jeszcze się do tego przyznawać.

Zerknęła ukradkiem na Kendricka. Odstawił pusty puchar na stół i spochmurniał. Potem wyciągnął się na kanapie, prześlizgnął pod jej ramieniem i ułożył głowę na kolanach. Nie odrywała wzroku od książki.

Ujął jej rękę i położył sobie na włosach, sugerując, żeby zanurzyła w nie palce. Genevieve ustąpiła, ale nawet na niego nie spojrzała. Zaczęła przeczesać mu włosy ręką, ale wciąż jednak pamiętała tę kąśliwą uwagę: „Jakoś się dało wytrzymać.”

- Genevieve?

Zacisnęła usta, nie odrywając wzroku od tekstu.

- Od pół godziny jesteś na drugiej stronie. Jak można skończyć jakąkolwiek książkę, jeśli czyta się w takim żółtym tempie?

- Delektuję się.

Zabrał jej książkę i rzucił ją przed siebie.

- Podelektuj się czymś innym.

- Chcesz jeszcze lodów?

Znowu spochmurniał.

- Nie.

- Mam wziąć inną książkę?

- Do diabła, Genevieve, doprowadzasz mnie do pasji!

- To chyba jakoś da się wytrzymać, co? - spytała słodko.

Zmarszczył brwi.

- Drażniłem się tylko z tobą.

- Wiem.

Przyłożył jej drugą rękę do ust.

- Pouwodź mnie trochę... - poprosił przymilnie. - Jutro ci się odwdzięczę.

- Chyba nałożę sobie lodów.

- Genevieve...

Zatkała mu usta ręką.

- Zażartowałam. Co mam robić?

- Poglądź mnie po głowie. - W jego oczach zobaczyła o wiele więcej pragnień.

- Tylko tyle?

- Może jeszcze jeden niewinny pocałunek. Albo dwa.

- Nic poza tym?

- Nic poza tym.

Pochyliła się i delikatnie go pocałowała. Poczwała, że wpada w nałóg całowania tych ust. Pocałowała go jeszcze raz, oparła się o kanapę i przeczesała palcami włosy.

- Powinnaś pójść po szczotkę.

- Twoje palce bardzo mi odpowiadają.

Musiała przyznać, że Kendrick też odpowiada jej pod każdym względem. Gdyby tylko zechciał teraz ją objąć i pocałować, byłaby w pełni uszczęśliwiona.

A on właśnie zasnął.

Nie wiedziała, dlaczego ją to zaskoczyło. Pewnie rozmarzyła go pieszczota. Lecz przynajmniej miała okazję oswoić się z uczuciem jego głowy na kolanach i ręki uwięzionej w uścisku jego palców. Poprawiła się wygodniej na kanapie i w zamyśleniu bawiła się kosmykiem jego włosów. Trudno uwierzyć, że poprzedniej nocy ogarnął ją taki paraliżujący strach. Przecież Kendrick nigdy by jej nie skrzywdził.

Westchnęła. Może rozluźniła się wiedząc, że nie będą się tej nocy kochać. Nie bardzo rozumiała, skąd ta pewność, lecz była tego pewna. Może przekonały ją o tym jego powściągliwe pocałunki? Zrobiła na nim wrażenie. Nie mogła powstrzymać się od ukradkowego spojrzenia na jego spodnie. Mężczyźni zupełnie nie są w stanie ukryć swoich reakcji. Mimo tego Kendrick pozwolił jej kontrolować sytuację. Była mu za to bardzo wdzięczna. Miał rację, kiedy powiedział, że nie znają się jeszcze wystarczająco długo, by zostać kochankami. Dość dobrze znała go pod względem emocjonalnym i mentalnym, ale fizycznie? Zupełnie nie. Jedynym lekarstwem jest czas. Jak to cudownie, że zgodził się zaczekać.

Odgarnęła mu włosy z czoła. - Kocham cię - szepnęła.

- Ja też cię kocham - usłyszała w odpowiedzi.

- Nie śpisz? - spytała zaskoczona.

Otworzył jedno oko i popatrzył na nią.

- Nie. I zastanawiałem się właśnie, czy ty nie zasnęłaś. Przestałaś czesać mi włosy.

Zakryła ręką usta powstrzymując ziewnięcie.

- Przepraszam. Zmęczyłam się.

Sięgnął po jej dłoń i odwrócił, żeby pocałować w wewnętrzną stronę.

- Powinienem się być zorientować. Sprawiałaś mi dziś wielką przyjemność. Ugotować ci coś na późną kolację, kochanie?

- Dziękuję, ale chyba się położyę. Jestem naprawdę zmęczona.

Czule się uśmiechnął.

- Ostatnie dni były wyczerpujące, najdroższa. - Podniósł się i przeciągnął. - Chodź, odprowadzę cię do sypialni. Musisz się wyspać.

„Odprowadzę cię?” Nie, nie ma chyba na myśli oddzielnych pokoi. To jakieś zwidy ze zmęczenia. Pomógł jej wstać i wyszli z biblioteki. Gdy szli korytarzem na drugim piętrze, przypomniała sobie, jaka była przerażona przez kilka pierwszych nocy w zamku. Teraz czuła się absolutnie bezpieczna. Dzięki wspomniałemu rycerzowi, który kroczył obok niej. Kendrick przed wszystkim ją obroni.

Zatrzymał się przy drzwiach, odwrócił ją do siebie i pocałował w czoło.

- Dobranoc, najdroższa.

Popatrzyła podejrzliwie.

- Nie idziesz się położyć?

- Zejdę na dół dołożyć do kominka i chyba zjem jeszcze coś.

- Ale potem przyjdiesz, tak?

Pokręcił przecząco głową.

Genevieve nic nie rozumiała.

- Dlaczego nie? Nie będziesz chyba oglądał całą noc filmów w telewizji?

Objął ją za szyję i uniósł jej twarz.

- Nie wejdę do twojego łóżka, Genevieve, dopóki nie będę mógł przyjść do ciebie naprawdę. A sądzę, że nie jesteś jeszcze na to gotowa.

- Och...

- Dobranoc, najdroższa.

- Ale... - Nie wiedziała, co powiedzieć - Nie ma innego miejsca do spania.

Pocałował ją lekko i odsunął się.

- Och, nie, Kendrick... - zacisnęła mu ramiona na szyi, żeby pocałował ją jeszcze raz. - To mi nie wystarczy...

Popatrzył na nią poważnie, a potem przyciągnął mocno do siebie.

- Nie wystarczy? Znęcasz się nade mną na kanapie, wpychasz mi w ręce lody i każesz je jeść, a teraz słyszę „to mi nie wystarczy”? Nie wiesz, o czym mówisz, moja pani!

O tak, wiedziała, o czym mówi. Stała na palcach i przywarła do niego ustami. Kiedy rozchyliła wargi, Kendrick nie wytrzymał i zamruczał. Wpiła się w

jego usta, z przyjemnością czując dotyk jego silnego ciała. Nie ma nic cudowniejszego niż znaleźć się w objęciach Kendricka.

Całowała go, dopóki nie zaczęły drżeć jej kolana i drętwieć palce, na których cały czas się wspinała, żeby dosięgnąć jego ust. Gdy Kendrick zaczął się lekko chwiać, stwierdziła, że czas skończyć. Odsunęła się i uśmiechnęła na widok jego rozanielonej twarzy.

- O to mi chodziło, milordzie.

Wślizgnęła się do pokoju i zamknęła mu drzwi przed nosem. Oparła się o nie i przyłożyła rękę do bijącego serca. O to jej chodziło? Ledwie trzyma się na nogach!

- Genevieve? - Przez drzwi dobiegł jego niski pomruk.

- Tak, mężu.

- Zapłacisz mi za te katusze.

„Mam nadzieję...” - pomyślała uszczęśliwiona.

- Dobranoc, Kendrick.

Zamruczał pod nosem.

- Słodkich snów - dodała.

- To wojna, Gen - oznajmił dobitnie.

- Karaluchy pod poduchy.

Usłyszała jakieś niezrozumiałe starofrancuskie przekleństwa. Miała dziwne przeczucie, że coś tam było o niej. Przekleństwa cichły w miarę, jak oddalał się od drzwi. Genevieve uśmiechnęła się z satysfakcją.

Wojna? Nie ma nic przeciw temu.

- Ty głupcze!

Bryan zamrugał słysząc ten wrzask. Odsunął słuchawkę od ucha, gdy Maledica przez kilka minut wykrzykiwał przekleństwa w języku, którego Bryan nie rozumiał i nie chciał rozumieć. Brzmiało to podobnie do francuskiego, ale nigdy nie słyszał takiego dialektu. Nie miał ochoty zastanawiać się, w jakich slumsach Maledica się tego nauczył.

- McShane, ty nędzna padlino! Nie umiesz najać jakiegoś zbira czy dwóch i dopilnować, żeby zdybali gdzieś głupią dziwkę? Dziesięcioletnie dziecko lepiej dałoby sobie radę!

- Tak je... jest, sir. - Bryan zaczął szczekać zębami. Głowa do góry, próbował dodać sobie ducha. Dobrze chociaż, że Maledica nie zaciska mu łap na gardle.

- Czy ja mam myśleć za ciebie?

- Pró... próbowałem, sir...

- I skrewiłeś, idioto!

Bryan nie panował już nad szczękającymi zębami.

- Tak jest, sir.

- A teraz słuchaj uważnie, nędzny szcurze. Nie chcę więcej słyszeć o twoich porażkach. Znajdziesz sposób, żeby pochwycić pannę Buchanan, nawet gdybyś miał to zrobić osobiście, czy to jest jasne? Oczywiście po twojej ostatniej kompromitacji niechętnie będzie opuszczała zamek. Sądzę, że nie masz innego wyjścia, jak udać się tam po nią.

Bryan skrzywił się.

- Ani słowa więcej o twoich klęskach, McShane.

- Oczywiście, sir.

Połączenie zostało gwałtownie przerwane. Jego rozmówca tak głośno rzucił słuchawkę, że Bryanowi zadzwoniło w ucho. Dopiero po kilku próbach, trzęsącymi się rękami trafił słuchawką w podstawkę.

Więc Maledica żąda, by pojechał do Seakirk. Oblał go zimny pot. Za nic nie chce tam jechać! De Piaget zabronił mu pojawiać się bez wezwania, a Bryan wiedział, że nie było to czcze gadanie. Nigdy nie przedostanie się przez bramę, a nawet gdyby mu się to udało, nie wyjedzie stamtąd żywy.

Nie, nie może tego zrobić osobiście. Odważy się pojechać do miasteczka, ale nie dalej. Tym razem musi wynająć kogoś sprytniejszego od tych dwóch durniów, którzy pogubili się we mgle. Szkoda, że nie mógł znaleźć jakiegoś księdza, który odprawiłby nad Kendrickiem egzorcyzmy; to bardzo ułatwiłoby mu zadanie.

Lew w jego duszy zaryczał groźnie.

Bryan uśmiechnął się pierwszy raz od dziesięciu lat.

Genevieve obudził dochodzący z dołu hałas. Pomyślała, że może Kendrick wezwał kogoś do naprawy zmywarki. Sturlała się z łóżka, wzięła prysznic, szybko się ubrała i zbiegła do kuchni. Zatrzymała się w drzwiach.

- Cholera!

Kendrick gotował.

- Do stu diabłów, znowu spalone!

Genevieve schyliła się, gdy przypalony na węgiel naleśnik przefrunął nad jej głową i wylądował na ścianie. Kendrick szykował już drugi do lotu, ale zobaczył ją i opuścił ramię.

- Piękny mamy dzień, milady - wysapał.

Genevieve zacisnęła usta, żeby się nie roześmiać i podeszła do niego, jakby nie czuła wypełniającego całą kuchnię, gryzącego dymu. Spokojnie włączyła wentylator nad kuchenką, wzięła od Kendricka patelnię i wrzuciła spalony naleśnik do zlewu. Potem umoczyła palec w cieście i oblizwała.

- Kendrick, jest pyszne!

- Tak, szkoda, że nigdy nie dowiemy się, jak bardzo. Te cholerne placki palą się, zanim zdążę dotknąć je szpatułką.

- Nastawiłeś za gorącą fajerkę. Wystarczy na pół mocy. Jeśli smażyysz na maksimum, jedna strona się pali, a druga zostaje surowa.

- Wiem!

- Na pewno chcesz jeść naleśniki?

Kendrick podszedł do lodówki, wyszarpnął pudełko lodów i rzuciwszy jej piorunujące spojrzenie wyszedł z kuchni.

I tak było do końca dnia. Chciał wybrać się na przejażdżkę konno, lecz zerwała się potworna burza i pokrzyżowała mu plany. Zdecydował, że pojedzie do miasteczka; samochód nie chciał zapalić. Genevieve powstrzymywała tylko uśmiech.

W ramach zemsty przerzucił ją sobie w końcu przez ramię, zaniósł do biblioteki i laskotał tak długo, aż zachłystywała się ze śmiechu.

Jego zły humor wydawał jej się zabawny, dopóki znów nie zostawił jej samej pod drzwiami sypialni. Całował ją, aż z trudem trzymała się na nogach, a potem wepchnął do pokoju.

Duma nie pozwoliła Genevieve prosić o jeszcze jeden pocałunek. Mimo że wynik wojny nie był rozstrzygnięty, tego wieczoru Kendrick odniósł chyba zwycięstwo.

Siedziała na kupie siana i patrzyła, jak Kendrick szczotkuje konia. Wybrał go sobie tydzień temu, tego dnia, gdy wrócił do życia. W poprzednich latach, kiedy był jeszcze duchem, dbał o stajnie, i miał teraz kilkanaście najwspanialszych koni w Anglii. Tak przynajmniej twierdził. Genevieve nie miała powodu, by mu nie wierzyć. Wierzchowiec, którego

szcotołował, był piękną bestią - wielki, silny i czarny jak noc. Kendrick mruczał cicho pod nosem, gładząc lśniące boki konia i rozczesując piękną, czarną grzywę. Genevieve przytknęła oczy i wyobraziła sobie, że jego ręce przesuwają się po jej skórze. Doprowadzał ją do szału! Minął prawie tydzień od ślubu i był to najdłuższy tydzień w jej życiu. Całymi dniami jej unikał, nie dotykał w ogóle i dopiero pod drzwiami sypialni całował na dobranoc. Wczoraj wieczorem pożegnanie trwało prawie godzinę, pocałunkom i pieszczotom nie było końca.

Genevieve spróbowała wciągnąć go do sypialni, ale nie chciał wejść. Jeśli jeszcze raz usłyszysz, że nie jest gotowa, to go rozszarpie!

Drzwi stajni zamknęły się cicho i Kendrick podszedł wycierając ręce o dzinsy.

- Wracamy?

Kiwnęła głową drżąc z zimna. Wsunęła rękę w jego dłoń i przysunęła się bliżej, kiedy ruszyli do domu. Gdyby wziął ją na rękę, rozgrzałaby się trochę.

- Wiesz - zaczęła od niechcenia - ziemia jest strasznie mokra.

Uśmiechnął się. W półmroku zmierzchu nie widziała dokładnie jego twarzy.

- Tak, jest mokro.

- Ojej, woda stoi w kałużach. Zamoczę sobie nogi.

- Dobrze, że włożyłaś kalosze. I płaszcz przeciwdeszczowy. Okropny ziąb dziś wieczorem.

- Byłoby cieplej, gdybyś mnie wziął na rękę.

- Nie mogę. Boli mnie krzyż.

- Kłamiesz jak z nut.

Roześmiał się i ścisnął jej rękę.

- Jestem cały w kurzu i końskiej sierści. Nie sądziłem, że chcesz to wszystko poczuć na sobie.

Na końcu języka miała, że chciałyby poczuć na sobie jego potężne, ciepłe ciało, ale mimo dziwnego jak dla niej stanu umysłu, opanowanego ostatnio przez dzikie chucie, uznała tę uwagę za trochę nieprzyzwoitą. Chyba nie zachwyciłaby Kendricka.

Pewnie stwierdziłby, że nie jest jeszcze gotowa.

Prysznic, czerwona piżama i pyszne kanapki z masłem orzechowym nie poprawiły jej humoru. Chmurnie popatrywała na męża w czasie kolacji i równie ponuro, kiedy szli na górę. Lecz gdy wziął ją w ramiona przy drzwiach sypialni, nie miała już siły na groźne miny. Przytknęła do niego, rozkoszując się pocałunkiem, dotykiem jego rąk na włosach, twardą pierśią, która przygwoździła ją do drzwi. Obejmowała go za szyję i stała na palcach, żeby lepiej dosięgnąć ust. Mięśnie ramion i karku Kendrick miał napięte jak stal. Wsunęła rękę w jego włosy i zmusiła, żeby pochylił niżej usta i mocniej ją całował. Przemknęło jej przez myśl, że bardzo się zmieniła przez ostatni tydzień, ale nie była w stanie teraz się nad tym zastanawiać. Wysięk umysłu w momencie, gdy mąż ją całował był zupełnie niemożliwy.

Zsunął dłonie z jej włosów i Genevieve odchyliła się, żeby zaprotestować. Zanim cokolwiek powiedziała, przycisnął ją znów do ściany i pocałował. Nie miała pojęcia, co on chce

zrobić, aż poczuła jego ręce na biodrach. Nawet przez gruby materiał parzyły jej skórę.

Potem przesunął rękę do zamka błyskawicznego piżamy. Pomogłaby mu go znaleźć, gdyby mogła oderwać ręce od jego włosów. Na szczęście nie potrzebował pomocy. Po chwili zamek się rozsunął i poczuła zimne powietrze na nagiej skórze. A zaraz potem ciepłe ręce Kendricka. Zaczęła głośniejsz wzdychać, ledwie trzymając się na nogach. Upadłaby, gdyby nie przykuł jej całym ciężarem ciała do ściany. Czowała się rozdarta między pieszczotą jego ust i dłoni błędzących pod piżamą, ale wiedziała na pewno, że nie chce, by kiedykolwiek przestał.

Co oczywiście nastąpiło. Oparł głowę na jej ramieniu i stał tak nieruchomo przez chwilę, ciężko oddychając. Tak ją ścisnął, że ledwie łapała powietrze.

- Kendrick... - zapiszczała żałośnie.

- Tak?

- Dlaczego przestałeś?

Odsunął się i położył rękę na zapięciu zanika. Popatrzył na nią chwilę, a potem z cichym jękiem zapiął piżamę. Ujął ją za kark i pocałował mocno w czoło.

- Kocham cię - powiedział.

- Proszę, zostań.

- Muszę iść.

- Kendrick!

Musnął przelotnie jej wargi, odwrócił się i odszedł w głąb korytarza.

- Kendrick, do diabła, wracaj!

Odwrócił się powoli.

- Nie mogę, Genevieve. Nie jesteś gotowa...

- Jeśli jeszcze raz powiesz, że nie jestem gotowa, przysięgam, rozplątam cię twoim własnym mieczem, ty draniu!

- Och, to byłoby z pewnością przykre dla nas obojga. - Puścił oko.

- Kendrick!

Złożył głęboki ukłon i odszedł. Genevieve weszła do sypialni i zatrzasnęła drzwi. Jak on może robić jej coś takiego? Jeśli to miała być wojna, to ona poddała się przecież już na początku! Teraz to się zmieni. Kendrick poczuje smak swojej taktyki.

Poszła do łazienki, planując atak.

Kendrick zaparkował samochód, poklepał jaguara po dachu w podzięce, że tym razem zapalił, i bez zarzutu sprawował się w czasie wyprawy do miasteczka, i lekko wskoczył na schody wejściowe. W ręce trzymał czerwoną różę. Pewnie nie udobrucha żony od razu, ale może będzie to dobry początek.

Przeszedł przez hall do kuchni, węsząc w powietrzu smakowite zapachy. W drzwiach zatrzymał się gwałtownie, przymknął oczy i znów popatrzył na Genevieve. Czy to ona? Z tymi śmiesznymi zwierzakami we włosach? Niepewnie podszedł bliżej. Nie pojmował, co napadło żonę, że udrapowała włosy w taki dziwny sposób. Odwróciła się i popatrzyła na niego ironicznie. Oszołomiony, otworzył usta z wrażenia. Jej twarz była niebieska!

- Co ty... - spytał zduszonym głosem - ze sobą zrobiłaś, żono?

- Nałożyłam maseczkę kosmetyczną.

Maseczka kosmetyczna? Kendrick bał się pytać o szczegóły.

Położył różę na stole.

- A te zwierzaki we włosach?

- Wałki.

- To chyba boli.

- Boli.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Miesiąc miodowy się skończył, mój drogi. Zaczęło się prawdziwe życie. Zawsze tak robię.

Osunął się na krzesło. Zawsze tak robi? Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

I nagle zrozumiał. To jej zemsta. No cóż, zasłużył sobie. Chciał, żeby jej pożądanie przewyciężyło strach przed fizyczną miłością. Najwyraźniej trochę przesadził. Groźba o użyciu miecza nadal dźwięczała mu w uszach.

Może zdoła ją namówić na zmycie tego niebieskiego szlamu, a potem będzie odgrywał wiernego niewolnika przez cały wieczór. Na myśl o tym rozjaśniła mu się twarz.

Poruszył ten temat, gdy skończyli posiłek.

- Najdroższa, ta maska jest chyba niewygodna?

~ Owszem.

Jak by tu delikatnie sformułować tę prośbę? Nic nie przychodziło mu do głowy. Trudno, nie ma innego wyjścia, trzeba zaatakować wprost.

- Zmyj to, a ja przez cały wieczór będę spełniał twoje kaprysy.

Uniosła brew. Maska pękła w kilku miejscach i niebieskie okruszki spadły Genevieve na kolana.

- Wszystkie kaprysy?

- Absolutnie wszystkie.

Wstała od stołu.

- Później wrócę posprzątać.

- Zajmę się tym. - Uśmiechnął się, widząc jej wahanie. - Wypluczę talerze i nie wrzucę żadnych kości do zmywarki. Nauka nie idzie w las. - Wspomnienie ironicznych uśmiezków i komentarzy hydraulika, który naprawiał maszynę, wciąż działało mu na nerwy.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście. Pospiesz się, kochanie, zanim rozsiejesz te niebieskie płatki po całym domu.

Kiwnęła głową i wyszła z tą niewydarzoną koroną na głowie. Kendrick parsknął śmiechem. Z wałkami czy bez, jego żona jest cudowna. Chichotał jeszcze sprzątając kuchnię. Worthington byłby zachwycony porządkiem, jaki zostawił wychodząc do biblioteki.

Rozpalił na kominku i wygodnie rozsiadł się na kanapie. Rozkoszował się myślą, jakich cudownych rzeczy zażąda dziś od niego żona. Może będzie chciała,

żeby cesał palcami jej włosy, a potem masował kark i ramiona. Kto wie, do czego to doprowadzi. Zamknął oczy i uśmiechnął się szeroko. Och, ten wieczór naprawdę może się miło skończyć.

Drzwi za nim cicho się zamknęły. Nie poruszył się. Jeszcze kilka sekund planowania strategicznego i rzuci się na swoją zdobycz. Genevieve nawet nie zdąży się zorientować, co się dzieje, gdy będzie ją już trzymał w ramionach.

Usłyszał ciche chrząknięcie. Otworzył oczy i odwrócił się. I osłupiał, jak rażony piorunem.

Na wszystkich świętych, wyglądała jak zjawisko. Gdzie kupiła tę zwiewną suknię - jeśli można tak nazwać ten fatalaszek - pozostało tajemnicą, lecz był to wyjątkowy zakup. Gdyby to coś było jeszcze odrobinę bardziej przezroczyste, wyglądałoby zupełnie jak plastik do pakowania na rolce w kuchni, który zawsze tak się zwijał, że Kendrick

godzinę skubał, żeby chwycić koniec. Doprowadzało go to do szału. Z jaką przyjemnością oskubałby teraz Genevieve z tej szatki.

Stała przed kominkiem.

- Trochę tu chłodno - powiedziała lekko drżącym głosem.

Kendrick był raczej przeciwnego zdania. Poczuł, że ogarnia go gwałtowna fala ognia. Genevieve z pewnością nie zdawała sobie sprawy, że płomień na kominku prześwieśla dokładnie wszystkie jej okrągłości. Podniósł wzrok na jej twarz otoczoną wspaniałą burzą włosów i zaczął podejrzewać, że żona doskonale wie, jaki efekt wywołuje to oświetlenie z tyłu. Zaschło mu w ustach. Od kiedy jego połowica zamieniła się w niebezpieczną, kuszącą syrenę? Czy to sprawka tej maseczki kosmetycznej?

Nie, dziś jest tak samo piękna jak wczoraj wieczorem. Suknia? Nie, to też nie. Wyglądała równie ponętnie w czerwonej piżamie. Cokolwiek to było, chciał dociec, na czym polega ta zmiana. Wyciągnął rękę.

- Chodź tu.

- Nie.

Zmarszczył czoło. Nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

- Dlaczego?

- Przy ogniu jest ciepło.

- Przy mnie też ci będzie ciepło. Obiecuję.

- Milordzie, chyba zapomniałeś o naszej umowie.

- Jakiej umowie? - Boże, zmarznie przecież w tej szmatce.

Gdyby przysunęła się choć trochę...

~ Kendrick, dziś wieczorem, jesteś na mojej łasce. Już nie pamiętasz?

Z trudem przełknął ślinę. Nie będzie go przecież torturować. A właściwie, dlaczego nie? Czy nie zachowywał się tak samo wobec niej przez cały tydzień?

- Genevieve, błagam o litość.

- Zastanowię się. Potem.

Odwróciła się i ruszyła do półki z książkami. Kendrick poderwał się i stanął jej na drodze.

- Genevieve.

Wyminęła go. Ruszył krok w krok za nią. Zatrzymała się przy biurku pod ścianą po lewej stronie kominka i sięgnęła po pióro. Kendrick odbił się jak do lotu i wylądował na biurku, dokładnie na papierze listowym, po który Genevieve wyciągała rękę.

- Mogłeś połamać biurko - powiedziała z naganą.

- Tak, i z przyjemnością bym je naprawił.

Długo mu się przypatrywała z ramionami skrzyżowanymi na piersi i przechyloną na bok głową.

- Nie jesteś zbyt posłuszny.

- Wybacz to uchybienie, pani. Ukarz mnie odejmującym rozum pocałunkiem.

Kącik jej ust uniósł się lekko.

- Najskuteczniejsza kara dla ciebie to brak zainteresowania.

- Nie, najdroższa, uwielbiam, kiedy mnie ignorujesz. Wiesz o tym najlepiej. Powinnaś raczej uważnie mi się przyglądać, to wprawia mnie w drzenie.

Patrzył na nią błagalnie, ale pozostała zupełnie obojętna. Do diabła, pomyślał, gdzie podział się cały jego strategiczny plan wzbudzenia w niej dzikiej namiętności?

Wyciągnęła ramię i zaczepiła palec o kołnierzyk jego koszuli.

- Kendrick, obiecałeś mi posłuszeństwo.

- Tak. - Może każe mu się natychmiast rozebrać?

- I zgodziłeś się spełnić każdy mój kaprys. Każdy.

- Tak.

- Więc zabraniam ci mnie dotykać.

Wszystkie nadzieje na marne. Na jego twarzy odmalowała się rozpacz. Strącony na dno piekieł... Wyglądał, jakby miał się rozplakać.

- Jeśli taka jest twoja wola - powiedział w końcu.

- Taka jest moja wola. - Genevieve nie wykazywała ani krztyny współczucia. Odsunęła się o krok i uśmiechnęła promiennie. - Wiesz, jakie jest ulubione powiedzenie antykwariuszy w Ameryce?

- Jakie? - spytał, nie okazując entuzjazmu do rozmowy. Czy ta kobieta nie zdaje sobie sprawy, że właśnie złamała mu serce? Jedyńm, czego pragnie, jest kochać ją, dać jej rozkosz, mieć ją całą i samemu oddać się jej całkowicie. A ona zabrania mu się zbliżyć.

- „Nie dotykać eksponatów”.

Podniósł wzrok i szczęka mu opadła. To zwiewne coś ześlizgnęło się z ramion Genevieve i opadło u jej stóp.

Szlafroczek? Czy coś takiego lekkiego i prawie niewidocznego ma w ogóle jakąś nazwę? Nie odrywał od niej oczu, kiedy stanęła mu między nogami.

- Usiądź prosto, Kendrick.

Usłuchał, starając się nie drgnąć, kiedy dotknęła palcami jego szyi. Przyglądał się osłupiały, jak Genevieve rozpina mu koszulę. Wyciągnęła ją z dzinsów, odpięła mankiety i zsunęła z ramion. Po chwili leżała obok jej szaty na podłodze.

Kendrick poczuł delikatny dotyk dłoni na ramionach. Spojrzał jej w oczy. Była w nich mieszanka wahania i determinacji.

Nagle zrozumiał, do czego Genevieve zmierza.

Uwodzi go.

I natychmiast uświadomił sobie, co zrobi, kiedy Kendrick padnie na kolana błagając, by poszła z nim do łóżka.

Odwróci się i odejdzie.

Ratunku, ona chce zemsty. Dobrze, niech już ma tę swoją zemstę, ale nie odejdzie dalej niż dziesięć kroków. Ponieważ nie związała go i nie wbiła na rożen, złapie ją, i zanieśie do łóżka, by kochać się tak długo, aż nie będą w stanie się ruszyć.

Zemsta? Och, jak to słodko brzmi.

Głaskała go po piersi, przesuwając palce po wszystkich drobnych i większych bliznach. Dłonie lekko jej drżały. Kendrick zamknął oczy i starał się mieć zboląłą minę. Genevieve go dotyka. Jak za tym tęsknił. Westchnął, kiedy pogładziła brzuch, a potem objęła z tyłu biodra. Och, Genevieve, nie przestawaj!, błagał w myśli.

Nie przestała. Wróciła do mięśni na ramionach i ześlizgnęła palce na jego dłonie. Otworzył oczy i zobaczył, że Genevieve patrzy w dół. Wiedział, co zobaczyła, bo krew napłynęła jej natychmiast do policzków. Zamknął oczy, nadal udając zgnębną ofiarę.

- Przyjemnie ci? - spytała podejrzliwie.

- Tortury... Istne męczarnie.

Podejrzał jednym okiem, że się nachmurzyła.

- Nie kłamiesz, prawda?

- Ja? Nigdy.

- To dobrze. - Pokiwała na niego palcem. - Chodź tu bliżej. Teraz poznęcam się nad tobą pocałunkami.

Z przyjemnością spełnił jej życzenie. Stopą przyciągnął krzesło za jej plecami i postawił na nim nogę. Stała uwięziona między jego nogami, biurkiem i krzesłem.

- Zamknij oczy, Kendrick.

Posłuchał skwapliwie. I jęknął, kiedy musnęła go ustami. Ręce rwały się do jej ciała. Zaciśnął je za plecami, żeby dotrzymać słowa, i przestał myśleć o czymkolwiek innym oprócz jej ust, palców prześlizgujących się w jego włosach, delikatnego zapachu jej skóry. Nieśmiało rozchyliła wargi i pocałowała go namiętnie. Zamruczał bezwiednie i otworzył jedno oko, żeby sprawdzić jej reakcję. Miała zamknięte oczy i wyraz ogromnej koncentracji na twarzy. Poczuł, że za chwilę nie opanuje uśmiechu. Genevieve była gdzie indziej. Może nie zauważyłaby, gdyby ją objął. Rozplótł ręce na plecach.

Przesunęła wargi po jego szyi.

Zaciśnął pięści.

Dotknęła językiem koniuszka jego ucha.

Mocniej zaciśnął palce.

- Bardzo cierpisz? - szepnęła.

- Chyba nie wiesz, nad kim się znęcasz - powiedział zachrypniętym głosem. - Zapomniałaś, że byłem jednym z najzacieklejszych wojowników moich czasów? - A teraz siedzę tu na granicy płaczu, marząc, żebyś ściągnęła mnie na podłogę i natychmiast posiadała, pomyślał.

- Obiecałeś, że mnie nie dotkniesz. Jesteś bardzo honorowy, rycerzu.

- Do diabła z honorem!... - Nie wytrzymał, kiedy znów delikatnie polizała mu ucho. - Na miłość boską, Genevieve, przestań!

- Dobrze.

Odsunęła jego kolano i przeszła obok krzesła.

- Och, nie, nie odchodź... - Kendrick gwałtownie potrząsnął głową. - Obiecałaś tortury, a jeszcze nie skończyłaś.

- Powiedziałeś, żebym przestała. Kendrick, obiecałeś, że mnie nie dotkniesz!

- Mam ochotę skrócić ci kark!

- Tym bardziej trzymaj ręce przy sobie.

Cofnęła się pod samą ścianę. Oparł ręce po obu jej stronach i przebiegł wzrokiem po całym ciele.

~ Nie podoba mi się to. Doprowadzasz mnie do obłędu!

- Odsuwałeś mnie przez cały tydzień i oto moja riposta. Chcę, żebyś cierpiał! Jeszcze nie skończyłam z torturami, więc trzymaj ręce z daleka.

Popatrzył na nią ponuro i nagle przyszła mu do głowy desperacka myśl. Odwrócił się od niej.

- Nie ruszaj się.

- Dokąd idziesz?

- Chcę zrobić coś z rękami, żeby nie mogły cię napastować. Ale zaraz wrócę.

Zostawił ją samą. Pani nie życzy sobie, by jej dotykał? To dotyczy tylko gołych rąk. Wiedział, jak to rozwiązać.

Genevieve patrzyła, jak Kendrick odchodzi, a potem podniosła z podłogi szlafrok, zastanawiając się, czy nie posunęła się za daleko.

Trudno, zasłużył na to.

Uwodzenie jednak nie zadziałało tak, jak się spodziewała. Chciała, by zlany potem i nieprzytomny z pożądania błagał ją o litość. Doprowadzenie go do morderczych instynktów nie było zamierzone. Drzwi zamknęły się z hukiem. Odwróciła się i zobaczyła na progu bojowo usposobionego męża. Na dłoniach miał rękawice kuchenne.

Wyglądał tak pociesznie, że wybuchnęła śmiechem. Kendrick podszedł z roziskrzonymi jak przed walką oczami. Znowu się roześmiała i odwróciła, żeby mu się wymknąć. Uciekła jednak tylko kilka kroków, gdyż nastąpiła na skraj powiewającej szaty i potknęła się. Kendrick złapał ją wpół i postawił na nogi. Potem okręcił ją tak błyskawicznym ruchem, że głowa odskoczyła jej do tyłu. Przyłożyła rękę do skroni i spojrzała na niego, czekając, aż odzyska wyraźny obraz przed oczami.

- Dziękuję - odezwała się słabym głosem.

- Ubrałaś się.

- Tak...

Łapy w rękawicach zsunęły szlafrok z jej ramion.

- Kendrick, ty zdrajco.

- W rzeczy samej.

Roześmiała się cofając przed nim i nagle poczuła za sobą ścianę. Nie ma już gdzie uciekać. Kendrick rękawicą uniósł jej brodę do góry.

- Nie było zakazu całowania - mruknął złowieszczo. Ścisnęło ją w gardle.

Pochylił się i chwycił wargami jej usta z zachłannością godną prawdziwego wojownika. Zamknęła oczy i poddała się pocałunkowi, a po chwili wbiła paznokcie w jego ramiona, nie panując nad podnieceniem. Przyciągnął ją delikatnie i pocałunek zmienił się w taką samą czułą pieśczętę.

- Szaleństwo... - szepnął tuż przy jej ustach.

- Chciałam cię odzyskać - powiedziała. - Byłeś bezlitosny przez cały ten tydzień.

- Chciałem, żeby twoje pożądanie stało się silniejsze niż strach.

- Nigdy się ciebie nie bałam.

- Nie masz żadnych powodów. Zrobię to delikatnie, Genevieve, najdelikatniej jak tylko umiem.

Stał przed nią i czekał. Genevieve przełknęła ślinę. No cóż, wygląda na to, że to koniec wojny.

- Teraz? - spytała.

Skinał głową.

- Tutaj?

- Nie, nie tutaj, najdroższa. Na górze.

I ciągle czekał. Odetchnęła głęboko i skinęła potakująco.

- Dobrze, więc na górze.

Kendrick rzucił rękawice kuchenne na fotel. Wziął ją na ręce i ruszył przez wielki hall do schodów. Genevieve objęła go za szyję. Zamknęła oczy.

Przypomniała sobie, jak Kendrick ją straszył. Nigdy w najśmielszych fantazjach nie wyobraziłaby sobie, że pewnego dnia będzie do niej należał i że zanieśie ją do sypialni, żeby się kochać.

Zatrzymał się przed drzwiami i spojrzał jej w oczy.

- Jesteś pewna?

- Kendrick, co stało się z aroganckim rycerzem, który bierze, co mu się podoba, jeśli tylko ma na to ochotę?

Potrząsnął głową.

- Nie dziś w nocy, Genevieve. Jutro, jeśli cię to rozbawi, ale nie dziś.

Wiedziała, że Kendrick potrafi się droczyć, złościć, martwić, ale jeszcze nigdy nie był tak poważny jak teraz. Nie bardzo wiedziała, jak zareagować.

- Kendrick, uśmiechnij się do mnie.

Popchnął drzwi i wszedł do sypialni. Postawił ją przy kominku.

Rozpalił większy ogień i odwrócił się do niej.

- Genevieve - odezwał się poważnie, kładąc ręce na jej ramionach. - Chcę cię kochać całą duszą i ciałem. Czuję się tak, jakbym czekał na tę chwilę siedem wieków. I oto nadeszła. Jestem bezradny jak niedoświadczony młokos.

- Nie upuścisz mnie po drodze na górę. To dobry znak.

- Mam nadzieję.

- Myślę, że świetnie dasz sobie radę.

Cicho się roześmiał i ujął jej rękę.

- Chodź, połóż się koło mnie, najdroższa. Chcę mieć cię blisko.

Poprowadził ją do łóżka, jeszcze raz wziął na ręce i położył na kołdrze. Patrzyła, jak zrzuca buty, zdejmuje skarpetki i staje nad nią w samych dżinsach. Przypomniała sobie, kiedy pierwszy raz go ujrzała. Było to tej nocy, gdy pojawił się ze sztyletem.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Jaki był piękny, potężny, muskularny. Teraz ten cudowny mężczyzna jest żywym człowiekiem, a ona wkrótce będzie do niego należeć. Wyciągnął się obok i przysunął ją do siebie.

Przez kilka chwil leżeli przytuleni. Genevieve czuła, że udziela jej się ciepło jego ciała. Potem Kendrick odwrócił ją na plecy i szepnął:

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

Objęła go za szyję i mocno przyciągnęła. Kendrick zaczął ją powoli całować, a jego ręce błądziły po jej ciele, najpierw niepewnie, a potem śmieiej, kiedy wyczuł, że napięcie Genevieve wynika jedynie z podniecenia. Zarumieniła się, gdy resztki ubrań upadły na podłogę, ale jej uwagę przyciągały już inne sprawy.

Bliskość jego nagiego ciała wywołała dziwne oszołomienie. Zabrakło jej prawie oddechu, gdy położył się na niej, lecz nie miała nic przeciwko temu. Wiedziała, że chwila prawdy w końcu nadeszła.

Nagle zeszywniała.

- Kendrick, drzwi są otwarte.

- Co?

Patrzył na nią nieprzytomnie, zupełnie nie rozumiejąc.

- Drzwi.

- Tak?

- Są otwarte. - Zerknęła znacząco w tamtą stronę. - Wiesz... - ściszyła głos. - Niepotrzebna nam chyba publiczność.

Z jękiem położył głowę na jej ramieniu.

- W takim momencie myślisz o duchach?

- Nie wiadomo, kto tam może być. Proszę cię...

- Jak sobie życzysz, pani. - Ześlizgnął się z łóżka, podszedł do drzwi i cicho je zamknął.

Duchy w korytarzu zaczęły zrędnąć.

- Nie trzeba było tak łatwo dać się przegonić - powiedział pierwszy, z żalem potrząsając głową.

- Tak, w moich czasach - odezwał się drugi - prowadziło się młodych do alkowy, a kiedy się rozebrali, stało się nad nimi, aż dobrze się sobie przyjrzą przed wejściem do łóżka. To była ostatnia szansa dla tych nieszczęśników, żeby wziąć nogi za pas.

- Ja dałbym nogę bez zastanowienia, gdyby mi pozwolili... - mruknął trzeci, najwyraźniej niepokieszony, że mu się to nie udało. - Na wszystkich świętych, ależ ta moja miała kościste kolana!

Przez chwilę dyskutowali na ten temat, po czym znów zmarkotnieli.

- Zmarnowany wieczór. Daliśmy wywalić się za drzwi.

- Tak. Można było nieźle się zabawić...

Lady Henrietta Buchanan skrzyżowała ręce na wydatnej piersi i zmierzyła groźnym wzrokiem mężczyzn stłoczonych w korytarzu.

- Dosyć już widzieliście. Znikajcie stąd! Zostawcie milorda i jego panią w spokoju.

- Ale skąd będziemy wiedzieć...

- Przecież trzeba sprawdzić prześcieradło...

Lady Henrietta wyglądała imponująco ze zmarszczonym czołem.

- Nie zobaczycie nic więcej ani dziś, ani jutro.

- Chodźcie, chłopcy - stwierdził zrędnym głosem mężczyzna w mundurze. - Przez nią nie pozostaje nam nic innego, jak przenieść się do tawerny. Zmywajmy się stąd.

Duch lady Henrietty niecierpliwie stukał pantofelkiem w podłogę, dopóki korytarz nie opustoszał. W końcu odchrząknęła z satysfakcją. Zawsze uważała Kendricka za dość przystojnego młodzieńca, mimo iż za życia porządniej kilka razy

wystraszył. Od czasu ślubu zrobił się dużo sympatyczniejszy. Henrietta bardzo też polubiła Genevieve. Jak to miło, że ostatnia z Buchananów wyrosła na uroczą kobietę, mimo iż wychowała się w Koloniach. Chciała, by młodzi mieli spokój tej pierwszej nocy... Henrietta z zażenowaniem dotknęła palących policzków.

Tak, to może dla nich zrobić.

Sprawdziła ostatnim spojrzeniem, czy nie ma już tych hulaków, i wróciła do tkania swojej tapiserii w pokoju dziennym na górze. Niech kochankowie sami się sobą zajmą.

Kendrick podrapał się w łydkę drugą nogą. Stał nad kuchenką i przygotowywał śniadanie. Najbardziej miałby teraz ochotę kochać się z Genevieve, ale przeczuwał, że ona mogłaby być mniej zachwycona. Uśmiechnął się do siebie przewracając jajka na patelni. Prawie całą noc nie spali. Rozmawiali i przytulali się do siebie. I pieścili. Wiedział, że ten pierwszy raz był dla Genevieve bolesny. Dla niego ta myśl też była przykra.

Rankiem zrobił wszystko, by zatrzeć to wspomnienie. Kochał ją powoli i bardzo delikatnie. Znowu się uśmiechnął zeskrobując jajka z krawędzi patelni. Nigdy nie zapomni wyrazu twarzy Genevieve, gdy osiągnęła rozkosz. Chciało mu się śmiać z jej osłupienia i zachwytu równocześnie, ale ogromnie go to rozczyliło. Przygarnął ją potem mocno i obiecał podarować wszystkie cuda świata. Jakże ją kocha!

Podskoczył, czując oplatające go ramiona i lodowate palce na piersi.

- Dzień dobry - szepnęła Genevieve.

- Nie słyszałem, kiedy weszłaś.

- Uśmiechałeś się do jajecznicy. Powiedziała coś zabawnego?

Kendrick odwrócił się i podniósł jej brodę palcem.

- Drocysz się od samego rana? Wyglądasz na bardzo z czegoś zadowoloną. Cóż to takiego?

Zarumieniła się czarująco. Kendrick objął ją wolnym ramieniem i przycisnął do swojej szerokiej piersi. Otworzyła ze zdumienia oczy, gdy w dolnej partii jego ciała wyczuła pełną gotowość do działania. Uśmiechnął się zalotnie.

- Nic na to nie poradzę. Widzisz, co ze mną wyprawiasz?

Znow się zaczerwieniła i wtuliła się w niego.

- Nie miałam takich intencji.

- Oj, chyba miałas - szepnął, przywierając wargami do jej ucha. - Uważam, że uknułaś niecny spisek, żeby zagłodzić mnie na śmierć. A może specjalnie odciągasz moją uwagę, żeby podwędzić mi śniadanie? O jakie to inne sprawy chodzi? Niech chwilę pomyślę...

Podniosła głowę i pocałowała go. Wiedział, że robi to, by zamknąć mu usta i uniknąć jeszcze większego zmieszania. Stał spokojnie pozwalając się całować. Niepostrzeżenie sięgnął tylko za siebie i wyłączył kuchenkę. Lepiej nie puszczać z dymem całej kuchni.

W momencie, gdy dotknął jej języka, był zgubiony. Walcząc ze słabością w kolanach, przyciągnął ją mocniej. Najwyraźniej poranek, kiedy dama jego serca nie

obudziła się jeszcze zupełnie, był najlepszą porą na zaloty. Zadrżał, kiedy przejechała paznokciami po jego ramionach i piersi.

- Śniadanie nam ostygnie - wykrztusił.

- Zrobimy drugie.

- Jesteś za bardzo zaspana na podejmowanie tej decyzji.

- Jestem zupełnie przytomna, Kendrick. I chyba mam ochotę to powtórzyć...

- Och, Genevieve - jęknął. - Czy mam zanieść cię na rękach?

Pociągnął ją do drzwi, zatrzymując się co kilka kroków, żeby ją pocałować. Poprowadził do biblioteki, pchnął ją delikatnie na kanapę i błyskawicznie znalazł się obok.

Pieścił i całował delikatnie jej wargi, szyję, piersi, nie dając poznać, że dostrzega ten uroczy rumieniec. Potem położył się na niej i całował tak długo, aż początkowe napięcie Genevieve zmieniło się w drżące pragnienie jego ciała. Ostrożnie w nią wszedł, szepcząc cały czas, jak bardzo ją kocha. Może kiedyś będą się śmiać z tego, jak się kochali, ale teraz to jest zbyt nowe, zbyt delikatne. Kiedy Genevieve zupełnie się rozluźni, nauczy ją śmiać się podczas uprawiania miłości. W tej chwili jednak zależało mu tylko na tym, by nie sprawić jej bólu.

- Teraz lepiej... - szepnęła.

Uśmiechnął się.

- Tak.

- Dobrze ci, Kendrick?

Podniósł głowę i popatrzył na nią. Dziwne pytanie.

- Tak. Dlaczego?

- Nie mruczysz.

- Jestem zbyt pochłonięty tym, żeby nie sprawić ci bólu.

- Dobrze ci idzie - powiedziała, czerwieniąc się.

- Tak? To sprawdzimy, czy umiem ci sprawić przyjemność.

Kiedy Genevieve jęknęła głośno z rozkoszy, poczuł, że wbija mu paznokcie w plecy i bezwiednie porusza się pod nim w taki sposób, że stracił panowanie nad sobą, zanim ona je odzyskała. Wszedł w nią głęboko, a potem upadł bez sił.

- Genevieve? - spytał cicho, gdy poczuł na szyi jej łzy. Przytuliła go mocno.

- Nie zostawiaj mnie.

- Nigdy.

Oplótł ją ramionami, starając się nie zmiażdżyć tego wiotkiego ciała. Nie poruszał się, aż łzy ustały, a Genevieve zaczęła gładzić go po plecach.

- Genevieve?

- Tak?

- Sprawilem ci ból?

- Nie.

- Dlaczego płakałaś?

- Ponieważ cię kocham.

Uśmiechnął się.

- Zmiażdżyłem cię całkiem?

- Nie. Dobrze mi tak. Nie ruszaj się przez chwilę, dobrze?
- Jeśli chcesz, zostanę tak na zawsze.
- Chcę.

Starał się przenieść ciężar ciała na łokcie, żeby mogła oddychać. I uśmiechnął się. Pięknie się kochali. Dał swojej najdroższej rozkosz. Niezły wynik jeszcze przed śniadaniem. Uśmiechnął się znowu, wtulając w jej szyję.

Kto wie, jakich wyczynów dokona przed lunchem?

Kendrick zakręcił prysznic. Wytarł się i włożył to, co Genevieve nazywała: „kolarskie szorty”. Były obcisłe i świetnie nadawały się do treningu. Niestety dość trudno się je zdejmowało, a on lubił ostatnio wszystko, co łatwo mógł z siebie zrzucić, by jak najszybciej znaleźć się nago w łóżku z ukochaną.

Genevieve wciąż spała. Wszedł z łazienki i popatrzył na nią. Była wyczerpana, i nic dziwnego. Przez ostatni tydzień nie wychodzili prawie z łóżka, jedli i trochę spali, kiedy już nie byli w stanie ruszyć ręką ani nogą. Nie miał zresztą najmniejszego zamiaru się uskarżać, lecz Genevieve z pewnością potrzebowała snu i nie chciał jej przeszkadzać.

Nałożył adidas i zabrał miecz, który leżał zawsze przy skrzyni. Poranek spędzony na treningu z Royce'em - tego mu właśnie potrzeba. A potem może uda mu się namówić Genevieve, żeby znów weszła razem z nim pod prysznic. Odmawiała od czasu, kiedy droczył się, żartując z odgłosów rozkoszy, jakie z siebie wydawała. Na samo wspomnienie tamtego cudownego popołudnia zrobiło mu się gorąco.

Telefon zadzwonił, gdy wszedł do kuchni. Może Royce jednak nadal czyta w jego myślach? Podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Lord Seakirk? Tu inspektor O'Mally, wasza lordowska mość. Przesłuchałem tych rzezimieszków, którzy naprzykrzali się pańskiej żonie i pomyślałem, żeby wpaść do zamku i podzielić się z panem wiadomościami.

Kendrick milczał chwilę. Miał do wyboru: spędzić ranek słuchając dywagacji inspektora na temat, o którym wołał zapomnieć, albo potrenować z Royce'em, potem przygotować coś do jedzenia dla ukochanej, zanieść ją do biblioteki i kochać się na kanapie.

Decyzja była prosta.

- Proszę powiedzieć przez telefon.

- Rozmawiałem z Worthingtonem, milordzie. Poinformował mnie o państwa ślubie i o pana ozdrowieniu.

- Ozdrowieniu?

- Z tej przypadłości, która nie pozwalała panu nikogo dotykać, jeśli dobrze zrozumiałem. - Inspektor cicho zachichotał. - Szczerze mówiąc, milordzie, byłem bliski uwierzenia, że jest pan duchem. - Przez chwilę milczał. - Ale przecież to niemożliwe. Mamy w końcu dwudziesty wiek.

Przypadłość? Worthington przedstawił sprawę zupełnie tak, jakby Kendrick był trędowaty!

- Ach, tak... - mruknął, szukając jakichś stosownych słów. - Współczesna medycyna dokonuje cudów.

- Pana opowieść o życiu w trzynastym wieku była świetnie odegrana. Przyznaję, że uwierzyłem. A to, co widziałem u państwa w hallu...

- Gra luster - skłamał Kendrick. - Ekscentryczne rozrywki arystokracji, rozumie pan.

- Oczywiście. - O'Mally znowu cicho się zaśmiał. - Ale, jeśli pan pozwoli, wrócmy do sprawy. Kiedy mogę państwa odwiedzić?

Cholerny świat, ten facet jest uparty. Kendrick głęboko westchnął.

- Słucham pana, inspektorze. Proszę mówić przez telefon, dziś nie mam czasu na spotkanie.

O'Mally zawahał się chwilę, po czym stwierdził:

- Dobrze więc, milordzie. Wygląda na to, że ci dwaj mężczyźni pochodzą z miasteczka w okolicy i zostali wynajęci przez kogoś z Londynu. Nie wyjawili jego nazwiska i sądzę, że rzeczywiście go nie znają. Zapłacił im przesyłką z Londynu. Ustalenie, kto nadał przesyłkę, graniczy z cudem. Mężczyzna raz się do nich odezwał, ale doszliśmy, że dzwonił z kabiny telefonicznej, a nie prywatnego mieszkania. Miał nosowy głos. Niestety, nie podali żadnych innych cech charakterystycznych akcentu czy sposobu mówienia.

- Londyn... - mruknął Kendrick. - Znam tam kilka osób. Czy sprawdził je pan? To musi być ktoś z dużymi możliwościami finansowymi i z wyraźnym powodem, by pragnąć śmierci Genevieve.

- Jedyna osoba, która łączy pana i lady Seakirk, to Bryan McShane, milordzie. Jego sekretarka powiedziała mi przez telefon, że nie było go w biurze wtedy, gdy nadano przesyłkę i instrukcje dla tych zbójów.

Kendrick zastanowił się głęboko. Bryan McShane? Niemożliwe. To potworny tchórz. I płacił mu przecież zbyt dobrze, żeby przychodziły mu do głowy jakieś głupie pomysły. Jaką korzyść mógłby osiągnąć, krzywdząc Genevieve?

- Nie, inspektorze, on nie ma żadnych powodów, by krzywdzić moją żonę. To musi być ktoś inny.

- Oczywiście nadal będę nad tym pracował, ale tego McShane też nie zamierzam tracić z oczu, milordzie. Nigdy nie wiadomo, co roi się w głowie kryminalisty.

- Niech go pan obserwuje - zgodził się Kendrick. - Proszę zadzwonić, jeśli wyniknie coś nowego.

Odłożył słuchawkę. Bryan McShane? Niedorzeczne. Ten człowiek boi się własnego cienia. Nie miałby odwagi spojrzeć w twarz jakiegoś oprychowi, a co dopiero go wynająć. Kendrick potrząsnął głową i odsunął te myśli. Potrafi sam chronić Genevieve. Następny łobuz, który spróbuje się do niej zbliżyć, będzie miał z nim do czynienia.

Wyciągnął rękę do telefonu, żeby zadzwonić, gdy usłyszał cichy tupot. Genevieve się obudziła. Odłożył na chwilę telefon i czekał.

Miała na sobie za dużą, luźną koszulę nocną do kolan i oczywiście swoje ulubione różowe klapki, które strasznie go śmieszyły. Obwieściła, że spadła z łóżka, sięgając do budzika. Kendrick otworzył ramiona, a Genevieve przytuliła się i ziewnęła przeciągle.

- Biedny króliczek - zaśmiał się cicho. - Za wcześnie?

- Słońce jeszcze nawet nie wzeszło.
- Genevieve, jest prawie dziesiąta.
- Dla mnie wciąż trwa noc.
- Bo nie otworzyłaś oczu.
- Musisz być taki miły od świtu?

Roześmiał się widząc jej niezadowoloną minę i pocałował ją. Przeciągnęła się leniwie, ocierając o niego. Nic nie wzbudzało w nim takiego wrzenia, jak rozspana Genevieve nad ranem. Przekonał się o tym wczoraj. Pochylił się nad nią i szepnął dzień dobry. Objęła go i zaczęła obcałowywać tak, że musiał się poddać. I uwiodła go, nie otwierając nawet oczu. Sądził, że zwinie się potem w kłębek i zaśnie, lecz ona otworzyła oczy, uśmiechnęła się i spytała, co Kendrick przygotowuje jej na śniadanie po tak wspaniałym deserze.

Uśmiechnął się, odwrócił ją od siebie i lekko klepnął po pupie.

- Idę potrenować na godzinę, może dwie. Wracaj do łóżka.
- Obudzisz mnie niedługo?
- Za dwie godziny. Idź na górę, zanim zaśniesz na stojąco.
- Bądź ostrożny - powiedziała idąc do drzwi. - Nie chciałabym, żebyś uciął sobie coś ważnego.

Kendrick roześmiał się głośno, kiedy wychodziła. Kusiło go, żeby za nią pobiec, ale przypomniał sobie, jaki tłusty i rozleniwiony się zrobił się ostatnio. Musi poćwiczyć. Dwie godzinki, a reszta popołudnia w ramionach ukochanej, na pierwszej horyzontalnej płaszczyźnie, jaka im się trafi.

Wystukał numer pani Adelajdy i poprosił Royce'a.

- Co się dzieje, Kendrick? - spytał po chwili przyjaciel.
- Muszę dać żonie chwilę spokoju. Niech ktoś cię przywiezie. Chcę poćwiczyć.
- Mam motocykl. Wczoraj kupiłem. Jesteś idiotą, jeśli chcesz zamienić towarzystwo żony na moje, ale skoro sobie życzysz, przyjadę.
- Wcale nie wolę twojego towarzystwa, głupku - mruknął, lecz Royce już się rozłączył.

Kendrick przeciągnął się, a potem schylił, żeby rozciągnąć zastygłe mięśnie. Przez ponad tydzień nie siedział w siodle, a miecza w ogóle nie dotykał. Royce go po prostu rozniesie.

Zabrał broń i usiadł na schodach przed wejściem. Było zimno, ale wmawiał sobie, że tego nie czuje. Ależ zrobił się rozmazany przez te „nawiedzone” lata. Za czasów młodości nigdy nie było mu zimno; tułaczka rycerza nie była nigdy luksusową wycieczką i szybko nauczył się nie narzekać.

Uśmiechnął się. Jak miło byłoby teraz trochę uzależnić się nad sobą, szczególnie, że w ciepłym domu czekała na niego Genevieve.

Uniósł brew, kiedy krata w bramie wewnętrznej poszła w górę i na dziedziniec wjechał motocykl. Kendrick uśmiechnął się krzywo, gdy Royce zatrzymał się pod schodami. Kapitan ubrany był na czarno, a przymocowany z tyłu motocykla miecz sterczał jak maszt. Royce zsiadł ze swojego rumaka, zdjął hełm i wykrzywił się w uśmiechu.

- Kendrick, wyglądasz jak zbity szczeniak. Wstawaj i rusz się trochę.

Kendrick podniósł się i przeciagnał.

- Royce, twoje obelgi nie robią na mnie wrażenia. Jestem zbyt zadowolony z życia.

Royce zdjął kurtkę i spodnie. Tylko w podkoszulku i szortach chwycił swój miecz i zamachnął się kilka razy.

- Dobra, dobra, stawaj do walki. Opowieści o twojej ponętnej żonie mogą mnie rozproszyć, zresztą to dziś twoja jedyna szansa, żeby się nie skompromitować.

Kendrick podniósł broń w pochwie i z uśmiechem poklepał przyjaciela po plecach.

- Przechwałki zawsze były twoją mocną stroną. I nie mam zamiaru dzielić z tobą tajemnic alkowy. Natomiast chętnie posłucham o podbojach w miasteczku. Jak ci się podobają dwudziestowieczne dziewczyny?

- Och, bardzo, ale jakoś nie mogę pojąć, na czym polegają randki. Trzeba zasypywać kobiety prezentami, kwiatami, zapraszać do restauracji i adorować, a potem dostajesz jednego całusa albo i to nie.

Kendrick roześmiał się.

- Powinieneś więcej oglądać telewizję, Royce. Teraz są takie zwyczaje. Będę ci wdzięczny, jeśli nie uwiedziesz natychmiast stada dziewic. Nie chciałbym potem witać u drzwi rozwścieczonych ojców.

- Postaram się.

Poszli na tyły zamku w stronę ogrodu. Kendrick pomyślał, że najchętniej kazałby zlikwidować trawę i ustawić tu znowu szranki. Nie, lepiej będzie wysypać piaskiem plac koło zewnętrznych murów. Muszą mieć z Royce'em miejsce do ćwiczeń, a wewnętrzny dziedziniec wydawał mu się za mały.

Wyciągnął miecz i odrzucił pochwę. Jakie dziwne będzie życie bez zastępu ludzi, z którymi codziennie się ćwiczy fechtunek, bez troski o obronę zamku przed wrogami, bez przemyśliwania, jak uprawiać ziemię, by wszyscy mieli co jeść. Jakie życie zrobiło się łatwe od jego czasów.

Zdał sobie sprawę, że stoi wpatrzony gdzieś w przestrzeń, a Royce szarpie go za ramię.

- Kendrick? Marzysz o swojej damie?

Potrząsnął głową.

- Czasy się zmieniły, przyjacielu.

- Wiem, co masz na myśli, milordzie - z uśmiechem powiedział Royce. - Będzie mi brakowało tego naszego szalonego życia.

- Kłamiesz. Narzekałeś przed każdą bitwą.

- Ty narzekałeś dużo głośniej ode mnie.

Kendrick westchnął.

- Nie będzie mi brakowało zabijania, ale podniecenia przed walką.

- I mrozu, i straszliwego jedzenia, i epidemii dziesiątkujących ludzi, i niebezpieczeństw, i pijawek jako lekarstwa na wszystko. Rozumiem.

- Nie o to chodzi.

- Musimy po prostu znaleźć coś, co nam to zastąpi - stwierdził Royce odsuwając się i podnosząc miecz. - Może zbierzemy kilku chłopaków z miasteczka, którzy chcieliby potrenować, i będziemy z nimi ćwiczyć po kilka godzin dziennie. Poza tym znajdziemy inne zajęcia. Na przykład jazda na nartach wydaje mi się całkiem interesującym sportem. Zawsze lubiłem prędkość.

Kendrick lekko odparł pierwszy atak Royce'a. Lata doświadczenia zrobiły swoje. Stwierdził, że nie przytył tak bardzo, jak podejrzewał, i to znacznie poprawiło mu humor. Tak, może uprawianie sportów jest jakimś rozwiązaniem. Przecież zyskał o wiele więcej, niż stracił.

Roześmiał się głośno. Nie można nawet tego porównywać. Ma silne ciało, piękny zamek i masę pieniędzy w banku. I ma Genevieve. To najwspanialsza sprawa.

- Nie zapomniałem jeszcze, jak posługiwać się mieczem - warknął Royce.

Kendrick zorientował się, że przyjaciel wziął jego wybuch śmiechu do siebie.

- Nie chodziło o ciebie, Royce.

Kapitan ponowił atak.

- Przestań robić głupie miny, Seakirk, albo sam zetrę ci ten uśmiezek z facjaty!

Kendrick znowu się roześmiał. Czuł pracę mięśni, kiedy wywijał ciężkim mieczem. Z przyjemnością parował ciosy Royce'a. Nie, niczego nie stracił, a zyskał tak wiele.

Walczyli, dopóki w ramionach nie odezwał się piekący ból. Położenie słońca wskazywało, że minęło już południe. Kendrick wrzasnął, że prosi o pokój, i Royce zwalił się na trawę obok niego.

- Chyba wolę... - wysapał - być duchem, niż czuć ten rwący ból w mięśniach.

- A mnie się zdaje, że jednak wolisz być żywy. - Kendrick podniósł się i podał przyjacielowi rękę, by pociągnąć go na nogi. - Dobry pokaz, chłopaczku. Zapraszam cię w nagrodę na lunch.

- Pod warunkiem, że Genevieve będzie gotować. Wolę umrzeć z głodu, niż zostać na twoim wikcie.

Kendrick uśmiechnął się pod nosem chowając miecz do pochwy.

- Zrobił się ze mnie niezły kucharz. Nawet Genevieve mówi, że moje koktajle nie mają sobie równych.

Royce zaczął wymieniać sto powodów, dla których Genevieve chciała poprawić mu samopoczucie pochwałami. Zaśmiewali się obaj dochodząc do rogu zamku. Kendrick położył nagle palec na ustach. Royce przysunął się do niego i ostrożnie wyjrzeli zza rogu. Na schodach przed wejściem ktoś stał.

- Na szczątki świętego Jerzego, to jakiś ksiądz - szepnął Royce. - Pewnie przyszedł odprawić nad tobą egzorcyzmy.

Kendrick stuknął go łokciem w żebra.

- Już raczej tobie popędzić kota. Cicho bądź!

Pochylił się i wsłuchiwał uważnie.

- Pan żartuje, tak? - powiedziała Genevieve.

- Milady, przysłała mnie przyjaciel, zaniepokojony tym, co dzieje się w zamku. Mógłbym okazać się pomocny.

- Zaniepokojony tym, co dzieje się w zamku?

Ksiądz odchrząknął.

- Chodzi o duszę, która nie może zaznać spokoju, milady. Czy mogę wejść?

Kendrick zmarszczył czoło.

- Nie wygląda mi na księdza - mruknął.

- Raczej na złodzieja - przytaknął Royce.

Kendrick cofnął się i spojrzał na kapitana. Royce uniósł pytająco brew. W kątku jego ust czaił się uśmiech. Kendrick zacisnął szczęki i zamyślił się.

- Drugie drzwi do kuchni.

- Tak.

- W lodówce jest dość keczupu, żeby wysmarować chociaż jednego z nas. To będzie dość upiornie wyglądało.

- Nie, Genevieve będzie musiała to później sprzątać. Według mnie wystarczy strój bojowy.

Kendrick kiwnął głową i cicho się wycofali.

Musieli prześlizgnąć się jakoś przez wielki hall. Genevieve wpuściła mężczyznę do domu, ale na szczęście trzymała go przy drzwiach. Czmychnęli na schody, a potem pobiegli na trzecie piętro do gabinetu.

Dziesięć minut później schodzili na dół w pełnym rynsztunku.

Kendrick ciągnął za sobą maczugę, która z hukiem uderzała o każdy stopień. Royce wyczyniał upiorne miny i jęczał ponuro. Kendrick pomyślał, że może trochę przesadzili, ale nie chciał pozbawiać przyjaciela zabawy.

Kiedy zeszli do wielkiego hallu, Kendrick całym wysiłkiem powstrzymał się, żeby nie uśmiechnąć się do Genevieve. Stała oparta o drzwi, z rękami skrzyżowanymi na piersi i ostrzegawczym spojrzeniem w oczach.

- Genevieve, zarygluj drzwi - huknął.

Stała niezdecydowana.

- Zarygluj drzwi! - ryknął i uniósł miecz.

Usłuchała.

I wtedy ksiądz wyciągnął nóż. Kendrick nie zdążył nic pomyśleć, po prostu zareagował. Wyszarpnął swój nóż zza pasa i rzucił nim w mgnieniu oka. Ugodził mężczyznę w ramię w chwili, gdy ten rzucił swój sztylet.

- Do diabła! - zaklął Royce.

Kendrick przyspilił intruza do drzwi mieczem skierowanym w gardło.

- Royce?

- Drasnął mnie w ramię. Nic poważnego.

Kendrick spojrzał na Genevieve, która zbladła jak ściana.

- Kochanie, zadzwoń na policję. Inspektor O'Mally jest w miasteczku. Z pewnością zainteresuje go nasz ksiądz.

Gdy zniknęła w drzwiach kuchni, Kendrick popatrzył na jeńca. Opuścił miecz i wyszarpnął swój nóż z jego rany.

- Wykrwawię się na śmierć! - krzyknął mężczyzna.  
- Przeżyjesz. A teraz mów! Kim jesteś? I nie zwracaj mi głowy, że jesteś księdzem.

- Będę mówił tylko w obecności adwokata.

Kendrick chwycił go za gardło i podniósł nad ziemię.

- Jeśli nie powiesz mi tego, co chcę wiedzieć, nie dożyjesz przyjazdu swojego adwokata. Jesteś tu tylko ze mną i moim przyjacielem. Zraniłeś go. Nie sądzisz, że mógłbym z tobą skończyć w ramach obrony własnej?

- Kim pan jest? - wydusił mężczyzna.

- Kendrick de Piaget, lord Seakirk. Twój oprawca, jeśli nie rozwiąże ci się język.

- Pan miał być duchem!

- Wyglądam na ducha? Chyba nie. Ale ty z pewnością dołączysz do upiorów, jeśli nie odpowiesz na moje pytania. Co tu robisz?

- Przyjechałem odprawić egzorcyzmy.

- Psiakrew!... - warknął wściekle Kendrick. - Pytam o prawdziwy powód. - Przycisnął go znowu do drzwi, przykładając ostrze miecza do gardła. - Mów, pókim dobry.

Kiedy delikwent nadal nie wykazywał ochoty do rozmowy, Kendrick delikatnie podważył ostrzem koloratkę pod jego szyją i zerwał ją jednym ruchem. Spadła na podłogę.

- Miałem porwać kobietę - wybełkotał fałszywy ksiądz. - I zawieźć ją do miasteczka. McShane powiedział, że bez trudu ją wydostanę. Cholerny kłamca!

- Bryan McShane? - Kendrick zdumiał się. - Czego on, do diabła, chce od Genevieve?

Mężczyzna konwulsyjnie potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia, wasza lordowska mość. Jestem tylko człowiekiem pracy, milordzie, staram się zarobić na utrzymanie rodziny.

Kendrick popatrzył spod oka.

- Może uda ci się inaczej zarobić trochę pieniędzy, staruszk. Gdzie miałeś spotkać się z naszym czcigodnym panem McShane'em?

- W zajeździe. Pierwszy pokój na lewo, na samej górze. Powiedział, że będzie tam na mnie czekał.

- Nie pozwólmy mu czekać dłużej, niż to konieczne. Royce, gdzie jest Genevieve?

- Tu jestem - odparła, idąc w ich stronę.

- Obandażuj ramię Royce'a, dobrze? Zawieziemy go do szpitala, a potem zajmiemy się panem McShane'em.

Kendrick nie spuszczał wzroku z intruza, kiedy Royce mruzczał i kłął pod nosem. Genevieve w milczeniu opatrywała mu ramię. Potem poczuł, że ktoś odpycha go na bok, i pięść Royce'a wylądowała na szczęce fałszywego kapłana. W pierwszym momencie Kendrick chciał powstrzymać przyjaciela, ale zrezygnował. Zrobiłby pewnie to samo, gdyby żona nagle nie znalazła się w jego ramionach.

- Nie mogę w to uwierzyć - szepnęła. - Bryan McShane? Czego on ode mnie chce?

- Niedługo się dowiemy, kochanie - odpowiedział, starając się mówić spokojnie. Bryan McShane był już martwy. To on prawdopodobnie stał za wszystkimi koszmarnymi przejściami Genevieve i wkrótce zapłaci za to.

- Royce, on jest nieprzytomny - powiedział, chwytając przyjaciela za ramię. - Zostaw go. Może zajrzemy do inspektora w drodze do miasteczka. Wybawi nas od tego kłopotu.

Royce przerzucił mężczyznę przez ramię i zniósł po schodach na dziedziniec.

- Nie pobrudź mi krwią samochodu - ostrzegł Kendrick, kiedy Royce usadowił się obok bezwładnego ciała księdza na tylnym siedzeniu.

- Wzrusza mnie twoja troska, stary.

Kendrick zerknął z uśmiechem w lusterko. Łobuzerskie mrugnięcie Royce'a upewniło go, że przyjaciel przeżyje tę ranę. Teraz musi skoncentrować siły na wytropieniu McShane'a i darowaniu mu tylko tyle życia, żeby przeszedł prawdziwe piekło na ziemi.

Myśl o tym wydała mu się wyjątkowo kusząca.

Bryan zsunął kapelusz niżej na oczy i skulił się na siedzeniu. Pomysł pojechania pociągiem był świetny. A pomysł podróży do Szkocji zamiast prosto do Londynu wprost genialny. Najpierw Edynburg, potem samolot do Ameryki. Myśl o życiu w Stanach przerażała go - ci wstrętnei Amerykanie ze swoimi niecywilizowanymi manierami - ale zniesie to. Przynajmniej będzie żywy.

Dobrze, że niedawno umieścił wszystkie pieniądze na koncie w banku szwajcarskim. Powrót do domu i wygrzebywanie ich teraz z materaca nie byłoby zbyt wygodne. Stukot pociągu powinien działać uspokajająco, Bryana jednak coraz bardziej drażnił. Jego stopy uderzały pewnie w takim rytmie o ścianę, kiedy Maledica zacisnął mu ręce na gardle i szarpnął do góry tak mocno, że Bryan zamajtał nogami w powietrzu.

Nerwowo odciągnął kołnierzyk koszuli. Kilka godzin później na trzęsących się nogach wysiadł z pociągu. Nie miał ochoty jechać autobusem na lotnisko.

Weźmie taksówkę i odpocznie na tylnym siedzeniu. Chwiejnie podszedł do samochodu i otworzył drzwiczki.

- Na lotnisko - powiedział, sadowiąc się z tyłu. - Szybko.

Ktoś szarpnął drzwi z drugiej strony i Bryan nie otwierając oczu potrząsnął głową.

- Taksówka jest już zajęta.

- Dokąd się wybierasz, szcurzy ryjku?

Bryan otworzył usta, lecz nie zdążył krzyknąć. Maledica przydusił go ręką.

- Wybierzemy się w jakieś ustronne miejsce. - Maledica podał kierowcy garść stufuntowych banknotów. - Dyskrecja to podstawa dobrych interesów. Jeśli poczekaasz, zapłacę ci za kurs na lotnisko.

Bryan zamknął oczy, wiedząc, że za późno na modlitwę, za późno na cokolwiek. Mógł już tylko cieszyć się ostatnimi chwilami na tym świecie i pożałować, że lew zamieszkujący jego duszę nigdy naprawdę się nie ujawnił. Może siła charakteru da o sobie znać na tamtym świecie, dokąd z pewnością niedługo się przeniesie.

Szkoda. Poza innymi sprawami chętnie zobaczyłby starcie Malediki z lordem Seakirk, szczególnie, że przed ucieczką z miasteczka widział, jak rzekomy duch wysiada z samochodu. Nie jako zjawą, ale żywy człowiek.

Taksówka zatrzymała się w ciemnościach.

Bryan westchnął, czując, że strach paraliżuje mu mózg. A potem poczuł ręce Malediki zaciskające się na jego gardle.

Ogarnął go mrok.

Genevieve podniosła wzrok, gdy Kendrick wyszedł ze szpitalnego pokoju Royce'a. Widząc, że się uśmiecha, odetchnęła z ulgą.

- Dobrze się czuje?

- Tak. To powierzchowna rana. Przeżyłem gorsze rzeczy i nie robiłem koło siebie tyle szumu. Baba z tego mojego kapitana.

- Wszystko słyszałem!... - rozległo się zza drzwi.

Kendrick z uśmiechem pomógł jej wstać.

- Boi się, że narobię mu wstydu przed tą małą, tam, widzisz? Mój ślub zrobił na nim wrażenie. Powiedział, że się zakochał i ożeni się z nią, zanim przyjdzie wiosna.

- To znany syndrom - odpowiedziała. - Zdarza się wielu pacjentom.

- Tak? - Kendrick zrobił złołą minę. - Strasznie bolą mnie mięśnie po treningu. Może zamieniłabyś się dziś wieczorem w pielęgniarkę?

- To zależy, co za to dostanę.

Tylko się uśmiechnął, ale Genevieve wyczytała w jego twarzy obietnicę. Objęła go w pasie i przytuliła się, kiedy wyszli z budynku. Jak niewiele brakowało, by go straciła.

Ostatnią rzeczą, jakiej spodziewała się po „księdzu” było rzucanie nożem.

Zamknęła oczy, kiedy jechali samochodem do domu. Kendrick był spięty. Czowała to na odległość. Ona też była zdenerwowana. Wiadomość, że Bryan McShane ją ścigał, była najdelikatniej mówiąc, denerwująca, tym bardziej, że zapadł się pod ziemię. Miała nadzieję, że zrezygnował ze swojego planu i wyjechał z Anglii.

Otworzyła oczy, gdy przejeżdżali przez most zwodzony. Usiadła wygodniej i wyjrzała przez okno. Przysięgłaby, że widziała jakieś cienie w ciemności.

- Kendrick... - zaczęła i krzyknęła, kiedy zwolnił.

Nie dalej niż dziesięć kroków od samochodu stał mężczyzna w zbroi. Przed sobą trzymał wbity w ziemię miecz.

Kendrick sięgnął do klamki.

- Nie... - powiedziała. - Och, Kendrick, zablokuj drzwi i odjedźmy.

Uśmiechnął się blado.

- Nie bój się, najdroższa. Znam tego człowieka. A raczej ducha.

- Ale...

Pochylił się i pocałował ją.

- Wszystko w porządku. Zablokuj potem drzwi.

Wysiadł z samochodu. Zablokowała drzwi i przytknęła nos do szyby, kładąc rękę na klaksonie, żeby ostrzec Kendricka, gdyby mężczyzna zrobił jakiś niewidoczny dla niego, podejrzaný gest.

Podszedł do ducha. Stali tak, że Genevieve widziała ich profile. Duch wyglądał groźnie, a Kendrick jeszcze straszniej. Jego twarz wyrażała taką wyższość, z jaką kiedyś lord patrzył zapewne na swego sługę.

Może to prawda. Genevieve odetchnęła, kiedy duch nie ruszając się z miejsca odpowiedział na pytania Kendricka. W końcu skłonił się nisko i zniknął w mroku. Kendrick wrócił do samochodu.

- Kto to był?

- Stephen z Burwyck. Za życia był synem jednego z wasali mego ojca. Sądę, że nigdy nie zobaczysz go z bliska. - Mrugnął do niej. - Jest nieśmiały.

- Wygląda groźnie.

- Tak samo jak ja?

Uśmiechnęła się i poklepała go po kolanie.

- Oczywiście, że nie. Dlatego się przed tobą skłonił, a nie odwrotnie. Od razu widać, że wie, kto tu jest lordem. Czego chciał?

- Kazałem mu pilnować zamku podczas naszej nieobecności. Na wypadek, gdyby ktoś nas odwiedził.

- Był ktoś?

- Stephen stwierdził z żalem, że nie.

Uśmiechnęła się i oparła głowę o siedzenie.

- Masz dziwnych znajomych, milordzie.

Podjechali do zamku. Kiedy wysiedli, Genevieve rzuciła się mężowi w ramiona.

- Kendrick, mogłeś umrzeć...

- Cicho, kochanie. - Pocałował ją. - Nic mi się nie stanie. To znaczy, zamarznię na śmierć, jeśli jeszcze trochę tu postoiemy. Chodźmy do domu, rozpalę ogień w sypialni. Albo, jeśli chcesz, rozłożymy koce i rozbijemy obozowisko na podłodze w bibliotece. Przyniosę z kuchni coś do jedzenia, a ty biegnij na górę się przebrać.

Weszli do domu i Genevieve ruszyła w stronę schodów.

W połowie drogi zdała sobie sprawę, że ogarnął ją jakiś niezrozumiały lęk. Pobiegła korytarzem do sypialni, zapaliła wszystkie światła i zatrzasnęła drzwi. Pokój był pusty. Odetchnęła z ulgą. Szybko przebrała się w koszulę nocną i zbiegła na dół. Potykając się pędziła korytarzem, po schodach, a potem przez wielki hall. Kendrick złapał ją w drzwiach biblioteki.

- Co się stało? - roześmiał się. - Dlaczego biegłaś?

- Tam było ciemno.

Przytulił ją.

- Drzwi wejściowe są zaryglowane i nic nam nie grozi. - Wprowadził ją do biblioteki i zamknął drzwi. - A teraz jesteś moją branką na całą noc. Co mam z tobą zrobić?

Nie mogła zdobyć się na uśmiech.

- Kendrick, boję się.

Wziął ją za rękę i poprowadził do materaca, który położył przed kominkiem. Usiadł, przyciągnął ją do siebie i powiedział z powagą:

- Jesteś pod moją opieką.

- Nie o siebie się boję... A jeśli tobie coś się stanie?

Pokręcił głową, jakby nie wierzył w to, co słyszy.

- Genevieve, McShane'owi nie chodzi o mnie.

- Skąd możesz to wiedzieć?

Uśmiechnął się sceptycznie.

- Ponieważ już trzy razy próbował porwać ciebie, a nie mnie. Gen, nie myśl już o tym. Podwoiłem strażę, zarówno widzialne, jak i niewidzialne. Nikt nie wślizgnie się na teren Seakirk bez mojej wiedzy. Byłabyś absolutnie bezpieczna, gdybym musiał wyjść sprawdzić, co się dzieje...

- Nigdzie nie pójdziesz - przerwała.

- Posłuchaj, Gen...

- Nawet o tym nie myśl - powiedziała, chwytając go za sweter. - Policja się tym zajmie. - Otworzył usta, żeby zaprotestować, ale Genevieve energicznie potrząsnęła głową.

- Jeśli tak bardzo zależy ci na wplątaniu się w to wszystko, rozwiodę się z tobą.

Zamrugął.

- Co?

- Słyszałeś, co powiedziałam. Nie żyjemy w średniowieczu, a ty nie jesteś najemnikiem. Policjanci wiedzą, jak postępować w takich sprawach, a ty nie.

- Potrafię walczyć - powiedział chłodno.

- Nie to miałam na myśli. Chodzi mi o to, że ktoś może cię zaatakować pistoletem. Świat się zmienił. Zostaw dochodzenie policjantom, którzy zajmują się tym codziennie. Ty zostań tutaj i pilnuj rodziny, która bardzo cię kocha i nie chce cię stracić.

Chciała mówić dalej, ale Kendrick nie potrzebował więcej argumentów. Widać było, że choć nie uszczęśliwiły go jej słowa, zrozumiał jej intencje. Zarzuciła mu rękę na szyję.

- Kocham cię. Nie chcę cię stracić.

- Każdego nikczemnika rozgromiłbym na miecze - mruknął.

- Wiem, kochany.

- W każdej chwili podjąłbym wyzwanie.

- I zwyciężyłbyś. Wiem.

- Potrafię walczyć - powtórzył.

Genevieve uśmiechnęła się.

- Oczywiście, najdroższy. Potrafisz walczyć w kilku dziedzinach. Zjedzmy coś, a ja pomyślę o tym, w jakich słowach wychwalać twoją waleczność. Potem mogę opowiedzieć ci o twojej waleczności na innych polach.

Przyciągnął ją na kolana i zaczął kołysać w ramionach.

- Nie wypuszczę cię z rąk, dopóki ta sprawa nie zostanie wyjaśniona. - Przycisnął usta do jej włosów. - Jesteś bezpieczna. Umiem obchodzić się z pistoletem, jeśli zajdzie potrzeba.

- Kiedy się nauczyłeś?

- Nie jestem tak zupełnie zacofany.

- Żebyś się nie ważył nosić przy sobie broni palnej. - Popatrzyła groźnie, ale twarz jej złagodniała na widok niepokoju w jego oczach. - Przestań - szepnęła. - Wszystko będzie dobrze. Inspektor wyjaśni tę sprawę. A potem nasze życie wróci do normy i doczekamy razem sędziwych lat, jako para siwych, znudzonych staruszków.

Pocałował ją czule.

- Mam przeczucie, że nuda nas nigdy nie dosięgnie, bo nasze życie nigdy nie będzie normalne.

- Początek nie był banalny, co?

Roześmiał się.

- Nie, moja słodka, nie był banalny. Ale nie zamieniłbym naszego spotkania i pierwszych zalotów na nic w świecie. To pomaga mi tylko bardziej docenić szczęście, jakie mi dajesz. A teraz... - delikatnie zsunął ją z kolan. - Przygotuj się do jedzenia i wychwalania mojego męstwa na polu kulinarnym. Zaraz upiekę ci coś na ogniu.

Genevieve podparła się z tyłu na rękach i patrzyła, jak Kendrick ściąga sweter i koszulę, potem buty i skarpetki, i zabiera się do pracy. Miała ochotę uszczypnąć się, żeby sprawdzić, czy nie śni. Jak często spełniają się marzenia? Niezbyt często, ale jej sny się spełniły.

Podciągnęła kolana pod brodę i przyglądała się z zachwytem jego ciału. Uśmiechnęła się, kiedy zerknął przez ramię i mrugnął do niej. A potem znowu zaczął dopraszać się komplementów. Nie mogła wyobrazić sobie, by mogła pokochać kogoś innego. Jak przeżyła bez niego tyle lat?

Objęła go za szyję.

- Kocham cię - szepnęła.

- Powiedz to jeszcze raz.

Pocałowała go w policzek.

- Kocham cię. I cieszę się, że na mnie czekałeś. Jestem ogromnie szczęśliwa.

- Ja też.

Potarła policzkiem o jego szorstką od zarostu twarz i przesunęła usta do koniuszka ucha.

- Genevieve...

- Cicho... Uważaj, nie spal na węgiel naszej stawy.

Ujęła w zęby miękki koniuszek i pieściła go językiem. Po plecach Kendricka przeszedł dreszcz. Bardzo jej się to spodobało. Objęła jego nagą pierś, wyczuwając drżenie mięśni. Uwodzenie Kendricka było takie cudowne. Nie umiał zupełnie ukryć swoich reakcji. Nie byłby najlepszym pokerzystą.

- Kendrick... - szepnęła mu do ucha.

- Tak? - Głos wyraźnie nabrał chryпки.

- Kielbaski się palą.

- Do diabła!...

Zdmuchnął płomień i odłożył szpikulce na bok. Złożył grzecznie ręce na kolanach i siedział bez ruchu.

- Zdaje się, że w czymś ci przerwałem...

- Ty łobuzie!... - Uśmiechnęła się i pociągnęła go na materac. Usiadła mu na brzuchu i pochyliła się, by go pocałować. - Wyglądasz na wniebowziętego.

- Wniebowziętego? Nie, po prostu jestem zadowolony. Lubię, kiedy mnie uwodzisz.

- To żadne uwodzenie, milordzie. Ciężko nad tobą pracuję.

- Z dobrym rezultatem.

To była inna przyjemna strona uwodzenia Kendricka. Zawsze był otwarty i pomocny, czasem nawet zbyt skwapliwie pomagał jej zdjąć piżamę i ściągnąć z siebie resztki ubrania. Nie musiała domyślać się, jak przyjmuje jej pieczyoty, gdyż mówił wprost, jak cudownie się czuje. Potrafił tak wychwalać jej miłosne talenty, że czerwieniła się zmieszana.

Poczuła ogromną radość, gdy Kendrick spazmatycznie wyprężył się pod nią z rozkoszy. Umiała dać mężowi to, czego pragnął. Uznała to za swój wielki sukces. Po chwili chciała się odsunąć, ale otoczył ją ramionami i przytrzymał.

- Jeszcze nie.

- Mam zostać?

- Dlatego właśnie nie wypuszczam cię z rąk. Wygodnie ci?

- Bardzo.

- Więc zostań jeszcze chwilę. - Uniósł się i pocałował ją lekko. - Połóż mi głowę na ramieniu, chcę się tobą nacieszyć. Mówiłem ci już, jak bardzo cię kocham? I że, gdybym musiał, z radością czekałbym na ciebie następne siedem wieków?

- Och, nie mów tak - powiedziała szybko. - Wolałabym uniknąć takiej próby.

Przycisnęła wargi do jego szyi. Nie przeszkadzało jej, że się z nią droczy, najważniejsze, że jej pieczyoty sprawiły mu przyjemność. Niestety w pewnym momencie jęknął boleśnie, kiedy niechcący potrafiła kolanem to szczególnie wrażliwe miejsce, ale szybko zapomniał o bólu. Pomyślała, że z czasem nabierze większej wprawy i mąż nie będzie cierpieć z powodu jej niezręczności.

Dwadzieścia minut później Genevieve siedziała w koszuli nocnej obok męża i drapała go po plecach, kiedy zabrał się znów do przyrządzania jedzenia. Nie wiedziała, jak udało mu się nakłonić ją do tych poddańczo-niewolniczych czynności, ale widocznie miał swoje sposoby. Zresztą zupełnie jej to nie przeszkadzało. Miał gładką skórę, a pomrukiwania zadowolenia brzmiały w jej uszach jak muzyka. Nad jedną łopatką spostrzegła długi, cienki ślad.

- Skąd masz tę bliznę? - spytała, przesuwając delikatnie palcem.

- Chyba nie chcesz znać wszystkich szczegółów?

- Jakieś grzeszne uczynki, sir Kendrick?

- Pociesz się, że ona nie żyje?

Roześmiała się.

- Mów, wytrzymam.

- Prawdę mówiąc - powiedział, odwracając się do żony - nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Byłem na dworze królewskim, kilka lat po wyprawie krzyżowej, rok czy dwa przed śmiercią, i poznałem pewną kobietę. Nie była piękna, zupełnie nie działała na moje zmysły. Zaprosiła mnie jednak kiedyś do swojej komnaty. Nie

byłem w stanie nic z siebie wykrzesać, naprawdę miałem dla niej czysto siostrzane uczucia. Była wtedy pod opieką króla, gdyż jej rodziców zamordowali jacyś zbóje, kiedy wracali z Walii. Zaprzyjaźniliśmy się i postanowiliśmy, że będziemy trzymać się razem, głównie zresztą, żeby podśmiewać się z dworskich intryg. Przez dłuższy czas było bardzo przyjemnie.

- Byłeś dla niej bardzo miły.

- Czy to znaczy, że chcesz nakłonić mnie do celibatu?

Śmiejąc się potrząsnęła głową.

- Więc zaprzyjaźniłeś się z tą skromną, osieroconą dziewczyną. I co stało się potem?

- Pewnego wieczoru król wydał wspaniałą biesiadę, jeszcze wspanialszą niż te, który odbywały się codziennie dla jego rozrywki. I podczas tej uroczystości moja przyjaciółka Lianna została obrażona. A ja, głupiec, wyzwiałem tego nikczemnika na pojedynek. I rano stanąłem z nim w szranki.

- W obronie jej honoru?

- Tak.

Uśmiechnęła się zachwycona.

- Byłeś taki rycerski.

- Byłem idiotą.

- To było bardzo szlachetne. A znałeś swego przeciwnika?

- Tak... - Kendrick westchnął. - To był mój kuzyn, William z Sedwick.

- I znaliście się wcześniej?

- Tak, spotkaliśmy się raz czy dwa razy. Nawet gdybym go nie znał, wiedziałem, że ma reputację łotra. Jego ohydne zachowanie wobec Lianny powinno było wzbudzić moją czujność, ale sądziłem, że w obecności króla zachowa się z honorem.

- To on cię zranił? - spytała przejęta.

- Tak, on. Najpierw walczyliśmy na lance i pobiłem go, mimo że trudny był z niego przeciwnik. Kiedy zsiadłem z konia przed lożą królewską i przyklęknąłem zgodnie ze zwyczajem, tak dudniło mi w głowie, że prawie nie słyszałem wiwatującego tłumu. Nie zorientowałem się, że wiwaty zmieniły się w krzyki i ostrzeżenia, dopóki Lianna nie przeskoczyła przez barierkę, żeby mnie ochronić. Schyliłem się w ostatniej chwili i miecz Williama drasnął tylko ramię, zamiast utkwąć w sercu, w które był wymierzony. Odwróciłem się i natarłem na niego. Rozdzielono nas, kiedy cały broczył krwią i nie był już w stanie walczyć. Król skazał go za zdradę na banicję. William poprzysiągł mi zemstę, ale nigdy więcej go nie widziałem. Jestem pewien, że poszedł do ziemi gardząc mną niemiłosiernie, choć powinien raczej gardzić samym sobą za brak honoru. Mężczyzna pokonany w uczciwej walce nie wbija zwycięzcy noża w plecy.

- Och... - westchnęła Genevieve. - Miałeś wielkie szczęście. Mam nadzieję, że wynagrodziłeś Liannie, że cię uratowała.

- Dokładnie rzecz biorąc, król chciał wynagrodzić mnie, oddając mi ją za żonę. Mój młodszy brat, Jason, który zawsze miał dobre serce, ofiarował się za mnie.

Oczywiście nie zmartwił się, że Lianna wniosła w posagu więcej majątków lennych, niż był w stanie zliczyć.

- A to mu się trafiło!

Kendrick uśmiechnął się.

- Właściwie w ogóle mu nie zależało na tym bogactwie. Mieli ze dwanaścioro dzieci i porozdawali szybko wszystkie lenna dorastającym latoroślom. Potem zamieszkali z Lianna w swoim ulubionym zamku i szczęśliwie dokonali tam żywota.

- W takim razie mnie wyszło na dobre, że nie spieszyłeś się do żeniaczki.

Pochylił się, żeby ją pocałować.

- Oczywiście, czekałem na ciebie. Ty też na mnie czekałaś, prawda?

Przytuliła się do niego.

- Wiesz, że tak. Na mojego najdzielniejszego i najszlachetniejszego rycerza.

- A ja dostałem wreszcie moją najpiękniejszą damę. - Przyciągnął ją na kolana i poprawił szpikulce nad ogniem. - Przy mnie jesteś bezpieczna, Gen. Przysięgam to na swoje życie.

Zamknęła oczy i mocno objęła go za szyję. Myśl, że Kendrick mógłby stracić życie, była przerażająca. Jak Anna wytrzymała wojenne wyprawy swego męża?

Westchnęła głęboko, starając się rozluźnić. Nie dojdzie do niczego takiego. Inspektor znajdzie Bryana i zamknie go w więzieniu, a ona z Kendrickiem rozpocznie normalne, codzienne, niczym nie zmącone życie.

Genevieve zmarszczyła brwi. Jeden z dużych, obciągniętych materiałem guzików od zielonej piżamy urwał się i nigdzie nie mogła go znaleźć. Szukała w szufladach, pod łóżkiem, w skrzyni, gdzie Kendrick schował sporo jej rzeczy, i w łazience. Tam nosiła zieloną piżamę ostatni raz, zanim Kendrick w pośpiechu ją z niej zdjął. Ani śladu guzika. Pewnie zgubiła go wcześniej.

Zastanawiała się, gdzie była w tej piżamie przez ostatnie dwa tygodnie. Oprócz tego wieczora w zeszłym tygodniu nie zakładała jej od... od dnia, kiedy Kendrick wrócił do życia.

Wstrząsnęła się na wspomnienie, jak zniósł ją do lochu i przywiązał do filara. Dzięki Bogu odzyskał pamięć i nie zrobił tego, co zamierzał.

Zeszła do hallu i zawahała się, czy nie zawołać Kendricka, ale on i Royce ćwiczyli na zewnątrz i nie chciała im przeszkadzać.

Kapitan zadzwonił rano i zaprosił Kendricka na kilka godzin treningu na placu. Genevieve chętnie go wysłała, zadowolona, że wreszcie może zrobić trochę porządku w szafach.

Uderzył ją lodowaty powiew, kiedy uchyliła drzwi do piwnic. O mało nie uciekła z wrażenia, ale stwierdziła, że to głupie. Na dole nie ma nic poza paroma pajakami. I kilkoma zbłąkanymi zjawami, ale ich się nie bała. Świta Kendricka powiększała się z dnia na dzień. O ile wiedziała, duchy nie wchodziły do domu, natomiast na zewnątrz z pewnością kilka razy przez kogoś przeszła. Wczoraj na przykład wpadła na sir Stephena, który natychmiast spurpurowiał, wybełkotał niezrozumiałe przeprosiny, a potem odwrócił się na pięcie i odszedł.

Zapaliła światło i zeszła schodami, nie zważając na lodowate ciarki na plecach. Nie schodzi przecież do podziemnego grobowca. Uśmiechnęła się, żeby dodać sobie odwagi i weszła na cementową podłogę. Bułka z masłem. Zbliżyła się do kamiennej kolumny i rozejrzała wokół. Przykucnęła nawet i przez chwilę szukała na czworaka.

- Jest!

Podniosła jaskrawozielony guzik i już miała wstać, kiedy coś przyciągnęło jej wzrok. Tuż przy filarze leżał skrawek papieru, tak stary, że prawie rozsypywał się w palcach. Podniosła go ostrożnie i wyszła z lochu.

Położyła pergamin na stole w kuchni i przyjrzała się.

Woskowa pieczęć była złamana i poobłupywana na brzegach, ale Genevieve dostrzegła wciąż dość wyraźny rysunek herbu.

Smok? Potrząsnęła głową w zamyśleniu i rozłożyła papier. Wpatrywała się przez chwilę, by rozróżnić litery. Gdyby to było po angielsku, coś by odczytała, ale dostrzegła wyraźnie słowo je. Tekst był po francusku. Nie wiedziała właściwie, dlaczego ją to zaskoczyło. Wśród niezrozumiałych wyrazów wyłowiła dwa nazwiska: William de Sedwick i Richard de York.

William z Sedwick?

Wyprostowała się gwałtownie nad kartką, jakby papier nagle ożył. List od Ryszarda do Williama? Nie, podpis Williama widniał na dole. Poczwała, że włosy stają jej dęba. To sprzeciwiało się logice, ale miała przecucie, że tu tkwi wyjaśnienie wydarzeń sprzed wieków.

Wybiegła z kuchni. Mąż może przerwać trening.

- Kendrick!

Zatrzymał się w pół kroku i zobaczył pędzącą przez trawnik Genevieve. Oparł się na mieczu i patrzył na nią z przyjemnością. Czy kiedykolwiek przyzwyczai się, że ta cudowna istota należy do niego? Otarł twarz rękawem koszuli i schował miecz do pochwy. Chciał mieć wolne ręce, żeby chwycić ją w ramiona. Złapał ją mocno, kiedy podbiegła. Wyślizgnęła mu się i wysapała:

- Nie teraz. Znalazłam coś w lochu. Musisz to natychmiast zobaczyć.

- Nowe miejsce do kochania? - spytał, mrugając porozumiewawczo do Royce'a.

Genevieve fuknęła niecierpliwie, złapała go za rękę i pociągnęła w stronę domu.

- To poważna sprawa.

- Kochanie się to bardzo poważna sprawa.

- Kendrick!

Royce roześmiał się i klepnął go w ramię.

- Ślub sprawił, że tylko jedno ci w głowie, milordzie. Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek tak wiele myśli poświęcał miłości.

- Moja słodka Genevieve tak mnie usposabia.

- Nie dziwię się.

Kendrick rzucił mu miażdżące spojrzenie i zawahał się, czy nie przyłożyć Royce'owi ostrzegawczo, ale Genevieve uparcie ciągnęła go do domu. Zrezygnował z upomnienia przyjaciela i podążył za żoną.

Przyciągnęła go do stołu w kuchni i wskazała na pergamin.

- Przeczytaj to.

Kendrick chciał podnieść list, ale zorientował się, że papier ledwie się trzyma, pochylił się więc i szybko przeczytał tekst.

Najpierw krew odpłynęła mu z twarzy, a potem poczuł dzikie pulsowanie w skroniach.

Za jego plecami Royce wydał cichy okrzyk.

- Przeklęty sukinsyn!

Kendrick zatoczył się lekko. Genevieve natychmiast chwyciła go za ramiona i pomogła usiąść.

- Kendrick, co tu jest napisane?

Potrząsnął tylko głową. Zabrakło mu słów. Jeszcze raz przeczytał list.

Ja, William z Sedwick, pozdrawiam Cię, Ryszardzie z Yorku, i tym pismem przypieczętuwuję krwią naszą umowę. Gdy otrzymam wiadomość, że Kendrick z Artane jest w drodze do Seakirk, przybędę z przyrzeczoną sumą dziesięciu tysięcy sztuk srebra. Gdy ubity zostanie i upewnię się, że lady Matyllda rzuciła na jego duszę

urok, srebro będzie Twoje. Gdy zadanie się spełni, zawiozę lady Matyldę na sabat czarownic i daruję jej kolejne pięć tysięcy sztuk srebra w zapłacie za odprawienie czarów i zaklęć, które dadzą mi moc po śmierci. Tak też składam obietnicę dotrzymania układu, naznaczywszy krwią własną to pismo, roku pańskiego 1260.

- Boże... - szepnął Kendrick i podniósł oczy na Royce'a.

- To niewiarygodne.

- Co to znaczy? - nerwowo dopytywała się Genevieve. - Do diabła, czy któryś z was mi to przetłumaczy?

Kendrick pokręcił głową.

- Poproś Royce'a. Ja nie czuję się na siłach.

Royce przetłumaczył dokładnie tekst. Kendrick miał na tyle przytomności umysłu, żeby złapać Genevieve, kiedy kolana się pod nią ugięły.

- William? Ten, który zaatakował cię z tyłu po pojedynku?

- Ten sam. - Kendrick przyciągnął ją na kolana. - Nigdy nie sądziłem, że posunie się tak daleko.

- A jak daleko się posunął?

- Sprzedał duszę zgromadzeniu czarownic w zamian za władzę po śmierci, tak jak napisał w liście.

- Ale co to znaczy? On nie umarł? Czy jest duchem? A może chciał tylko, żebyś był na zawsze przywiązany do Seakirk?

Kendrick bezradnie wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. To może znaczyć wszystko i nic.

- Boże, zmiłuj się... -jęknął ponuro Royce. - Więc Sedwick może nadal kręcić się po wyspie. Niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeśli tak jest! Kto wie, do czego jest zdolny.

- Tak. - Kendrick pokiwał głową.

Może duchy z jego świty wiedzą coś więcej. „Sir Stephen, staw się tutaj” - zawołał w myślach, zadowolony, że mocą swego umysłu wciąż potrafi działać na duchy. Bębniąc palcami po stole czekał na swego nowego wasala. Dziwne to było, dwa dni temu, gdy Stephen przykląkł przed nim i złożył przysięgę wierności.

Kendrick podejrzewał, że młodzieniec przyszedł do niego częściowo dlatego, że podkochał się w Genevieve, ale co to komu szkodzi. Im więcej ludzi chroni jego ukochaną, tym lepiej.

Nadal trzymał żonę na kolanach, kiedy pojawił się Stephen. Chłopak skłonił się nisko i czekał. Wyraźnie unikał spojrzenia Genevieve, co rozbawiło Kendricka, powstrzymał jednak uśmiech. Nigdy nie spotkał kogoś tak nieśmiałego jak ten młodzian.

- Sir Stephen, mam dla ciebie zadanie. Pamiętasz Williama z Sedwick, prawda?

- Tak, milordzie. Awanturnik i sukinsyn pozbawiony honoru. - Zerknął na Genevieve i zaczerwienił się. - Wybacz, pani.

- W pełni podzielam tę opinię - odparła mocniej obejmując męża.

Kendrick powiedział:

- Mam powody, by wierzyć, że umknął śmierci zaprzędając duszę ciemnym mocom. Pamiętasz go?

- Tak. Jedno oko niebieskie, drugie brązowe, milordzie. Bardzo osobliwe.

- Właśnie o niego chodzi. Chcę, byś wypytał załogę, oczywiście dyskretnie, czy nie widzieli kogoś podobnego do niego. Jeśli zechcą, zezwól im opuszczać teren Seakirk, lecz ty zostań na miejscu. Chcę, by moja pani miała dobrą opiekę.

- To dla mnie honor, lordzie Seakirk, służyć ci najlepiej jak potrafię. Złożę relację, gdy tylko czegoś się dowiem.

- Właśnie tego oczekuję. Możesz odejść.

Stephen znów się skłonił, a potem, potykając się, uciekł z kuchni. Kendrick pogładził Genevieve po włosach.

- Twoja uroda zwała moich ludzi z nóg, najdroższa. To cud, że ja jeszcze jestem w stanie normalnie chodzić.

Pozostała poważna.

- To gorsze, niż sądziłam, Kendrick. A jeśli William żyje?

- W takim razie znajdziemy go i wyzwę go w szranki.

- Ale po tym, co zrobił ostatnim razem...

- Teraz będę ostrożniejszy. Nie pokona mnie.

Popatrzyła na niego załamana.

- Może to wszystko tylko żart.

Kendrick potrząsnął głową.

- Nie, list jasno dowodzi, że zapłacił Ryszardowi z Yorku dziesięć tysięcy sztuk srebra - pokażną sumę, muszę przyznać - żeby mnie zgładził. I sądzę, że dopiął swego celu i uniknął śmierci, wypłacając kolejne pięć tysięcy zgromadzeniu czarownic w opactwie.

- Czarownice? - powtórzyła Genevieve. - W opactwie?

- Takie krążyły plotki w naszych czasach, ale okazuje się, że były bliskie prawdy. - Przesunął ręką po włosach i westchnął. - Chciałbym znaleźć się z nim jeszcze raz na otwartym polu!

- On od dawna nie żyje - powiedziała uspokajająco Genevieve. - Czarownice nie istnieją. To pewnie jakiś głupi żart. Nie myśl już o tym.

- Uspokoiłby mnie widok jego głowy nadzianej na lancę - mruknął. Spojrzał na żonę i dodał łagodniej: - Bez wątpienia masz rację, kochanie. Dajmy temu spokój. Zajmę się lepiej rozgromieniem Royce'a. - Pocałował ją i wstał. - Chodź, przyjacielu, a ty, Genevieve, trzymaj w pogotowiu kluczyki od samochodu. Kiedy skończę, trzeba będzie odwieźć go do szpitala.

Royce mruczał gniewnie, wychodząc za nim z kuchni.

- Ależ z ciebie marzyciel, Seakirk. Wydaje mi się, że twoja kochana żona będzie musiała zapakować twoje szczątki do samochodu. Nie dam ci dziś forów. Może od razu się poddasz, żeby jej tego oszczędzić?

- Kendrick! - zawołała za nimi Genevieve. - Nie zapomnij, że obiecałeś zawieźć mnie dziś po południu do pani Adelajdy. Nazir dzwonił już dwa razy i dopytywał się, kiedy przyjadę do miasteczka.

- Daj mi godzinę na trening. Potem wezmę prysznic i zawiozę cię. Zapraszam cię też na lunch w miasteczku, jeśli wymyślisz kilka ładnych obelg dla Royce'a.

Genevieve machnęła tylko ręką. Sprzeczali się, dopóki nie wyszli na zewnątrz. Potem Kendrick spoważniał, a uśmiech zniknął natychmiast z twarzy Royce'a.

- Na Boga, Kendrick, sądzisz, że to prawda? - spytał ściszym głosem. - To on zapłacił za twoją śmierć?

- Tak, wierzę w to. - Kendrick rozejrzał się wokół jakby od niechcenia. Wolał, żeby tylko Royce go słyszał. - I w tę drugą sprawę też.

- Ale dlaczego to zrobił?

- Nie wydaje ci się, że nieśmiertelność pociąga ludzi? - popatrzył kapitanowi w twarz. - Oprócz oczywistych utrudnień, czy nie bawiłeś się dobrze przez ostatnie siedemset lat? Pamiętasz, z jakim zachwytem oglądałeś po raz pierwszy ruchomy obraz albo wystrzelenie rakiety w kosmos? Nie byłeś wzruszony, gdy pierwszy raz usłyszałeś symfonię Mozarta? Nie marzyłeś o tym, by poprowadzić samochód, polecieć samolotem, popłynąć statkiem oceanicznym? Dlaczego ktoś miałby wybrać śmierć, jeśli ma wybór?

~ Och, ale żadna z tych spraw nie byłaby warta mojej duszy - odpowiedział Royce. - Zresztą, czy te przyjemności mogą wynagrodzić rozłąkę z najbliższymi, którzy odeszli? Gdyby coś stało się Genevieve, czy sprzedałbyś duszę, żeby tu zostać, czy raczej pogodziłbyś się ze śmiercią, kiedy by nadeszła, wiedząc, że spotkasz znów swoją ukochaną?

Kendrick uśmiechnął się.

~ Znasz odpowiedź. Ale rozmawiamy o Williamie. Nie miał rodziny, żadnych przyjaciół, nikogo nie kochał. Był okryty hańbą i wygnany. Może sprzedał duszę, żeby się zemścić?

- Jeśli tak, to niech Bóg ma nas w swojej opiece.

- Tak... Lecz jest z pewnością tylko śmiertelnym człowiekiem. Mogę go pokonać. Znajdziemy go i stanie ze mną do pojedynku na lance.

- A gdy zwyciężysz, co dalej? Dokąd go odeślesz?

~ Umarłych nigdzie się nie odsyła.

- Kendrick, boję się myśleć, jak Genevieve zareaguje na wieść, że chcesz walczyć na śmierć i życie. Nie zmuszaj mnie, bym zajął twoje miejsce u jej boku, kiedy zginiesz.

- Tak jakby cię zechciała...

- Podobam się wielu kobietom.

- Chyba ślepym i głuchym.

Royce wyciągnął miecz i zamachnął się. Kendrick zdążył tylko odskoczyć i wyciągnąć swoją broń, zanim Royce dziko zaszarżował. Zmusił Kendricka do całkowitej koncentracji na walce. Może to dobrze. Przestał rozmyślać o swoich problemach, a szczególnie o tym, jak odnaleźć Williama z Sedwick.

Zgładzenie go to zupełnie inna sprawa. W czasach średniowiecza morderstwo traktowano jako wielkie przestępstwo, jeśli można było udowodnić, że było to

właśnie morderstwo, a nie obrona własna czy działanie w słusznej sprawie. Współcześni ludzie mają na ten temat bardziej osobliwe zapatrywania.

Później o tym pomyśli. Teraz musi odnaleźć Williama i zrozumieć, czego on chce. I nie pozostaje mu nic innego, jak wierzyć, że William jest śmiertelnym człowiekiem, którego można pokonać.

Godzinę później Kendrick zszedł do wielkiego hallu. Od strony kuchni dobiegły go jakieś męskie głosy. Błyskawicznie dopadł drzwi. Serce mało nie wyskoczyło mu z piersi - gdyby cokolwiek stało się Genevieve...

- No cóż, chyba nie umiem porównać tego z niczym, co znacie.

To był głos Genevieve.

- Wygląda na coś bardzo lepkiego i kleistego. Jak smakuje?

Kendrick zatrzymał się w drzwiach. Był tak zaskoczony tym, co zobaczył, że nie mógł od razu wrzasnąć na duchy.

W kuchni rezydowała połowa jego garnizonu. Niektórzy siedzieli na szafkach, inni przy stole, a jeszcze inni podpierali ściany. I wszyscy wpatrywali się w Genevieve, która kończyła właśnie słoik masła orzechowego. Jeszcze bardziej zaskakujące było to, że wyglądała na zupełnie rozluźnioną, jak pani na zamku w otoczeniu swoich wiernych sług. Kendrick oparł się o framugę i przyjrzał całej bandzie.

Oczywiście był tu Stephen. Z mieczem w dłoni stał tuż koło swej pani i toczył wokół groźnym wzrokiem, jakby ostrzegał, że posieka każdego, kto ośmieli się choć czknać bez pozwolenia. Ach, i Colin z Berkhamshire, dzielny, czterdziestopięcioletni rycerz, który dokonał takich spustoszeń w Niemczech, że z pewnością jeszcze go tam pamiętają, siedział teraz po lewej stronie Genevieve, grzeczny i układny, jakby wychował się przy robótkach ręcznych.

Och, i oczywiście Robert z Conyers. Kendrick skrzywił się w uśmiechu. Genevieve nie gawędziłaby z nim tak swobodnie, gdyby widziała go kiedyś w szale bitwy. Kendrick był wielokrotnie świadkiem, jak ten człowiek kładzie pokotem dwudziestu przeciwników, poraniony wraca do obozu i rano znów staje do walki. On również siedział cicho, zasłuchany w każde słowo Genevieve, jakby nigdy nie słyszał mówiącej kobiety.

- Tak, to jest kleiste, ale takie właśnie powinno być - powiedziała Genevieve, popijając kanapkę mlekiem. - A smakuje jak orzeszki ziemne. Czy ktoś z was wie, co to są orzeszki ziemne?

Rozległo się niepewne pomrukiwanie tu i tam, po czym głos zabrał Robert z Conyers:

- Nie, milady, nie wiemy. Czy nie możesz porównać tego do jakiejś podobnej stawy?

- Chyba nie. To smak jedyny w swoim rodzaju. Ale poznajecie mleko, prawda?

- Miód? - spytał nie dosłyszawszy Colin. - Ja wolę piwo.

- Tak jak Kendrick, nawet na śniadanie, wyobraźcie sobie.

- A co lord Seakirk sądzi na temat tej kleistej mikstury orzechowej? - spytał Robert. - Czy przypadła mu do gustu?

Kendrick zmarszczył czoło.

- Jak już powiedziała, nie jesteście w stanie tego zrozumieć. Jeśli skończyliście już pogawędkę, chciałbym mieć teraz moją panią dla siebie. Ale już!

Kuchnia opustoszała w takim tempie, że Kendrick musiał przytrzymać się framugi, by nie stracić równowagi. Dobrze, że Genevieve gościła dziś same duchy, gdyż stratowałiby go w tym pędzie. Kiedy kurz opadł, Kendrick spojrzął na Stephena, który wciąż tkwił na swoim posterunku. Po chwili schował miecz, podszedł do lorda i złożył mu ukłon.

- Oddaję milady w twoje ręce, panie. Nie mam żadnych wieści. Przekażę niezwłocznie wszystko, czego się dowiem.

Kendrick skinął władczo głową i Stephen odszedł.

- Uwodzis mi cały garnizon, kochanie - stwierdził podchodząc do stołu.

- Sami się zaprosili. - Uśmiechnęła się. - Cała gromada ludzi, co?

Kendrick roześmiał się. I mówi to kobieta, która jeszcze kilka tygodni temu bała się podać mu rękę! Jakże się zmieniła.

- Gdybyś tylko wiedziała, jakie to dzikusy w walce - powiedział. - Ale bez trudu ich ujarzmiłaś. Mam ich zawołać, czy resztę popołudnia poświęcisz mnie?

Wstała od stołu i objęła go.

- Milordzie, masz oczy jeszcze bardziej zielone niż zwykle.

- Zawsze były zielone.

- Wiem. - Pocałowała go czule. - Jedźmy sprawdzić, jak miewa się Nazir, a potem wrócimy do domu. Chłopcy obiecali mi, że nie będą przychodzić bez zaproszenia. Potrzebuję intymności, żeby cię uwodzić, Kendrick. I mam wrażenie, że dziś w nocy będę potrzebować bardzo dużo intymności.

Klepnęła go w pośladek przechodząc obok. Kendrick uśmiechnął się widząc zalotne spojrzenie, które rzuciła mu wychodząc z kuchni. Tak, naprawdę się zmieniła.

Miasteczko wyglądało tak samo jak w czasie ostatniej wizyty. Kendrick baczenie przyglądał się każdemu przechodniowi. Zastanawiał się, czy poznałby dawnego wroga. Nie zauważył nikogo podejrzanego.

Nazir nie posiadał się z radości na widok Genevieve i rzucił jej się do stóp, błagając o uchylenie kary. Kendrick powstrzymywał śmiech, słuchając wstrząsających historyjek o tym, jak jest nieszczęśliwy, które wymyślił, by zjednać sobie Genevieve.

Prośby jednak na nic się zdały. Kendrick w porę wyrwał żonę z niewolniczego uścisku Nazira i obiecał mu masę prezentów i przyjemności, jeśli będzie się przyzwoicie zachowywał jeszcze przez tydzień. Worthington wróci wtedy z podróży i zajmie stanowisko niani. Kendrick sam się do tego nie nadawał, a nie chciał, żeby Genevieve miała Nazira cały czas na głowie, szczególnie, że jego żona ma w końcu ważniejsze rzeczy do robienia.

Miał ochotę sprowokować ją do zalotów w bibliotece, kiedy wróca, lecz zmienił zdanie. Zaryglował drzwi wejściowe, porwał ją na ręce i zaniósł na górę. W sypialni rozebrał ją i upadli na łóżko. Była to najbardziej namiętna noc, jaką przeżył w swoim długim życiu. Prawie stracił przytomność z rozkoszy, a Genevieve miała twarz moką od łez.

Potem przytuleni schowali się pod przykrycie i Kendrick trzymał ją w ramionach, dopóki nie zasnęła.

On nie zmrużył oka całą noc. Przemyślał sytuację pod każdym kątem, żeby wybrać najlepszą strategię działania. Przynajmniej Genevieve była w miarę bezpieczna. Inspektor odnajdzie McShane'a i sprawa będzie rozwiązana.

Czy aby na pewno?

Kendrick usiadł na łóżku. Mózg pracował mu jak maszyna. Nazwisko szefa Bryana brzmiało W.S.Maledica. „Maledica?”

Jak mógł być tak głupi! Maledica, od słowa malédiction ~ klątwa. Zakrył twarz rękami. Boże, ależ był głupi! Nigdy nie zastanawiał się nad inicjałami tego człowieka, ale miał przeczucie, że rano, gdy zadzwoni do biura, dowie się, że oznaczają one William Sedwick. Ale dlaczego? Dlaczego McShane chciał porwać Genevieve? A właściwie, dlaczego William kazał McShane'owi ją porwać? Czego mógł od niej chcieć? Może William wiedział, ile Genevieve znaczy dla Kendricka.

Czy miała stać się środkiem do znęcania się nad nim? Ale skąd William mógł wiedzieć, że Kendrick tak bardzo ją kocha? I że się pobrali? I że Kendrick jest teraz żywym człowiekiem?

Powoli znów się położył i wziął głęboki oddech. Tak wiele pytań, a tak mało odpowiedzi. Będzie musiał za wszelką cenę odnaleźć Williama. A w najgorszym wypadku zwabi go do Seakirk i tu zabije. To pasowałoby do całej historii.

Zakładając, że można go zabić.

Przyciągnął Genevieve i zamknął oczy.

Boże, miej mnie w swojej opiece, pomyślał.

Genevieve weszła do domu. Była oszołomiona. Wracła od lekarza, gdyż wydawało się jej, że zwykle zaziębienie podejrzanie długo nie przechodzi. Zupełnie nie brała pod uwagę ciąży, choć właściwie nie wiadomo dlaczego. Od ślubu minęły dwa miesiące. A teraz okazuje się, że będzie miała dziecko.

Uśmiechnęła się, podskakując tanecznie w drodze do kuchni. Kendrick się ucieszy.

Ucieszy się?

Tak, ucieszy się bardzo. Ostatniej nocy przeglądali księgę heraldyczną. Kendrick pokazał jej herb swojej rodziny i tłumaczył, jak go teraz zmieni, gdy jest panem własnego zamku.

Synowie i córki go odziedziczą, z drobnymi różnicami zgodnie z kolejnością urodzenia. Zauważyła, że mówi o tym z dumą.

Pokazał jej też herb Sedwicka. Wzniesiony na tylnych łapach smok. Genevieve poczuła ciarki na plecach na sam jego widok. William na pewno nie żyje, ale jeśli to nieprawda, to wołałaby, żeby wyniósł się gdzieś daleko.

Weszła do kuchni i zobaczyła kartkę przyczepioną do lodówki. Rozczuliły ją duże bazgroły Kendricka.

Kochana Gen, pojechaliśmy z Royce'em na przejażdżkę konno, jak nam kazałaś przed wyjazdem do miasteczka. Mam nadzieję, że miło spędziłaś czas u Adelajdy i przywiozłaś coś ładnego. Będę w domu przed południem. Kendrick.

Była dopiero jedenasta, pomyślała więc, że zdąży upiec ciasteczka i może zajrzeć na chwilę do powieści, którą Kendrick ciągle przed nią chował. Zdjęła pokrywkę słoja na ciasteczka i z uśmiechem wyciągnęła książkę.

- O, subtelny pomysł, Seakirk - stwierdziła z przekąsem. - Twoje ulubione ciasteczka, co?

- Nie będzie się już nimi rozkoszował - rozległ się ponury głos od drzwi.

Okręciła się na pięcie, ręką zasłaniając gardło. W drzwiach kuchni stał mężczyzna w pełnym uzbrojeniu. Ciężka kolczuga pokrywała ramiona i nogi, na głowie miał hełm. U boku, w zasięgu rąk w potężnych rękawicach, wisiał długi miecz. Gość wpatrywał się w nią jednym niebieskim, a drugim brązowym okiem. Na płaszczu widniał, wyhaftowany na czerwono i czarno, przerażający stwór.

Smok.

To herb Williama z Sedwick. Genevieve w osłupieniu rozejrzała się za jakąś bronią. Chwyciła nóż do mięsa. Potężne palce zacisnęły się na jej przegubie tak mocno, że musiała wypuścić nóż. Próbowwała kopać. William uderzył ją na odlew w twarz, podniósł nad ziemię i przyparł do ściany. Brakło jej oddechu, by krzyknąć. Mężczyzna był wzrostu Kendricka i równie jak on potężnie zbudowany. I wyglądał, jakby chciał ją zabić.

- Kim jesteś? - szepnęła.

- Dziwię się, że de Piaget nie powiedział ci o mnie. Powaliłem go kiedyś w turnieju, a ten niedołęga strasznie się odgrażał.

- Nie taką wersję słyszałam... - szepnęła, nim zacisnął mocniej palce na jej gardle. - Widziałam... bliznę... na jego ramieniu...

- Sypiasz z duchem, moja droga? To doprawdy ciekawe.

- On nie jest... - Nagle umilkła.

William zmrużył oczy.

- Nie jest czym?

- Niczym.

Złapał ją za włosy.

- Mam dla ciebie pewien dokument do podpisania, słodka dziewczko, a potem pewnie zabawię się z tobą raz czy dwa. Jego lordowska mość się ucieszy, prawda? - Roześmiał się. - Dobry interes, naprawdę! Nie dość, że zagarnę jego zamek, to wezmę sobie też jego kobietę, a on będzie tylko bezradnie się temu przyglądał. - Popchnął ją do drzwi. - Gdzie jest twój słynny kochanek? Włóczy się po stajniach jak kundel?

Nie odpowiedziała. Musi znaleźć sposób, by ostrzec Kendricka. William cały czas trzymał ją za włosy. Kiedy wyszli na zewnątrz, sięgnął do samochodu po teczkę z dokumentami. Otworzył ją i wyjął zrzeczenie się własności zamku.

- Podpisz to.

- Dlaczego miałabym to zrobić?

- Bo ja będę panem Seakirk, a nie de Piaget. - Uśmiechnął się zadowolony. - Rozumiesz? Jest przywiązany do Seakirk tak długo, dopóki nie jest prawowitym właścicielem zamku. A teraz Seakirk będzie należeć do mnie. - Znowu się roześmiał. - Och, zawsze marzyłem, żeby zobaczyć go na dnie wścieklej, beznadziejnej rozpaczy.

- To nie on zachował się jak tchórz...

William tak mocno rzucił ją o samochód, że na chwilę straciła oddech.

- Głupia dziwko! Nie masz pojęcia, jak cierpiałem. Odebrano mi majątek i tytuł, a rodzina się mnie wyrzekła. Zabroniono mi udziału w turniejach, nie tylko w Anglii, ale też w Normandii i we Francji. Kobieto, stałem się nędzarzem! Latami gromadziłem srebro, żeby zapłacić za zgładzenie de Piageta, a majątek zdobyłem własną krwią. A teraz podpisz dokument i skończmy już z tym!

- Już podpisała zrzeczenie się własności zamku. Nie musi nic podpisywać.

Genevieve zobaczyła Kendricka na koniu, nie więcej niż dwadzieścia kroków od nich. A wokół niego, jak okiem sięgnąć, stał tłum jeźdźców, wszyscy uzbrojeni do walki. Genevieve nie wiedziała, którzy są duchami, a którzy nie.

- Puść ją, Sedwick.

William był tak zaskoczony, że Genevieve wyrwała mu się, zanim cokolwiek pomyślał. Uciekła na drugą stronę samochodu, upewniając się, czy jej nie goni. Nie ruszył się z miejsca.

Zamknął teczkę i roześmiał się.

- Ach, de Piaget, zawsze miałeś poczucie humoru. Czyżbyś sądził, że twoja nędzna postać mnie przestraszy? Słuchaj mnie teraz uważnie: po pierwsze, mam ochotę zabawić się kilka razy z twoją dziewczką. Możesz zostać i patrzeć, jeśli chcesz. Zapraszam. Ludzie też mogą zostać. Zawsze lubiłem przedstawienia przed tłumem.

Kendrick uśmiechnął się słabo.

- Twoje wystąpienia były zawsze bardzo ciekawe, z tego, co pamiętam. Król jednak nie docenił twojego talentu.

William zmrużył oczy.

- Jak skończę gwałcić twoją kobietę, zmuszę ją do podpisania papieru. Nie wiedziałeś, na czym polegała misja McShane'a, co? Szkoda, że pożegnał się z życiem kilka dni temu. Nigdy nie miałem litości dla tchórzy.

- Doprawdy? W innych widzisz to, czym sam jesteś?

William splunął pod nogi Kendricka.

- Kiedy zamek będzie mój, nigdy się stąd nie uwolnisz. Ostatnia z Buchananów pewnie umrze, gdy mi się znudzi. Majątek będzie należał do mnie. Możemy mieszkać tu razem, Kendrick, przez całą wieczność, ja uszczęśliwiony, a ty na dnie rozpaczy. Och, taka słodka zemsta.

Genevieve nigdy nie marzyła o niczym tak bardzo, jak teraz o strzelbie ze środkiem usypiającym. Strzeliłaby Williamowi w pośladek i policja zabrałaby go do więzienia. Zasłużył na wieczność za kratkami.

William odwrócił się do niej.

- A teraz trochę rozrywki. Urodziwa jesteś, panno Buchanan. Trochę za harda na mój gust, ale szybko spotulniejesz.

Gdy ruszył w jej stronę, Genevieve rzuciła się do Kendricka. Podał jej rękę i podciągnął na siodło za swoimi plecami. Wycelował w Sedwicka miecz. William roześmiał się i ruszył wprost na ostrze. Kendrick w ostatniej chwili drgnął i zranił Williama w ramię, a nie w serce.

Sedwick odskoczył do tyłu i roześmiał się.

- Jak długo możesz utrzymać broń, nędzna zjawo? Jeszcze kilka chwil, zanim siły cię opuszczą? - Nie przestawał śmiać się szyderczo. - Szkoda, de Piaget. Wiesz chyba, że mogę umrzeć tylko z twojej ręki, co? To był pomysł Matyldy, a mnie całkiem się spodobał. Szkoda, że nie jesteś w stanie utrzymać tak długo broni!

Kendrick uderzył go płaską stroną miecza w twarz.

- Powiedziałem ci: Genevieve podpisała zrzeczenie własności zamku na moją korzyść. I odzyskałem dzięki temu życie, które ty mi odebrałeś. - Uśmiechnął się, ale oczy pozostały zimne. - A teraz, stary druhu, sądzę, że nadszedł czas, byśmy znów stanęli w szranki. Tylko, że tym razem nie będzie tu króla, żeby uratować twój nędzny kark.

William z niedowierzaniem potrząsnął głową. Odepchnął miecz i wyciągnął rękę, żeby pchnąć Kendricka. Gdy wyczuł solidne ciało, rozwarł szeroko oczy i odskoczył.

- Na szczątki świętego Michała... - wydusił ochryłym głosem. Po chwili wziął się w garść, wyprostował i huknął trochę wymuszonym śmiechem. - Niech ci będzie. Jaka broń? Pistolety?

- Lance. Royce, daj Williamowi jakiegoś konia. Nazir, sprawdź, czy nie ma przy sobie innej broni.

Kendrick popchnął Genevieve za swoje plecy, kiedy próbowała wyjrzeć.

- Nie teraz, Genevieve. Poczekaj, aż Nazir będzie mógł odprowadzić cię do domu.

- Nie idę do domu - powiedziała stanowczo. - Nie trać czasu na namowy, zostaję.

Kendrick nie tracił czasu. Kiedy Nazir obmacał dokładnie Williama, rzucił krótko do Saracena:

- Zabierz ją do zewnętrznych obwarowań i pilnuj. Nie muszę ci mówić, że odpowiadasz za nią głową.

- Tak, panie.

Kendrick nie spuszczał oczu z Williama, gdy Nazir odchodził z Genevieve. Zaczekał, aż przyprowadzą Sedwickowi konia.

Zauważył na czole przeciwnika kropelki potu, gdy kilku jeźdźców otoczyło go w pewnej odległości. Na szczęście nie był w stanie odróżnić duchów od żywych ludzi.

Kiedy wsiadł na konia, Kendrick gestem głowy kazał mu jechać przed siebie w eskorcie rycerzy o ponurych twarzach. Royce trzymał w ręce kilka lancy. Ruszyli za eskortą. Pewnie wszystkie lance będą użyte, choć Kendrick miał nadzieję, że dojdzie do walki na miecze. Chciał odpłacić Williamowi za to, co mu zrobił.

Zobaczył Genevieve, gdy wyjechali z tunelu. Stali z Nazirem pod murem w otoczeniu kilkunastu rycerzy. Kendrick poczuł cień ulgi. Przynajmniej Genevieve będzie bezpieczna. Opuścili go najgorsze obawy.

Teraz została tylko wściekłość. William zapłaci mu za siedem wieków piekła. Kendrick wziął lancę od Royce'a i ustawił się na krańcu pola. Poczekał, aż William odwróci konia, wtedy Royce krzyknął, by zaczynali. Kendrick szarpnął do góry tarczę i opuścił lancę, koncentrując się całkowicie na nieosłoniętym fragmencie piersi przeciwnika. Starli się z łomotem stali. William zachwiał się, ale odzyskał równowagę. Kendrick zawrócił konia, przegalopował wzdłuż pola i wziął drugą lancę. Jego rumak rzucił się do przodu. Ziemia zadrżała od tętentu kopyt. Kendrick wycelował tym razem w środek tarczy Williama i wykrzywił się w uśmiechu, kiedy przeciwnik przeleciał przez zad swojego konia. Kendrick zeskoczył na ziemię i odpędził wierzchowca ostrą komendą.

Podszedł do Williama, czując po raz pierwszy od siedmiu wieków gorączkę dawnych bitew. Wściekłość w nim wrzała, ale umysł pozostał jasny. Świat nabrał jakiegoś sennego kształtu, ruchy wydawały mu się zwolnione, jedyne, co czuł, to krew

dziko tętniąca w skroniach. Odparowywał ciosy szybko i pewnie.

Właściwie bawił się z Williamem. Drasnął go kilka razy, prowokował, doprowadzał do szału. Tak, gdy ten sukinsyn już padnie, Genevieve nie będzie miała powodu do obaw, żadnego powodu, by zbiegać panicznie po schodach, bo przywidziały jej się jakieś cienie w mroku. Tak, śmierć Williama zakończy wiele spraw.

Sedwick w końcu stracił panowanie nad sobą i uderzył z furją. Mimo iż Kendricka kusilo, by przeciągnąć to jeszcze trochę, wiedział, że Genevieve na niego patrzy. Wystarczy, że będzie świadkiem, jak odbiera życie drugiemu człowiekowi.

Nie może pokazać, że go to cieszy.

Wytrącił Williamowi tarczę i wbił mu miecz między żebra.

- Umieraj - powiedział.

- Ty też umrzesz - wycharczał Sedwick. - Taki był koniec klątwy.

Kendrick zeszywniał.

William upadł na ziemię, a Kendrick wyszarpnął miecz i wypuścił go z ręki. Patrzył z przerażającą fascynacją, jak William rozpada się na jego oczach, zamieniając się w siedemsetletnie szczątki. Wiatr od północy zaczął rozrzucać prochy.

Po chwili zostały tylko kości pokryte kolczugą. Kendrick szybko spojrzał na własne ręce. Wyglądały normalnie. Zobaczył, że Genevieve biegnie do niego przez pole. Podniósł dłonie i cofnął się. Nie chciał znać prawdy. Tak, wygląda normalnie, ale jaka jest prawda? Czy Genevieve rzuci mu się w ramiona i upadnie martwa na ziemię? Czy William wiedział coś, o czym on nie wie?

Genevieve rzuciła mu się na szyję.

Przez chwilę Kendrick wyobraził sobie, że jej nie czuje.

A potem poczuł na skórze gorące łzy i zdał sobie sprawę, że to łzy Genevieve. Jej drobne ramiona obejmowały go za szyję, wiotkie ciało przywierało do jego ciała. Dzięki Bogu, William okazał się kłamcą do ostatniej chwili!

- Krwawisz, Kendrick.

Wiedział, że jest zakrwawiony, ale była to krew Sedwicka, nie jego. Przyciągnął Genevieve mocno, nie zwracając uwagi na to, że brudzi jej ubranie.

- Nic mi nie jest - powiedział, dziękując niebiosom. - To już koniec, najdroższa. Williama nie ma i nie będzie nas już więcej niepokoił. To jego krew, nie moja.

Trzymał ją mocno. Ponad głową Genevieve zobaczył zbliżającego się Royce'a. Uśmiechnął się do przyjaciela.

- Teraz obaj możemy odetchnąć.

Royce skinął głową.

- Dobry występ, przyjacielu. Zajmę się tymi resztkami. Masz jakieś sugestie?

- Nie. Tylko nie chowaj go na mojej ziemi.

- Nie przysłoby mi to nawet do głowy. Zabierz swoją panią do domu. Dość się chyba dziś napatrzyła.

Kendrick zdjął zakrwawiony płaszcz i poszli z Genevieve do domu.

Skończyło się, a Genevieve wciąż należy do niego.

Uśmiechnął się.

Trzy godziny później uśmiech Kendricka zmienił się w marsową minę. Cały obóz wrócił do domu i ani przez chwilę nie mógł być z żoną sam. Wszyscy rycerze

dopytywali się o nią, zapewniała więc uroczyście, że nic jej nie jest i świetnie się czuje.

A teraz dopadli ją domownicy. Stała przy blacie kuchennym obok pucharu lodów czekoladowych i czekała na gorącą polewę karmelową. Worthington, Royce i Nazir jednocześnie wypytywali szczegółowo, co robiła przez ostatni miesiąc. Genevieve czerwieniła się i zbywała ich wymijającymi odpowiedziami.

Znaczące mlaskania i pomruki Worthingtona strasznie denerwowały Kendricka. Miał ochotę wysłać całe to trio na co najmniej roczne wakacje. Przestaliby zawracać głowę Genevieve, która wreszcie miałaby czas dla niego.

Kendrick czuł, że dzielenie się nią, nawet z dziećmi, nie byłoby dla niego łatwe. Tak, zachowywał się ostatnio trochę dziwnie i wszyscy to widzieli. A ten cholerny Royce, jak nieznośny młokos, ciągle głupio uśmiechał się pod wąsem. Kendrick postanowił zignorować przyjaciół i skupił się całkowicie na Genevieve.

Była blada. Właściwie trudno się dziwić po tym, co przeszła przez ostatnie kilka tygodni. Zmarszczył czoło, kiedy zjadła kolejną łyżkę lodów. To może jej zaszkodzić. Właściwie była już zupełnie zielona na twarzy.

Otworzył usta, żeby to skomentować, kiedy rzuciła łyżkę do zlewu i wybiegła z kuchni. Kendrick wstał, żeby za nią pójść, ale okazało się, że idą wszyscy czterej.

- To moja żona! - wrzasnął wskazując im ręką, żeby wracali do stołu. Pobiegł do łazienki przy kuchni i zapukał do drzwi.

- Genevieve?

- Odejdź - powiedziała słabo. - Źle się czuję.

Usłyszał wyraźne tego odgłosy, co w nim również wywołało uczucie mdłości. Odetchnął głęboko i otworzył drzwi. Genevieve płukała właśnie usta nad umywalką. Kendrick z niepewną miną stał na progu. Począł, aż skończy, a potem przytulił ją do siebie.

- Zaniosę cię do łóżka.

- Nie, dobrze się czuję, naprawdę. - Odsunęła się i spojrzała na niego z uśmiechem. - Teraz muszę upiec twoje ulubione ciasteczka.

Wzięła go za rękę i wrócili do kuchni. Kendrick szedł za nią potulnie, zastanawiając się nad dziwnym zachowaniem żony. Usiadł na krześle i spojrzał bezradnie na przyjaciół.

- Mówi, że dobrze się czuje.

- Oczywiście - stwierdził Worthington, jakby doskonale wiedział, o co chodzi.

- Mdłości przychodzą i odchodzą, prawda, lady Genevieve?

Rzuciła w niego rękawicą kuchenną. Kendrick zamrugał, a potem popatrzył na chichoczącego Royce'a.

- Ależ temperament. Och, Kendrick, jakie urocze miesiące przed tobą.

- Zamilcz lepiej, Royce - ostrzegawczym tonem poleciła Genevieve.

- Według życzenia, milady.

- Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, co tu się dzieje? - warknął Kendrick. - Nazir?

Nazir wstał i skłonił się przed Genevieve.

- Będę na górze. Muszę przywyknąć znowu do mego pokoju. Jeśli pozwolisz, pani?

- Ja też chyba pójdę. - Royce podniósł się i przeciągnął.

- Dasz mi tu jakiś ką, Kendrick? Genevieve obiecała, że nie każesz mi spać w stajni. Ale nie chcę pokoju sąsiadującego z waszym. Pewnie zechcecie urządzać go w jakichś jasnych kolorach i...

- Royce - przerwała mu Genevieve, machając groźnie łyżką. - Nie chcesz chyba, żebym wypróbowała na tobie miecza Kendricka.

Royce podniósł ręce do góry i wycofał się z kuchni. Kendrick spojrział na Worthingtona.

- A ty nie wychodzisz?

- Miałbym tego nie usłyszeć?

Genevieve chrząknęła.

- Kendrick powiedział, że może pan zająć jego gabinet na górze. Powinien pan sprawdzić, czy telewizor działa.

- Co usłyszeć? - Kendrick wstał zza stołu. - Worthington, o czym ty...

Lokaj wyszedł. Kendrick odwrócił się do żony.

- O czym on mówił?

Odłożyła łyżkę i podeszła do niego. Delikatnie posadziła go na krześle i położyła mu ręce na ramionach. Boże, czy ona chce mu powiedzieć, że go opuszcza? Łzy kręciły jej się w oczach. Kendrick sztywno czekał na najgorsze.

- Będziemy mieli dziecko.

Ośłupiał. Po raz pierwszy w życiu i w nie życiu odjęło mu mowę. Nagle opadło go tak wiele emocji, że sam nie wiedział, co się z nim dzieje. Zaskoczenie, radosna duma, panika i jakieś pełne czułości uczucie, którego nie potrafił nazwać.

- Dziecko? - spytał łamiącym się głosem.

- Powiedz, że się cieszysz.

Popatrzył na nią i poczuł, że wilgotnieją mu oczy. Wstał i chwycił ją w ramiona.

- Boję się, żeby cię nie zmiażdżyć... Tak mocno chciałbym cię przytulić - powiedział ochryplym głosem. - Och, Genevieve, nie mogę w to uwierzyć!

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się z radości. A potem uniósł twarz ukochanej i pocałował ją. Uświadomił sobie, że Genevieve nadal stoi obok niego. Posadził ją z namaszczeniem na krześle i zaczął przemierzać kuchnię wielkimi krokami.

- Oczywiście od tej pory będziesz odpoczywać. Koniec z porannymi lekcjami konnej jazdy, żadnych wypadów do miasteczka. Nie mam absolutnego zaufania do samochodu, że zawiezie cię i przywiezie bezpiecznie. Czytanie nie powinno ci zaszkodzić, ale nad tym jeszcze się zastanowię. Noszenie w łonie dziecka to poważna sprawa dla kobiety, Genevieve, i nie mam zamiaru stracić cię przez dziecko. Zbyt wielu mężczyzn musi ponownie się żenić, ponieważ tracą żony w połogu. Czekałem na ciebie siedem wieków i nie zrezygnuję tak łatwo. Royce i Nazir będą musieli się wyprowadzić. Może do miasteczka. Wynajmiemy nianię i mamkę,

żebyś się nie przemęczała. I załoga nie będzie tu miała wstępu, może nawet zabronię im wchodzić na wewnętrzny dziedziniec. Nie pozwolę, żeby męczyli cię swoimi bzdurnymi opowieściami i nieokrzesanymi dowcipami. I pokój dziecienny! Tak, musimy go szybko urządzać. Wynajmę kogoś. Nie sądzę, by Worthington był w stanie zapewnić ci teraz odpowiednie wyżywienie. Może sprowadzę kucharza z Włoch. Oni tam mają ładne, zdrowe dzieci. I koniec z masłem orzechowym. Z pewnością nie jest zdrowe...

- Kendrick?

- Lody od dziś absolutnie zabronione. Nie, kochanie, odpoczynek i jak najmniej wysiłku fizycznego. Nie chcę, byś cierpiała przez moje dziecko więcej niż to konieczne...

- Kendrick!

Zatrzymał się i spojrzał na nią.

- Tak?

- Chodź tu bliżej.

Uklęknął koło niej.

- Tak? - Wszystko, czego zechce jego najdroższa...

- Royce i Nazir zostają. To tak samo ich dom jak nasz.

- Ale...

- I nie sprowadzisz kucharza. To uraziłoby uczucia Worthingtona. Nie potrzebuję, by gotował mi Włoch. Ludzie z załogi mogą przychodzić, kiedy chcą, chyba że zaczną podglądać, jak wymiotuję w łazience. To mnie peszy.

- To wykluczone! - zagrzmiał.

Genevieve położyła mu rękę na ustach.

- Nie będę jeździć konno, ale mam zamiar się gimnastykować i ty będziesz robił to razem ze mną, nawet jeśli będzie to oznaczać setny spacer wokół ogrodu. Obiecałam Adelajdzie, że wpadnę do niej któregoś popołudnia w tygodniu i posiedzę za nią w sklepie, i mam zamiar to zrobić. - Umilkła, żeby zaczerpnąć tchu. - Co jeszcze mówiłeś?

Kendrick pocałował jej dłoń, a potem objął ją w talii.

- Chyba jakieś bzdury.

Pocałowała go delikatnie.

- Jesteś szczęśliwy?

- Bardzo, a ty?

- Wiesz, że tak.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

- Myślałam, że to przeziębienie. Byłam u lekarza dopiero dziś rano. Powiedział, że dopóki czuję się dobrze, mogę robić to, co przedtem. - Uśmiechnęła się promiennie. - Teraz nasze życie stanie się w końcu normalne. To cudowne, prawda?

- Tak, najdroższa.

- Kendrick, ciasteczka się spala.

- Niech się spala. Mam pewną propozycję... Może pójdziemy do biblioteki?

- Wyłącz chociaż piecyk po drodze.

Kendrick posłuchał, a potem chwycił ją na rękę.

- Czy miłady pozwoli się kochać w swojej bibliotece?

- Z przyjemnością - odpowiedziała, patrząc na niego błyszczącymi oczami.

- A potem weźmiesz ciepłą, miłą kąpiel i zdrzemniesz się odrobinę. Nie, może wcześniej jeszcze coś przekąsisz. Musisz nabierać sił.

- Kendrick, masz zadatki na straszego nudziarza.

Uśmiechnął się pod nosem, niosąc ją przez hall. W pełni zgadzał się z tą opinią, lecz nie miał żadnych wyrzutów sumienia. Żyje, może czasem zrzędzi, ale to wszystko jest takie cudowne. Genevieve urodzi mu dziecko i będzie dbał o nich oboje.

- Kendrick?

Postawił ją na podłodze i zamknął drzwi na klucz.

- Tak?

- Wiesz, kocham cię.

Pochylił się, żeby ją pocałować.

- Tak, wiem. I ja cię kocham.

- Myślisz, że nasze życie potoczy się już teraz normalnie?

Przyciągnął ją i oparł brodę na czubku jej głowy.

- Tak, kochanie, tak myślę.

Przytuliła się mocniej. Kendrick zamknął oczy i uśmiechnął się. Od dziś tylko szczęście, miłość i radość dzień za dniem, noc za nocą...

Och, jak cudownie został obdarowany.

## Epilog

Wziąwszy pod uwagę tłum zgromadzony w wielkim hallu, powinien tu panować ogromny hałas, lecz słycać było jedynie skrzypienie krzesła od czasu do czasu albo ciche westchnienie. Istoty cielesne i niecielesne, zależnie od przypadku, czekały na wiadomość i modliły się, by wiadomość była dobra. Przez całą noc oczekiwania z góry dochodziły stłumione odgłosy jęków bólu albo zapadała głucha cisza.

Nagle wszyscy usłyszeli kroki na schodach i rozczochrany, ale radosny Worthington pojawił się w hallu.

- Chłopiec - zaanonsował z taką dumą, jakby sam spłodził i urodził dziecko.

- Worthington!

Wezwanie z góry sprawiło, że znów zniknął z pola widzenia. Zgromadzeni w hallu nie wiedzieli, czy można już odetchnąć z ulgą, czy jeszcze się modlić. Pani Adelajda zaczęła szlochać.

Po kilkunastu minutach znów usłyszeli kroki na schodach. Worthington wyglądał na bardziej uszczęśliwionego niż przedtem.

- Drugi chłopak! Lady Seakirk urodziła milordowi dwóch chłopców!

- Worthington!

Wszyscy obecni wstali i zaczęli chodzić po hallu. Dwoje dzieci? I jeszcze jedno wezwanie? Wstrzymali oddech, gdy Worthington pojawił się trzeci raz.

- Jeszcze jedno dziecko. Chłopak. Boże, niech Bóg ma mnie w swojej opiece, jeśli będzie następne!

Lokaj rzucił się do góry, zachwiał i padł jak długi na podłogę. Adelajda, przyzwyczajona do łagodzenia wszelkiego rodzaju kryzysów po miesięcznym pobycie Nazira pod jej dachem, przejęła dowództwo. Pożegnała gości i zajęła się przygotowaniem posiłku dla lady Genevieve. Dopiero gdy zanesiono tacę na górę, docuciła do reszty Worthingtona i powiedziała mu, że będzie miał tylko trzech chłopców pod opieką.

Lokaj odetchnął z ulgą.

Genevieve obudziła się, wyczerpana, ale szczęśliwa. Popatrzyła w lewo i zobaczyła Kendricka śpiącego w fotelu. Trzymał swoich tygodniowych synów, jednego na lewym ramieniu, drugiego na prawym, a trzeciego na kolanach. Odwróciła się na bok, zaskoczona, jak łatwo jej to poszło. Naturalny poród nie był planowany, ale bóle zaczęły się szybko i nie zdążyła pojechać do szpitala. Doktor natychmiast się zjawił, ciągnąc za sobą połowę miasteczka.

Trojaczki również nie były planowane, gdyż zapewniano ją, że będą dwojaczki. W czasie porodu Kendrick był tak oszołomiony, że prawie wyrwał sobie włosy z głowy. Nie na wiele się zdał, ponieważ prawie cały czas wrzeszczał na lekarza, zamiast pomagać jej przy oddychaniu. Ale rozumiała, że bał się o nią i kochała go za to jeszcze bardziej.

Usiadła i zwiesiła nogi z łóżka. Niezbyt wygodnie, ale nie boli. Schyliła się i dotknęła kolana Kendricka.

- Kochanie?

Natychmiast otworzył oczy i wyprostował się, co u dwóch synków wywołało ciche kwilenie. Genevieve wzięła na ręce małego z kolan, ale patrzyła na męża.

- Musisz się położyć.

Kendrick poprawił dzieci na ramionach.

- Nawiązuję kontakt, Gen.

- Raczej chrapiesz, kochanie. Nikt z nas nie może spać przez ten hałas.

- Chłopcy wyglądają na zadowolonych.

Uśmiechnęła się. Rzeczywiście wyglądali na zadowolonych. Śliczne maluchy z ciemnymi włoskami i delikatnymi twarzyczkami, jak stwierdził Kendrick, kubek w kubek podobnymi do niego, gdy był mały. Pochyliła się i pocałowała męża.

- Z każdą godziną są coraz bardziej do ciebie podobni. I z pewnością tak samo głośno jak ty dopominają się o jedzenie.

- Tak - powiedział i uśmiechnął się z dumą. - Piękni, zdrowi synowie.

- Jutro ich ochrzczimy?

- Nie, Genevieve. W przyszłym tygodniu, kiedy nabierzesz sił. To, że mam teraz trzech młodzieniaszków na oku nie znaczy, że przestanę pilnować żony. Zostaniesz w łóżku, dopóki nie uznam, że wydobrzałaś. Chociaż raz jesteś posłuszna.

Wyglądał na zadowolonego z tego podziału ról. Od porodu jej nie odstępował. Wcześniej zresztą też, od chwili, kiedy powiedziała mu o ciąży. Nie miała powodów do narzekania.

- Dobrze, w przyszłym tygodniu - zgodziła się.

- Połóż się, Gen. Przyjdziemy do ciebie z chłopcami na drzemkę.

Genevieve położyła się z jednym synkiem na rękę. Kendrick przyniósł dwóch pozostałych i ułożył ich koło mamy. Potem wyciągnął się na łóżku i ujął jej rękę.

- Dziękuję ci.

Uśmiechnęła się.

- Są cudowni, prawda?

- Tak. Royce już struga miecze...

- Kendrick!

Zachichotał pod nosem.

- To są drewniane, dziecinne miecze, kochanie. I obiecuję, że będę na nich uważał. Co prawda ja ująłem pierwszy raz miecz, kiedy miałem trzy latka.

Przyłożyła sobie jego dłoń do policzka.

- Jakoś udało ci się przeżyć, jak widzę.

- Będę uważał na chłopców. - Pochylił się nad niemowlętami.

- Jesteś szczęśliwa, Gen? Szczęśliwa, że za mnie wyszłaś?

- Wiesz, że tak.

- I szczęśliwa, że mamy synów?

- Bardzo.

Pocałował ją i oparł głowę na poduszce.

- W takim tempie zrobimy sobie całkiem szybko dwanaścioro dzieci.

- Nawet o tym nie myśl. To wszystko będą chłopcy i tak samo zręczliwi jak ich ojciec.

- Przecież lubisz, kiedy się z tobą drocę, lubisz jak się złoścę i uwielbiasz moje groźne spojrzenia.

- Może.

- Tak, to prawda.

Odwróciła się do niego i spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie mów mi tylko, że znów czytasz w moich myślach.

Uśmiechnął się chytrze.

- Może... Brakuje mi tego, wiesz. Uwielbiałem podglądać, kiedy o mnie marzyłaś.

- Zamieniłbyś to za to, co masz teraz?

- Znasz odpowiedź, Gen. Jestem ślepo zakochany w żonie i szczęśliwy z daru, jaki mi ostatnio ofiarowała. Nic w tym ani przyszłym życiu nie mogłoby tego zastąpić.

Genevieve poczuła przepętniającą serce miłość do tego cudownego, mrukliwego, nieznośnego rycerza, który przewrócił jej życie do góry nogami, a potem szturmem zdobył serce. Kendrick jest radością jej życia i nie zamieniłaby go na nic w świecie.

Patrzyła, jak przymknął oczy, wciąż trzymając ją za rękę. Ramieniem obejmował lekko synów, Robina, Filipa i Jasona. Imiona wybrali im po mężczyznach z rodziny Kendricka. Kendrick wybrał im też już ojców chrzestnych: Royce'a, Nazira i Worthingtona. Lokaj przy każdej okazji cmokał nad małym Jasonem jak kwoka. Genevieve przeczuwała, że właśnie on z synków będzie najbardziej rozpieszczany. Royce i Nazir byli bardziej przejęci rolą ojców chrzestnych-trenerów, niż karmieniem czy kołysaniem maluchów. A Kendrick panował nad całą szóstką jak król.

Załoga zamku też zwariowała. Genevieve obudziła się pewnego popołudnia w pokoju pełnym pięknych kwiatów od sir Stephena. Strażnicy dowodzeni przez Colina z Berkhamshire stali u jej drzwi, jeśli Kendrick na krótko dokądś wychodził. Robert z Conyers poprosił nawet wczoraj, by go przyjęła kiedy chłopcy wrzeszczeli co sił w płucach, a ona bliska łez starała się ich uspokoić. Robert wyciągnął flet i grał, aż chłopcy słodko zasnęli. Załoga duchów stawała się naprawdę nieoceniona.

Otrząsnęła się, czując, że Kendrick uważnie na nią patrzy. Uśmiechnęła się pogodnie.

- Co?

- Byłaś gdzieś daleko - powiedział. - Moi synowie mają tylko tydzień, a ja już jestem zazdrosny.

Nie zrobiło to wrażenia na Genevieve, może dlatego, iż wiedziała, że to nie do końca prawda. Kendrick uwielbiał synów. Ale było jej też miło, że wciąż bardzo mu na niej zależy.

- Kendrick, połóż poduszki tam, gdzie leżysz, żeby chłopcy nie sturlali się z łóżka. A ja się trochę przysunę.

- Nie za blisko. Ciągłe myślę o przytulaniu się do ciebie.

Uśmiechnęła się, kiedy wstał, żeby ułożyć barykadę z poduszek. Odsunął synów od mamy, obszedł łóżko dookoła i położył się obok Genevieve. Zamknęła oczy, gdy objął ją w tali. Jego pierś była ciepła, a ramiona silne i bezpieczne.

- Genevieve?

- Tak, mężu.

- Pamiętasz, jak powiedziałem ci kilka miesięcy temu, że nasze życie będzie się teraz toczyć zupełnie normalnie?

- Pamiętam.

Milczał przez chwilę.

- Sądzę, że tak się jednak nie stanie. Nie martwi cię to?

Jeśli uznać za nienormalne narodziny trojaczków, załogę duchów, despotycznego lokaja, humorzastego Saracena, zwariowanego kapitana i męża, który jest najwspanialszym rycerzem, jakiego można sobie wyobrazić, mężczyzną, który pokochał ją bardziej niż kiedykolwiek marzyła - czy ją to martwi?

- Nie, kochanie, zupełnie mnie to nie martwi.

Kiedy Genevieve Buchanan dowiaduje się, że odziedziczyła ogromny spadek, wcale nie jest tym zachwycona. Testament jest bowiem zaopatrzony w pewien warunek: żeby przejąć dziedzictwo, spadkobierczynie musiałyby przenieść się do Anglii.

Ciąg nieoczekiwanych zdarzeń sprawia jednak, że Genevieve zmienia decyzję. Spadek okazuje się imponujący; jest to ni mniej, ni więcej tylko ogromny zamek.

I to zamek z własnym duchem; nie byle jakim, lecz nieziemsko przystojnym i niezwykle aroganckim duchem.

Poczynania ducha najpierw Genevieve przerażają, potem intrygują, a wreszcie znów przerażają. Tyle że na koniec jej przerażenie nie wynika już ze strachu przed duchem, lecz przed... miłością.